



**UUK**

**KIR BUŁYCZOW**

**PIERESTROJKA  
W  
WIELKIM GUSLARZE**



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
Akt . . . . .	8
Jadalne tygrysy . . . . .	28
Szpiegowski bumerang . . . . .	50
Niepotrzebna miłość . . . . .	58
Warsztat szewski . . . . .	64
Jabłoń . . . . .	84
Przestańcie kochać Łożkina . . . . .	92
Cena krokodyła . . . . .	102
Co dwa buty, to nie jeden . . . . .	115
Wmówione życie . . . . .	121
Marzenie zaocznego studenta . . . . .	130
Liśki . . . . .	149
Klina, klinem . . . . .	162
Sześćdziesiąty drugi odcinek . . . . .	172
Reinkarnacja z drugiej ręki . . . . .	182
Ku gwiazdom! . . . . .	199
Czego tylko dusza zapagnie . . . . .	220
Epilog. . . . .	232

# Zagraniczny agent kosmiczny

## Wodewil w jednym akcie z prologiem

### Prolog

Korneliusz Udałow szedł przez pole targając wiadro z grzybami. Grzyby były takie sobie, mało szlachetne, w większości surojadki, kilka maślaków, dwa kozaczki, jeden prawdziwek, ale robaczywy, znaleziony na ścieżce — walał się trzonkiem do góry. Widocznie jakiś bardziej szczęśliwy zbieracz znalazł go i rozczarowany wyrzucił. Człowiek, który wybrał się na grzyby, a niesie do domu trywialne drobiazgi, skłonny jest do rozmyślań o marności życia i o tym, że czas ucieka zbyt szybko, a człek i tak nie nauczył się gospodarować nim z pożytkiem. Taki ktoś rozumie, że już minęła czterdziestka, a najważniejszej w życiu rzeczy jeszcze nie dokonał i nawet nie zdecydował jeszcze, co jest w tym życiu najważniejsze. Człowieka takiego obowiązkowo zaczynają kąsać gzy i komary, przypieka go słońce, a na łysinę wskakują mu koniki polne. Oczywiście, mógł pójść lasem, ale zachciało mu się walić przez pole koniczyny, ciężkie i grząskie po ostatnim deszczu. I dlatego człowiek marzy o cieniu, o kufelku kwasu chlebowego z lodówki i przysięga sobie, że nigdy więcej nie pójdzie do lasu. . .

I w tym momencie rozlega się huk, który wstrząsa całym wszechświatem, powoduje, że zwijają się liście na drzewach i milkną śpiewające ptaki.

Coś ogromnego, połyskującego, okutanego obłokiem pary i nieziemskiego ognia runęło dokładnie na środek pola. Była to kula z osmalonego metalu. Miała średnicę jakichś czterech metrów i, najwidoczniej, była statkiem kosmicznym — albo radzieckim, albo amerykańskim, albo i nieziemskiego pochodzenia.

Kiedy Udałow stał nieruchomo, rozmyślając o kaprysach losu i ciesząc się, że kula nie zwała mu się na głowę, otworzył się luk i jeden po drugim wyszli z niej trzej przybysze z innej planety, a ich cechą szczególną było posiadanie trzech nóg. Przybysze pokręcili zielonymi głowami, rozejrzeli się po okolicy i nikogo nie zauważywszy, pognali do lasu.

— Stójcie! — krzyknął Udałow. — Stójcie! Nie skrzywdzę was! Jestem waszym bratem w rozumie!

Jednakże przybysze albo nie chcieli, albo nie mogli pojąć uspokajających słów Udałowa. Pędzili do lasu tak, że tylko migwały magnetyczne podkówki na ich obcasach. Udałow wystraszył się, położył na ziemi i trochę poleżał z policzkiem przyciśniętym do koniczyny. Pomyślał sobie, że przybysze uciekli, bo ich statek

za chwilę wybuchnie. Udałow leżał i o niczym nie myślał, a statek ciągle nie wybuchał i stał sobie pośród pola z otwartym włazem.

Zmęczony się oczekiwaniem śmierci Udałow wstał, strzepnął z kolan kwiatki koniczyny i zgniecione mrówki, po czym wolno skierował się do nieziemskiego statku. Obudził się w nim duch badacza.

Przed włazem zatrzymał się i zapytał:

— Czy został może tu ktoś, kto wejdzie ze mną w kontakt?

Nie można powiedzieć, by oczekiwał odpowiedzi — zapytał tylko dlatego, że chciał okazać uprzejmość.

Odpowiedzi nie było. Udałow postawił na ziemi wiadro z grzybami i wszedł do wnętrza statku. Panował tam półmrok, do którego Udałow przyzwyczajał się dobrą minutę. Potem już rozróżniał poszczególne przyrządy i ster statku, a także koje kosmonautów i ich osobiste rzeczy, zapomniane w czasie panicznej ucieczki. Udałow przycupnął na krzeselku i zamyślił się nad swoimi kolejnymi działaniami. Pewnie przyjdzie mu iść do miasta i zgłosić gdzie trzeba lądowanie statku kosmicznego.

We wnętrzu, gdzie w ciasnocie i niewygodzie mieszkali kosmonauci, porzucane były części ubrania, naczynia i inne drobiazgi. Udałow znalazł tam błękitny kaszkiet z kometą w miejscu, gdzie zawsze była gwiazdka, i przymierzył go. Kaszkiet pasował jak ulał. I kiedy Udałow zerknął w wiszące nad sterem lustro, własny widok bardzo mu się spodobał. Następnie Udałow podniósł z koi dobrą nieziemską lornetkę i wyjrzał za zewnątrz, chcąc sprawdzić jej moc. Okazała się bardzo dobra; przez nią Udałow zobaczył, że do statku, podskakując na kępkach koniczyny, pędzi zielony „gazik”, w którym siedzą jacyś ludzie po cywilnemu. Kiedy „gazik” zbliżył się jeszcze bardziej, Udałow rozpoznał wśród pasażerów wozu towarzysza Batyjewa we własnej osobie, przewodniczącego guzlarskiego prezydium. Przez naród zwanego szefem miasta.

Udałow uniósł rękę w powitalnym geście. Wóz zahamował i pasażerowie wyszli z niego, zadziwieni niezwykłym widokiem. Pędząc tu mieli nadzieję, że lądujący statek kosmiczny będzie statkiem radzieckim, naszym, i oni pierwsi, nawet wyprzedzając partię i rząd, przycisną do swych piersi odważnych kosmonautów. Ale statek był pozbawiony znaków rozpoznawczych, a z kształtu był podejrzany.

I nagle przybyli zauważyli, że w drzwiach statku stoi człowiek w nie naszym kaszkiecie i z symbolem komety oraz wielką nieziemską lornetką na piersi. Człowiek ów był niewysoki, przysadzisty, a reszta jego odzienia wskazywała na to, że jest miejscowy — albo grzybiarz, albo wędkarz.

— Pupykin, co ty tu robisz? — zapytał zastępca Batyjewa, niejaki Siemion Karaś.

Chciał powiedzieć „Udałow”, ponieważ od dawna znał Korneliusza Iwanowicza, ale oszołomiony sytuacją użył nazwiska dyrektora łaźni miejskiej Pupykina, który wcale do Udałowa nie był podobny.

— Pupykin? — zapytał człowiek w szarej marynarce, którego Udałow spotykał niejednokrotnie na naradach. Mężczyzna ten wyjął niebieską książeczkę i zapisał w niej kilka słów.

Od strony lasu biegły wiejskie dzieci z polnymi kwiatami i krzyczały:

— Sława kosmonautom!

— Nie jestem Pupykin — powiedział Udałow.

— Nie jest Pupykinem? — zapytał mężczyzna w szarej marynarce.

— Wstydźcie się, towarzysze — powiedział Batyjew. — Zewnętrzne podobieństwo może wprowadzić w błąd.

— Właśnie widzę, że to nie Pupykin — powiedział Karaś. — Patrzyłem pod światło.

— Skąd jesteście? — zapytał Batyjew.

Nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ zaskoczony Udałow milczał. Milczenie Udałowa skonfundowało Batyjewa. Mężczyzna w szarej marynarce znowu wyjął z kieszeni niebieską książeczkę, otworzył ją i zapytał w obcym języku:

— Ar ju amerikan?

Nie doczekawszy się odpowiedzi zadał drugie pytanie:

— Łot is jor task? Ar ju e spaj?

— Dzień dobry, jeśli sobie ze mnie nie kpicie — powiedział Udałow zeskakując na ziemię i wyciągając rękę do towarzyszy z prezydium rady miejskiej. — Nie poznajecie, czy co? Udałow, z przedsiębiorstwa budowlanego. Korneliusz Iwanowicz Udałow.

Jego słowa zagłuszyły radosne i dźwięczne okrzyki pionierów i uczniów, którzy witali kosmicznego bohatera.

Poprzez dziecinne głosy do Udałowa, wyróżniającego się dobrym słuchem, dotarły słowa mężczyzny w szarej marynarce, wypowiedziane do ucha Batyjewa:

— Przypuszczam, że on może być z Chińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Wiadomo nam, że dokonuje się tam prób. Nie wolno spuszczać z niego oka.

Batyjew odstąpił o krok od Udałowa. Patrzył nań nieprzyjaźnie.

Udałow ruszył na Batyjewa, a ten cofnął się jeszcze o krok. Udałow odwrócił się do Karasia, ale między nich wcisnęła się grupa uczniów, którzy obładowali Udałowa bukietami kwiatów, a jeden z dzieciaków zaczął pstrykać zdjęcia, utrwalając przybycie Udałowa z kosmosu.

Mężczyzna w szarej marynarce nieuchwytnym dla oka ruchem wyciągnął do chłopca rękę i skonfiskował aparat. Chłopiec zaczął płakać, ale mężczyzna powiedział:

— Aparat zostanie ci zwrócony. Niech się matka zgłosi, jasne?

Chłopiec powłókł się przez pole do lasu, samotny i smutny, ale nikt z kolegów nie zauważył tej małej tragedii. Nie zauważył też jej Udałow, który usiłował przebiec się przez bukiety do Siemiona Karasia i krzyczał do niego:

— Nie jestem Pupykin, nie jestem Pupykin! Pupykin pracuje w łaźni, a ja jestem Udałow!

— Sam widzę, że nie Pupykin — przyznał się Karaś. — Jaki tam z ciebie Pupykin? Pupykin dyrekturuje w łaźni przecież. A i wyższy jest od ciebie.

— A Udałow? — zapytał Korneliusz Iwanowicz.

— Udałow jest kierownikiem przedsiębiorstwa budowlanego — powiedział Siemion Iwanowicz. — I jaki tam z ciebie Udałow? Udałow jest znacznie niższy.

Batyjewowi znudziło się czekanie na wietrze.

— Proszę do samochodu — powiedział. — Proszę pozwolić... posuńcie się... o, tu.. Proszę...

Mężczyzna w szarej marynarce wywiedział się, które dzieciaki są prymusami i mają dobre oceny z zachowania, i z nich ustalił skład ochrony statku kosmicznego.

Udałowa posadzono między człowiekiem w szarej marynarce i samym towarzyszem Batyjewem, sąsiedzi mocno ścisnęli Udałowa łokciami. Karaś usiadł obok kierowcy.

— Ruszaj — polecił Batyjew szoferowi.

— A moje grzyby? — zapytał Udałow.

— Grzyby?

— Wiadro z grzybami stało, co prawda surojadki w większości...

Mężczyzna w szarej marynarce wygiął się, jego ręka w dziwny sposób wyciągnęła się na trzy metry, szybkimi ruchami spenetrowała ziemię, nie dotykając przy tym dzieci i znalazła wiadro z grzybami. Ale Udałow nie dostał swego wiadra, stanęło obok Karasia.

Samochód ryknął silnikiem i pomknął po kępach koniczyny. Dzieci krzyczały za nim: „Sława bohaterom kosmonautom!” — i rozchodziły się na miejsca wyznaczone do ochrony statku. Ci zaś, co źle się uczyli albo niewłaściwie zachowywali się w szkole, stali z boku i patrzyli na statek z daleka.

Póki „gazik” pędził do miasta, klaksonem rozpędzając inne samochody, mężczyzna w szarej marynarce wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął spokojnie przecinać pasek, na którym wisiła lornetka. W tym czasie, umówiony z nim towarzysz Batyjew, odwracał uwagę Udałowa, pokazując mu okolice i chwając się sukcesami.

— Proszę popatrzeć w lewo — mówił. — Widzicie bogate kołchozowe pola, obsiane zbożami i warzywami. Mimo niesprzyjających warunków klimatycznych zamierzamy w tym roku przekroczyć plany w produkcji kukurydzy na kiszonki, jak również w produkcji bydła rogatego. Niektórzy poszczególni nasi wrogowie powątpiewają w możliwości naszego powiatu w dziedzinie roślin motylkowych. Ale proszę popatrzeć w prawo...

— Sz-szsz — odezwał się mężczyzna w szarym. — Na prawo patrzeć nie wolno.

Udałow wiedział, że w prawo patrzeć wolno, ponieważ tam właśnie trwała budowa chlewni, a budowę realizowało przedsiębiorstwo Udałowa. Ale mężczyzna w szarej marynarce pewnie nie wiedział, że to budynek chlewni, dlatego na wszelki wypadek zakazał patrzenia. Można go było zrozumieć. Dziś to chlewnia, a jutro — obiekt.

— Można — powiedział Udałow. — To chlewnia.

W tym samym momencie mężczyzna w szarym wolną ręką uprzejmie, ale energicznie, zamknął mu usta.

Tak jechali sobie dalej. Człowiek w szarym piłował rzemyk i, kiedy czuł się zmęczony, przeszukiwał kieszenie Udałowa od swojej strony. Batyjew wyjął z kieszeni gazetę i zaczął Udałowowi czytać artykuł o sytuacji międzynarodowej, wolno, ale dokładnie artykułując poszczególne długie i trudne słowa. Twarda dłoń mężczyzny w szarym na wszelki wypadek spoczywała na ustach Udałowa, dlatego ten nie mógł powiedzieć Batyjewowi, że już czytał ten artykuł i, choć jest bardzo wdzięczny za trud, wolałby posłuchać o sporcie.

— Dokąd z nim? — zapytał Batyjew, kiedy samochód wjechał do miasta. — Do was?

— W żadnym wypadku — powiedział mężczyzna w szarym. — Wszystko odbędzie się oficjalnie. Może będziemy go wymieniali na naszych. Może z Moskwy zadzwonią. Na razie damy go do ciebie.

— Do mnie nie można — sprzeciwił się Batyjew. — Ja jestem z nomenklatury, nie będzie się dobrze kojarzyło.

— No to do towarzysza Karasia — nie sprzeczał się mężczyzna w szarej marynarce.

Z nim też nikt się nie sprzeczał.

Udałowa zaprowadzono do gabinetu Karasia. Korytarz przemierzyli szybko, przodem pomykał Karaś, za nim Udałow, z tyłu człowiek w szarym, który nie ustawał w usiłowaniach przepiłowania rzemyka, a już całkiem z tyłu szedł milicjant Sielkin, którego zgarnęli z placu.



## Akt

Sekretarka Karasia, Maria Pachomowna, stara przyjaciółka żony Udałowa, Ksenii, zobaczyła ten pochód, ale nie dotarło do niej jego prawdziwe znaczenie.

— Dzień dobry, Korneliuszu Iwanowiczu — powiedziała. — Nazbieraliście grzybów?

Wiadro z grzybami zostało w samochodzie pod strażą szofera, ale Udałow odpowiedział kobiecie otwarcie i szczerze, jak odpowiadał zawsze i wszystkim.

— Jakie tam grzyby! — powiedział. — Sanie surojadki. Co prawda, trzy prawdziwki były.

Zapomniał, że prawdziwek był tylko jeden, i to robaczywy. Człowiek w szarym popchnął Udałowa w plecy, a milicjant otrzymał polecenie pozostania przy Marii Pachomownie. Już znikając za drzwiami mężczyzna ów odwrócił się i oświadczył:

— Taki z niego Udałow, jak z ciebie kura. Jasne?

— Nie — odparła sekretarka.

— Potem porozmawiamy — obiecał człowiek w szarym, — Rozumiemy się?

— Nie! — zakrzyknęła biedna kobieta. — Korneliuszu Iwanowiczu, co się dzieje?

Karaś zasyczał niczym zmija.

Trzasnęły obite czarną skórą drzwi, w gabinecie Karasia było ich teraz trzech.

— No więc tak — powiedział człowiek w szarym, podchodząc bliżej do Karasia i mówiąc szeptem, żeby Udałow nie słyszał. — Nie wiadomo, może on zna rosyjski. Dlatego konieczne jest zachowanie ostrożności. . .

— Znam rosyjski, znam — wtrącił się Udałow, który wszystko słyszał.

— Proszę nie przerywać — powiedział doń mężczyzna w szarym i znowu zaczął szeptać Karasiowi na ucho: — Uczą ich naszego języka. Więc w jego obecności ani mru-mru. Już poleciłem przeszukać jego statek. Sądzę, że go strąciły nasze znakomite sokoły z gospodarstwa Pantielejenki. A teraz wy będziecie odwracać jego uwagę. Porozmawiajcie z nim, a ja pójdę się skomunikować.

Szary człowiek wyparował, jakby w ogóle nie istniał. Udałow mógłby przysiąc, że nie otwierał drzwi i do okna się nie zbliżał. Siemion Karaś był nieco

skonsternowany obecnością Udałowa i zaczął wertować rozmówki rosyjsko-angielskie, wyszukując jakiś potrzebny mu zwrot.

— Siemion — powiedział Udałow, kiedy zostali sami — czy ty mnie nie poznajesz?

Karaś akurat znalazł potrzebne zdanie i wypowiedział je:

— Du ju lajk ałer kantry?

— Ja tego nie rozumiem — powiedział Udałow. — Zapomniałem. Kiedyś wcześniej znałem obce języki, ale teraz zapomniałem.

Karaś Udałowa zrozumiał. I przestraszył się. Był to niewielkiego wzrostu mężczyzna, ale w pasie znaczny i jakoś przypominający samego Udałowa.

— Czy podoba się wam pobyt w naszym kraju?

— Jeśli ty, Siemionie — powiedział przepełniony udręką Udałow — ciągle jeszcze myślisz, że jestem Chińczykiem, to się mylisz, ponieważ jestem Rosjaninem i mieszkam na Puszkina szesnaście. A skoro moje słowo mniej znaczy, niż słowa naszego towarzysza, z którym się wcześniej niemal nie widywałem, to czuję się pokrzywdzony.

— Przenieśli go do nas z województwa. — Karaś zamilkł, wziął się w garść, przypomniał sobie, że nie ma prawa zagranicznemu kosmonaucie zdradzać wewnętrznych tajemnic i ponownie chwycił za rozmówki.

— Łot is jor nejn? — zapytał i na wszelki wypadek przetłumaczył: — Jak się nazywacie?

— Udałow się nazywam — odpowiedział zmęczony tym wszystkim Korneiliusz Iwanowicz.

— Wiem — powiedział Karaś z pewnym rozdrażnieniem, z takim, jakie odczuwa przełożony, zetknięwszy się z tępotą podwładnego. — Wiemy. Ale tak naprawdę, to jak?

— Nie musisz mnie tu przesłuchiwać — sprzeciwił się Udałow. — Nie widzę ku temu żadnych podstaw. Widziałeś moje wiadro? Z grzybami? No więc właśnie byłem na grzybach. Zwalił się z nieba statek. Wszedłem do środka, czapkę przy mierzyłem, a wy akurat przyjechaliście. No to na czym polega moja wina przed narodem i rządem?

— A gdzie on jest? — surowym tonem zapytał Karaś.

— Kto?

— Ten, co najpierw przyleciał?

— Ci, co przylecieli, z trzema nogami? Do lasu uciekli!

— Dlaczego uciekli do lasu? Wystraszyli się ciebie?

— Może, ale raczej nie. Ale jednak ty, Siemionie, lepiej prawdziwych przybyszy byś chwycił, a nie uczciwego pracownika gospodarki miejskiej brał do niewoli i woził pod konwojem.

— Rozumiesz, Udałow, to są takie sprawy... — odpowiedział Karaś, jakby przyznając tym samym, że Udałow również ma prawo do istnienia. — Nie masz

pojęcia, jak sprytni są nasi ideologiczni przeciwnicy. Co to dla nich podszyć się pod mojego znajomego sąsiada Udałowa?

— A gdzie w takim razie jest Udałow?

— Coś czepił — gdzie i gdzie! Nie ma Udałowa! Zakopali. Może sam go zakopałeś!

— To znaczy — sam siebie zakopywałem?

— Wiesz co? Przestańmy udawać, dobrze?

— Ja ci to jeszcze przypomnę. Prosiłeś mnie wczoraj, żebym ci pożyczył kownekę? Teraz za cholerę ci nie dam.

— Ty mnie nie strasz. Twoja wdowa mi da.

W tym momencie za drzwiami rozległ się straszny huk i trzask łamanych mebli.

— Nie ruszać się! — pisnął Karaś blokując brzuszyskiem Udałowa przy biurku i chwytając do ręki masywną popielnicę.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wpadła Ksenia Udałowa z parującym garnkiem w jednej ręce i dowodem osobistym w drugiej. Wiadomość o tym, że Udałowa aresztowano zastała ją w kuchni, więc, nie wypuszczając garnka z rąk, chwyciła dowód Korneliusza, włożyła do niego zaświadczenie z USC i popędziła do gmachu prezydium rady miejskiej.

— Za co go aresztujecie? — krzyknęła od progu. — Nic nie zrobił, a jeśli i zrobił, to z nieświadomości. Wypuście go, błagam was i zaklinam ostatnimi słowami!

Karaś zgłupiał, zaczął się cofać, ale w tym momencie przez otwarte drzwi wszedł mężczyzna w szarej marynarce i powstrzymał Ksenię następująco:

— Obywatelko Udałowa, możecie stwierdzić, że ten zagraniczny agent kosmiczny był wcześniej waszym mężem?

— Jak to tak? — zdziwiła się Ksenia. — Oto jego dowód.

— Nie mówię o dowodzie. Czy jesteście pewna, że ten człowiek przez pewien czas zamieszkiwał w waszej rodzinie pod postacią waszego męża? To może mieć wielkie znaczenie dla sądu.

— Nie odpowiadaj mu, Ksiusza — powiedział Udałow uwalniając się od chwytu Karasia. — On cię bierze na prowokację.

— Przecież on ma w dowodzie zameldowanie. Od lat. Dziecko z nim mamy — powiedziała Ksenia.

— A jakie ma znaki szczególne? — zainteresował się człowiek w szarym.

— Jakie? No, łusy jest, siorbie jak je kapuśniak. . .

— To nie są znaki szczególne.

— A jakie są znaki?

— Pieprzyki, myszki, blizny i plamy na skórze. Gdzie, kto, kiedy?

— Myszki? — zdziwiła się Ksenia. — Myszki są. . .

— Ksiusza! — krzyknął ostrzegawczo Udałow.

— Przypomniałam sobie! Oczywiście, że myszka jest, tylko miejsce niezbyt piękne.

— Ksiusza!

— Możecie mi to powiedzieć w tajemnicy — powiedział mężczyzna w szarej marynarce. — Na ucho. O tu.

— Można, Korneliuszu?

— Mów — machnął ręką Udałow. — Wszystko mu powiedz. Tylko niech się ten koszmar wreszcie skończy.

Wszedł milicjant ze skrzynką, z której sterczały różnokolorowe pręciki i zwiślały włókna przewodów.

— Z waszego polecenia — zameldował — wyjęto wszystkie sekretne przyrządy nawigacyjne z obiektu, który naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Przyrządy zostały wyjęte za pomocą młotka i śrubokrętu.

Milicjant nazywał się Pilipienko, mieszkał w zaułku Krasnoarmiejskim, zaraz za rogiem ulicy Puszkina, i, rzecz jasna, znał Udałowa, dlatego więc przywitał się i powiedział, stawiając skrzynkę na biurko przed Karasiem:

— Dobrze, Korneliuszu, że cię spotkałem!

— A co w tym dobrego. . .

— Nie żartuję. Ja mam sprawę. Obiecałeś mi podzielić się w temacie doświadczenia w pracy w drużynie ormowców z młodzieżą z technikum rzecznego. I co? Żadnej świadomości w tobie nie ma!

— No nie wiem. . . — westchnął Udałow, rzuciwszy niepewne spojrzenie na typa w szarej marynarce.

— Ja rozumiem, że jesteś zajęty — powiedział Pilipienko, niewłaściwie interpretując wymijającą odpowiedź sąsiada. — Wszyscy jesteśmy zajęci.

W tym momencie człowiekowi w szarym znudziło się czekać, aż przyjaciele się nagadają i rzucił z rozdrażnieniem:

— Jak jesteś zajęty, to proszę iść dalej i nie przeszkadzać w pracy.

— A ty co sobie tak ze mną pozwalasz? — zdziwił się milicjant, będący człowiekiem niezależnym i nawet, rzec można, odważnym. W ubiegłym roku sam rozbroił dwóch przestępców, którzy przyjechali do Guslaru z Lebediani.

— A tak sobie pozwalam. Wyjść mi stąd! Milicjant wyszedł oburzony. Całe jego plecy wyrażały oburzenie.

Przekonawszy się, że w pokoju nie było już innych świadków, mężczyzna w szarym gestem przywołał do siebie Ksenię i szepnął do niej:

— Proszę mówić mi na ucho.

— Ale co mam mówić? — zawstydzona się Ksenia.

— Proszę meldować szeptem o miejscu, kształcie i wymiarze myszki na waszym małżonku.

Ksenia zarumieniła się mocno i powiedziała:

— Na tym. . .

— Na czym tym?  
— Na literę p...  
— No mów, Ksiusza, mów! — podnosił ją na duchu Udałow.  
— Stop, stop, stop, stop! — krzyknął człowiek w szarym. — Bez podpowie-  
dzi! Jak będziecie podpowiadać to usunę was z boiska!

Karaś nie wytrzymał i roześmiał się — sytuacja ta wydała mu się nader śmieszna.

— Zatrzymany! — zwrócił się, w szarej marynarce do Udałowa. — Proszę za mną.

Szerokim gestem otworzył drzwi pękatej szary, w której przechowywane były proporce, odznaki, pamiątkowe medale i prace klasyków marksizmu.

— Wchodzimy za drzwi, żeby nikt nie widział! Udałow wszedł.

— Teraz proszę się rozebrać! — polecił człowiek w szarym.

Udałow najpierw chciał się postawić, ale rozmyślił się — odgadnięta myszka może go uratować. Wszedł za drzwi, rozpiął pas i opuścił spodnie.

Mężczyzna w szarym wziął Ksenię za rękę, doprowadził do drzwi szafy i powiedział:

— Proszę pokazać.

Karaś wychylił się ponad górnej krawędzi szafy, ale Ksenia zamachnęła się nań garnkiem, z którego wylała się już niemal cała zupa, żeby nie podglądał.

— Niech zdejmie spodenki — powiedziała. — Zdejmuj, Korniusza, nie wstydz się. Tu sami swoi.

Korneliusz opuścił spodenki i mężczyzna w szarej marynarce pochylił się, żeby zobaczyć myszkę we wskazanym miejscu.

Myszki nie było.

— Wczoraj jeszcze była — zdziwiła się Ksenia.

— Jasne — powiedział mężczyzna w szarej marynarce. — Proszę się ubrać. Tego właśnie oczekiwaliśmy. Wasi ludzie zawsze wpadają na drobiazgach. Nie pomyślał pewnie twój szef, że ściągniemy z ciebie spodnie!

— Poczekajcie — powiedział Udałow ciągle jeszcze stojąc w postawie pingwina, przyglądającego się swojemu dziecięciu, które schowało się między jego łapkami, by ratować się przed dojmującym mrozem Antarktydy. — Powinna tam być.

Człowiek w szarej marynarce prześwidrował na wylot Ksenię swym przenikliwym spojrzeniem i rzekł głosem przesyconym hipnotyzującą mocą:

— Wy, obywatelko, u swojego męża widziałyście myszkę. A ten myszki nie ma. I przy okazji — czy widziałyście u swego męża kiedykolwiek taką czapkę z takim herbem?

I wskazał na niebieski kaszkiet z rysunkiem komety, który Korneliusz zapomniał zdjąć w pomieszczeniu, chociaż był człowiekiem dobrze wychowanym.

Wtedy Ksenia zalała się gorzkimi łzami i powiedziała:

— Ale on jest taki podobny!  
— Kseniu!  
— Nie zbliżaj się do niej! Jeśli wy — to wy, to gdzie jest myszka?  
— Ksiusza, może nie tam popatrzyłaś? — błagał Udałow. — Może jej nie widać w tym miejscu?

Karaś mocno chwycił Udałowa za rękę, by ten nie zastosował sekretnych chwytów ju-jitsu.

— Dziękujemy wam, jesteście naszym człowiekiem — powiedział mężczyzna w szarym mocno ściskając Ksenii dłoń i wypychając ją do sekretariatu.

— Może źle popatrzyłam — powiedziała Ksenia. — Może pomyliłam strony ciała?

— Wszystko jasne. Proszę nie poddawać się zastraszaniu. On nie ma myszki z żadnej strony.

I zaczął popychać Ksenię w kierunku drzwi.

— Kseniu, pilnuj dziecka! — krzyknął Udałow za żoną. Nie miał jej niczego za złe.

Ksenia płakała. Mężczyźni w szarym udało się wypchnąć ją za drzwi, gdzie przyłączyła się do milicjanta i Marii Pachomowny. Oboje wyrazili swoje współczucie, Maria Pachomowna powiedziała:

— A jak się zamaskował, ścierwo! Milicjant Pilipienko powiedział:

— Ciekawe, co oni zrobili z prawdziwym Udałowem? Może go wrzucili pod pociąg? Zazwyczaj tak robią, pod pociąg rzucają. . . A ja mu powiedziałem o ormowcach. . . Nie trzeba było odsłaniać wszystkich naszych kart.

Ksenia cicho szlochała.

W gabinecie Karasia mężczyzna w szarym wyjął z kieszeni motek cienkiej i mocnej linki nylonowej; Udałow zdziwił się, jak wiele rzeczy mieści się w kieszeniach tego człowieka, a potem pomyślał nie wiadomo dlaczego, że zaraz go tu powieszają, i nawet już rzucił spojrzenie skazańca na żyrandol dyndający z haka wystającego z wysokiego sufitu, chociaż, oczywiście, nikt nie zamierzał go wieszać.

— Sądzę, że na wszelki i niespodziewany wypadek należy go przywiązać do krzesła — powiedział mężczyzna w szarej marynarce. — Jeśli nam umknie, to nam nie wybaczą.

— Oczywiście, towarzyszu — zgodził się Karaś. — Ja go będę trzymał. A powiadomiliście tamtych?

— Już startują — powiedział mężczyzna w szarej marynarce rozwijając sznurki. — Czekamy na nich lada moment. Nasi ludzie dyżurują na lotnisku, dlatego wskazany jest pośpiech. Między nami mówiąc. . .

Karaś drgnął i wyraziście wskazał oczami Udałowa.

— To nic — powiedział mężczyzna w szarym. — Sprawdzalem, on rosyjski zna kiepsko. Wymienimy go na naszego człowieka. Moze nawet umowa juz zostala podpisana.

— A z kim bedziecie wymieniać? — zapytal Udałow. Mężczyzna wyraził pokręcił palcem przy skroni.

— Dobra tam, wymieniajcie z kim chcecie — machnął ręką Udałow. — Byle szybciej, bo już mam stres.

— Dam ja ci stres! — zagroził mężczyzna w szarym, przywiązując Udałowa do krzesła.

Karaś przesunął po biurku skrzynkę z przyrządami, wyłamanymi ze statku kosmicznego i wyjął kartkę papieru w linie.

— Będę notował — powiedział.

— Słusznie. Powinniście u nas pracować — pochwalił go mężczyzna w szarej marynarce.

— Dziękuję — powiedział dumny Karaś, odkręcając kołpaczek pióra. — Na to nigdy nie jest za późno.

Mężczyzna w szarym wyjął ze skrzynki długi cylinder z dwoma szyszkami na końcach i urwanymi drucikami zwisającymi z boków.

— Zaczniemy, na przykład, od tego — oświadczył. — Co to jest? Do czego się stosuje? Do zdjęć?

— Słowo honoru, że nie wiem — powiedział Udałow. — A skąd to wyłamałście? Możecie mieć nieprzyjemności.

— Udałow — powiedział z wyrzutem Karaś — jak ci nie wstyd grozić towarzyszowi majorowi?

— A ja ci nie jestem Udałow — powiedział Udałow, którego cierpliwość już się wyczerpała. W ciągu jakichś dwu godzin odebrano mu jego dobre imię, narodowość, żonę, syna, drużynę ormowców, a zostawiono w zamian tylko cudzy niebieski kaszkiet. — Jestem nieznannej narodowości pogwałcicielem przestrzeni powietrznej.

— Zapisuj, Karaś! — powiedział mężczyzna w szarym, nie kryjąc triumfu w głosie. — Przyznał się, że przeniknął do naszej przestrzeni powietrznej bezprawnie i w celu... W jakim celu?

— Jaki dla was lepszy, w takim przeniknąłem.

— Przeniknął w celu wysadzenia w powietrze obiektów w okolicy miasta Wielki Guslar.

— Ale on tego nie powiedział — usiłował zachować przyzwoitość Karaś.

— Zaraz powie — powiedział mężczyzna w szarym.

— Powiem — zgodził się Udałow.

Pęta wżynały mu się w ręce i męczyło go pragnienie.

— No to notuj, Karaś. Już się do wszystkiego przyznał.

Karaś zaczął zapisywać dużymi literami Udałowskie przyznanie w temacie szkodliwego trybu działania, a człowiek w szarej marynarce podpowiadał mu szczegóły. Potem odwrócił się do Udałowa, który smętnie przyglądał się gruchającym na parapecie gołębiom:

— Uprzedzam, że będziesz musiał podpisać się na dole każdej strony.

— Przecież mam związane ręce.

W tym momencie ktoś energicznie zapukał do drzwi.

— Jesteśmy zajęci — obruszył się Karaś. Mężczyzna w szarym rzucił:

— Chwila. Zaraz im odpowiem.

Ze swojej bezdennej kieszeni wydobyl pistolet maszynowy i odbezpieczył go. Na palcach podszedł do drzwi. Udałow z Karasiem znieruchomieli. Karaś przy tym pochylil się nad biurkiem, a Udałow wcisnął się w krzesło. Człowiek w szarym gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Podniósł pistolet maszynowy tak, że ten celował prosto w pierś każdemu, kto usiłowałby wejść do gabinetu.

— Ręce! — rzucił krótki rozkaz.

W drzwiach gabinetu stał sam towarzysz Batyjew. Zbladł i wolno uniósl ręce.

W tym samym momencie dwaj nieznani Udałowowi ludzie wyskoczyli spod pach towarzysza Batyjewa, wpadli do gabinetu i wytręcili broń z rąk człowieka w szarym. Automat podskoczył w górę i wypuścił krótką serię. Posypał się tynk.

Jeden z nowo przybyłych uderzył mężczyznę w szarej marynarce kantem dłoni w szyję, i, póki ten wolno, jak na przygodowym filmie, walił się na dywan wykonany maszynowo, drugi z nieznajomych gości krzyknął:

— Przecież to Matwiej, z drugiego wydziału!

— Przesadził major — powiedział pierwszy nieznajomy z wyraźnym współczuciem i, wyrzawszy do sekretariatu, polecił Pilipience wynieść i położyć gdzieś walające się bez przytomności ciało towarzysza Matwieja.

Dopiero potem, kiedy towarzysz Batyjew domyślił się, że może opuścić ręce, towarzysz Karaś, ostrożnie i delikatnie podtrzymując go pod łokieć, doprowadził do swego biurka, a Maria Pachomowna szybko i wymiotła z podłogi tynk, pociski i łuski, przypominano sobie o Udałowie.

— To on? — zapytał Batyjew, jakby po raz pierwszy w życiu widział Udałowa.

— To jest...

Dalej Karaś opowiadał szeptem i Udałow, który był bardzo zadowolony, że mimo wszystko nie został zastrzelony, nie usiłował podsłuchiwać kierownictwa. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, to może by się i wykłócał i udowadniał, może nawet przypomniałby Batyjewowi, jak trzy dni temu groził on, że zdejmie Udałowa z zajmowanego stanowiska za to, że jego przedsiębiorstwo nie wykonało remontu ośrodka wypoczynkowego. Ale w obecnym rzeczy położeniu — milczał. Myślał tylko o tym, że sądząc z aktualnej sytuacji międzynarodowej, lepiej jeśli go uznają za amerykańskiego kosmonautę, niż za chińskiego czy izraelskiego. Przecież jeśli uznają za amerykańskiego, to przesłuchają, pogróżą, potrzymają



w więzieniu, i to w Moskwie, bo przecież nie na prowincji, i będzie trzeba się przyznać, kto i po co go tu przysłał. Potem pewnie współpraca międzynarodowa weźmie górę

i odeślą Udałowa z powrotem do Stanów Zjednoczonych Ameryki w trybie wymiany. Tam on sobie pożyje, póki się wszystko nie wyjaśni, wróci do kraju, obkupiony w ciuchy, może nawet kupi co nieco dla żony i syna. Ale jeśli przyjdzie się przyznać, że jest Chińczykiem, to droga twa, Korneliuszu, prowadzi prosto do miasta Pekin, gdzie połamią ci jak psu nogi i ręce i poślą na wieś rozrzucić na polach nawóz w celach reedukacji. No a gdyby cię uznali za Żyda? Wyślą do ich ojczyzny. A po drodze obowiązkowo dotrą do Udałowa palestyńscy ekstremiści i wysadzą go w powietrze za pomocą garści plastiku. I słusznie. A jeśli nie wysadzą — to jeszcze gorzej, wpakują go do izraelskiej armii, obrzezają go i przysypie jego kości piasek surowej pustyni Synaj... Łza popłynęła po policzku Udałowa. A za przymkniętymi drzwiami ciągle płakała, nie mogąc się powstrzymać Ksenia, która przypomniła sobie, że pomyliła się z tą myszką. Tę myszkę miał nie Udałow, a jej dawny przyjaciel z czasów młodości, o którym Udałow nie wiedział nawet, a całe to zamieszanie i napięcie jakby przesłoniło mgłą oczy Ksenii, i w wyniku tego pomyliła lokalizację owej myszki. Teraz wyraźnie pamiętała, gdzie jest prawdziwa myszka, ta udałowska, ale ten człowiek, co zadawał jej pytania, dopiero co został wyniesiony z gabinetu w takim stanie, że już nic go nie interesowało. Ksenia nie wiedziała więc od kogo żądać, by Udałow znowu ściągnął spodnie.

— Rozwiążcie go — powiedział towarzysz Batyjew grzmiącym głosem.

Słowa te dotarły do zamyślonego Udałowa nie od razu. Dopiero, kiedy jeden z nieznanym zaczął rozplątywać linkę na jego ścierpniętych rękach, pojął że nadeszło oswobodzenie.

Sam towarzysz Batyjew osobiście pomagał odplątywać Udałowa, a Siemion Karaś drżącą z emocji ręką nalał mu z karafki wody do kryształowej szklanki i podał ją Udałowowi, temu samemu Udałowowi, którego jeszcze chwilę temu nie uważał za człowieka. Wtedy Korneliusz zrozumiał, że jednak zdecydowano się uznać go za obywatela amerykańskiego.

Towarzysz Batyjew powiedział:

— Mam nadzieję, że nie macie pretensji do naszych współpracowników, którzy wykazali się czujnością i sądzę, że kiedy wasi towarzysze po raz pierwszy spotkają naszych wysłanników, to też wykażą się czujnością. Czy w tym jest coś dziwnego?

— Nie, nie ma w tym nic dziwnego.

— Proszę sobie wyobrazić... — Towarzysz Batyjew był naczelnikiem nowoczesnym, miał znaczek ukończonego uniwersytetu w klapie marynarki i dobre okulary przywiezione z delegacji na kongres entomologów w Hiszpanii. Występował tam w charakterze znakomitego specjalisty od kołatka domowego i przyglądał

się wyśmienitym pomnikom z dziedziny architektury oraz ciężkiej doli ludności miejscowej. — Proszę sobie wyobrazić, że przychodzicie do swojego lasu a tam spada nasz statek. Bez żadnych znaków rozpoznawczych. Przecież też możecie uznać, że statek został wysłany w określonym celu. . .

Tu towarzysz Batyjew ostrożnie puścił oko, ponieważ chciał nawiązać cieplejsze stosunki z tym cholernym przybyszem, które to stosunki tak fatalnie popsuli nadgorliwi podwładni.

Udałow nie wiedział — bo i skąd on, związany, miał wiedzieć — że po sygnale towarzysza Matwieja w szarej marynarce, w województwie zaczęła się panika, która dotarła przewodami do samej Moskwy. Stamtąd też nadszedł komunikat, że według wszelkich danych statek, który wylądował pod Wielkim Guslarem, nie był ani amerykańskim, ani chińskim, ani żadnym innym, a najprawdziwszym międzygwiazdowym statkiem, posłańcem dalekich gwiazdnych światów, na które wskazywał Ciołkowski i kontaktu z którymi od dawna oczekiwano w określonych kołach. Więcej nawet, istniała opinia, że nieziemscy przybysze mogą najpierw wylądować w celu kontaktu w jakimś burżuazyjnym, imperialistycznym, albo przynajmniej w nie przyłączonym państwie. Na to kompetentni ludzie gwałtownie oponowali, twierdząc, że nieziemscy przybysze, będąc wiodącymi w dziedzinie ideologii, nigdy nie pozwolą sobie pójść na kontakt z zacofanymi w dziedzinie stosunków społecznych formacjami, chociaż mogą być wprowadzani w błąd. I dlatego, kiedy z Moskwy zadzwoniono do towarzysza Batyjewa i powiedziano mu, że odrzutowiec z odpowiednimi towarzyszami na pokładzie wystartuje w ciągu najbliższych dziesięciu minut, a kolejne samoloty przylecą zaraz za nim, Batyjew zrozumiał — albo przybysz, który przyleciał do powierzonego mu powiatu, będzie z przyjęcia zadowolony, albo on sam przestanie być z życia zadowolony w ogóle.

I od razu stało się jasne, że póki Batyjew otrzymywał z Moskwy napęd, za przybysza zabrał się major z departamentu miejskiego i już nawet zdążył przywiązać przybysza do krzesła sznurem. Ale najgorsze było to, że z jego polecenia ze statku wyrwano wszystkie cenne przyrządy i wysłano do budynku prezydium miejskiego w celu wyjaśnienia ich szpiegowskiego sedna.

Lada moment mogli przylecieć akademicy, generałowie i szefowie organów rządowych. A przybysz, bardzo podobny do dyrektora firmy budowlanej Udałowa, siedzi przywiązany do krzesła i poddawany jest haniebnemu przesłuchaniu.

I mimo że przybysz, rozcierając nadwężone sznurem ręce i otrząsając się z tynku, opadłego po nieudanej strzelaninie w gabinecie Karasia, udawał, że nie gniewa się, w Batyjewie z każdą sekundą wzbierał coraz większy gniew na tego idiotę Karasia, nie mówiąc już o KGB jako instytucji. Ale KGB nic nie mógł zrobić, oni zawsze wykonują swoje obowiązki. Ale Karaś nie, Karaś odpowie. Bez taryfy ulgowej.

— Co ty mu podsuwasz? Co podsuwasz naszemu drogiemu niezemskiemu gościowi?! — zakrzyknął Batyjew, odsuwając na bok grubą rękę Karasia ze szklanką wody.

— Ale... ona jest przegotowana — zdołał tylko wykrztusić Karaś.

— Co, nie masz reprezentacyjnej? Może chcesz powiedzieć, że w dolnej szufladzie biurka nie ma butelki koniaku „Dwin”?

— „Dwina” nie mam — zaczął mamrotać Karaś, widząc, że nadeszła jego ostatnia godzina. — Jest „Martel”, na konferencji wojewódzkiej rozdawali.

— No to na co czekasz?!

Karaś wygiął się i wyjął z dolnej szuflady biurka butelkę francuskiego koniaku wysokiej klasy i zaczął zębami wygryzać korek. Jeden z nieznanym eleganckim, wyrobionym ruchem wyjął butelkę z ust Karasia, skręcił korek, drugi nieznanym podsunął szklankę, a ta została migiem napełniona.

Towarzysz Batyjew własnoręcznie podał ją Udałowowi.

— Proszę zażyć — powiedział. — To nigdy nie zaszkodzi po podróży.

— Ależ co wy — powiedział Udałow. — W biały dzień? W godzinach pracy?

Karaś, któremu nikt niczego nie wyjaśnił, ciągle jeszcze brał Udałowa za amerykańsko-chińskiego kosmicznego szpiega i uważał, że zachowanie towarzysza Batyjewa można wytłumaczyć tylko tak, że w ręce wrogów trafił jakiś nasz kosmonauta i trzeba zrobić wszystko, by go możliwie szybko wymienić, póki czegoś tam nie nagadał. A może, myślał Karaś, dokonało się jakieś ocieplenie w stosunkach międzynarodowych i tego szpiega zrobią wspólnym międzynarodowym bohaterem. Bo myśli o tym, że istnieje życie na innych globach Sienią Karaś w ogóle nie dopuszczał, ponieważ nie mógł nawet się pogodzić z tym, że Ziemia jest okrągła. Karaś wiedział wszystko, czytał gazety i tak dalej, świętował wraz z całym narodem Dzień Kosmonautyki, ale w duchu uważał, że Ziemia jest płaska, a cała reszta jest podyktowana wymaganiami bieżącej polityki.

— Proszę nie odmawiać — nalegał towarzysz Batyjew, podnosząc szklankę do ust Udałowa. Spoza szkieł importowanych okularów jego oczy błyszczały tak ostro, jak na kwartalnej naradzie poświęconej rolnictwu.

— Tylko jeśli do towarzystwa — powiedział w końcu Udałow. — Tylko z wami.

Głośne westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Batyjewa. Przybysz nie żywi urazy!

Batyjew wykonał ruch palcami i nieznanym natychmiast nalał do drugiej szklanki.

Karaś zamierzał nalać z butelki dla siebie, ale nieznanym mu nie pozwolił. Nieznanym wiedział, kto ma rację, a kto jest winien.

— Zakąskę — polecił Batyjew.

Karaś zakrzętnął się, zadzwonił do Marii Pachomowny, a ta przyniosła na talerzyku z lodówki nieco podeschnięte kanapki z łososiem. Polecenie zostało wy-

konane migiem, ponieważ ucieszyła ją odmiana na lepsze losu Korneliusza Iwanowicza, którego z powodu ignorancji chcieli uznać za amerykańskiego szpiega. Kiedy przekazała talerzyk i wróciła do swojego sekretariatu, to powiedziała do Ksenii, siedzącej na skórzanej kanapie:

— Serce moje czuje, że wszystko się ułoży. Twojego, On sam częstuje ze szklanki.

— Żeby tylko wypuścił. Sama go poczęstuję w domu

— powiedziała Ksenia. — Gdzie to widziane, żeby prostego dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego głowa miasta ze szklanki poła? Nie skończy się to dobrze...

Nie mogła istnieć bardziej błędna opinia.

Batyjew wypił z Udałowem. Francuski koniak zaparł dech w piersiach, i, zanim sięgnęli po kanapki, musieli dobrą minutę chwytać powietrze ustami, niczym ryby wyjęte z wody. Ale jakoś przeszło. Obaj mieli wprawę i doświadczenie.

Batyjew pytająco zerknął na opróżnioną do połowy butelkę. Karaś powiedział: „Zdrowia życzę!”, drzwi otworzyły się po mocnym uderzeniu, tak że wszyscy podskoczyli, a nieznajomi sięgnęli do bioder — chcieli wyszarpnąć broń służbową, ale nie zdążyli, a do gabinetu wpadła Ksenia, która zrozumiała, że przy okazji wymiany najważniejszych w danej sytuacji osób jest szansa na odbicie męża.

— Ściągaj spodnie! — krzyknęła ciężko dysząc, z którego to powodu jej pełne jędrne piersi wściekle falowały.

— Pokażę.

Batyjew stał poruszając ustami, ale nie zdołał niczego powiedzieć. Udałow chciał natomiast powiedzieć, wyjaśnić, ale po wchłoniętym koniakku odczuł miejscowe znieczulenie języka. Karaś zamknął oczy. Nieznajomi zastanawiali się, strzelać czy nie strzelać, a Ksenia wrzasnęła ponownie:

— Ściągaj portki, mówię ci!

W tym momencie, w całkowitej ciszy, towarzysz Batyjew zaczął szybko manipulować przy sprzączce swego paska, nie odrywając spojrzenia od piersi Ksenii, a Udałow przestraszył się, że Batyjew może, korzystając ze swej służbowej pozycji, wykorzystać Ksenię, więc ruszył w jego stronę, by temu przeszkodzić. Batyjew odpychał go łokciem, powtarzając niemal bezgłośnie:

— Co za kobita! Co za kobita! Joanna d'Arc!

Jego spodnie opadły na podłogę, odsłaniając długie szare spodniki, a Udałow starał się tę opadającą część ubrania schwytać; tylko Ksenia nie straciła przytomności umysłu. Popatrzyła na męskie osobliwości Batyjewa i poleciła:

— Ubieraj się! Nie o ciebie mi chodzi. Chcę pokazać myszkę Udałowa. Przypomniałam sobie, ma ją na drugim pośladku i bliżej środka! Dawaj, Korniusza, pokaż temu capowi swój tyłek.

Batyjew stał, podtrzymując ledwie trzymające się spodnie, a Karasia, który już rozumiał co i jak, zaczął dławić nie dający się powstrzymać śmiech, ale i tak za-

czał tłumaczyć, że Ksenia, żona Udałowa z przedsiębiorstwa budowlanego uznała kosmicznego podróżnika za swego męża, co też usiłuje udowodnić za pomocą myszki, z którą przydarzyła jej się wpadka w obecności towarzysza majora.

Ksiusza zaś opamiętała się, odwróciła od Batyjewa i Korneliusz, uspokoivszy ją jak mógł, wyprowadził z gabinetu. Ksenia węszyła po drodze i już podejrzewała męża, że przygotował tę inscenizację tylko po to, by móc się napić z nowymi kolegami. Ale udało mu się przekonać żonę, by poczekała jeszcze trochę w sekretariacie Marii Pachomowny.

Kiedy Udałow wrócił do gabinetu, Batyjew już doprowadził się do porządku i, uśmiechając się nieśmiało, podał Udałowowi drugą szklanę koniaku. Karaś stał obok niego i spazmatycznie oblizywał wargi.

— Kobity mamy ogniste! — powiedział skonfundowany Batyjew. Znowu wpadka z tym kosmonautą — dlaczego nam, ludowi rosyjskiemu tak się nie wie-  
dzie w międzyplanetarnej współpracy!

— Zgadzam się — powiedział Udałow przyjmując szklanę.

— No to może za kobitki wypijemy — zaproponował Batyjew.

— Tak normalnie, to ona jest w porządku — powiedział Udałow. — Tylko teraz denerwuje się o mnie. Rozumiem ją. W końcu tyle razem przeżyliśmy!

— To się zdarza — zgodził się Batyjew. — Ogień kobitka!.. A może ożeń się z nią? Weselisko ci wyprawimy. Jak ona się nazywa, Siemionie?

— Ksenia — powiedział Karaś. — Ksenia Udałowa.

— No, i ożenimy cię z Ksenia. Znajdziesz swoje ludzkie szczęście!

Batyjewowi zamarzyło się, że kosmiczny wędrowiec wyrazi zgodę. To by była ta inicjatywa, którą zaaprobuje nawet Biuro Polityczne — taki krok w dziedzinie przyjaźni międzygalaktycznej! A jakby się jeszcze udało urządzić tak, żeby we-sele odbyło się u nich. . .

— Zaprosisz mnie na ślub — powiedział Batyjew. — Dobrze?

Udałow zgodził się. Ale powiedział:

— Tylko przed sąsiadami trochę będzie nieładnie.

— Z sąsiadami się pogada.

— A syn?

— Syna ja zaadoptuję — powiedział Batyjew. Udałow więcej argumentów nie miał, więc wypili po drugiej szklance.

Przyjemne ciepło rozlało się po zmęczonym wydarzeniami Udałowskim cie-le. W głowie zaszumiało, Udałow przestał czuć skrępowanie, a w zamian poczuł miłość nie tylko osobiście do towarzysza Batyjewa, ale i do innych, miłych i przy-jaznych ludzi.

— No jak tam u was? — zapytał Batyjew, siadając naprzeciwko Udałowa z kanapką w ręku. — Osiągnęliście duży postęp?

— Niezły, nie uskarżamy się.

Udałow rozumiał, rzecz jasna, że nadal go mają nie za tego, co trzeba, ale nie sprzeczał się, nie chciał urazić dobrego towarzysza Batyjewa. Za taki koniak można nawet zgrzeszyć obłudą. Bo jeszcze wezmą i znowu przywiążą?

— Długo do nas lecieliście?

— Jakby to powiedzieć. . .

— Rozumiem, rozumiem. . . — Batyjew obrzucił spojrzeniem obecnych w gabinecie, ale nikt nie ruszył do wyjścia.

— Sami tu wędrowaliście?

— Tu?

— Tu.

— Mnie tu towarzysze przywieźli. Towarzysz Karaś i jeszcze jeden, mówiono o nim major.

— Rozumiem. — W głosie Batyjewa rozbrzmiał metal. — Z tymi towarzyszami rozliczymy się później, nie martwcie się. Żaden system nie jest zabezpieczony przed błędami. U nas błędy zdarzają się znacznie rzadziej niż w systemie kapitalistycznej eksploatacji, ale, sami rozumiecie, ludzie są tylko ludźmi. . . I mimo że wykorzeniliśmy społeczne przyczyny pijaństwa, chuligaństwa i prostytucji, poszczególne przypadki jednakże mają miejsce pod wpływem wrażej propagandy.

— Prostytucja też istnieje? — zdziwił się Udałow. Wcześniej nie słyszał o tym w swoim ojczystym mieście, nikt mu o tym nie mówił.

— Nie — zaprzeczył towarzysz Batyjew. — Nie w bezpośrednim znaczeniu, a tylko w dużych miastach i w postaci wyjątków.

— Aha — powiedział Udałow.

— A wy dobrze władacie rosyjskim — powiedział Batyjew. — Niemal bez obcego akcentu. U siebie w ojczyźnie się uczyliście?

— W domu — zgodził się Udałow.

Ciekawe, pomyślał, jaki mam teraz akcent? Muszę uważać, żeby nie było jednak tego akcentu.

— Ten obywatel — Karaś postanowił przywrócić do siebie sympatię towarzysza Batyjewa, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić — dobrze również włada językiem angielskim. Rozmawialiśmy z nim.

— Co? — przestraszył się Batyjew. Rozumiał, że jeśli ta informacja przeniknie do zachodniej prasy, to tam rozgorzeje wściekła kampania, skierowana na dyskredytację naszego kraju. Najmici pióra natychmiast oświadczą, że międzyplanetarny przybysz leciał wcale nie do nas, a na Zachód, a nasze myśliwce po prostu go przechwyciły i skusiły do niewoli.

— Dobrze mówię — upierał się Karaś, który chciał błysnąć wykształceniem. — Proszę potwierdzić: rozmawialiśmy po angielsku?

— To on mówił — powiedział Udałow. — W jakim języku mówił do mnie, nie powiem, nie jestem pewien, to i nie będę człowieka oskarżał. Ale przez cały czas żądał, żebym mu jakieś dane przekazał. . .

Karaś zadygotał. Rozumiał już, że palnął coś głupiego. Zrozumieli to również nieznajomi, którzy przysunęli się doń z obu stron i przycisnęli mu do boków łokcie.

— Udałow! — jęknął błagalnie Karaś, zapomniawszy w okamgnieniu, kto przed nim stoi. — Powiedz, że na polecenie organów. Powiedz, że ja z rozmówek. Powiedz, że nie znam żadnych języków!

— To fakt — powiedział Udałow, będący człowiekiem dobrym i niepamiętliwym. — Podpuścili go i z rozmówek.

Ale było już za późno. Nieznajomi szybko wyprowadzili Karasia z jego gabinetu, a ten niemal nie sprzeciwił się, tylko krzyczał po drodze:

— Przecież jestem analfabeta! Przecież alfabetu nawet nie znam.

Po wyprowadzeniu Karasia Batyjew pochylił się do Udałowa i powiedział cicho:

— Nie żałujcie go. Zasłużył na to. Intrygant, rozumiecie?

— Wiem — powiedział Udałow. Wcześniej nie powiedziałby i to jeszcze na dodatek jemu samemu. Ale teraz był pijany i zdecydował, że miasto zyska na nieobecności Karasia, ludzie zażyją większej swobody, dobrobytu, średniej kadrze kierowniczej pozwoli się na większą inicjatywę. Naprawdę strasznie bezczelny z tego Karasia łapownik, a jaki mściwy. Wszystko to opowiedział towarzyszowi Batyjewowi. Batyjew ochoczo poparł propozycje Udałowa i nawet okazał zdziwienie i niemal zachwyt z powodu tego, że na odległych gwiazdach tak dobrze są poinformowani o życiu jego rodzinnego miasta.

— Mam nadzieję, że nie będziecie nas osądzali — kontynuował Batyjew. — Nasi towarzysze wyjęli z waszego statku pewne elementy. Mam nadzieję, że to nie były te koniecznie niezbędne, ale jednak — wyjęli. Chcieli lepiej poznać. Byli w błędzie. Mógłbym się od nich odciąć, ale uważam za swój obowiązek ponieść odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje w powierzonym mi fragmencie naszej ojczyzny.

— No to powiem wam — ufnie powiedział Udałow. — Skoro coś zostało wzięte, to należy to zwrócić. Bo głupio będzie...

— A jeśli tak ostrożnie zwrócimy, to nie będziecie się skarżyć?

— Niech będzie! — powiedział Udałow. — Mi tam zwisa. Z tego powodu Batyjew bardzo się ucieszył, a potem zaproponował, żeby jeszcze wypić, co też zostało wykonane przy pomocy dwóch nieznajomych, którzy potem wrócili do gabinetu i byli obecni, a nawet powiedzieli na głos: „Na zdrowie!”.

W tym momencie Udałow całkowicie już polubił towarzysza Batyjewa, a Batyjew bardzo polubił Udałowa. Tyle że Udałow lubił mając oczy szeroko otwarte. Wiedział, że Batyjew jest szefem miasta, ale dobry, serdeczny człowiek. To znaczy — lubił nie kogo innego, a właśnie Batyjewa. A Batyjew błędził. Gdyby uwierzył, że Udałow to Udałow, to przestałby go lubić. Ale na razie objęli się i śpiewali popularne piosenki. Jeśli Udałow w jakimś momencie zapominał słowa,

to Batyjew mu podpowiadał i nie dziwił się — nieziemiec ma prawo nie wiedzieć co to Kachowka i tajga, co to płynie pod skrzydłem samolotu, chociaż, rzecz jasna, hańba i wstyd, nie znać piosenki, której akcja odbywa się na zakurzonych ścieżkach odległych planet. Powiedział to otwarcie i szczerze Udałowowi, a ten nie obraził się, zrozumiał i przyjął do wiadomości. Nieznajomi też śpiewali, ale półgłosem, żeby nie zagłuszać szarży. A za drzwiami, w sekretariacie smuciła się Ksenia, odróżniała wysoki i jasny timbre głosu męża, ale nie wtrącała się, a tylko powtarzała: „Niech on mi tylko do domu wróci!”

Po zakończeniu piosenek mężczyźni objęli się i chcieli puścić się w tany, ale przez drzwi zajrzał milicjant Pilipienko i powiedział, że tam szarpie się jakiś z województwa. Jak z województwa, to został wpuszczony, ale okazało się, że nie jest Prawdziwym z Województwa, a jakimś zwykłym profesorem, specjalistą jakoby od nieziemskich cywilizacji. Nie rozpoznał w Udałowie przybysza, czym uraził i Batyjewa i Korneliusza, więc razem przegonili profesora z gabinetu, żeby nie popisywał się własną mizerną wiedzą i nie wprowadzał innych w błąd.

— Pomyśl tylko — powiedział potem Batyjew Udałowowi. — On cię wzięł za prostego człowieka. Przecież to, można powiedzieć, obraza.

— Ale ja nie jestem prostym człowiekiem — opowiedział Udałow. — Żaden człowiek nie jest prosty.

Batyjew objął Udałowa i pocałował go trzykrotnie w usta. Potem umówili się, że będą do siebie mówić na „ty”.

Wtedy pojawili się towarzysze z województwa.

Ci byli zupełnie trzeźwi i dlatego w pierwszym momencie nie odgadli, kto jest przybyszem, a kto swój. Wyjaśniono im, a jeden na to powiedział:

— Jest to tylko dowodem na to, że w całym wszechświecie działają te same, wspólne prawa.

— Nasze prawa — powiedział sekretarz komitetu wojewódzkiego Czingisow i też trzykrotnie pocałował Udałowa.

— Gratulujemy towarzyszowi szczęśliwego przybycia! — krzyknął Czingisow.

Obejmując się z Udałowem wychwycił aromat dobrego koniaku i kamień spadł mu z serca. Przecież przez całą drogę martwił się, czy przybysz jest zadowolony, czy jest mu tu dobrze.

— Ja z nim zużyłem buteleczkę — powiedział do niego Batyjew zniżając głos. — Proszę mi wybaczyć, ja tak normalnie to nie używam, tylko dla towarzystwa, albo dla dobra sprawy. . .

— Wiemy, jak nie używasz — powiedział doń sekretarz komitetu wojewódzkiego. Ale nie ze złością, a tak, po bratersku.

Batyjew pomyślał, że jeśli wszystko pójdzie dalej gładko, to otwiera się przed nim prosty szlak do województwa.



Sekretarz komitetu wojewódzkiego zrobił znak ręką, i jego sekretarze i nieznajomymi, którzy z nim przyjechali, wnieśli przywieziony na wszelki wypadek kufer z zapasami.

— Teraz — powiedział Czingisow — z okazji naszego spotkania, a także ponieważ jesteście zmęczeni po podróży, urządzimy małe przekąśmy.

— No, szykuje się impreza! — powiedział Udałow nieco zatrwożony.

Wszyscy się ucieszyli, nagrodzili pomysł oklaskami, a dziennikarz, który już sfotografował niedźwiadka Udałowa z Czingisowem, wyjął magnetofon i poprosił:

— Proszę o kilka tylko słów, pierwsze wrażenia.

— Prosimy o przemówienie — podtrzymał dziennikarza sekretarz. — Jeśli trzeba, to mój referent Rabinowicz zaraz ci przygotowuje.

— Słusznie — przyznał Udałow. — Niech przygotowuje. Jak impreza, to impreza.

Z biurka zostały zrzuczone telefon i zestaw biurowy z kałamarzem, pościelono czysty obrus, przyniesiono z bufetu komitetu powiatowego odpowiednie sztuce i chleb z masłem, a Udałow w tym czasie trochę się zdrzemnął siedząc na krześle, nasunawszy na czoło kaszkiet. Wszyscy rozmawiali szeptem, nie przerywając mu snu, a towarzysze Batyjew i Czingisow sprawdzili wszystko, co napisał referent Rabinowicz, coś tam wykreślili, a coś dodali. Rabinowicz usprawiedliwiał się:

— Ja — lamentował szeptem — wcześniej nie miałem doświadczenia w pisaniu wystąpień dla tak różniących się od nas towarzyszy. Ale opowieść towarzysza z miejscowego komitetu miejskiego i ogólne wrażenie przekonały mnie, że przybyły do nas z odległych gwiazd towarzyszy przesiąknięty jest naszym, postępowym sposobem myślenia. Uważam, że należy w miarę możliwości zapisać to przemówienie, może wezmą je do moskiewskiej telewizji, do programu pierwszego.

A Udałowowi śnił się sen, związany z jego dalszym wywyższeniem. We śnie dolatywał już do Moskwy, samolot z nim na pokładzie już wolno lądował na terminalu Szeremietjewa. Do samolotu rozciągnięto czerwony chodnik, a z budynku, udekorowanego czerwonymi sztandarami, wyszło kierownictwo partii i rządu i dostojnym krokiem szło na spotkanie pierwszego gościa z obcego systemu gwiazdowego, pierwszego, jaki przybył tu, by podzielić się wiedzą, doświadczeniem w budownictwie i w ogóle — okazać chęć przyjaźni i współpracy. I oto wszyscy witający zwolnili, a o krok przed nimi znalazł się Pierwszy Witający, i ten rozkładał ramiona do objęcia...

W tym momencie Udałow obudził się i zdziwił. Jak to się stało, że we śnie już nie uważał siebie za radzieckiego człowieka! Zrobiło mu się trochę wstyd, a nawet zaczął się bać, ale natychmiast pomyślał, że najpewniej to on już nie jest Udałowem, a najprawdziwszym kosmicznym przybyszem. Przecież nie bez powodu taki bliski człowiek, jak żona, nie znalazła myszki. I dlatego, kiedy Czingisow podał mu papierek z przemówieniem do ogłoszenia na uroczystym obiedzie, Udałow

strzelił okiem na zastawiony stół i zrozumiał, że musi odpracować nadchodzące przekąsiny i wygłosić przygotowane słowa.

W gabinecie stała już przygotowana kamera filmowa, płonęły jupitery i krzatali się filmowcy. Nieznana kobieta w białym fartuchu podeszła do Udałowa, przyczesała go odrobinę i przypudrowała na różowo policzki. Udałowa posadzono przy stole, a po obu jego stronach stanęli Czingisow i Batyjew.

Wzniesiono pierwszy toast za przyjaźń i rozkwit. Wzniesiono drugi, za przyjazd. Potem Udałow zobaczył sygnał i rozwinął kartkę, zapisaną przez towarzysza Rabinowicza z poprawkami innych towarzyszy.

— Drodzy towarzysze! — przeczytał Udałow. — Panie i panowie!

Udałow spenetrował spojrzeniem pomieszczenie, ale nie zauważył tu ani pań, ani panów, rzucił okiem na stół. Potem zrozumiał, że przekaz pójdzie na cały świat i dlatego należy myśleć perspektywicznie. Czytał więc dalej, nieco zwalniając na skomplikowanych słowach, sylabizując je.

— Proszę pozwolić mi powitać was na radzieckiej ziemi w przeddzień wielkiego święta — zakończenia kolejnego planu pięcioletniego. . .

Za drzwiami rozległ się jakiś hałas i krzątanie. Ktoś kogoś nie puszczał do drzwi. Nieznajomi, zdziwieni i oburzeni na próbę wtargnięcia, rzucili się do drzwi i, niestety, przewrócili kamerę.

— Ech — westchnął Rabinowicz — przyjdzie wam jeszcze raz całe przemówienie przeczytać.

— Widzę — powiedział Udałow.

Nieznajomi usiłowali powstrzymać straszliwy napór, piersiami napierali na drzwi, ale dziwna, nieziemska moc odepchnęła ich i wraz z wyrwanymi z zawiasów drzwiami wrzuciła do wnętrza gabinetu.

„No tak — pomyślał Udałow — jeszcze istnieją wrogowie naszej przyjaźni”.

W progu stały trzy dziwne istoty o zupełnie fantastycznych kształtach, w ubraniach, które nie wiadomo dlaczego przykrywały ich tylko do pasa, chociaż poniżej pasa nie miały niczego nieprzyzwoitego. Istoty stały na trzech nogach każda i machały mnóstwem rąk, chcąc zaprowadzić porządek. Najpierw nikt ich nie chciał słuchać i rozlegały się tylko poszczególne okrzyki: „To się nazywa chuli-gaństwo!”, ale potem cała trójka nowo przybyłych ryknęła tak głośno na obecnych, że zmusili wszystkich do wysłuchania ich, ponieważ ci, co nie mają do tego prawa, tak nie ryczą.

— Co to się tu wyrabia? — zakrzyknęło jedno z trzynogich monstrów, w którego mowie wyraźny był nieziemski akcent. — Ledwo zdążyliśmy odwrócić na chwilę głowy, a już nas obrabowano? My się będziemy skarżyć w ONZ, tak!

— Co się dzieje? — zapytał groźnie Czingisow Batyjewa. — To jest twoje gospodarstwo, ty wyjaśnij, co to za pretensje mają ci towarzysze.

— Tak, tak — powiedział Batyjew. — Chodźmy stąd, towarzysze, porozmawiamy, wyjaśnimy wszystko. A jeszcze lepiej, jakbyście przyszli do mnie jutro

gdzieś tak o jedenastej. Tam byśmy sobie wszystko przewentylowali. Bo tu, jak widzicie, mamy spotkanie z międzyplanetarnym gościem. — Tu Batyjew wskazał na Udałowa. Przemawiał spokojnie, bo nie chciał żadnej awantury, nie wiadomo, co to za hippisi i bikiniarze tu przyleźli.

Trzynogie monstra zerknęły na Udałowa i jeden z nich zaczął wrzeszczeć:

— No to wiadomo kto jest złodziejem mojej lornetki!

— Wcale nie chciałem kraść — sprzeciwił się Udałow. — Tylko popatrzyłem przez nią, a wtedy mnie pojмали.

Udałow natychmiast zdjął z głowy niebieski kaszkiet i podał jednemu z trzynogich. Zdjął z piersi lornetkę i podał drugiemu.

— To pół biedy — zmiękł trzynogi. — A gdzie są nasze przyrządy? Co to za okolica? Nie spotykaliśmy się z czymś takim na żadnej planecie. Tylko odeszliśmy do lasu na okoliczność nieżyty żołądka, a tu okradzione nas, a potem nawet do własnego statku kosmicznego nie chciano wpuścić.

— Przyrządy? — zapytał Udałow. — Przyrządy są tam, na stoliku, w szufladzie.

Trzynogie istoty zabrały przyrządy. I kiwały przy tym głowami, widząc je w opłakanym stanie.

— Więcej nasza noga tu nie postanie — powiedziały trzynogi chórem. — Nigdy. Za dwadzieścia minut odlatujemy na naszą ojczystą Alfę Centaura i tyleście nas widzieli, niegodni guslarzycy!

— Szkoda — powiedział Udałow do pleców oddalających się przybyszy.

Przybysze odeszli, zabierając skrzynkę z przyrządami. I stało się tak, jakby ich w ogóle nie było.

A w gabinecie jeszcze przez dobrych kilka sekund panowała przygnębiająca cisza, do chwili, gdy obecni, wspólnymi siłami, nie wstawili drzwi na swoje miejsce.

Towarzysz Czingisow odetchnął głęboko, jakby odbył długi bieg. Potem odwrócił się do Batyjewa i zapytał go:

— Co to za psychiczni wpadają tak do ciebie do gabinetu? Coś tak wszystkich rozpuścił?

— Nie mój gabinet — odpowiedział Batyjew. — Karasia. To on ich wszystkich rozpuścił. Ale myśmy go dziś pozbawili zaufania ludu, zdjeliśmy go ze stanowiska, będzie teraz kierował biblioteką.

— No, to słusznie. Sprawdź potem, co to byli za ludzie, dlaczego tu się awanturowali.

— Obowiązkowo — zapewnił go Batyjew. — Jutro przyjdą do mnie na jedenastą, to i poważnie z nimi porozmawiam. Nauczą się, że bez wezwania nie wolno do gabinetu wchodzić.

A skoro wszystko zostało uładzone, to towarzysz Czingisow odwrócił się do Udałowa, który zamierzał, póki wszyscy byli zajęci, wyskoczyć z gabinetu, połączyć się z żoną i cichuteńko zwiać do domu.

— A wy dokąd, towarzyszu przybyszu? — zapytał poważnym tonem Czingisow.

— Do domu — powiedział Korneliusz Iwanowicz. — Jaki ze mnie przybysz? O, tamci byli prawdziwi, ale już odlecieli.

— Proszę, towarzyszu, bez numerów — obraził się Czingisow. — My tu na razie, rozumiecie, innego przybysza nie mamy, a do Moskwy już zgłosiliśmy. Hej, tam, operatorzy-moperatorzy, czy jak tam was, włączajcie maszynę. Będziemy kontynuować mowę powitalną.

Kamera zaczęła mruczeć. Udałow wrócił na swoje miejsce, rozwinął kartkę i zaczął czytać od początku.

Kurtyna

1974  
przełożyli Ewa i Eugeniusz Dębscy

## Jadalne tygrysy

W mieście Wielki Guslar nie ma stacjonarnego cyrku, dlatego mogła się tu pojawić wędrowną trupa, która rozbiła swój namiot na centralnym placu, obok pomnika Podróżników. Całe miasto było oklejone afiszami z wizerunkiem lwa i linoskoczków. Przedstawienia zaczynały się o siódmej, a w soboty i niedziele przewidziano także poranki dla dzieci.

Aleksander Grubin trafił do cyrku od razu pierwszego dnia, na premierę. Odstał swoje w długasnej kolejce, zapisał na dłoni swój numer porządkowy; przechodzący obok Korneliusz Udałow, widząc Grubina w kolejce, powiedział z lekkim kpiącym uśmiechem:

— Próżność cię wykończy, Sasza. Chcesz być pierwszy, a ja za tydzień dostanę swój bilet bez żadnej kolejki. Nasze miasto przesadnie wielkie nie jest.

— To nie próżność — nie zgodził się Grubin. — Interesują mnie metody tresury. Przecież wiesz, że mam udomowione zwierzęta.

Grubin miał białego kruka i rybki akwariowe.

— W porządku, żartowałem tylko — powiedział Udałow. — Stój sobie jak chcesz.

Odszedł, ale po kilku krokach zawrócił i zapytał:

— A po ile biletów dają na głowę?

— Nie więcej niż po dwa — padła odpowiedź z tyłu kolejki.

— To ja też postoję — powiedział Udałow. Ale został z kolejki przegoniony.

Grubinowi dostało się niezbyt dobre miejsce, dalekie. Pokazywał bilet całemu podwórku, sam wyprasował błękitną koszulę, wpadł do fryzjera, wypucował buty i ruszając do cyrku, powiedział do swego mówiącego kruka:

— Ja, Griszka, obowiązkowo pogadam z treserem. Może uda się nauczyć cię mówić.

— Dobra-dobra — powiedział kruk.

Na ulicy wiał jesienny wiaterek, przynosił znad rzeki wilgoć. Kolorowe żarówki na cyrku i dookoła niego kiwały się jak na huśtawce, a migotliwe błyski padały na głowy widzów kłębiących się przy wejściu. Spotykało się co i rusz znajomych. Niektórych Grubin znał, innych zobaczył dopiero w kolejce i doszło do zbliżenia na gruncie miłości do sztuki.

Arena była wysypana trocinami, otaczała ją wytarta aksamitna barierka, na której zazwyczaj przednimi łapami opierają się słonie i konie. Nad wejściem na arenę ulokowała się mała orkiestra, strojąca w tej chwili instrumenty. Wśród obsługi areny Grubin poznał jednego chłopaka z sąsiedniej ulicy i emeryta, też sąsiada. Obsługa areny była rekrutowana z miejscowych.

Młody pulchny dyrygent wszedł na postument, ustawił się plecami do areny i uniósł batutę. Zagrzmiął cyrkowy marsz i różnokolorowe reflektory rzuciły na arenę światło ku czerwonej kurtynie, zza której wyłonił się wysoki konferansjer w cylindrze i powiedział:

— Dobry wieczór, szanowni goście.

W cyrku było ciepło i odrobinę pachniało stajnią. Zapach ten przez lata wżarł się w brezent namiotu, w krzesła i nawet w liny. Grubin wraz ze wszystkimi widzami powitał konferansjera burzliwymi oklaskami i jak wszyscy dookoła był ogarnięty takim szczególnym cyrkowym uczuciem. Gotów był śmiać się z każdego żartu klauna i umierać ze strachu na widok ewolucji pod kopułą.

— Powietrzne akrobatki siostry Bisierowy!

I od razu na arenie pojawiły się trzy dziewczyny w błękitnych strojach kąpielowych, haftowanych srebrem. Dziewczyny miały dobrze umięśnione nogi i jasne włosy, związane tasiemkami, by nie przeszkadzały w pracy. Dziewczyny ukłoniły się publiczności i na znak konferansjera z góry zjechały do nich trzy jednakowe trapezy, które dziewczyny chwyciły rękami i wolno pofrunęły ku szarej kopule, a widzowie unieśli głowy, by nie stracić akrobatek z oczu. Gimnastyczki przeskakiwały z trapezu na trapez, chwytaly się w powietrzu za ręce i nogi, i chwilami wydawało się, że już-już miały spaść, ale w ostatniej chwili chwytaly się i elegancko lądowały na trapezach. Grała orkiestra, czasem cała, czasem, w najbardziej emocjonujących momentach, tylko werbel, ludziska klaskały i długo nie wypuszczały dziewczyn z areny i z tego powodu, te musiały kilka razy wybiegać z powrotem, rozbiegać się wachlarzem i kłaniać się z rozłożonymi rękami.

Przed kolejnym numerem pojawił się klaun. Klaun wszystkim się spodobał. Ubrany był zwyczajnie, tylko buty miał o jakieś dziesięć numerów za duże. Po nim pojawili się starszawi artyści, mąż z żoną, mąż strzelał do żony ze wszystkich możliwych rodzajów broni, a ona mimo to pozostała cała i żywa. Ale osobiście Grubinem najbardziej wstrząsnęła Tania Karantonis. Chodziła niedbale po linie i robiła na niej salto. Tania było wysoka, miała wspaniałe faliste kasztanowe włosy, zadarty nosek i czarujący uśmiech. W drugiej części przedstawienia, tuż przed treserem Sidorowem Tania pojawiła się ponownie, w charakterze asystentki prestidigitatora Grey-Abbasa. Podawała sztukmistrzowi wazy i króliki, a ten potem postawił dziewczynę przed wirującymi dyskami, na których wypisane były cyfry i dziewczyna zgadywała sumę, różnicę, iloczyn tych cyfr, a nawet podawała ich niewyobrażalne kwadraty.

Ale wszystko to była betka przed treserem. Treser Sidorow pracował z grupą różnorodnych drapieżników. Na maneżu, ogrodzonym wysoką metalową kratą, stał otoczony tygrysami, białymi niedźwiedziami, lwami i panterami. Wielu widzów dziwiło się, że Sidorow nie ma jeszcze stopnia zasłużonego mistrza — tak zadziwiające były sztuczki wykonywane przez jego zwierzęta. Numer Sidorowa oparty był w zasadzie na naśladownictwie. Jedne zwierzęta udawały inne. Wydawałoby się — drobiazg, ale widzieliście kiedyś skaczącego białego niedźwiedzia? Albo trzy tygrysy szczekające unisono? Albo lwa chodzącego na przednich łapach, wysoko zadzierającego ogon z kitą na końcu? Białe misie skakały przed kozła z leopardami, a potem nawet miauczały, a tygrysy wtórowały im głośno szczekając. Grubin najpierw podejrzewał nawet jakiś numer, akustyczną iluzję czy coś takiego, ale widać było, jak zwierzęta otwierały pyski i dźwięki rozlegały się właśnie z areny. Pod koniec występu Sidorow kazał białemu niedźwiedziowi przejść po linie i ten wykonał ten numer i zeskoczył zeń wykonując przewrót w powietrzu.

Publiczność była zachwycona kunsztem tresera, wiele osób postanowiło, że przyjdą do cyrku jeszcze raz, żeby zażyć przyjemności ponownego obejrzenia tresury. Nawet bywalcy cyrków w wielkich miastach nigdy nie widzieli takiej sztuki.

Po przedstawieniu Grubin usiłował znaleźć Sidorowa. Chciał osobiście podziękować mu za dostarczoną przyjemność. W tym celu zszedł na dół, wyszedł na deszcz i wiatr, ominął płot otaczający furgony trupy i długo stał za pierwszym wozem obserwując, jak krząta się obsługa i Sidorow, rozprawdzający zwierzęta po klatkach. Przez szum deszczu i wycie wiatru słyhać było szczekające i miauczące niedźwiedzie i tygrysy. W oknach wozów pozapalały się światła. Nie wiadomo skąd doleciał zapach smażonych kartofelków. Głosy na placu ucichły — ostatni widzowie rozeszli się do domów, Sidorow natomiast ciągle był zajęty, rozdawał dyspozycje — jego zgrabna sylwetka wciąż widniała na tle klatek. Obok, w mroku między wozami, jakiś mężczyzna powiedział:

— Za dwa tygodnie będziemy w Permi. Tam mieszkają moi starzy. Poznam cię z nimi. Na pewno im się spodobaś.

— Wasia, mówiłeś to tyłu dziewczynom, że nie sposób ci wierzyć. A poza tym nigdy nie uda nam się być razem w jednym numerze.

— Rzucisz cyrk. Dość tego. Potrafię zapewnić ci utrzymanie.

— Nie. Nie mogę zawieść dziewczyn.

Najpierw Grubin uznał, że ktoś wyznaje miłość miłej Tani Karantonis. Ale potem ze słów dziewczyny zrozumiał, że to jedna z powietrznych akrobatek. A kiedy zakochani wyszli na światło, Grubin zrozumiał, że nie pomylił się. Wasia był klaunem, wyglądał znacznie młodziej bez charakterystyki i nie miał rudych włosów, tylko ciemne. Klaun obejmował akrobatkę i kiedy mijali Grubina, ten przylgnął do

ściany wozu, w płamę mroku — było mu niezręcznie, że wlaź tu bez zaproszenia i jeszcze podsłuchuje.

— Chodźmy nad rzekę, przejdziemy się — zaproponował Wasia.

— Nie przeziębisz się? — zapytała akrobatka. — Przecież masz katar?

Grubina na szczęście nie zauważyli. Popatrzył znowu w stronę klatek pod dachem. Sidorowa już tam nie było. No i masz, powiedział do siebie, przegapiłem człowieka.

Nie było sensu wystawać tu dłużej. Grubin wyszedł na śliską ścieżkę między wozami, podszedł bliżej do klatek. Żeby przynajmniej jakiś pomocnik został! Ale nic — pustka. Tylko zwierzęta uwijają się przed snem, wymieniają się wrażeniami z minionego dnia.

— Szukacie tu kogoś? — rozległ się miły głos. Grubin obejrzał się i, gdyby nie półmrok, z którym walczyła tylko jedna lampka przy klatkach, widać by było jak zarumienił się po koniuszki włosów.

— Nie — powiedział. — To znaczy szukam towarzysza Sidorowa. Tylko tyle, proszę nic sobie nie myśleć.

— Ja nic sobie nie myślę — powiedziała Tania Karantonis.

Ubrana była w kurtkę i ciemne spodnie, ramiona kurtki pociemniały od wody.

— No nie, naprawdę — upierał się Grubin. — Bardzo lubię zwierzęta. Mam białego kruka. Chciałem porozmawiać z towarzyszem treserem.

— Ale jesteście śmieszni — powiedziała Tania Karantonis. — Sidorow już poszedł. Do swojego wozu. Jeśli pali się światło, to znaczy, że nie śpi. A wy jesteście pijący?

— Niemal wcale — powiedział Grubin.

— Sidorow lubi pijących — powiedziała i roześmiała się. — Proszę nie myśleć, że jestem plotkarą, bo nie jestem.

— Ależ gdzie tam! — radośnie rzucił Grubin. W tym wszystkim widać było palec Fortuny, ponieważ Tania Karantonis najbardziej podobała się Grubinowi ze wszystkich artystek. I oto stoi obok niej, w ciemności, a ona rozmawia z nim jak ze starym znajomym.

— Zaprowadzę was do Sidorowa — powiedziała Tania. — A wy mi za to później pomożecie, dobrze?

— Oczywiście — powiedział Grubin. — Ale może najpierw ja wam pomogę, a potem wy mnie zaprowadzicie.

— Chodźmy — powiedziała Tania i skierowała się w stronę wozu tresera.

— Światło się nie pali — powiedziała. — Pewnie nie ma go w wozie. Poszedł do miasta.

— No to trudno — oświadczył Grubin, który gotów był już zapomnieć o treserze. — Czym mogę wam pomóc?

— Idziecie do miasta?

— Tak, do miasta.



— No to, jeśli to nie sprawi wam kłopotu, odprowadźcie mnie do stołówki. Takiej, która jeszcze jest czynna. Przyjechałam dzisiaj, nie zdążyłam nic sobie na kolację kupić i głodna jestem jak pies.

— Oj, stołówka to już jest nieczynna. Otwarta jest tylko do ósmej — powiedział Grubin.

— Ach, to straszne! — powiedziała Tania. — Będę musiała iść do Fiediukowych, a już pożyczałam od nich sól i jajka.

— W żadnym wypadku — powiedział Grubin. — Nie zostawię was tak. Mam w domu parówki. I jajka. Jeśli krępujecie się iść do mnie, to zaraz wam to przyniosę. Mieszkam blisko, za dziesięć minut będę z powrotem.

— Ale nie, jak mogliście pomyśleć, że będę was tak wykorzystywała — powiedziała Tania i obdarzyła go jasnym i wdzięcznym uśmiechem. Od tego uśmiechu serce Grubina zaczęło tłuc się jak werbel w cyrku, w chwili niebezpiecznego lotu pod kopułą. Grubin stał przed Tanią, przygłaskał stremowany mokre rozczochrane włosy i marzył o tym, by Tania pozwoliła mu jednak skoczyć teraz, mimo deszczu, do domu, pożyczyć u sąsiadów masła i chleba, przynieść parówki i inne skromne artykuły spożywcze.

— Nie — powiedziała Tania zdecydowanym głosem. — Innym razem. W mieście musi być jakaś restauracja. W każdym małym mieście jest restauracja. I nazywa się tak jak miejscowa rzeka albo jezioro.

— U nas nazywa się „Guslar” — powiedział Grubin. — Już jest prawie dziesiąta, a zamykają o dwudziestej trzeciej.

— A daleko to stąd?

— Sześć minut.

— No to proszę poczekać chwilę, skoczę po pieniądze. Nie zimno wam?

— Nie, nie zimno. A o pieniądzach proszę nie myśleć. Ja stawiam.

Ale Tania Karantonis nawet go nie słuchała. Odbiegła gdzieś w mrok i tylko słychać było, jak dzwonią klucze pod jakimiś drzwiami.

Grubin stał wystawiając rozpaloną twarz na wiatr. W wietrze czuć było cyrkowy zapach stajni i zapach mokrych grzybów, rosnących w lesie za rzeką. Wyobraził sobie na chwilę, że Tania Karantonis przyszła do niego z wizytą i pije herbatę. Ale natychmiast odpędził tę myśl, dlatego że, po pierwsze, w pokoju Grubina panowały ciasnota i bałagan, a po drugie, o takich rzeczach nie wolno nawet marzyć.

— Nie za długo byłam? — zapytała Tania.

— Nie, skądże.

— Proszę się nie złościć, że nie poszłam do was. Jestem straszliwie samodzielna.

Wyszli za ogrodzenie i poszli przez ciemny plac. W oknach płonęły ciepłe żółte ognie i gdzieś daleko, w parku, ktoś grał na gitarze.

— Jakżeby mógł — powiedział Grubin. Szedł z odwróconą w bok głową, żeby lepiej widzieć Tanie i jej profil na wieki odbijał się w mózgu Grubina.

— Proszę mnie wziąć pod rękę — powiedziała Tania i Grubin jak we śnie wsunął rękę pod jej łokieć. Było tam ciepło; Grubin przesunął rękę tak, by mały palec był dokładnie na wysokości łokcia — mógł teraz podtrzymać Tanie, gdyby się pośliznęła.

— Jestem takim tchórzem, nawet sobie nie wyobrażacie — powiedziała Tania. — Kiedy jestem po raz pierwszy w nieznanym mieście, to wszystkie ulice wydają mi się obce. Po prostu miałam szczęście, że was spotkałam. Dzięki Sidorowowi.

— Tak, tak — zgodził się Grubin, czyniąc spory wysiłek w celu przypomnienia sobie kim jest Sidorow.

— Byliście bardzo uprzejmi — powiedziała Tania, kiedy zatrzymali się pod szyldem „Restauracja Guslar”.

— A jak pani wróci? — przestraszył się Grubin.

— Teraz wiem, że to blisko. Przecież stąd widać cyrk.

— Nie — powiedział Grubin. — Jeśli chcecie, to poczekam tu na was.

— Zwariowaliście — powiedziała Tania i roześmiała się. W jej oczach płonęły odbicia ulicznych latarni, a zęby połyskiwały równe i białe. — Jeśli się tak niepokoiacie o mnie, to chodźcie ze mną do restauracji. Nie jesteście głodni?

— Jestem — przyznał Grubin z pokorą, chociaż żadnego głodu nie odczuwał. Był szczęśliwy z powodu okazji pójścia z Tanią do restauracji, ale, prawdę mówiąc, nieco rozczarowany, ponieważ chciałby pocierpieć dla Tani. A w charakterze cierpienia lepsze było czekanie na nią w deszczu.

— No to świetnie — powiedziała Tania. — Idziemy. A potem odprowadzicie mnie do cyrku. Zgoda?

W szatni Tania zdjęła kurtkę i Grubin odnotował, że zdążyła się nawet przebrać. Miała na sobie sukienkę. Grubin popatrzył w lustro i nie spodobał się sobie. Nos był za duży, oczy za bardzo wytrzeszczone, cała postać, mimo niedawnej wizyty u fryzjera, była zbyt chuda i rozczochrana. Zaraz, pomyślał, popatrzy na mnie i skrzywi się. Wtedy wyjdę na ulicę, na deszcz.

— Uczeszcie się — powiedziała Tania. — Pożyczyć wam grzebień?

Sala nie były wypełniona, ale mocno zadymiona. Grubin dawno już nie był w restauracji, jakoś nie składało się. Sala sprawiała dziwne wrażenie. Najpierw ktoś wpadł na pomysł, żeby przebudować ją na współczesny styl, ale ograniczono się do stołów i krzeseł, zasłon i baru w rogu. Reszta — sufit ze sztukaterią i ściany z pożłoconymi wzorami wymalowanymi za pomocą szablonu — została.

Grubin, uczuciowo nieco rozdarty, ucieszył się, że włożył garnitur z krawatem. W lokalu grała orkiestra w czteroosobowym składzie. Grubin zapragnął mocno, by choć jeden ze znajomych zobaczył go z tą piękną cyrkówką. Ale znajomych oczywiście nie było.

— A oto i sam Sidorow — powiedziała Tania. — Co za przyjemna niespodzianka. Treser siedział samotnie przy stoliku. Przed nim stała butelka portweinu

i talerz z gruzińską zupą charczo. — Sidorow — powiedziała Tania podchodząc do stolika. — Dobry wieczór. Świetny mieliście dziś występ.

„No i po co powiedziałem jej, że szukam Sidorowa!” — przeklął siebie Grubin.

Z bliska Sidorow był mniej efektowny niż na maneżu. Miał wydłużoną szczupłą twarz, mocno pomarszczoną, włosy tak ściśle przylegały do czaszki, że wszystkie guzy na niej były doskonale widoczne. Sidorow miał bardzo długie mocne palce, a na jednym z nich duży sygnet. Treser wolno podniósł się, pocałował Tanię w rękę i kiedy wyprostował się, to w jego spojrzeniu Grubin zobaczył coś drapieżnego, jakby treserowi udzieliły się cechy jego podopiecznych.

— A to kto? — zapytał Sidorow patrząc na Grubina. — Dlaczego nie znam?

— Bo to wcale nie mój, a wasz wielbiciel — powiedziała Tania. — Poszukiwał was, a ja go zmobilizowałam, żeby doprowadził mnie na kolację.

— Dzień dobry — powiedział Grubin. — Grubin.

— Bardzo mi miło — powiedział Sidorow w pustkę. — A ja się nudzę. Siadajcie. W tej dziurze nie ma co jeść. Widzisz — jem na kolację zupę.

— Tu dają bardzo dobre kotlety. Po kijowsku — powiedział Grubin. — Codziennie sprzedają je w podległej garmażerze, zawsze stoi długa kolejka.

— Pewnie smażone na oleju maszynowym — powiedział Sidorow. — Mam słaby żołądek, nie przetrzyma.

— Macie rację, my zamówimy sobie po kijowskim kotlecie — powiedziała Tania do Grubina. — Ufam wam. A Sidorowowi — nigdy. On chce mnie zjeść.

— Żart — skwitował jej słowa Sidorow. — Chciałbym zjeść, ale w przenośnym znaczeniu.

— I weźmiemy wino. Wytrawne. Wypijemy za spotkanie i premierę. Będziecie pić? A właśnie, nawet nie wiem jak się nazywacie.

— Aleksander — powiedział Grubin.

— Sasza, jak rozumiem. A ja — Tania.

— Wiem — powiedział Grubin. — Bardzo mi się podobał wasz występ. Pierwszy.

— A drugi?

— Ze sztukmistrzem?

— No tak, z Abbasem.

— Przecież w pierwszym występowała pani sama, a w drugim tylko pomagała.

— No i zawsze to samo. Posłuchaj go, Sidorow. — Głos ludu. Przyjdzie mi odejść od Abbasa Siemionowicza. Chociaż mi żal. Wszyscy myślą, że z tymi liczbami to sztuczka.

— To nie jest żadna sztuczka — powiedział Sidorow zgiętym palcem przywołując kelnera. — To nie jest sztuczka, dwa kotlety po kijowsku, butelkę wytrawnego, butelkę koniaku i wszelaką zakąskę.

— Mamy zestaw wędlin — powiedział kelner.

— Dawać. Wszystko dawać. To nie jest sztuczka. Tania posiada fenomenalne zdolności matematyczne.

— Sasza — powiedziała Tania. — Proszę mi dać do przemnożenia dowolną liczbę. Albo jakiś pierwiastek do wyprowadzenia.

— Ależ po co — powiedział Grubin. — Wierzę wam, naprawdę wierzę.

— Ale mimo wszystko, proszę.

— No dobrze. Sto trzydzieści przez sto czterdzieści.

— Osiemnaście tysięcy dwieście, ale proszę o coś trudniejszego. Bardzo was proszę, Sasza.

Przyszedł kelner, powiedział, że zestawu wędlin nie ma, został tylko zestaw rybny.

— Dobra — powiedział Sidorow. — Przynieście zestaw ryb. Grubin patrzył na Tanie, a ta pokiwała głową, dodając mu ducha.

— 125646 pomnożyć przez 6733687 — powiedział Grubin.

Tania zamyśliła na chwilę, może sekundę, i wypaliła długą sekwencję cyfr. Sidorow odezwał się z pobłażliwością:

— Nie kiwajcie głową, towarzyszu. Proszę wziąć ołówek, zapisać i w chwili nudy przemnożyć. Ale ja ze swej strony gwarantuję, że nie ma tu błędu. Tania jest żywą maszyną elektroniczną.

— Wierzę — oświadczył Grubin, posłusznie zapisując w notesie długi szereg cyfr podyktowany przez Tanie. Potem dziewczyna przypomniała mu, co przez co pomnożyła, a w tym momencie przyniesiono zestaw rybny i solonego łososia.

— Jestem strasznie głodna — powiedziała Tania i zabrała się do pałaszowania.

— A my po maluchu, z okazji nawiązania znajomości — powiedział Sidorow. — Przyłączysz się?

— Tylko wino — powiedziała Tania. — Jutro muszę wcześniej wstać. Abbas Siemionowicz nowy numer wymyślił. Z tablicami logarytmów.

Wypili. Grubin niemal nie zakąsał, starał się nie patrzeć na Tanie, bardzo krępowała go obecność Sidorowa. Butelka koniaku została opróżniona do połowy i Grubin poczuł, że w głowie już mu się kręci, a świat zmienia się w jaskrawy i miły spektakl, w przedstawienie cyrkowe, którego nie można przerwać, i w którym dla niego, Grubina, też znajdzie się rola. Może zostanie żonglerem, może treserem. I odjedzie z Tanią daleko za granice województwa. . . Przy tym w owej odległej i słodkiej perspektywie znalazło się miejsce również dla Sidorowa. Teraz treser nie wyglądał już na takiego niemilego człowieka, jak na początku znajomości. Są tacy ludzie — w pierwszej chwili niemili, a potem można w nich znaleźć mnóstwo pozytywnych cech. Sidorow był dobroduszny, wykształcony i w żaden sposób nie okazywał Grubinowi swojej wyższości. A kiedy wychodzili z lokalu, ponieważ zamykano go już i kelnerki po kolei podchodziły do stolika i zabierały zinventoryzowane przedmioty — jedna zabrała solniczkę, druga — puste butelki,

a trzecia kubek porcelanowy, w którym stały serwetki — kiedy więc towarzystwo opuszczało restaurację, Sidorow odmówił przyjęcia od Grubina pieniędzy za kolację i Grubin nawet obraził się trochę, mimo że Tania uśmiechając się sympatycznie uspokoiła go i powiedziała, że będzie jeszcze sporo okazji do okazania gościnności — cyrk wszak zostaje na dwutygodniowe występy.

Tania powiedziała mężczyznom dobranoc na skraju cyrkowego miasteczka, a wtedy nagle Sidorow powiedział, że spać mu się wcale nie chce i chciałby się przespacerować. I to właśnie z Grubinem, ponieważ Grubin sprawia sympatyczne wrażenie i jest mu miły. Grubin się wzruszył. Jego przypadkowe spotkanie z artystami przeradzało się oto w przyjaźń.

— Dobranoc, Sasza. Proszę przyjść jutro do nas na próbę — powiedziała Tania i zniknęła w mroku.

— Czarująca — powiedział Sidorow.

— Tak — powiedział Grubin. — Naprawdę, jeszcze takiej nie spotkałem.

— A dużo innych spotykałeś? — zapytał Sidorow.

— Doświadczenie mam — przyznał Grubin, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego doświadczenie znacznie ustępuje doświadczeniu Sidorowa.

Przed nimi połyskiwała rzeka, odbijając księżyc, który wyłonił się z luki między obłokami.

— Kocham przyrodę — powiedział Sidorow.

— I zwierzęta również — uzupełnił Grubin. — Zwierzęta was kochają, słuchają. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby tak kochały człowieka.

— Tak — oświadczył zamyślony Sidorow. — One wyczuwają we mnie swojego.

— Oczywiście — powiedział Grubin, gotów do zgadzania się we wszystkim ze swoim nowym przyjaciелеm.

Doszli do rzeki. Wtulone w brzeg, przypominając tłuste morsy, spały barki. Holowniki miały na masztach zapalone latarnie, jakby chciały podkreślić, że one zawsze czuwają i śpią tylko jednym okiem.

— Jak wam się udało osiągnąć taki poziom? — zapytał Grubin.

Przemyślał to pytanie wcześniej i uznał, że nie może być dla Sidorowa nieprzyjemne, a nawet jest komplementem.

— Praca — krótko odparł Sidorow. — Nieustający twórczy trud.

— Ale inni przecież też pracują.

— Nie wiedzą widocznie, jak powinni pracować. Sidorow był zamyślony, jak zamyślony jest człowiek, który myśli o czymś innym i nie jest do końca pewien, czy powinien podzielić się swymi przemyśleniami z rozmówcą.

— Nie, przyjacielu mój — powiedział w końcu. — Nigdy nie uda się im osiągnąć tego, co ja osiągnąłem... Nigdy.

— Oczywiście, kto wcześniej widział, żeby białe niedźwiedzie skakały jak tygrysy, a tygrysy szczeptały! To fantastyczne!

Wspomnienie występu rozweseliło Grubina — zadarł do góry głowę i zaszczeakał, naśladowując tresowanego tygrysa.

— Nie — oświadczył Sidorow. — Nie tak trzeba. — I nagle szczeakał dwa razy, ale tak przekonująco, że Grubin aż się lekko zląkał i ledwo powstrzymał się, by nie cofnąć się na odpowiedni dystans.

— Jesteście mistrzem — powiedział. — Jesteście mistrzem, towarzyszu Sidorow, i mogę to powtórzyć wszędzie i każdemu z osobna. Jestem nawet zdziwiony i oburzony, że nie macie do tej pory tytułu artysty ludowego czy chociażby republiki. To jest, wybaczenie, powyżej mojej zdolności pojmowania.

Grubin tak się rozczulił, że aż nabrał ochoty pocałować Sidorowa, ale powstrzymał się.

— No tak, nie mam żadnego tytułu — powiedział Sidorow. — I nie będę miał nigdy. Wrogowie.

I te jego własne słowa stały się tą przysłowiową ostatnią słomką, która złamała grzbiet wielbłąda.

— Sasza, Sasza! — powiedział Sidorow ledwo powstrzymując łzy. — Gdybyś miał pojęcie o moich możliwościach i moich potrzebach! Gdybyś tylko o tym wiedział!

— Wiem — powiedział szczerze Grubin. — Wiem.

— Nic nie wiesz. Nie wiesz, co mogą moje zwierzęta, a tym bardziej, co ja sam mogę.

I po tych słowach Sidorow nagle wyprężył się, wygiął zgoła nie po ludzku, wzleciał w powietrze. Czarne ciało przeleciało nad urwiskiem i Grubin tylko zdążył jękać:

— Ach!

Nie, to już nie był treser — to dziki zwierz w niewyobrażalny sposób pokonał jednym fantastycznym skokiem trzydzieści metrów, dzielących go od najbliższej barki i z miękkim kłaśnięciem wylądował na jej pokładzie. Barka kiwnęła się, po srebrzystej toni przemknęły nierówne fale.

— Grubin? — rozległ się z dołu głos tresera. — Widziałeś?

— To być nie może — powiedział Grubin.

— Czekał na mnie!

Znowu kiwnęła się barka, czarne ciało odbiło się od pokładu, poleciało i w mgnieniu oka dziwna istota z miauknięciem wylądowała obok Grubina. Nie, Grubin nie był pijany. Nie był aż tak pijany, by mogły mu się zwidzieć dziwne metamorfozy tresera.

— Widzisz teraz, Sasza — powiedział Sidorow — dlaczego nigdy nie zostaną doceniony? Oni mi po prostu zazdroszczą.

Treser był podniecony, ale oddychał spokojnie, równo, jakby ten niemożliwy do wykonania przez człowieka popis wcale nie wymagał wysiłku.

— Przecież jesteś moim przyjacielem? — zapytał Sidorow.

— Nawet więcej — przyznał Grubin. — Ja was bardzo szanuję.

— Widzę to — oświadczył Sidorow. — W takim razie przyjmij, że nie jestem treserem. Jestem wielkim eksperymentatorem. Znasz to słowo?

— Oczywiście, że znam — powiedział Grubin.

— No to idziemy dalej. Będziemy spacerować. Ja mogę nauczyć zwierzę czego tylko zechcę. Chcesz, to jutro moje tygrysy będą latały? Albo słonie będą się wiły jak pytony? Nie, to nie wyjdzie... Ale nieważne. Wszystko mogę. Sam też mogę zrobić to wszystko, co robią zwierzęta. One mnie szanują. A właśnie, Sza-sza, czy ty mnie szanujesz?

— Nawet kocham was, towarzyszu Sidorow — przyznał się Grubin.

— Dobrze, to idziemy dalej. Jakież tam ze mnie treser? Nie jestem treserem, jestem geniuszem. Jestem posiadaczem wielkiej tajemnicy!

— Proszę opowiedzieć — poprosił Grubin.

— A zrozumiesz mnie?

— Postaram się — powiedział Grubin.

— Bo ta reszta, to nawet nie chce się postarać. Ponieważ nie są godni. Właśnie tak, i nie inaczej. I ja ją zjem.

— Kogo?

— Nieważne. Mnie, myślisz, zwierzęta interesują? W życiu. Ja, przyznam ci się, byłem kiepskim treserem. Bardzo mizernym. Do Moskwy to mnie nawet nie wpuszczali. A jeśli zdarzały się wyjazdy zagraniczne, to tylko w zastępstwie, z powodu czyjeś nagłej choroby. I to do mongolskiej Szwajcarii. Rozumiesz?

— Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem! Ja w tym roku załatwiałem sobie Bułgarię, a kto pojechał? Łóżkin pojechał!

— A ja raz przebiłem się do Indii. Rozumiesz? Słyszałeś o takim mieście, Bombaj? Ja wtedy pracowałem z trzema brunatnymi niedźwiedziami. Pracowały one na rowerze, stanie na przednich łapach robiły — takie tam bzdury, banał. W hotelu sobie mieszkaliśmy, nad brzegiem morza. Tam pewnego dnia spotkałem jednego człowieka. Zwyczajny na oko ten człowiek, w białych kalesonach sobie chodził, tam tak jest przyjęte. Ja, powiada, bardzo szanuję waszą sztukę, ale numer macie, powiada, taki sobie, średni krótko mówiąc. Dziękuję, mówię do niego, przyjacielu. I podarowałem mu odznakę, jak należy. Niekiepska ta odznaka, z herbem miasta Jarosławia, z niedźwiedziem, takim jaki był na masce ciężarówek. Rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział Grubin. Zrobiło się chłodno, powoli w głowie się przejaśniało, a przed oczami ciągle stał ten niewiarygodny lot towarzysza Sidorowa na barkę i z powrotem. Niebo znowu zasnuły czarne chmury i wzmógł się wiatr.

Sidorow stanął naprzeciwko Grubina, wpił się wzrokiem w jego oczy, jakby chciał go zahipnotyzować.

— I ten człowiek... Mi! Tylko wam mogę powierzyć moją wielką tajemnicę!

— A po jakiemu? — zapytał Grubin. Chciał wytrącić Sidorowa z tego dziwnego transu: niemal każda samogłoska stawała się dla tresera okazją do... wycia!

— Po angielsku — zwyczajnie odpowiedział Sidorow. — Ja angielski, jak mam słownik, to znam całkiem przyzwoicie. A taką zwyczajną rozmowę to proszę bardzo. Chcesz mnie sprawdzić?

— Nie, wierzę.

— Ale zapytaj mnie, zapytaj o coś po angielsku?

— Ale ja tylko ze słownikiem!

— Ja też tylko ze słownikiem, ale mogę. A ty ze słownikiem, a nie możesz.

— Rozumiem — powiedział Grubin. — Proszę o wybaczenie.

Sidorow zapalił. Na środkowym palcu błysnął w świetle księżyca masywny sygnet. Ach, ta bohema! — pomyślał Grubin. Sidorow przechwycił spojrzenie Grubina i powiedział z naciskiem:

— O tym właśnie sygnecie mowa!

Gęste obłoki jasnego dymu unosiły się nad jego głową i szybko ciągnęły do mknących po niebie obłoków.

— Poszliśmy z tym Ramakriszną do restauracji — ciągnął Sidorow. — Jak się okazało był on profesorem, biologiem, ale nie uznanym przez środowisko. A wiesz dlaczego? Zazdrościli mu talentu. Posiedzieliśmy sobie, wypiliśmy tego ichniego ginu z tonikiem, taki sobie ten napój. On za mnie zapłacił — bo skąd niby ja miałem mieć walutę na szwendanie się po knajpach? I zaczęliśmy sobie gadać o planarii.

Mówiąc Sidorow skierował się od rzeki w stronę cyrku. Grubin szedł obok i uważnie go słuchał. Słuchał i kiwał, nawet wtedy, kiedy nie wszystko rozumiał.

— Co ty tak ciągle kiwasz! — zakrzyknął Sidorow. — Jakbyś wiedział, co to jest planaria.

— Dlatego właśnie nie przerywam — powiedział Grubin.

— Myślisz, że to kwiat?

— Tak myślę.

— Albo rodzaj liany.

— Nie wykluczam.

— A może to robak? Co? Krzywisz się?

— Zgadzam się na robaka.

— I słusznie czynisz — powiedział Sidorow. — Bo planaria, to taki robak. Na nim wykonuje się masę doświadczeń. A jakie?

— Jakie?

— Rozgniatają go w mózdzierzu, a potem zjadają.

— Na surowo?

— Niemądry jesteś, Grubin! Nie ludzie go jedzą, a jego koledzy, może nawet rodzina — z tego samego słoika.

— Po co?



— Bo są głodne, oto dlaczego! Jak jesteś głodny to wszystko wtrząchniesz, co nie? Wtrząchniesz, czy nie?

— Nie.

— No i głupiś. A trzeba zjeść. Jak będziesz pożerał, to będziesz szanowany.

— Nie potrzebuję takiego szacunku, opartego na lęku — uroczyście oświadczył Grubin.

— Ładnie gadasz — powiedział Sidorow. — Ale mnie nie przekonałeś. Ponieważ ja jestem mistrzem, a ty tylko widzem, publicznością.

— Ale ja też dużo czytam, eksperymentuję.

— Ach, opowiedz mi o swych eksperymentach! — powiedział z pogardą Sidorow.

Grubin nie obraził się, ponieważ nie miał prawa obrażać się na wielkiego artystę.

— Nie przerywaj mi — ciągnął Sidorow. — Teraz będzie najciekawsze. Opowiedział mi Ramakriszna, niech mu ziemia lekką będzie, że jeśli planaria pożre inną planarię, to wszystko co ta biedaczka w ciągu swego krótkiego żywota się dowiedziała, natychmiast staje się znane i jej rodzinie. No, na przykład, nauczyła się wylazić z labiryntu. A inne planarię nie były w tym szkolone. Ale jak tylko przeżęły koleżankę, natychmiast wiedziały — wyjście prosto, potem w lewo, potem trzy razy w prawo! Kapujesz?

— To jest bardzo ciekawe — powiedział Grubin. — Słowo honoru, to otwiera przed nauką nowe, ogromne perspektywy!

— Nie cytuj mi pieśni, Sasza, nie trzeba! Nie trzeba pieśni! Nie o naukę tu chodzi. Nauka powinna służyć ludziom. Ale dalej opowiedział mi Ramakriszna, że niektórzy uczeni usiłowali te właściwości planarii przenieść na inne zwierzęta. Rozumiesz, po co?

— Oczywiście! — ucieszył się Grubin. — Żeby z labiryntu. . . wszyscy mogli wypełznąć!

— To płytkie myślenie. Zresztą, nie oczekiwałem od ciebie innego. Przecież mamy do czynienia z wielką rewolucją w nauce! W pierwszej kolejności w edukacji! Makarenko pękłby z zazdrości. A Pestalozzi? Wyobrażasz sobie, co by się stało z Pestalozzim?

Sasza Grubin, szczerze mówiąc, nie wiedział kim jest Pestalozzi. Ale domyślił się, że musiał to być działacz z dziedziny edukacji ludowej. Dlatego zgodził się, że Pestalozzi umrze z zazdrości.

— Bo oni, rozumiesz, przez całe życie ucą, ucą i ucą. . . No ileż można tak uczyć! A my — podaliśmy krowie kaszkę — i ta już wszystko wie.

Ostatnie zdanie było niezrozumiałe. Grubin uprzejmie poprosił o wyjaśnienie — co ma krowa do Makarenki i Pestalozziego, którzy umierają z zazdrości.

Sidorow znowu zatrzymał się, żeby mówić bardziej przekonująco i wyjaśnić, wolno, przystępnie, w prostych słowach:

— Mój indyjski przyjaciel Ramakriszna wykonał rozpuszczalnik z mieszanki jaj kameleona i pyłu nefrytowego. Po dodaniu do roztartej w mózdzierzu tkanki żywej istoty otrzymujemy możliwość przyswajania zdolności.

Sidorow podważył paznokciem kamyk, wieńczący sygnet, a ten otworzył się jak pokrywka garnka. W zagłębieniu widać było jasny proszek.

— Widzisz? Przed śmiercią mi to przekazał.

— Proszę wyjaśnić jeszcze raz — poprosił Grubin. — Tylko proszę się nie gniewać, nie wszystko zrozumiałem.

— Czego nie rozumiałeś?

— Do czego to się dodaje?

— Do roztartej tkanki. Do mięsa!

— To znaczy, jeśli planarię... się rozetrze, to z niej otrzymamy roztartą tkankę?

— Zuch, Grubin. Zaczynasz łąpać — szczerze i dobrodusznie, na ile tylko pozwoliły mu grube bruzdy zmarszczek, uśmiechnął się Sidorow. — Dokładnie tak. Wezmę kogo chcę, dodaję rozpuszczalnika — i zjadaj.

— I to trzeba zjeść?

— Powtarzam: jeśli zmieszasz z rozpuszczalnikiem kaszę, maź, otrzymaną z tkanki dowolnej istoty, to wchłoniesz jej zdolności! Czy tak trudno to zrozumieć?

— To bardzo niezwykle i dlatego niełatwe do zrozumienia — przyznał Grubin. — Niby proste, ale niezwykajne. Czyli należy rozumieć, że wasz Ramakriszna nie tylko rozcierał planarię?

— I koty! — powiedział cicho Sidorow, a jego twarz w tym momencie nieoczekiwanie i nieprzyjemnie się przeobraziła: wyciągnęła do przodu, zmniejszyła, a z ust dobiegło kocie miauczenie. Ciało tresera Sidorowa wygięło się tak, jakby miał olbrzymi ogon.

— I kota też... na miazgę? — zapytał Grubin.

— I panterę — powiedział Sidorow. — I tak już była stara. Szła do kasacji.

— A wasze zwierzęta... — Grubina sparaliżował straszliwy domysł.

— Moje zwierzęta przejęły zdolności od innych — przyznał Sidorow. — Tygrysy jadły koguty, a niedźwiedzie krokodyle, nie mówiąc już o innych stworach.

— Ale po co? Po co? — zakrzyknął zrozpaczony Grubin. — Co popchnęło was do takiego wątpliwego moralnie działania?

— Wątpliwego moralnie? — Sidorow rozprostował ramiona i jakby stał się wyższy. — Nie ma wątpliwej moralnie nauki! Nauka sama dyktuje swoje reguły. Jeśli jest odkrycie, to należy je wykorzystać. Nie ma drugiej możliwości! Jeszcze mnie uznają i dadzą Nobla, albo przynajmniej nagrodę państwową.

— A ten wasz przyjaciel... Ramakriszna? — zapytał Grubin, który odczuwał coraz silniejszy lęk przed treserem.

— Mojemu drogiemu Ramakrisznie przydarzył się dramat. Wzięłem go do siebie na asystenta — wykonywaliśmy wspólne doświadczenia na moich tresowanych pupilach. I pewnego razu Ramik nażarł się słoniowego ekstraktu i wszedł do klatki z lwami. Myślał, że żaden lew nie odważy się go tknąć... myślał, że każdego może rozdeptać. No, w sumie, przecenił swoje siły.

— Czy był pijany? — zapytał Grubin.

— Ani kropelki nie miał w ustach! Oni tam w tych Indiach nie piją. Czasem tylko odrobinę. — Sidorow odwrócił wzrok, na jego twarzy widać było wyraźnie fałsz.

— A rozpuszczalnik przeszedł w wasze ręce?

— Jaki rozpuszczalnik?

— Z kameleonów i nefrytowego pyłu?

— Ć-śśśśś! Chcesz, żeby ktoś usłyszał?

— Jeśli nawet usłyszą, to nie zrozumieją... No dobrze, to ja się żegnam.

— Sasza, gdzie idziesz?

— Do domu.

— Przecież dopiero zacząłem opowiadać!

— Ale to mnie już nie interesuje — powiedział szczerze Grubin. — Ja myślałem, że wyście je naprawdę wytresowali, własnoręcznie. A okazuje się, że to kasza z sosem z nefrytu z kameleonami!

— Nie, Sasza, ja cię tak łatwo nie puszcę — powiedział Sidorow i objął Grubina za ramiona. — Nie mogę pozbyć się przyjaciela w tę niespokojną noc. Muszę się z tobą podzielić planami na przyszłość.

— Nie trzeba!

— Ja wiem lepiej, co trzeba, a co nie — powiedział Sidorow, a potem ryknął tak, że Grubinowi zadrżały kolana.

Sidorow roześmiał się.

— Z moimi niedźwiedziami skonsumowaliśmy jednego tygrysa. Mięso było twarde — dwa młynki do mięsa połamałem, dasz wiarę? Teraz w moim numerze niedźwiedzie skaczą na dwadzieścia metrów. Ja też mogę. Pokazać ci?

— Nie trzeba. Już mi pokazywałeś.

Zbliżali się do cyrku — przed nimi płonęły jego nocne światła.

— Wiem, dlaczego się dąsasz — powiedział Sidorow. — Myślisz, że jestem egoistą, że wszystko dla siebie! A nieprawda! Ja taki nie jestem! Ja chcę dla ludzi, dla narodu, dla ludzkości, żeby wszystko mogli i potrafili! Żeby dzieci można było nakarmić rybami, a one nie topiłyby się nawet jako niemowlęta. Niektórych można by było nauczyć latać. Dlaczego niby nie? A Czerwonemu Kapturkowi — posłuchaj, jakie jaja — Czerwonemu Kapturkowi zaszczepić charakter wilka — on się do niej wyszczerzy, a ona do niego jeszcze mocniej!

W tym momencie Sidorow zaczął się tak mocno śmiać, że w pobliskim domu otworzyło się okno i rozległ się kobiecy krzyk:

— Bo milicję zawołam! Spać nie dajecie!

— No to dlaczego nie spieszycie się uczynić ludzkość szczęśliwą? — zapytał Grubin. — Jesteście młodzi, a młodzi mają u nas priorytety. Co was powstrzymuje?

— Ech, Sasza, Sasza, nie wyczuwasz ty prawdziwego rzeczy położenia! Gdzie mam pójść ze swym epokowym odkryciem?

— Do Akademii Nauk — powiedział Grubin. — Dokąd jeszcze?

— A oni mnie zapytają — w jakim instytucie opracowywano ten temat naukowy? Kto był waszym naukowym promotorem?

— Ale wy im wyjaśnicie jak to wszystko było — o Indiach... o Ramakrisznie!

— A będziesz mnie odwiedzał w domu wariatów? — zapytał Sidorow. — Pomarańcze będziesz przynosił?

— Pokażecie im! Pokażecie wyniki!

Sidorow wydał z siebie głębokie i smutne westchnienie.

— Ech, Sasza — powiedział. — Przyznam ci się, usiłowałem już wpłynąć na świat nauki. Czyja nie rozumiem, że z takim odkryciem mógłbym stać się sławny? Nie chcę, by odkrycie wpadło w ręce militarystów. To normalka — jestem zwyczajnym radzieckim człowiekiem, chciałbym przez społeczność naukową osiągnąć przysługującą mi sławę.

— No to osiągnajcie! — powiedział Grubin.

— Ale ja mam tylko szkołę cyrkową skończoną, nie rozumiesz tego?! To jest dramat! Muszę mieć dyplom uniwersytetu. Muszę mieć talent fizyka czy w najgorszym wypadku matematyka. Wtedy zdam eksternistycznie egzaminy, wtedy docenta dadzą, a do członka akademii to już rzut beretem.

Sidorow pociągnął nosem i oczy mu roz błysły poważnym oraz surowym światłem.

— A jak nie dadzą, — ucieknę za granicę.

— Po co?

— Tam do ludzi odnoszą się bardziej humanitarnie. Urządę się w Iranie — tam będę naprawdę kimś potrzebnym — dołożę do żarcia oddziałowi partyzantów jednego tygrysa i taki pluton będzie wart dwóch batalionów!

— Och, Sidorow, zaczynam się was bać — powiedział Grubin.

Grubin był już całkowicie trzeźwy. Sidorow zauważył, że Grubin posmutniał i powiedział:

— Żartuję. Żartuję. Udam się mimo wszystko do naszej Akademii. A może do Komitetu do Spraw Sportu. Rozumiesz: rekord świata w skokach wzwyż — nasz. Musisz tylko zjeść zająca. Rekord świata w biegach na długie dystanse — nasz...

— Musisz tylko zjeść jelenia — podpowiedział Grubin.

— I przepędzą mnie — skwitował Sidorow.

— Dlaczegoż to?

Stali już przed wejściem do obozu cyrkowców. W wozach pogasty światła, tygrysy poszczekiwały stłumionymi głosami i gdakały w klatkach.

— Nie mam wykształcenia — powiedział Sidorow. — Angielski znam tylko ze słownikiem. A formalnego wykształcenia nie mam.

— Możecie się uczyć zaocznie. . .

— Poczekaj. — Sidorow przeszedł na głośny szept. — Wiem, co im powiem. Powiem, że jestem doktorem, tylko zgubiłem legitymację doktorską. Niech mnie przepytają.

— Doktor jakich nauk?

— Matematycznych.

— A dacie radę?

— Dam. Mam taki jeden plan. Od dawna go noszę w umyśle. Ale tobie powiedzieć nie mogę, nerwy masz słabe.

— Ja mam słabe nerwy? — obraził się Grubin. — No to idę.

— Nie, nie idź jeszcze. Tylko przysięgnij, że ani słowa żywej duszy. . .

— Przysięgam.

— No to słuchaj. — Sidorow pochylił się do ucha Grubina i szepnął: — Zjem Tanię Karantonis.

— Co?

— No, niecałą, ale kawałek. Dla ciebie też wystarczy, nie martw się. Matematyka każdemu się przyda. Jadłem kiedyś dusiciela — paskudztwo, jak guma. Ale za to teraz mogę precyzyjnie się przez każdą szparę, jakbym nie miał kości. Chcesz zobaczyć?

— Nie — powiedział Grubin, z niepokojem patrząc na ciemne wozy. Wiedział, że Sidorow nie kłamie. Sidorow naprawdę chciał wniknąć w szeregi Akademii Nauk za pomocą przestępczego proceduru.

— No to nie. Ta Tania ma wspaniałe zdolności do matematyki. Zjemy ją i od razu walimy do Akademii. Ty też dostaniesz docenta. Będziesz moim zastępcą. Rozumiesz?

— Rozumiem — powiedział Grubin starając się opanować ogarniające całe jego wnętrze drżenie.

— Nie ma co odkładać na później. Ja bym ją i wcześniej już zjadł, ale ciągle występowałem w różnych zespołach. A teraz w końcu jest sprzyjający moment. Ty już sobie idź, przyjdź jutro, a ja ci pomogę. Będziesz znał całą matematykę. Ile jest dwa razy dwa — na sto procent.

I Sidorow roześmiał się cicho.

— Idę z tobą — powiedział szybko Grubin. Wiedział, że nie wolno zostawiać Sidorowa samego. Życie pięknej Tani jest w niebezpieczeństwie. Nie wolno dopuścić do popełnienia takiej zbrodni! Tylko on może powstrzymać Sidorowa, milicja nie pomoże. Jeśli on, Grubin, przyjdzie kiedykolwiek na komisariat i powie, że ten artysta zjadł Tanię Karantonis, wszyscy uznają, że Grubin zwariował i przegonią

go precz. A Sidorow może z zemsty napuścić swoje tygrysy na bezgrzesznego Grubina.

Myśli te przemykały po jego głowie z prędkością błyskawicy, krzyżowały się i z trzaskiem waliły od wewnątrz w puszkę mózgową.

— Idę z tobą — powiedział Grubin.

— Nigdy w życiu — nie zgodził się Sidorow. — Nie potrzebuję świadków, ty mnie zakapujesz. W ogóle niepotrzebnie ci wszystko opowiedziałem. A może i zażartowałem sobie z siebie?

— Dobrze — powiedział Grubin udając, że zgadza się z Sidorowem. — Bo ja to już ci uwierzyłem. . .

— No to idź sobie — powiedział Sidorow. — Już późno.

— Dobrze — powiedział Grubin.

Sidorow nie podał mu ręki, tylko od razu zniknął za płotem. Grubin wiedział, że daleko odejść nie mógł — zbyt szybko zrobiło się dookoła cicho. A to znaczy, że stoi gdzieś i obserwuje Grubina.

Sasza odwrócił się i wolno oddalił się od cyrku. Do butów dostała mu się woda i teraz tam chlupotała. Na plecach Grubin czuł zimne niczym woda spojrzenie tresaera. Gdzieś daleko z tyłu rozległo się basowe „ku-ku-ry-ku!”. Tygrysy nie mogły zasnąć.

Grubin odważył się odwrócić dopiero wtedy, gdy brezentowa kopuła całkowicie zniknęła w ciemnościach. Stał chwilę, nasłuchiwał. Potem wolno poszedł z powrotem. Szedł nie w kierunku bramy, ale trochę zbaczał w lewo. Oto i płot. Niezbyt wysoki, da się pokonać. Grubin jeszcze nasłuchiwał. Cicho. Przeskoczył przez płot, który się zakołysał. Grubin znieruchomiał. Sidorow musiał mieć jakiś plan. Musi to wykonać tak, by zabójstwo uszło mu bezkarnie. Może po prostu zaciągnie ją pod jakimś pretekstem do klatki z tygrysami i powie potem, że sama jest sobie winna? To do niego podobne. Przecież sam zjadł tygrysa.

Jak zatem odszukać wóz Tani?

Grubin skradał się przejściem między wozami. Słabe światło legło na ziemi, jakby gdzieś nieopodal paliło się światło w jakiejś stróżówce. Skręcił zawóz, rzeczywiście, paliło się światło. Grubin, odpędzając od siebie nadzieję, podkrał się do okienka i wspiał się na palce.

Tania Karantonis siedziała w szlafroczku przy stole i czytała książkę.

Kamień spadł mu z serca. Żyła.

Ale Sidorow mógł być blisko. Grubin przylgnął do ścianki wozu. Deszcz spływał z dachu prosto za jego kołnierz. Ale ten był już tak mokry, że dodatkowych kropel w ogóle już nie odczuwał.

Tak upłynęło jakieś dwadzieścia minut. Sidorow nie przychodził. Grubin zmarł okrutnie, w nodze złapał go skurcz. W każdej chwili mógł umrzeć z powodu wychłodzenia organizmu. Pojawił się katar, najpierw nie było to groźne, potem

zaczęło łaskotać w nosie. Grubin powstrzymywał się jak mógł. Raz kichnął osłaniając się i tłumiąc odgłos dłonią, niemal bez dźwięku. Ale nagle dostał ataku — kichał i kichał, tak, że za chwilę powinni byli zbiec się wszyscy ludzie z miasta. Kichał zgięty w pół, od tego kichania trzęsła się ściana wozu, a on nie miał nawet sił by odejść na bok.

W takim zgiętym położeniu zobaczyła go Tania Karantonis, który wyskoczyła na zewnątrz. Światło z otwartego wozu oświetliło Grubina i Tania od razu go poznała.

— Co się stało? — zapytała wstrząśnięta.

— Nie... nie...

— Proszę natychmiast do środka. Sidorow utonął?

Atak minął. Starając się unormować oddech, Grubin powlókł się w kierunku drzwi. Jeszcze nie wiedział — dobrze to czy źle, że Tania go zdemaskowała. Ale przynajmniej nie grozi mu teraz śmierć z zimna.

Tania podała mu szczupłą, ale mocną dłoń, pomogła wejść po schodkach.

— Wyglądacie jak śmierć na chorągwi — powiedziała.

— I jesteście przemoczeni do suchej nitki. Co się stało? Obawiam się najgorszego.

— Nic — wykrztusił w końcu Grubin.

W wozie było stosunkowo ciepło, lampa nad stołem oświetlała podręczniki.

— Gdzie Sidorow?

— Przygotowuje się.

— Czy wy się źle czujecie? — zapytała Tania.

— Nie. Proszę mi dać chwilę, żebym zebrał siły. Przepraszam najmocniej.

— Za co?

— Za to, że wdarłem się o tak późnej godzinie.

— Przecież się nie wdarliście. To ja was zaprosiłam. Do czego zatem przygotowuje się Sidorow?

— Żeby was zabić.

— Zabić? — roześmiała się Tania. — Za co miałby mnie zabijać?

— Za matematykę.

— Źle się jednak czujecie, co?

— Proszę mnie wysłuchać, Taniu — powiedział Grubin cicho, ale przekonująco. — Jestem całkowicie normalnym człowiekiem. Chociaż może teraz i nie przypominam normalnego. Ale Sidorow chce was zjeść.

— No to co? On tak zawsze mówi. To jego ulubiony żart, a on wcale nie jest złym człowiekiem.

— To nie jest żart, Taniu. On chce naprawdę was zjeść. Żeby opanować waszą wiedzę matematyczną.

— Czy do tego trzeba mnie zjadać? Trzeba się raczej pouczyć.

Tania ciągle się uśmiechała. Może i uważała Grubina za dziwaka, ale nie bała się go. Postanowiła, że należy odciągnąć go od kretyńskich myśli.

— Ja teraz zajmuję się rosyjskim — powiedziała. — Do matematyki mam zdolności, a do ojczystego języka nie bardzo. Zmieniłam chyba ze dwadzieścia szkół, kiedy jeździłam z mamą i tatą po cyrkach. No i kuleje moja ortografia. Wiecie, napisałam spadochron przez „h” w dyktandzie. Śmieszne, co?

— Nie, wcale to nie jest śmieszne. Grozi wam niebezpieczeństwo i jeśli nie schwytały go dziś na gorącym uczynku, to język rosyjski w ogóle nie będzie już wam potrzebny. Proszę mi nie przerywać. Jak występują jego zwierzęta? One zmieniają się w inne zwierzęta. A dlaczego? Ponieważ on te zwierzęta karmi innymi i całą informację z komórek przekazuje im, jak planarie.

— Nic nie rozumiem — powiedziała Tania.

W tej samej chwili Grubin znieruchomiał i przyłożył palec do ust. Tania też zamilkła.

Nieopodal ktoś pośliznął się, wdepnął widocznie w kałużę i zaklął.

— Proszę usiąść przy stole — szepnął Grubin. — Jak gdyby nigdy nic.

A sam wskoczył do otwartej szafy, ukrył się wśród sukienek. Cekiny błyszczały i zapach pudru świdrował w nosie.

Tania podporządkowała się, usiadła przy stole i Grubin od razu zobaczył przez szczelinę między sukienkami, jak za szybą pojawiła się mokra twarz tresera. Tania go nie widziała. Grubin przygotował się, skoncentrował niczym przed skokiem do wody. Skrzypnęły schodki. Do drzwi ktoś cicho zastukał.

— Kto tam? — zapytała Tania, nie wstając od stołu. Tylko mocno pobladła.

— To ja, Sidorow — powiedział treser otwierając drzwi.

— Skończyły mi się papierosy, a wszyscy już śpią. Nie masz, Tanieczko, przypadkiem?

— Przecież wiecie, że ja nie palę — powiedziała Tania, podniosła się i cofnęła o krok.

— Nie bój się mnie, dziewczyno — powiedział Sidorow.

— W mojej głowie są tylko dobre myśli.

Spływała z niego woda, a z gładko przyczesanej głowy waliły kłęby pary. Sidorow oddychał szybko. Zrobił dwa kroki w kierunku Tani.

— Spokojnie, kochaneczko — powiedział. — Ogrzeję się tylko. Posiedzę i ogrzeję. Nie masz nic przeciwko temu?

— Jesteście, Sidorow, pijany — powiedziała Tania. — Proszę iść się wyspać.

— Nie — powiedział Sidorow i wyciągnął trzymaną w kieszeni rękę.

W ręce był nóż. Sidorow skoczył do przodu.

Ale Grubin też skoczył mu na spotkanie. On, chociaż nie jadł nigdy tygrysa, był przygotowany na działania Sidorowa. Był mężczyzną i bronił życia kobiety. Nie mógł dopuścić, by Tanię ktoś zjadł.

Zderzyli się w powietrzu. Nóż tresera przejechał po ręce Grubina i wypadł.



— Ty — zakrzyknął Sidorow, odlatując w ką. — Ty! Zdrajco! Judaszu! Sam nie jesz i innym nie dajesz!

Grubin zdążył przydepnąć nóż. Chwycił w ręce krzesło. Sidorow na czworakach odpełzał ku drzwiom.

— Proszę go trzymać — powiedziała Tania. — Zwiążemy go!

Treser rzucił się do tyłu, długim susem wypadł z wozu. Grubin skoczył za nim.

Znowu pojawił się na niebie księżyc i wyraźnie było widać, jak mało przypominająca człowieka postać pędzi w kierunku klatek.

Jeszcze chwila, szcęknęła zasuwa i Sidorow znalazł się za prętami kraty.

Sasza i Tania pędzili do klatek i nie wiadomo dlaczego milczeli, nie budzili nikogo. Jakby wstydziło się tego, co działo się na ich oczach. A tymczasem głodne tygrysy, rozdrażnione fatalną pogodą, niewyspane, rzuciły się do tresera. Krótkie starcie, splot ciał, ryk, szczekanie i miauczenie. . .

Otwierały się drzwi wozów. Artyści wyskakiwali na dwór, obudzeni przez hałas, wszędzie zapalały się ognie.

Ale kiedy udało się w końcu wejść do klatki, było już po wszystkim. Sidorowa rozdarły na strzępy drapieżniki.

Nikt nie zauważył, jak Grubin pochylił się i podniósł z ziemi staroindyjskiej roboty sygnet Sidorowa.

Dwa dni później Tania Karantonis siedziała u Grubina w małym, ale wysprzątanym, choć i tak zagraconym pokoiku. Pili herbatę. Sąsiedzi po trzy razy zaglądali tu, jedni pożyczali sól, inni cukier. Sąsiadów dręczyła ciekawość.

— Dziękuję za kolację — powiedziała Tania. — Była lepsza niż w restauracji.

— Staralem się jak mogłem — powiedział Grubin patrząc z czułością na Tanie. — Nawet zrobiłem kurczaka po gruzińsku. Zamiast specjalnej żeliwnej pokrywki użyłem ciężkiego żelazka. Dobrze wyszedł?

— Nigdy bym się nie domyśliła, że to pod żelazkiem — powiedziała Tania.

Przez te nerwowe dni jakby wyszczupiała, miała cienie pod oczami — a to przesłuchanie w komendzie, i zebranie w cyrku. . .

— Więc śledztwo ustaliło, że to nieszczęśliwy przypadek? — zapytał Grubin, choć sam wszystko wiedział.

— Tak. W stanie upojenia alkoholem wlaź do klatki z tygrysami i zginął. Wszystko to takie straszne. Przecież to przeze mnie, przeze mnie!

— Świetnie wszystko rozumiem — powiedział Sasza Grubin. — Gdyby on nie zginął, to was nie byłoby wśród żywych.

— To straszne — powtórzyła Tania. — A co mówiliście o pierścieniu? Macie go?

— Tak. Poślę go do Moskwy, na badania.

— Ale, Sasza, proszę powiedzieć, że to „brednie. To był chory człowiek.

— Chciałbym, ale nie mogę tak powiedzieć.

- Proszę się przyznać, będzie mi lżej.
- Dlaczego lżej? Umiecie naśladować dźwięki?
- A co to ma do rzeczy? Nie umiem.
- No to proszę udać koguta.
- Po co? Przecież nie umiem.
- Proszę spróbować.

Tania uśmiechnęła się, ale uśmiech był wysiłony, zmęczony.

- Chcecie mnie oderwać od głupich myśli?
- Mimo wszystko nalegam.

Tania otworzyła usta i nagle dom rozbrzmiał czystym, naturalnym kogucim krzykiem.

- Oj. . . — powiedziała Tania i zasłoniła usta ręką.
- No i widzicie — powiedział Grubin. — Zjedliśmy kurczaka.
- Dosypaliście ten rozpuszczalnik?
- Inaczej nikt by mi nie uwierzył.
- Jak wam nie wstyd?

Stary Łóżkin, amator przyrodoznawca, mieszkający nad Grubinem, powiedział do żony:

- Coś się Grubin zrobił tajemniczy. Koguta w domu trzyma. Po co?
- To cyrkówka u niego siedzi. Naśladuje dźwięki — odpowiedziała żona i wróciła do swojej robótki.

1971  
przełożyli Ewa i EuGeniusz Dębscy

## Szpiegowski bumerang

Dramatyczne wydarzenia związane z budową w Moskwie nowej ambasady USA powoli odchodzą w niepamięć. A wielu ludzi w ogóle już o nich zapomniało.

Przypomnę więc.

W wyniku rozmnożenia wielu dyplomatycznych stanowisk, USA i ZSRR zgodziły się, że muszą wybudować nowe potężne i pojemne ambasady w trybie wzajemności. My — w Waszyngtonie, oni — w Moskwie.

Obie wysokie strony zgodziły się, że aby nie wozić w obie strony murarzy i tynkarzy, należy wykorzystać tubylną siłę roboczą. Trudziła się ona pod nadzorem pracowników bezpieczeństwa wrogiej strony.

Kiedy wzniesiono już mury, Związek Radziecki zwołał konferencję prasową, na której pokazano wszelakie żuczki, pchełki, rureczki i lampki, jakimi Amerykanie naszpikowali ściany.

Amerykanie odpowiedzieli nieadekwatnie. Powiedzieli mianowicie, że z powodu obfitości urządzeń podsłuchowych w ich ambasadzie nie widać w ogóle cegieł.

Ruszyła lawina wzajemnych oskarżeń i uraz, budowa została wstrzymana, Amerykanie postanowili budować się od nowa, górne piętra zostały rozebrane. A tu nagle władza nam się zmieniła, i krajem zaczęli kierować ludzie szczerzy i uczciwi. Nowy Przewodniczący KGB Bakatin wziął i oddał Amerykanom wszystkie nasze plany: co, i gdzie, zostało wetknięte.

Wyobrażacie sobie, co po tym fakcie zaczęło się dziać w Ameryce! Amerykanie uznali, że Bakatin jest diabelnie chytrym człowiekiem i zaczęli wszystko, co zostało zbudowane, burzyć jeszcze bardziej gorliwie niż wcześniej. A nasi z kolei uznali zachowanie Przewodniczącego KGB za przesadnie uczciwe i posłali Bakatina na daczę, żeby sobie tam róże hodował.

Amerykanie pozostawili w całości tylko fundament i na nim wzniesli nowy budynek przy pomocy rąk sprawdzonej piechoty morskiej.

To cała historia.

Ale ma ona ciąg dalszy.

W gabinecie dyrektora Federalnej Służby Bezpieczeństwa zadzwonił telefon. To był sygnał telefonu bezpośredniej łączności z dyrektorem Służby Wywiadu Zagranicznego.

Dyrektor FSB zapytał:

— Co jest? Wywiadowca odpowiedział:

— To nie jest sprawa na rozmowę telefoniczną. Przyjdź do wejścia numer dziewięć. Będę czekał na ciebie na zewnątrz, poznasz mnie po czerwonym goździku w klapie i gazecie „Słowo i czyn”.

— Dobra — powiedział czekista, z tonu głosu rozmówcy zrozumiał, że sprawa jest poważna. — Ale z tym kwiatkiem to musimy coś zmienić. Cały świat nas wykrywa przez te czerwone goździki. Jakich wspaniałych ludzi przez to straciliśmy!

Po dziesięciu minutach, gdy był już na dole, zobaczył obok wejścia wywiadowcę z pismem „Playboy” i białym goździkiem w butonierce. Zresztą, poznałby go i bez tego maskowania.

— Dokąd idziemy?

Wywiadowca nie odpowiedział, w milczeniu poprowadził kolegę przez przejście podziemne do kawiarenki bez krzeseł, gdzie wcześniej znajdowała się rada organizacji pionierskiej.

Zamówili cappuccino.

— Dzisiaj — powiedział wywiadowca — o dziewiątej czterdzieści dwie, przechwycona została rozmowa między rezydentem wywiadu USA w Moskwie, radcą Robertsem i nieznanym nam, jak na razie, agentem.

— Zuchy — powiedział czekista. — Ale cappuccino tu jest do kitu.

Przeszli do pobliskiej kawiarenki. FSB zamówiła sobie espresso, a SWZ — cappuccino.

— Gdzie odbyła się rozmowa? — zapytał dyrektor FSB.

— W centralnym budynku nowej ambasady.

— Coś ty!

— Właśnie. A cappuccino tu jest wyśmienite.

— Budynek został rozebrany aż do fundamentów? — upewnił się czekista.

— Rozebrany.

— Zbudowali od nowa?

— Zbudowali.

— Bakatin plany im oddał?

— Oddał.

— No to jak żeście podsłuchali? Czyżby Ornitolog?

Wywiadowca pokręcił przecząco głową.

Ornitologiem nazywano pewnego namolnego wynalazcę, który opracował metodę wszczepiania mikrofonów do głów moskiewskich gawronów. Ale okazało się, że wyposażenie w mikrofony wszystkich gawronów jest technicznie nie do

zrealizowania, a poza tym wściekle kosztuje, a jeśli ograniczy się liczbę wstępów do wybranych egzemplarzy, to lecą one gdzie chcą, a już na pewno nie do Amerykanów.

— Mów — poprosił dyrektor FSB.

— Zostawili fundament. Przeczyścili go, obmacali i obwąchali, wyjęli wszystko, co można było, ale podstawa została.

— Od fundamentu do gabinetu rezydenta nie da się sięgnąć. Dźwięk nie dojdzie.

Wywiadowca skinął głową. ,

— No to jak?

— Grubin — wypowiedział wywiadowca krótkie nazwisko.

— Czyżby?

— On ci.

— Czas go budzić — powiedział dyrektor FSB.

Grubin był agentem „spiochem”, to znaczy takim „nieuczynnionym”. Niby nie martwym, ale i nie żywym.

Zresztą, trudno by go było nazwać agentem, ponieważ on sam uważał siebie za patriotę, a zgoła nie za agenta.

Ale już w czterdzieści minut po rozmowie FSB z SWZ, skromne audi naczelnika miejskiej służby bezpieczeństwa Wielkiego Guslaru, straszliwie zaskrzyplawszy hamulcami, zatrzymało się przed domem numer 16 na ulicy Puszkina.

Naczelnik o nazwisku Policemako, przemknąwszy przez podwórze pod oknami skromnego grubinowskiego mieszkańca, zastukał do drzwi w umówiony sposób: „Spartak-mistrzem-jest!”

Od sześciu lat Grubin nie słyszał tego stukania.

Drgnął.

Zebrał się na odwagę i podszedł do drzwi. Otworzył je. Wpuścił majora Policemako. Przywitał się.

Major też się przywitał.

Miasto duże nie jest, wszyscy się znają.

— Kawa, herbata? — zapytał Grubin.

Policemako pokręcił przecząco głową.

Przypatrywał się nastroszonemu mężczyźnie w średnim wieku, przygarbionemu i chudemu. Przypatrywał się Aleksandrowi Grubinowi, znanemu w mieście wynalazcy i dziwakowi.

Grubin wyjął z szafy napoczętą butelkę „Guslarskiego Absolutu”.

Wypili z Policemako za spotkanie, za miniony Nowy Rok, za Dzień Niepodległości.

— Ta twoja zaczęła pracować — powiedział Policemako.

— A ty skąd wiesz, majorze? — zapytał Grubin.

— Jeśli się nie mylę, to będę generał-majorem — odezwał się Policemako.

Wypili za to. Pomilczeli znacząco. Grubin wspominał.

Pięć czy może siedem lat wcześniej, kiedy budowa ambasady była jeszcze na etapie planowania, profesor Minc, który mieszka obok, natrafił na kosmiczną bakterię. Czy też raczej — zarodek.

Profesor ogromnie zainteresował się przybyszem i zaczął go intensywnie badać.

Czego się dowiedział?

Okazało się, że bakterie te przemierzają głęboki i otwarty kosmos i z trudem odnajdują się wzajemnie. W procesie ewolucji nauczyły się więc — czytać myśli, słyszeć je poprzez ogromne odległości. No bo jak inaczej odnaleźć ukochaną?

Podzielił się kiedyś Minc swoim odkryciem z Grubinem. A Grubin to przecież niesamowita złota rączka. Kiedyś zdarzyło mu się nawet, że zapisał tekst poematu „Słowo o pułku Igora” na ziarnku ryżu, ale poemat ten zaginął — jakiś ptak go dziobnął i po sprawie.

Ale w Grubinie nigdy nie zagięła skłonność do tak zwanego pchlizmu. Pchlizm to cecha rosyjskiego narodu, pozwalająca mu podkuć pchłę, która po tej operacji nie może już skakać. Czytaliście o tym? Klasyczny rusofiloizm, stworzony przez pisarza Leskova.

Grubin zobaczył pod mikroskopem sąsiada kosmiczne bakterie, które za pomocą wąsików nadawały do siebie sygnały. Sygnały te były tak wyraziste, że szczególnie czuły odbiornik Minca, przerobiony przez Grubina ze zwykłego Sony, głośno pikał, reagując na wezwania Mincowskich jeńców. W tym momencie w umyśle Saszy Grubina dojrzał plan.

Należy dodać bakteriom nóżki albo kółeczka, żeby mogły poruszać się po wszechświecie i spotykać się z koleżankami nie tylko z woli kosmicznych strumieni, a według własnego widzimisie.

Realizacja planu nie była łatwa, brakowało materiałów i doświadczenia w tego typu działaniach. Pewnego razu, zmęczony się, Grubin siedział ze swym starym znajomym czekistą Policem i opowiadał mu o swych problemach. Policem, mimo że był sztywny jak bukszpryt, zachował się jak prawdziwy profesjonalista — utrzymał rozmowę w pamięci i posłał sprawozdanie z niej do Centrali.

W Centrali notatka trafiła do rąk pewnego człowieka o jasnym umyśle (związał on potem do wrogów, ale został po drodze zastrzelony na granicy przez tadżyckich przewodników). Jasny ów umysł, Giennadij, odpowiadał za nasycenie odpowiednią aparaturą nowo budowanej amerykańskiej ambasady. Jeśli, myślał on wtedy kierując się do szefostwa, ten dziwak Grubin doda bakteriom nogi, to niewykluczone jest, że da się je zastosować w celach operacyjnych.

Szefostwo pochichotało, a potem spotkało się na bankiecie z dowódcą wywiadu i, żeby rozweselić generała, opowiedziało o dziwaku z Wielkiego Guslaru.

Dowództwo różniło się od swych podwładnych. Ono wiedziało, że wielkie wynalazki przychodzą na świat w miejscach dla nich nie przeznaczonych. A szpiedzy wpadają przez drobiazgi.

— Stworzyć mu warunki — polecił generał zdumionemu pułkownikowi i następnego dnia Grubina wzięli po prostu we własnej klatce schodowej i przywieźli do Wołody w suce, stamtąd „czarny pociąg” przywiózł go do Moskwy. A tam czekało nań laboratorium i wszystkie bakterie skonfiskowane profesorowi Mincowi. Minc natomiast otrzymał przymusowe skierowanie do resortowego sanatorium Akademii Nauk.

Należy przyznać, że do chwili, kiedy ambasada była już nafaszerowana odpowiednią aparaturą, Grubin wiele nie zdziałał. Dorobił bakteriom buty, ale te okazały się dla nich niemal kajdanami. Bakterie uparcie usiłowały pozbyć się ich albo i pożreć. A te, co się poddały i nie zdejmowały, poruszały się tak wolno, że wstyd było wysłać je do Amerykanów.

Grubinowi obcięli dotacje, potem otrzymał ostrzeżenie w temacie nieodpowiedzialności. Nie otrzymał etatu, ale to go nie martwiło, wręcz przeciwnie — cieszył się, że nie jest na etacie. Krótko mówiąc — po jakimś czasie Grubina puścili do domu, a Minca wypisali z sanatorium.

Ale żeby już tak kompletnie nie wyrzucać na wiatr państwowych pieniędzy, czekiści wrzucili cały zapas bakterii w szczelinę piwnicy ambasady.

Oto i cała opowieść.

Od tego czasu minęło pięć czy siedem lat, wszystkie pozostałe środki podsłuchu zostały zlikwidowane albo zdemaskowane, a bakteria wolno-wolniusieńko sobie przepęzła szczelinami na czwarte piętro i nastawiła uszu, starając się usłyszeć czy aby nie ma w pobliżu samiczki.

A ponieważ w określonych strukturach państwa nie zwykło się niczego wyrzucać, nawet wasze teczki założone jeszcze w dzieciństwie tam leżą, to sygnał od bakterii zapisał się na taśmie w Centrali. Dyrektor SWZ zaprosił na spacer dyrektora FSB. Policjmak pośzedł do Grubina.

Napompowali się z Grubinem do utraty tętna.

Już z Moskwy, z automatu, Grubin zadzwonił do Minca. W słuchawce coś szurgotało, popiskiwało i sapało. Telefon Minca był ściśle kontrolowany przez organa.

— Lwie Christoforowiczu — zapytał Grubin. — Czy pan też sądzi, że bakteria dolazła do czwartego piętra? Według moich obliczeń to jeszcze ma kupę czasu do przepęznienia.

— A jak inaczej można to zinterpretować? — zapytał Minc.

— Może zaczęła się ciecзка? Godowy, że tak powiem, okres?

— Skąd taki pomysł?

— Intuicja — powiedział Grubin.

Minc zrozumiał, że nie tylko intuicja. Ale to nie na rozmowę telefoniczną.

Wyszedł na ulicę i zaczął spacerować, rozmyślać. Za nim spacerowała służba obserwacji zewnętrznej i co rusz prosiła Minca o ogień.

Tego samego wieczora Grubina wezwał do siebie dyrektor SWZ.

— Dostaniesz premię — powiedział — w wysokości dziesięciu wyflat.

— W dolarach? — zapytał Grubin.

— Wstydziłbyś się — powiedział wywiadowca. — Nawet ja nie zawsze dostaję w dolarach. Lepiej powiedz mi, co przemilczałeś w rozmowie z Mincem? Przez cały dzień słucham taśmy i nic. Czuję, że coś tam jest, ale co — nie rozumiem.

Grubin spróbował uniknąć odpowiedzi.

— A co tam u naszego przeciwnika? Tak między sobą nazywali Amerykanów.

— Dużo ciekawego. Osobiste rozmowy. Służbowe rozmowy. Po prostu skarbiec. Przyznasz się w końcu, co cię niepokoi?

W tym momencie Grubin domyślił się, że wywiadowcę wielkiego mocarstwa, generała z trzema gwiazdami na epoletach, też coś niepokoi.

Wtedy machnął na wszystko ręką i powiedział:

— Kiedy pracowałem z tymi bakteriami nie zastanawiałem się czy są zaraźliwe czy nie. Minc mi powiedział, że mają niezziemski metabolizm, mało szans, że można się nimi zarazić. Uspokoilem się. Przykręcając im nóżki pod mikroskopem nie nakładałem rękawiczek, oddychałem powietrzem bez maski i nie liczyłem egzemplarzy, sam pan rozumie.

— Nie rozumiem — poważnie powiedział wywiadowca.

— Zapomniałem o nich. Aż pan mi przypomniał. I nagle wczoraj usłyszałem... proszę mi wybaczyć, trudno mi o tym mówić.

— Sprawdziliśmy — oznajmił domyślny generał. — Jesteś poważnie zaangażowany, ona ma na imię Weronika, pracuje jako kasjerka w księgarni. Odnotowaliśmy też istnienie rywala...

— Proszę — nie, obywatelu generale! — jęknął Grubin. — Niech mnie pan nie katuje.

Generał podszedł do okna. Za oknem znajdowała się zwyczajna ulica, zwyczajne domy, dla ciekawskiego oka — zwyczajna wirtualna rzeczywistość.

— Mnie też nie jest lekko — głuchym głosem oświadczył generał. — Mam młodą żonę. Trzecią. Dobrze, że już przynajmniej partii nie ma, boby mnie mogli wykluczyć za amoralny tryb życia. Wczoraj trochę się zatrzymałem w pracy — wiesz, co to za robota: nie mamy ścisłych godzin, nie mamy rozkładu... Siedziałem w pracy i przeniosłem się myślami do Łarisy. Siedzę oto w gabinecie, mknę do niej myślowo, i nagle słyszę w swej świadomości: „Odczep się, nudziarzu, nie widzisz z kim teraz jestem?” Aż mi się głupio zrobiło. Wszystko przeszedłem — i Koreę, i Afganistan, i Angolę. Myślę sobie — zwidziało mi się. Biorę samochód, pędzę do domu... a jej nie ma. Przyszła po półgodzinie, i powiada: „Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z podejrzeniami, grałyśmy z koleżankami w durnia u Lusi”.

— To znaczy, że miał miejsce kontakt? — zapytał Grubin.



Generał w milczeniu skinął głową i splunął na parkiet.

— Czy ty swojej też posłałeś pozdrowienie?

— Nie, ale dostałem od niej — przyznał Grubin. — Mniej więcej taki: „Mój kochany! Jeśli długo jeszcze będziesz siedział w tej swojej delegacji, to nie wytrzymam”.

— A moja już się rozpędziła do zamiany mieszkania — powiedział generał. — Przechwyciłem wczoraj jej miłosną myśl.

— Chyba trzeba wezwać Minca — zaproponował Grubin.

— A może sam potwierdzisz moje najgorsze przewidywania?

— Mogę potwierdzić — zgodził się Grubin. — To jest tak: te zarodki rozwijają się. Do nas trafiły w postaci młodzieńczej, a po jakichś pięciu-siedmiu latach osiągają dojrzałość płciową, rozumie pan?

— Niestety, tak.

— Dlatego milczały w ambasadzie amerykańskiej. Po co mają wysyłać fale, skoro jeszcze nie rozwinęła się w ich organizmach namiętność?

— A ty, gadzie, rękami je obmacywałeś — powiedział generał.

— Wszyscy macali rękami!

— Czy to znaczy, że one są nie tylko w ambasadzie amerykańskiej?

— Co tam ambasada! Podejrzewam że we mnie i w panu, nie mówiąc już o towarzyszach życia, są ich dziesiątki.

— A czy ty, bydlaku, rozumiesz, co to znaczy?

— Proszę mnie nie obrażać, należy raczej zająć się szukaniem antidotum.

Do gabinetu bez pukania wszedł pracownik Utajnienia Szczególnego. Nie patrząc na Grubina powiedział szyfrem: „8767576899743433258221176547777”.

— Dobrze — odparł na to generał — idź. — Odwrócił się do Grubina: — Właśnie ambasador amerykański rozmawiał z rezydentem. Jutro o świcie odbędą się bombardowania Iraku.

— Pewnie trzeba zameldować prezydentowi, otrzyma pan medal. . .

— Na cholere nam teraz Irak?

I jakby w odpowiedzi na jego smutne słowa do gabinetu wpadła, również bez pukania, sekretarka.

— Iwanie Hieronimowiczu! — krzyknęła rozzwierającą. — Pułkownik Wu-kołow, ten z szóstki, rzucił się z okna z okrzykiem: „Nie mogę dłużej słuchać jak skrzypi twoja prycza!”

Generał wypchnął sekretarkę z gabinetu i powiedział do Grubina:

— A ty mi tu — Irak, Irak! Grubin pojął, że nie miał racji. Zadzwoił biały telefon z godłem ZSRR.

— Wątpię — odpowiedział do słuchawki wywiadowca. — Bardzo wątpię.

Odłożył słuchawkę i rzekł:

— Dyrektor FSB dzwonił. Mądry facet, sukinsyn! Zapytał, czy nie zmobilizować w trybie pilnym nauczycieli języka migowego. Mądrała, ale ograniczony.

— To nie pomoże — zgodził się z nim Grubin.  
Poczuł, że coś w nim zaświerbiło, zaczęło ssać w dołku. I całe jego jestestwo przypomniało odległym głosem Weroniki:  
— Nie mogę, biegnę, jestem biegnącą po falach... on czeka na mnie po pracy... Wybacz, Grubin.  
— Proszę mnie zwolnić, generale — błagalnym głosem odezwał się Grubin. — Natychmiast, proszę...  
— Najpierw musisz wymyślić odtrutkę...  
— Po co? W zamian mamy trwały pokój, nie będzie już wojen. Nie będzie tajemnic...  
— Chyba zwariowałeś, Grubin! — rozsierdził się generał. — Uwzględniając ich poziom nauki wymyślą antidotum za miesiąc, a my zostaniemy pozbawieni wszystkich tajemnic, nawet tych z alkowy.  
Nagle generał znieruchomiał, wsłuchując się w głos bakterii. Właściwie — wsłuchując się w głos swojej młodej żony...  
I nie mówiąc już ani słowa, otworzył okno i zrobił przezeń krok, jak przez próg. Z szóstego piętra.  
Grubin zachował spokój. Podszedł do biurka, znalazł swoją przepustkę. Napisał na niej piórem generała godzinę wyjścia, podpisał się za generała, bardzo nawet podobnie. Nie zamykał okna — z dołu już dochodziły zaniepokojone głosy.  
Wyszedł do sekretariatu. Sekretarka szlochała — ona też miała swoje prywatne problemy.  
Grubin zszedł był na dół, wyszedł oddawszy przepustkę skołowaciałym z niepokoju wartownikom, przeciął plac i z pierwszego napotkanego automatu (chwała Bogu — miał przy sobie kartę) zadzwonił do Wielkiego Guslaru, do sklepu Weroniki. Powiedział tylko tyle:  
— Będę w domu w nocy. Czekaaj i nie pozwalaj sobie na marzenia!  
— Oj! — powiedziała Weronika. — Naprawdę? Przeze mnie?  
— Przez ciebie.  
— Kochany jesteś. Bo mnie to już takie myśli ogarnęły...  
Drugi telefon wykonał do Minca.  
— Przyjadę po pana taryfą — powiedział. — I od razu walimy do laboratorium.  
— Słusznie — zgodził się Minc. — Mam nawet już pewne przemyślenia. Jak ograniczyć działanie tych bakterii do sfery polityki wewnętrznej...

2000  
przełożyli Ewa i Eugeniusz Dębscy

## Niepotrzebna miłość

fKorneliusz Udałow szedł z pracy do domu. To był zwyczajny, powszedni dzień, chłodny, dookoła miasta skupiły się chmury, ale nad samym Wielkim Gulsarem jasno świeciło słońce. Winny temu był statek kosmiczny zefirów, który zawisł nad miastem, nie pozwalając chmurom przesłonić nad nim nieba.

Przy sklepie spożywczym „Eldorado” przemarznięty zefir, taki z dołu hierarchii, kołysał dziecinny wózek, chcąc uciszyć dziecię, które matka zostawiła na ulicy udając się na zakupy. Niemowlę popiskiwało, ale płakać się nie odważyło.

Udałow przestraszył się, że zefir wywróci wózek.

— Nie napalaj się — powiedział.

— Ja się bardzo staram — odpowiedział zefir — mimo że dziecko jest bardzo wytrącone z równowagi duchowej. Ale tak, czy owak, jestem panu bardzo wdzięczny za uwagę, Korneliuszu Iwanowiczu.

„Znają nas wszystkich po imieniu. Nie ma gdzie się przed nimi ukryć!” — pomyślał Udałow.

Skręciwszy w ulicę Puszkina, zobaczył jeszcze jednego zefira, nieco starszego, który zbierał kurz i psie odchody do plastikowego woreczka.

— A gdzie dozorca? — zapytał Korneliusz.

— Fatima Maksudowna karmi piersią najmłodszego — odpowiedział zefir. — Pozwoliłem sobie jej pomóc.

Zefirowi samemu przydałoby się odkurzenie. Pracował z zapałem, ale nieumiejętnie.

— Czyś ty nigdy nie zamiatał ulicy? — zapytał Udałow.

— Proszę o wybaczenie — powiedział zefir. — U nas już od dawna nie ma kurzu.

— No to pewnie smutno jest u was.

— Dlaczego pan tak uważa?

— We wszystkim macie już porządek, wszystko osiągnięte.

— Doskonałość nie ma granic — nie zgodził się zefir.

— No to po coście do nas przylecieli?

— Niesiemy swoją doskonałość we wszystkie strony Galaktyki.

— No-no — westchnął Udałow.

— A szkoda — powiedział zefir — że gdzieś tam spotykamy się z nieufnością.

Udałow poszedł dalej. Przy bramie swojego domu spotkał zefira wlokącego torby z zakupami.

— A to dla kogo? — zapytał Udałow.

— Muszę pomóc — sapnął zefir wciągając torby na ganek i upartą główką otwierając drzwi. — Profesor Minc zachorzał trochę, jesteśmy zaniepokojeni.

Zefir wyprzedził Udałowa w korytarzu. Zręcznie otworzył pazurkiem drzwi do Minca i, podbiegłszy do stołu, postawił na nim torby z zakupami i lekarstwami.

— Słowo honoru, nie należało tego robić — ochryłym głosem powiedział Minc. Siedział w piżamie na kanapie. Gardło miał zawinięte ręcznikiem, czytał jakieś pismo. Pociągnawszy nosem oświadczył: — Przeziębienie vulgaris. Prognoza pomyślna.

— Czy to ty go posłałeś do sklepu? — zapytał Udałow.

— Niezupełnie — odpowiedział Lew Christoforowicz. — Jeden z zefirów przybiegł do mnie zapytać jak wygląda suknia ślubna...

— Co?

— Suknia ślubna — powtórzył Minc. — Oni chcą zrobić prezent narzeczonej Gawriłowa.

— No to już przesada! Gawriłow żeni się trzeci raz. Niech od poprzednich żon pożyczycy.

— Ty to żyjesz w świecie starych wartości — nie zgodził się z nim Minc. — Dzisiejsza młodzież poważniej odnosi się do atrybutyki. Postanowili się pobrać i uważają, że pamięć o tym wydarzeniu, łącznie z suknią ślubną, zachowa się na całe życie.

— A ten — Udałow skinął głową w stronę zefira — pobrał informację, potem zapałał współczuciem i poszedł do apteki i do sklepu?

— Oczywiście — potwierdził zefir. — A jak by pan postąpił na moim miejscu, Korneliuszu Iwanowiczu?

— Ja bym wezwał lekarza — mruknął Udałow.

— Ale przecież pan wie, Korneliuszu Iwanowiczu — w głosie zefira rozbrzmiały nutki lekkiego wyrzutu — co powie lekarz. A ja zrobiłem to samo, tylko lepiej.

I w tym momencie Udałow nie wytrzymał:

— Po diabła?! Po diabła nam potrzebna cała ta dobroczynność?

— Korneliuszu — usiłował powstrzymać go Minc. — Skąd ta agresja?

Zefir odczekał aż w pokoju zapanowała cisza i rzekł czule:

— Rozwiązaliśmy u siebie w ojczyźnie wszystkie problemy i teraz niesiemy dobro na inne planety. Kochamy wszystkich, chcemy szczęścia dla wszystkich istot w Galaktyce.

Udałow nie raz słyszał te słowa i nie mógł zrozumieć dlaczego tak go one drażnią? Inna sprawa, gdyby był tu jakiś haczyk. Ale przez ostatni miesiąc mieszkańcy Wielkiego Guslaru przekonali się, że nie ma haka, jak na złość — nie ma.

Udałow westchnął, obserwując jak zręczny zefir, wdrapawszy się na krzesło, szybko kroi na talerzu ogóreczki i pomidory, przygotowując sałatkę dla chorego profesora, któremu potrzebne są witaminy.

W domu u Korneliusza nie było wcale lepiej.

Ksenia siedziała przed telewizorem, jeden zefir zajmował się praniem, a drugi, nieznany Korneliuszowi, odkurzał duży pokój.

— Kseniu — powiedział Korneliusz Iwanowicz. — Przecież nie wolno tak wszystkiego puszczać na żywioł.

— A co ja — prosiłam ich, czy co?

— Nie sprzeciwiałaś się — powiedział z wyrzutem Udałow. Zefir wyłączył odkurzacz, żeby nie przeszkadzać w rozmowie małżonków, i, uniósłszy łysą makówkę, powiedział:

— Cieszymy się, że możemy pomóc.

— Istnieje takie przepuszczenie — powiedział Udałow — że kiedyś potem okażecie nam taki rachunek za usługi, że przez wieki się nie spłacimy.

— Ach, Korneliuszu Iwanowiczu! — Zefir zacisnął łapki na brzuszku. — Przecież jest pan mądrym i doświadczonym człowiekiem. Proszę mi powiedzieć, czymże moglibyście nam zapłacić?

— Samo takie podejrzenie już jest nie w porządku — dał się słyszeć drugi głos. Korneliusz uniósł głowę i zobaczył trzeciego zefira, który na podobieństwo muchy pełzał po suficie czyszcząc go śnieżnobiłą ściereczką.

— Od dawna już mamy nawet muszle klozetowe ze złota — oświadczył pierwszy zefir.

— Ale niektórzy mądrzy ludzie powiadają — powiedziała synowa Korneliusza, wchodząc do mieszkania po zajęciach w Technikum Żeglugi Śródlądowej — że darmowy ser znajduje się tylko w pułapkach na myszy.

Za synową, na podobieństwo afrykańskiego niewolnika, włókł się zefir, niosąc na głowie tobół rzeczy z pralni chemicznej.

— Nie powinnaś go tak obładowywać — powiedział Udałow. — Patrz, aż zsiniał.

— Sam chciał.

— Ja sam... — pisnął zefir i runął przywalony ładunkiem.

— Oburza mnie — powiedziała synowa — jak oni nas moralnie zniewalają.

Udałow z trudem uniósł tobół z manelami. Zefir leżał nieruchomy, z półotwartej buźki rozlegały się zduszone jęki.

— Tego jeszcze brakowało! — Ksenia oderwała się od telewizora. — Skończył się serial.

— Ja sam... — wyszeptał zefir.

Jego koledzy wynieśli z mieszkania bezwładne ciało.

— Ech, nieładnie wyszło — powiedział Udałow.

— W porządku, wszystko w porządku — odpowiedział trzymający kolegę za nogi zefir, z tego powodu wychodził jako ostatni. — Kiedy ruszamy czynić dobro jesteśmy świadomi jakie to niebezpieczne i niewdzięczne zajęcie.

— Nieprawda! — krzyknęła Ksenia. — Za każdym razem mówię wam dziękuję.

Niewielki zefirek przecisnął się przez lufcik i, zamknąwszy go za sobą, ucieśszony poinformował Ksenię:

— Zdobyłem miętę!

— No to idź do kuchni, tam jeden z waszych zajmuje się obiadem.

— Kseniu, to się nazywa wyzysk! — oburzył się Udałow.

— A ja tylko pomagam im zrealizować ich zamiary. Udałow trzasnął drzwiami i udał się do profesora Minca.

Tam sytuacja uległa zmianie. Choć Minc ciągle jeszcze siedział na kanapie, to teraz stała przed nim szachownica, a naprzeciwko usadowił się niemłody zefir.

— Źle ze mną — powiedział zefir.

— Proszę się nie poddawać — odpowiedział Minc.

— Nie poddając się ryzykuję, że zepsuję panu humor, a w pańskim stanie jest to niedopuszczalne.

Udałow rzucił od drzwi:

— Proszę posłuchać, mam tego powyżej uszu! — I nagle odskoczył w bok, ponieważ od tyłu zakradł się po klatce schodowej jeszcze jeden zefir i zaczął czyścić mu buty.

— Precz! — rozkazał Udałow. — Czy wy rozumiecie, co się do was po ludzku mówi?

— Znikamy — powiedział zefir szachista i wszystkie zefiry błyskawicznie zniknęły.

Udałow strącił z krzesła stos czasopism, usiadł i zapytał Minca:

— Powiedz mi, powiedz co się dzieje?

— Optymalny wariant inwazji z kosmosu — odparł Lew Christoforowicz.

— Ale kto wymyślił taką inwazję?! — zawołał Udałow. — Dlaczego oni nas nie uciskają, nie zabijają? Dlaczego wszystko odbywa się nie tak, jak powinno? Nigdzie o czymś takim nie czytałem.

— Bo myśmy się tak przyzwyczaili do naszej historii, nasyconej najezdami, zniszczeniami i uciskiem — odpowiedział Minc, patrząc przez okno, przez które widać było ciągle rysujący koła na niebie kosmiczny statek — że nie dopuszczamy do siebie myśli o innym zachowaniu i innych celach. Mimo że właśnie o tym już wiele lat temu rozpisywali się radzieccy pisarze fantastyki.

— Fantastyki to fantastyki i w głowach mają nie wiadomo co — sprzeciwił się Udałow.

— My was reedukujemy za pomocą dobrego przykładu! — krzyknął w szczelinę uchylonych drzwi przepędzony z pokoju zefir.

— Wam się wydaje, że potrzebujemy dobrych przykładów?

— Wszyscy ich potrzebują.

Udałow ścisnął skronie rękami. Nie, to mu się nie mieściło w głowie, i nie był on wyjątkiem. Od chwili, kiedy nad Wielkim Guslarem pojawiły się kosmiczne statki zefirów, wielu ludzi zadawało sobie pytanie: „Po co nam takie szczęście?”

W pierwszych dniach po lądowaniu nieziemców guslarczycy nie mogli się nacieszyć gośćmi — fajnie, przylecieli pomocnicy, ochotnicy, ratownicy! Wszyscy pamiętali, jak spadłszy z wysokiej topoli zginął zefir, który wlaź tam ratować głupiego kociaka.

— Może — odezwał się Minc pociągając nosem i pokaślując — powinni byli zażądać za wszystkie przysługi opłaty. Nawet symbolicznej. Łatwiej byśmy do nich wtedy przywykli. Niepotrzebnie upierają się, że dobre uczynki — to istota ich istnienia. Dobro też musi mieć swoje granice. — Minc miał na myśli wczorajsze wydarzenie — pewien emeryt, weteran, zadusił zefira, który przyniósł mu przed snem kaptcie do łóżka.

Od rana miasto przyczaiło się, oczekując represji. Ale represji nie było.

Kierownictwo zefirów szczerze i serdecznie przeprosiło emeryta za to, że nieboszyk zefir sprowokował go do gwałtownych działań, i sprezentowało nową lodówkę „Philips” z dostawą do domu.

— Czuję — powiedział Udałow — że nadchodzi przełomowa chwila.

— Jesteście pewni? — zapytał z korytarza zefir szachista.

— Odlatujcie stąd, proszę was po dobremu — powiedział Udałow. — Nie możemy odpowiedzieć dobrem na dobro. Nie potrafimy. Nie nauczono nas.

— Nie — nie zgodził się szachista. — My jesteśmy przygotowani na ofiary. Ale wierzymy w dobro.

Udałow westchnął i wyszedł na ulicę.

Zmierzchało.

Przy stole siedziało kilku sąsiadów Udałowa. Trzymali w ręku kostki domina, ale nie grali. Dookoła — na trawie, w krzakach, na gałęzi topoli — rozlokowali się kibice ze statku zefirów.

— No, przyjaciele, zaczynajcie! — krzyknął jeden z zefirów.

— Grubin mistrzem jest! — krzyknął drugi z grupy wsparcia.

— Nie, ja tak dłużej nie mogę! — ryknął Grubin i poderwawszy się na równe nogi cisnął kośćmi w kibiców.

— Przepędzić ich trzeba w cholere! — krzyknął Sinicki. — Odrabiają za mojego wnuka wszystkie zadania i nawet podpowiadają na klasówkach. W szkole mają stuprocentową skuteczność nauczania!

A wtedy potężny Pogosjan też cisnął kostki na ziemię, odwrócił się, chwycił pod pachy po jednym zefirze i wybiegł na środek podwórka. Jednego po drugim cisnął w wieczorne niebo, na którym zawisł statek kosmiczny.

— I żebyście mi tu nie wracali! — krzyknął Pogosjan. Wzleciawszy w niebo zefiry włączyły plecakowe napędy i skierowały się do statku.

I nagle, jakby kierowani jednym impulsem, wszyscy mieszkańcy miasta, od małego do starego zaczęli łapać zefiry i ciskać nimi w niebo, dogadując przy tym:

— I żebyście mi tu nie wracali!

Po półgodzinie statek zefirów błysnął białym ogniem z dysz i wziął kurs na nieznaną, odległą planetę.

...Od tego czasu minęły trzy tygodnie. Udałow wracał z pracy autobusem i przypadkowo usłyszał taką rozmowę:

— A możemy niepotrzebnie się ich pozbyli? — zapytał jeden mężczyzna drugiego. — Nie ma się teraz do kogo przyczepić.

— Ja to już wczoraj swojej ślubnej przyłożyłem. Tak, dla porządku, żeby zupa nie była za słona.

— Przy nich nikt nie przesalał zupy — westchnął pierwszy.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się trzeci, starszy nieco:

— Zupa to pryszcz, za przeproszeniem. Ja mam sąsiada Żyda, a ten cały czas gra na skrzypcach.

— I poza tym nie ma się do czego przyczepić? — zapytał ktoś z drugiego końca autobusu.

— No i o to właśnie chodzi — odpowiedział mężczyzna

1966  
przełożył Eugeniusz Dębski



## Warsztat szewski

Jeśli łowiąc ryby osuszy się strumień,  
to połów będzie obfity, ale w przyszłym roku  
ryb tam nie będzie. Jeśli polując człowiek wypalił,  
to zdobycz będzie duża,  
ale w następnym roku nie będzie w tym  
lesie zwierzyny.

*Wiosna i jesień Luia Chiny, III w. p.n.e.*

Przez długie lata w Wielkim Guslarze była tylko jedna restauracja — w hotelu. Cieszyła się wątpliwą sławą ponieważ, jak to zawsze bywa w prowincjonalnych miastach, nikt nie chodził tam posilać się, a tylko — zabawić. Co prawda czasem, jako te białe kruki, wpadali tam goście hotelowi. Ci łaknęli kefiru i jajecznicy. Dostawali befsztyk i sto gram koniaku.

Dwa lata temu sytuacja nieco się zmieniła, ponieważ otwarto nową restaurację, na barce, obok pensjonatu dla turystów. Miał ten lokal wdzięczną nazwę „Gąsior łapiasty” i miał design w rosyjskim stylu. Na ścianach wisały kołowrotki, grabie i wytłoczone z miedzianej blachy domowe zwierzęta. Tutaj turystom serwowano kompleksowe obiady, o dno barki pluskała woda, jeśli wiał silniejszy wiatr to barka lekko się kiwała. Za rzeką ciągnęła się stara tajga — miejsce było więc romantyczne i można tam było kulturalnie spędzić czas, nie tylko się zabawić.

Tu też dyrektor garbarni zaprosił miłego, młodego jeszcze i ze skłonnością do otyłości i romantyzmu Mirona Iwanowicza, miejskiego architekta, na obiad. Obiad miał być przyjemny, ale rzeczowy, a sprawa była z gatunku delikatnych. Garbarnia fundowała sobie budynek dyrekcji, obok miała być wartownia i parking dla samochodów.

Na miejscu przewidywanego parkingu i bramy wejściowej sterczała i przeszkadzała wszystkim ruina kapliczki, którą zajmował warsztat szewski. Kapliczkę powinno się było zburzyć, ale przeszkadzała tak zwana społeczność na czele z Je-

leną Siergiejewną, dyrektorką miejscowego muzeum. Aktualnie dyrektorka była na urlopie i należało załatwić tę ruinę, póki z niego nie wróciła.

— Przecież nie jestem przeciwny. — Miron Iwanowicz nie ukrywał swojego pozytywnego nastawienia. — Kapliczka wyłazi na ulicę i przeszkadza w ruchu.

— Nie tylko przeszkadza, ale jeszcze go zakłóca — mówił dyrektor garbarni, marszcząc czoło, tak że łączyły się jego grube, przypominające dwie futrzaste gąsienice brwi. — Zakłóca ogólny widok twojego projektu. Wyobraź sobie, przecież jesteś człowiekiem twórczym, co zostanie z tego projektu, jeśli kapliczka będzie się tak wysuwać? Jedz rybkę, Miron, smaczna rybka. Nie gniewasz się, że ja tak z tobą po prostu rozmawiam?

Garbarnia zamierzała wybudować dwa typowe budynki mieszkalne. Miron Iwanowicz przydzielał na nie lokalizację i miał nadzieję na mieszkanie w jednym z nich. Samo życie. Kapliczka była więc już skazana, nic nie mogło jej uratować. Jest sobie małe miasto, w nim stosunkowo duży zakład przemysłowy, zakład jest miastu potrzebny. No i dochodzi jeszcze aspekt estetyczny — miasto chciało mieć nowy budynek ze szkła i żelazobetonu.

— Dziękuję, rybka rzeczywiście smaczna — odpowiedział Miron Iwanowicz. — Kapliczka nie przedstawia wartości architektonicznej. Oglądałem ją.

— A widzisz go, już oglądał — powiedział zastępca dyrektora, na widok którego każdy nabierał przekonania, że ma do czynienia ze strasznym figlarzem i namiętnym wędkarzem. — Znaczy się, odpowiedzialny. A co robisz jutro, w sobotę?

— Nic nie zaplanowałem — odpowiedział Miron Iwanowicz.

— Jutro Stiepancew nas na ryby zaprasza. Dołączysz do nas?

Miron Iwanowicz, człowiek stosunkowo nowy w mieście, odczuwał przyjemność z powodu kontaktów z miejskimi elitami.

— Szczerze mówiąc, nie mam zupełnie doświadczenia — powiedział.

— Rybki weźmiemy ze sobą — roześmiał się dyrektor soczystym basem. — Stiepancew ma zabezpieczyć wieprzowe szaszłyki.

Stiepancew był dyrektorem zakładu hodowli trzody.

Miron Iwanowicz patrzył na rozmówców i było mu przyjemnie. Raz, z powodu lekkiego szmeru w głowie, dwa — z powodu wesołych myśli, przemykających przez jego umysł. Na przykład o tym, że Stiepancew wcale nie wygląda na dyrektora chlewni. Przypomina pisarza Gogola i nawet pisze wiersze. A zastępcę dyrektora garbarni ciągną do województwa, na nowe stanowisko, a on odpowiada: „Lepiej być pierwszym chłopakiem we wsi, kapujesz?”

Wypili po kieliszeczku za postępowanie. Zastępca dyrektora powiedział, że gdyby on był architektem, to zburzyłyby pół miasta. Te ślepane chałupy, w których mieszkali kupcy, psują tylko pejzaż. Dyrektor nie dał Mironowi Iwanowiczowi szans na replikę, odpowiedział sam:

— A co ty sobie, Siergiej, myślisz — powiedział — że turyści jadą tu z różnych końców ojczyzny naszej, tylko po to, żeby twoją garbarnię oglądać? Dla nich ważna jest historia.

— Słusznie — poparł dyrektora Miron Iwanowicz. — Trafił pan w sedno. Dlatego właśnie zgodziłem się przyjechać do Wielkiego Guslaru, bo tu mamy wspaniałe połączenie historii i współczesności. Musimy zachować pamięć o kulturze. To jest żywa nić łącząca nas z przeszłością.

Miron Iwanowicz zauważył kątem oka, że przy sąsiednim stoliku siedzi dziewczyna w błękitnej sukience, sama i przysłuchuje się jego słowom. Niezauważalnie dla siebie podniósł głos:

— Stąd wyruszali na wschód podróżnicy, którzy nieśli informację o Wielkim Guslarze do brzegów Kamczatki i Oceanu Lodowatego.

Dyrektor nie mógł już dłużej się powstrzymać — też chciał coś powiedzieć. Uciszył Mirona Iwanowicza łagodnym, ale stanowczym ruchem ręki i podsumował:

— Turyści jadą z różnych stron naszej ojczyzny nie po to, by cieszyć oko naszą fabryką. Dla nich droga jest historia.

W tym momencie zastępca dostrzegł okazję do sprecyzowania, więc również uniósł dłoń miękko i stanowczo zarazem, żeby Miron Iwanowicz się nie wtrącał:

— Ale jest im droga również nasza garbarnia. Dlatego, że to jutro Wielkiego Guslaru. I będą mieli co oglądać.

Miron Iwanowicz zerknął na dziewczynę w błękicie. A ta popatrzyła właśnie na niego.

— Z drugiej strony. . . — zaczął zdecydowanym tonem. Ale dyrektor znowu powstrzymał go ruchem dłoni, a tego ruchu Miron Iwanowicz nie mógł zlekceważyć.

— Ale to nie wyklucza — rzekł dyrektor.

Po tym oświadczeniu Miron Iwanowicz nie miał już co powiedzieć.

W głowie mu przyjemnie szumiało, miał ochotę na papierosa. Ale pod pokładem barki nie wolno było palić, a rozmówcy byli niepalący, tak więc przeprosił towarzystwo i poszedł na górę, na pokład, gdzie kawałek podłogi był pokryty żelazną blachą i stało wiadro na niedopałki.

Miron Iwanowicz zaczął patrzeć na rzekę. Zapadał zmierzch, od wody ciągnęło wilgotne, chłodne, pachnące jodłami powietrze, a Miron Iwanowicz wyobraził sobie, jak jutro rano popłyną do Wesołej Toni. Po rzece snuć się będzie poranna mgła, a potem wędkarze będą objadali się szaszłykami i wesoło rozmawiali.

I nagle zauważył jakiś ruch przy poręczy. Szybko odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna, której spojrzenie przechwycił na dole, stoi obok. Nie było w tym nawet nic dziwnego, ponieważ zdarzają się takie szczęśliwe wieczory, kiedy wszystko się układa, kiedy los wychodzi ci na spotkanie, darując wspaniałych współbiesiadników i nieoczekiwane intrygujące spotkania.

— Pali pani? — zapytał Miron Iwanowicz, zazwyczaj nieśmiały w stosunkach z dziewczynami. Ale teraz dominowało w nim przeświadczenie, że dziewczyna wyszła na pokład z jego powodu, że czeka aż on się ośmieli i zagada do niej, dlatego nie oburzy jej jego pytanie.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała dziewczyna — nie palę.

— Duszno pani? — zapytał Miron Iwanowicz, odważnie przypatrując się dziewczynie i dziwiąc się jej urodzie, kruchej linii szyi i rąk, połyskującemu w półmroku błękitowi sukienki, a — co najważniejsze — naturalnej puszystości niedbale szybujących nad ramionami ciemnoblonde włosów.

— Nie — odparła dziewczyna, patrząc równie odważnie na niego. A Miron Iwanowicz ujrzał jej oczy — błękitne, a może szare, ale takie szare, które wchłonęły w siebie odblask bezbarwnego wieczornego nieba, oczy wielkie i ufne.

— No to, dlaczego? — zapytał i poczuł miłe łaskotanie w piersi. Zaraz powinna odpowiedzieć na to pytanie, a od tej odpowiedzi wszystko może się zmienić w jego życiu — to była ta chwila słodkiego niepokoju, wywołującego taką słabość w nogach, że Miron Iwanowicz szybko wyrzucił papierosa za burtę i wczepił się w poręcz.

— Wysłałam za panem.

— A — powiedział Miron Iwanowicz.

Zakłopotanie i łaskotanie w piersi nie minęły, a nasiliły się jeszcze, ale nie udało mu się wymyślić żadnej odpowiedzi.

— Muszę z panem porozmawiać — powiedziała dziewczyna i przysunęła się do niego odrobinę.

Można już było wyciągnąć rękę i dotknąć jej szczipłych palców. Ale, wiadomo, Miron Iwanowicz tego nie zrobił.

— O czym... porozmawiać?

Dziewczyna zaczęła mówić, mówiła cicho, jakby to była ich randka, kiedy źli ciekawscy są blisko i trzeba się przed nimi ukrywać.

— O panu, Mironie Iwanowiczu.

— Skąd pani wie, jak się nazywam?

— Widziałam pana już wczoraj — powiedziała dziewczyna — i zapytałam się o imię.

Trap, prowadzący na pokład zaskrzypiał, ktoś wchodził na górę. Dziewczyna powiedziała jeszcze ciszej:

— Będę na pana czekała na brzegu. Proszę się nie śpieszyć, doczekam się.

Na pokład wyszedł zastępca dyrektora.

— Tu jesteś — powiedział — a ja myślałem, że się utopiłeś. — Podszedł do Mirona Iwanowicza i objął go swoją miękką delikatną ręką. — Chodźmy na dół. Dyrektor chce wygłosić toast.

Dziewczyna zniknęła z pokładu.

Miron Iwanowicz oderwał się od podochoconego towarzystwa dopiero po półtorej godziny. Miron nie mógł powiedzieć starszym od siebie towarzyszą, że ma randkę z dziewczyną, której imienia nawet nie zna. Zresztą, w duchu nie nazywał tego spotkania randką. To nie była randka, ale coś wyższego, jak młodzieńcze marzenie.

Ostatnia godzina była udręką, kelnerka nie śpieszyła się z rachunkiem, a dyrektor chciał, by do kawy podano likier, a likieru w lokalu nie było.

Po każdym takim incydencie Miron Iwanowicz wyobrażał sobie, że dziewczyna patrzy na zegarek i odchodzi, ginie w niebieskiej mgle, na zawsze. Przecież ona nie jest stąd! Miron Iwanowicz pracuje tu, cokolwiek by mówić, drugi rok, nigdy wcześniej jej nie widział. Może przyjechała do kogoś na studenckie wakacje? Albo turystka?

Przy wyjściu z lokalu wisiało duże lustro i, póki jego towarzysze odbierali z szatni kapelusze, Miron Iwanowicz ukradkiem przyjrzał się sobie. Zazwyczaj nie przesadzał w ocenie własnych męskich cech i nie zauważał zwierciadeł. Ale teraz przyjrzał się sobie, nawet wyprostował ramiona i wciągnął niedawno nabyty brzuszek. I natychmiast pożałował, że poddał się chwili słabości.

Na brzegu rzeki Miron Iwanowicz kręcił głową, starając się dojrzeć dziewczynę. Na stromy brzeg prowadziły drewniane schody, na górze płonęły światła w pobliskich domach, na zboczu rosły krzewy i dziewczyny nigdzie nie było widać. Miron Iwanowicz posmutniał i niemal zgodził się na odwiezienie do domu dyrektorskim samochodem. Ale na szczycie schodów nagle zaoponował i oświadczył, że idzie do domu pieszo.

— Dobra — zgodził się dyrektor — spaceruj sobie, pókiś młody, samochodem jeszcze się najeździsz.

Zastępca dyrektora roześmiał się z tego żartu. Wóz odjechał. Miron Iwanowicz nie miał ochoty wracać do domu, musiał jakoś pogodzić się z rozczarowaniem. I nagle usłyszał:

— Zmusił mnie pan do długiego czekania.

— Och! — ucieszył się Miron Iwanowicz. — Naprawdę czekała pani? Straciłem już nadzieję. To jak... diamenty na niebie...

— Przesada — powiedziała dziewczyna, a w jej głosie Miron Iwanowicz wyczuł uśmiech.

— Gdyby pani wiedziała — powiedział Miron Iwanowicz — jak trudno mi było uwolnić się od nich. Proszę mnie dobrze zrozumieć — to wspaniali ludzie, a człowiek czasem odczuwa potrzebę integracji z innymi.

— Wspaniali? — powiedziała dziewczyna, nie kryjąc zwątpienia.

Ruszyła po nadbrzeżu. Miron Iwanowicz po dwóch krokach dogonił ją i zaczął rozważać, czy ma moralne prawo wzięcia jej pod rękę. A może to będzie nietaktem?

— Zna ich pani? — zapytał Miron Iwanowicz. — Pani jest stąd?

— Nie.

— A jak pani ma imię? No bo to śmieszne — pani mnie zna, a ja pani nie.

— Mam na imię Tania.

— Przyjechała pani na wakacje?

— Proszę mi wybaczyć, Mironie Iwanowiczu — powiedziała dziewczyna — ale rozmowa nie mnie ma dotyczyć.

— Oczywiście — zgodził się Miron Iwanowicz i nagle zrozumiał, że nie wolno mu brać dziewczyny pod rękę: coś takiego było w jej głosie, co zabroniło mu tej poufałości. — A o czym?

— Rozmowa dotyczyć będzie pana błędów — powiedziała dziewczyna.

— Słusznie — zgodził się Miron Iwanowicz. — Jestem grzeszny. Myliłem się. — I wziął dziewczynę pod rękę.

Ta uwolniła rękę, nie wrogo, ale jakoś tak obojętnie, jakby chciała tylko strącić motyla.

— Zamieniam się w słuch — powiedział Miron Iwanowicz wcale nieoburzony.

— Dzisiaj w końcu zdecydował pan o zburzeniu kapliczki.

— Kapliczki? A, kapliczki! Czy to takie ważne?

— Nie szkoda jej panu?

— Szkoda — powiedział Miron Iwanowicz. — Bardzo szkoda. Jest taka miła. Wspaniała kapliczka. Ale przeszkadza w ruchu.

— No więc, Mironie Iwanowiczu — powiedziała dziewczyna. — Kapliczki zburzyć nie pozwolimy.

— I bardzo dobrze — zgodził się Miron Iwanowicz. Wcale nie miał ochoty na sprzeczkę z dziewczyną. — A pani sukienka jakoś tak delikatnie się jarzy. Jak to się robi?

— Zrozumiał mnie pan?

— Zrozumiałem. Niech sobie stoi.

— Jednak nic pan nie rozumiał. Świetnie pan wie, że w poniedziałek, korzystając z pańskiej pobłażliwości, dyrektor garbarni zburzy kapliczkę. A potem, kiedy przyjedzie Jelena Siergiejewna, albo kiedy przybiegną do pana oburzeni emeryci, rozłoży pan ręce i zacznie rozpaczliwie udowodniać, że żadnej kapliczki tu nie było, a jeśli nawet była, to nikomu na nic się nie przydała.

— Nie było kapliczki? Jaka kapliczka, jaki pies? — zażartował Miron Iwanowicz. Aż się roześmiał z własnego żartu. — Widzę, że zna pani również Jelenę Siergiejewną? Wspaniała kobieta. Taka patriotka, ale stoi na drodze postępu. Powinna odejść na emeryturę.

Wyszli na brukowaną część nadbrzeża. Parterowe domki spoglądające na rzekę malutkimi, świecącymi błękitnym telewizyjnym światłem, oczkami, skończyły się. Zaczęły się domy murowane, piętrowe. Na razie jeszcze stały w pewnej od siebie odległości, potem, bliżej centrum, zaczęły się do siebie tulić, ale to już tam,

za halą z kupieckimi straganami. Od rzeki ciągnęło chłodem, komary nie czepiały się, ulica była całkowicie pusta — w telewizji leciał trzeci odcinek francuskiego serialu o miłosnych związkach Berlioza.

Minęli cerkiew Świętego Ducha, skręcili w ulicę Gogoła. Wtedy Miron Iwanowicz zrozumiał, że nie spacerują sobie bez celu, a zbliżają do kapliczki. Miał wrażenie, że przyjście tutaj było jego inicjatywą, dlatego powiedział:

— O, o niej właśnie rozmawiamy. Żadnej wartości, a narożnikiem wyłazi na ulicę.

Kopuła kapliczki zniknęła dawno temu, została pokryta dwuspadowym dachem z blachy, a ściany pomalowano na tradycyjny służbowy żółty kolor. Nad drzwiami, gdzie jeszcze zachowały się ślady stiuków, wisiał szyld „Warsztat szewski”. A po obu stronach drzwi, obok małych okienek zostały przybite płyty z wizerunkami wszelakiego możliwego obuwia i napisano: „Remonty ekspresowe i w ciągu tygodnia”. Kapliczka wychodziła rogiem na jezdnię, ponieważ budowana była w czasach, kiedy ulica była znacznie węższa. Za kaplicą rozciągał się płot — odgradzał od ulicy teren budowy zarządu garbarni. Świątełko na szczycie dźwigu udawało gwiazdę.

— Powiem pani szczerze, Taniu — rzekł Miron Iwanowicz. — Jestem próżny. Pani sobie myśli: oto architekt, pewnie jakiś nieudacznik, mieszka sobie w miasteczku, diabli wiedzą gdzie. To nieprawda. Jestem niczym prawdziwy marszałek — noszę w plecaku buławę.

I Miron Iwanowicz klepnął się po kieszeni marynarki.

— Po co? — zapytała dziewczyna.

Stali przed warsztatem, porywy wiatru szarpały za brzeg źle przybitego szyldu, a ten dygotał i wibrował, czasem uderzał o tynk.

— Inni moi rówieśnicy, może nawet bardziej utalentowani, wycierają portki w wielkich dusznych pokojach stołecznych biur, realizując cudze pomysły. Mając trzydzieści, czterdzieści lat ciągle są chłopcami na posyłki.

A po co? Tylko po to, żeby przejść przez ulicę, wyjść na plac Czajkowskiego i pójść na koncert symfoniczny? A ja nie, ja zawsze i wszędzie chcę być pierwszy. Dziś w Wielkim Guslarze, jutro w województwie. I wrócę do Moskwy jako zwycięzca!

— Zrobię wszystko, by tak się nie stało — powiedziała dziewczyna.

Miron Iwanowicz nie wiedział, czy ma się uśmiechnąć, czy oburzyć. Ale wolał uśmiech, choć nie był to uśmiech człowieka pewnego siebie.

— Jeśli chce mnie pani osadzić w tym mieście, ponieważ sama tu zostaje — nie mam nic przeciwko — powiedział i wyciągnął rękę, ale Tania zrobiła mały kroczek w bok, jakby podchwycił ją i przeniósł wiaterek, jak płatek kwiatu.

Ręka Mirona Iwanowicza zawisła w powietrzu, więc wskazał nią kapliczkę i powiedział:

— Co szkodziło zburzyć ją sto lat temu? Nikt by się nie oburzał, nie waliłby w bębny społecznego oburzenia. Stare powinno schodzić z drogi.

— Przed czym?

— Przed nowym.

— Przed tym? — Tania wskazała płot, za którym spał dźwig.

— Właśnie. Chce pani popatrzeć? Mają już tam poziom zerowy.

— Nie, nie chcę — powiedziała dziewczyna. — Nie mam tyle czasu.

— A ja sądziłem, że spacerujemy sobie. . .

— To pan spaceruje.

— Dziwne to. Najdziwniejsza randka, jakiej zaznałem w życiu.

— Proszę teraz posłuchać mnie — powiedziała Tania. — Bo ciągle pan mówi, a sprawa nie posuwa się do przodu.

— Proszę bardzo — zgodził się Miron Iwanowicz. — Chodźmy na skwerek, tam są ławeczki.

— Co pan wie o tej kapliczce? — zapytała Tania, jakby nie słyszała zaproszenia.

— Jest stara — powiedział Miron Iwanowicz poważnie, ponieważ i pytanie było zadane serio. — Jeśli było tu coś cennego, to już tego nie ma. A ta reszta nam przeszkadza.

— Ta kapliczka — Tania podeszła do niej bliżej i dotknęła obramowania wąskich okienek — to jeden z pierwszych murowanych budynków tego typu na północy Rosji. Zbudowana została w czternastym wieku. Już choćby dlatego jest unikatowa. To najstarszy murowany budynek w mieście.

— Pani jest historykiem czy architektem? — zapytał Miron Iwanowicz.

— Jestem genetykiem — odparła Tania. — Kapliczka była, oczywiście, przebudowywana, ale wewnętrzne rozplanowanie i ściany zachowały się, na szczęście, w niemal nietkniętym stanie. Proszę wejść do środka.

— Nie wolno — powiedział Miron Iwanowicz. — Zamknięte. Tam są cudze buty.

I roześmiał się cicho.

— Nie potrzebujemy cudzych butów — poważnie zareplikowała dziewczyna. Podeszła do drzwi, pomanipulowała przy kłódce i nagle jej pałak odskoczył. Tania wysunęła kłódkę z zasuwki i trąciła drzwi. Drzwi zaskrzypiały przeciągle i Miron Iwanowicz niemal rzucił się do ucieczki — w końcu nigdy wcześniej nie wyłamywał drzwi.

— Taniu! — szepnął. — Nie wolno.

— Wchodzimy — powiedziała Tania, zapaliła światło z pewnością gospodyni powracającej do swego mieszkania.

Kapliczkę dzieliła na dwie połowy lada. Z jednej strony stał szereg krzeseł dla tych klientów, którzy w oczekiwaniu zakończenia ekspresowego remontu siedzieli z podkulonymi nogami albo postawiwszy je na gazetach, rozłożonych na



podłodze. Za ladą widać było dwa szewskie stoły robocze, a za nimi na całej ścianie — półki z komórkami. W komórkach, wystawiwszy na zewnątrz czubki, stały parami buty i pantofle. Miron Iwanowicz bywał tu wcześniej, ale w dzień, kiedy to wpadał z butami do naprawy. Wtedy było tu hałaśliwie, pachniało lakiem i skórą. Teraz zapachy warsztatu zniknęły.

— Taniu — powiedział Miron Iwanowicz. — Tam na budowie jest stróż. Jak nas usłyszysz, to będziemy mieli kłopoty.

— Proszę popatrzeć na sufit. Widzi pan to sklepienie? — zapytała Tania.

Miron posłusznie zadarł głowę i pomyślał, że sufit dawno należało pomalować. Rzeczywiście było to sklepienie, w jego płynnych liniach widać było pewną nieprawidłowość, jakby nie było wykładane z cegieł, tylko lepione z gliny.

— Taniu — powiedział Miron Iwanowicz. — Chodźmy, porozmawiamy na skwerze.

W jasnym świetle lampy Tania wyglądała znacznie mniej romantycznie niż w restauracji albo w trakcie spaceru. Oczy też miała mniejsze niż dziesięć minut temu. W jej ruchach ujawniła się teraz jakaś suchość, precyzja, jakby jasne światło zdarło z niej woalkę i ograniczyło w przestrzeni ostrymi krawędziami. I jej sukienka już się nie jarzyła. Zwyczajna błękitna sukienka.

— Pod moimi nogami — powiedziała Tania tupnąwszy w wytarte, pomalowane na czekoladowy kolor deski podłogi — na głębokości pół metra znajduje się prawdziwa podłoga kaplicy. To mozaika. Unikatowa mozaika z końca czternastego wieku. Czy to panu COŚ mówi?

— Idę — oświadczył Miron Iwanowicz.

— Zaraz pójdziemy, proszę się nie denerwować. Stróż śpi. A kiedy zedrze pan ze ścian wszystkie te warstwy białka i tynku, to zobaczy cudowne freski, opowiadające o życiu Nikołaja Mirlikijskiego. A dlaczego właśnie Nikołaja ?

— Za nic nie mam pojęcia — przyznał Miron Iwanowicz, patrząc na błękitne ściany, pomalowane olejną farbą do poziomu piersi.

— Ponieważ Nikołaj Błogosławiony jest patronem marynarzy i podróżników. A ta kaplica słynęła z tego, że właśnie tu przychodzili ci odważni wędrowcy, którzy wyruszyli z Wielkiego Guslaru na Syberię czy na Kamczatkę. Tu prosili o opiekę świętego. Tu spędzali ostatnie minuty przed wyruszeniem w drogę. Czy nie zadrżało panu serce?

Miron Iwanowicz podszedł do drzwi i, wyszedłszy, odetchnął świeżym nocnym powietrzem, przesyconym aromatem kwitnącej lipy, zapalił papierosa wpatrując się w granatowe nocne niebo. Było mu smutno. Lepiej było jechać samochodem z dyrektorem, posiedzieliby u niego w domu, pogadali. Żadna, romantyka nie wytrzyma jasnego światła, powiedział sobie. To smutne. Tylko mu tu brakowało jeszcze jednego przewodnika, który postanowił skusić architekta dla jakiejś mizernej kaplicy.

Usłyszał jak Tania zamyka drzwi.

— Odprowadzę panią do domu — powiedział smętnym tonem Miron Iwanowicz.

— Lepiej to ja pana odprowadzę — odpowiedziała Tania takim tonem, że Miron Iwanowicz od razu się podporządkował i nawet ucieszył z propozycji, ponieważ zaczynał już się śpieszyć, nie miał pojęcia czy zdąży jeszcze wyspać się przed wyprawą na ryby.

Tania prowadziła pewnie, jakby wiedziała, gdzie mieszka Miron Iwanowicz. Zresztą, teraz i to by go nie zdziwiło — kierował nią jakiś cel, niemający się nijak do romantyzmu, a ten cel nie podobał się Mironowi Iwanowiczowi. Szedł więc w pewnym oddaleniu od Tani, okazując jej, że nic go do niej nie ciągnie, a jeśli tak się jej wydawało wcześniej, to się grubo myliła.

— Odnoszę takie wrażenie — powiedziała Tania — że nie przekopałam pana.

— Co do czego?

— Co do tego, że kaplicy nie wolno burzyć.

— Dlaczego nie wolno? Dlatego, że pani wymyśliła bajeczkę o mozaikowej podłodze i jakichś freskach? Mogę coś takiego opowiedzieć o każdej ruderze w tym miasteczku.

— Jelena Siergiejewna jeszcze nie wszystko wie o tej kaplicy, ale już odnalazła dokumenty o jej poświęceniu.

— Jelena Siergiejewna jest w stanie znaleźć dowolny dokument. — Miron Iwanowicz starał się stłumić rozdrażnienie. — Jej główny cel życia to przekształcenie Wielkiego Guslaru w martwe muzeum, do którego przyjeżdżaliby rozpasani turyści, jęczeli z zachwytu i pstrykali aparatami.

— Dlaczego od razu rozpasani?

— Dlatego, że turysta mieszka sobie w normalnym wieżowcu, korzysta z wodociągu i jeździ po szerokich ulicach. Do głowy mu nie przychodzi, że tu też mieszkają ludzie, o nie mniejszych niż jego skłonnościach do komfortu i postępu.

— Kto panu przeszkadza budować domy nie na miejscu starych, a obok?

— A czy pani wie, Tanieczko — słowo „Tanieczko” wcale nie brzmiało pieszczotliwie, było znacznie bardziej oficjalne od zwykłego „Taniu” — co to jest komunikacja? Słyszała pani coś o transporcie? Wie pani co? — w końcu Mironowi Iwanowiczowi udało się rozpalić w duszy płomień słusznego oburzenia. — Proszę się zajmować swoją genetyką i nie przeszkadzać tym, którzy budują dla pani domy! Jak każdy będzie się pakował w obce mu sprawy, to ni cholery nie działyśmy!

— To nie jest obca sprawa — powiedziała Tania leciuteńko się uśmiechając. — To jest nasza wspólna sprawa.

— Wiem to wszystko. Nie mniej niż pani chronię przyrodę i dziedzictwo kulturalne. Ale nie można też trzymać się tego dziedzictwa jak smoczka. Wyrośliśmy już z pieluch!

— Ach, to taki pan jest! — powiedziała Tania jakby z zainteresowaniem. — A na pierwszy rzut oka wydaje się pan miękki, nawet gamoniowaty.

— Dziękuję.

— Wie pan, co będzie na miejscu tej kaplicy?

— Wiem. Parking. I na dodatek będziemy mogli w końcu wyprostować ulicę.

— A te pałacyki, które stały za kaplicą już zburzyliście.

— Jakże, do diabła, pałacyki? Tam stały baraki.

— Proszę mi nie kłamać — powiedział Tania tonem nauczycielki. — Udało się wywalczyć ich zburzenie, ponieważ pan i pańscy nowi przyjaciele udowodni-  
liście, że ich odrestaurowanie będzie droższe niż budowa od nowa. I dlatego udało się wam zwyciężyć Jelenę Siergiejewną.

— No i widzi pani! — powiedział Miron Iwanowicz.

Takie jej zorientowanie w sprawie było dziwne, ponieważ decyzja o zburzeniu murowanych baraków, które Jelena Siergiejewna uparcie nazywała pałacami, nie była komentowana publicznie.

— No i jesteśmy na miejscu — powiedziała Tania.

Podeszli pod typowy dwupiętrowy budynek, w którym Miron Iwanowicz miał kawalerkę. Gospodarz nawet nie zauważył jak tu doszli.

— No to dobranoc — powiedział.

— Może posiedzimy jeszcze chwilę na ławeczce? Czy już się panu nie chce?

— Muszę iść spać.

— Żeby jutro kłusować?

— Bez wielkich słów, proszę. Jutro jedziemy na ryby.

— Znamy te ryby — powiedziała Tania i usiadła na ławce. — Niech pan siada.

— Nie.

— Powiedziałam panu — proszę siadać! Póki miał pan nadzieję, że będziemy się całować, nigdzie się pan nie śpieszył.

— Pięć minut — powiedział Miron Iwanowicz. Usiadł.

— Wie pan co — powiedziała Tania. — Jeśli zgodzi się pan nie burzyć kapliczki, to pocałuję pana. Słowo honoru.

— Niezbyt drogo wyceniła pani moje zasady — powiedział Miron Iwanowicz.

— Niechże pan zrozumie, zasadniczy architekcie. Wiem znacznie więcej od pana. Wiem, że kapliczki pan nie zburzy, nie pozwolimy na to. Wiem, że nie pojedzie pan jutro na ryby, ponieważ o szóstej zadzwoni do pana ten grubas... jak mu tam... zastępca dyrektora i wszystko odwoła.

— Niech pani nie myśli, że mnie zaintryguje. — Miron Iwanowicz przeklinał siebie za słabość charakteru. Trzeba było od razu sobie pójść.

— Nawet nie próbuję. Czy pan myśli, że będziemy marnowali siły i środki tylko na to, bym siedziała z panem na ławeczce czy spacerowała przy księżycu?

— No to proszę iść spać.

— Ostatni raz odwołuję się do pańskiego rozumu — proszę ratować kapliczkę.

— Co za bzdury! Kapliczka nam przeszkadza i nikomu nie jest potrzebna! Wznosimy miasta przyszłości — wieże ze szkła i żelazobetonu.

— Zapewniam pana, że kapliczka przeżyje wasze cuda z żelazobetonu, ponieważ są to, tak naprawdę, prowizorki. Standardowe prowizorki, postawione z braku czego innego. Minie nie tak dużo czasu i budownictwo znowu będzie tworzeniem piękna.

— Mamy różne gusta.

— Nie może pan porównywać, bo pan nie ma żadnego! Skąd ma mieć gust pozbawiony korzeni człowiek?

— Koniec — powiedział Miron Iwanowicz. — Mam tego dość.

— A żeby pan wiedział, jak ja mam pana dość — powiedziała dziewczyna. — Przecież takie potwory jak pan, myślący tylko o dzisiejszej wygodzie, o tym, żeby posiedzieć w knajpie z klientem i wykonać plan, zburzyły w tym mieście sześć cerkwi, kramy i nie wiadomo ile jeszcze domów, stworzonych przez ludzi, którzy wiedzieli co to piękno.

— Jaki cel ma oskarżanie mnie o błędy lat trzydziestych? — zdziwił się Miron Iwanowicz. — To nieuczciwe. Ja sam występowałem w obronie restauracji wieży obronnej.

— Na szczęście pańskie pokolenie jest ostatnim, które niszczy rosyjską kulturę.

— Ma pani nadzieję, że po nas przyjdą inni? Lepsi?

— Jestem przekonana.

— Cóż, pożyjemy zobaczymy — powiedział Miron Iwanowicz. — Dobranoc. — Nie miał pewności, czy powinien podać jej rękę, ale potem uznał, że nie, skinął więc tylko głową i skierował się do bramy.

Tania dogoniła go w bramie.

— Jeszcze tylko chwilka — powiedziała. — Pokażę tylko panu jedno zdjęcie. Mam nadzieję, że to zostanie między nami.

Podowała mu kolorowe zdjęcie, formatu pocztówki. W bramie było jasno, Miron Iwanowicz bez trudu zobaczył co przedstawia — niewielką przysadzistą cerkiewkę z kopułą, dwoma wąskimi strzelistymi, w głębokich niszach, okienkami, z niskimi drzwiami pod ciężkim, jakby uplecionym z gałęzi, portalem.

— I co? — zapytał.

— To ona — padła odpowiedź. — Podoba się panu?

Miron Iwanowicz od razu domyślił się, że jeśli przerobi się otwory okienne, odtworzy portal, a do tego wieniec i kopułę, z warsztatu szewskiego wyjdzie pomnik architektury.

— Trzeba było zdjąć metr gruntu — powiedziała Tania — warstwa kulturowa ma tu grubość trzy metry. Ale od razu zmieniły się proporcje, prawda?

Miron Iwanowicz zauważył, że za kapliczką, tam gdzie powinien wznosić się budynek dyrekcji, widoczne są tylko zielone drzewa.

— Lipa — powiedział z przekonaniem.  
— Dlaczego?  
— Nie ma budynku. Jak już rysujecie, to przestrzegajcie prawdy historycznej. Gdzie dyrekcja?

— Została zburzona, póki sama się nie zawaliła.  
— Zburzyli? W przeszłości?

Nie wiadomo dlaczego nagle pomyślał, że ściany są tu cienkie i sąsiedzi usłyszą, jak późnym wieczorem rozmawia z dziewczyną, przy tym na jakieś dziwne tematy. Dlatego zakończył pytanie szeptem.

Dziewczyna nie odpowiedziała. W rękę trzymała jeszcze dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało jakiś dość prymitywny ornament, drugi — biały obrazek z naiwnymi falami i statkiem, z prymitywnymi ludzikami na pokładzie.

— To jest ta mozaikowa podłoga — powiedziała dziewczyna — i fresk. Jak pan widzi — nie kłamałam.

— Nie wiem po co to wszystko rysowaliście — powiedział szeptem Miron Iwanowicz. — Na moją decyzję te symulacje nie będą miały najmniejszego wpływu.

Poczuł się urażony z powodu losu budynku dyrekcji. Przecież wyszedł mu całkiem fajny budynek, z przestronnymi gabinetami, stołówką, salą posiedzeń — takiego budynku nie powstydziliby się nawet wielkie miasto.

— To nie są symulacje, a fotografie.

— A kiedy, przepraszam, zostały zrobione? I gdzie, przepraszam — Miron Iwanowicz nie ukrywał sarkazmu w głosie — widziała pani kopułę nad warsztatem szewskim?

— Te zdjęcia będą wykonane za sto dwadzieścia lat.

Fałsz i jednocześnie pewność tej odpowiedzi spowodowały, że Miron Iwanowicz odsunął na bok chęć snu i zakończenia tego pustego gadania. Bo jeśli przypuścić, że to, co całkowicie niewiarygodne, ziściło się, jeśli przyjąć, że nie jest ofiarą jakiegoś diabelskiego dowcipu, a świadkiem nieprawdopodobnego wydarzenia... Zresztą, w wyglądzie tej dziewczyny od samego początku widoczne były jakieś takie nieziemskie cechy, niezwykle, bo inaczej dlaczego Mirona Iwanowicza, człowieka opanowanego i nie kochliwego, przyciągnęła ona jak ómę światło?

I póki te bezładne myśli kotłowały się w jego głowie, jak świerszcze w wysokiej trawie, Miron Iwanowicz stał ze zdjęciem w rękę, nie chcąc patrzeć na nie i jednocześnie nie mając odwagi podnieść wzroku na Tanie.

— Co więc pani proponuje? — zapytał w końcu.

— Nie burzyć kapliczki.

— Ale przecież pani uważa, że i tak nie będzie zburzona.

— Prawda. Ale jeszcze nie wiemy za jaką cenę.

Tania popatrzyła w zszokowane oczy Mirona Iwanowicza, wzięła go pod rękę i wyprowadziła na powietrze, w ciemną noc. Miron Iwanowicz posłusznie usiadł na ławeczce.

— Nie jestem w stanie zrozumieć — przyznał zwracając zdjęcia.

— Wszystko pan rozumie.

— No bo na co czekaliście tyle czasu?

— To proste — jesteśmy na granicy przenikania.

— Przenikania do nas?

— Tak. Głębiej już zapuścić się nie możemy. Sto dwadzieścia lat to granica.

— Dlatego tyle przegapiliście?

— Dziś jest nas jeszcze mało — powiedziała Tania. — Jednostki. Ale jutro będzie więcej. Na razie kosztuje to trzy czwarte energii całej Ziemi.

— Dlaczego tak dużo?! — Wstrząs i niedowierzanie walczyły o prymat w umyśle Mirona Iwanowicza.

— Czy pan nie rozumie? Żyjemy w świecie, który wyście uczynili. Wczoraj i dzisiaj. Zbudowany albo zniszczony. Uszlachetniony albo zhańbiony. Jeśli możemy powstrzymać coś niedobrego, to będziemy to robić. Jutro, pojutrze, codziennie. Dzisiaj to jeden z pierwszych dni.

Tania położyła wąską dłoń na ręce Mirona Iwanowicza, jakby uspokajając go.

— Proszę się nie denerwować — powiedziała. — My w ogóle staramy się nic nie mówić ludziom z przeszłości. Ale pan jest taki uparty.

— Ale ta kapliczka to drobiazg — ożywił się nagle Miron Iwanowicz. W pewnej chwili nie tylko uwierzył — duchem, ale szczerze, ostatecznie, że właśnie on został wybrany jako ten inteligentny rozmówca, uwierzył też, że postąpili słusznie. — Dacie sobie z nią radę. Ale muszę wam powiedzieć, że są znacznie ważniejsze problemy. Ciągłe zanieczyszczane są zbiorniki wodne, lasy — wiecie jak się odbywa wyrąb i spławianie drewna? A zanieczyszczenie atmosfery? Przecież wy też musicie czymś oddychać? Czy tylko kulturą się zajmujecie?

— Zajmujemy się wszystkim.

— No to tym się właśnie zajmujcie. Tego nie można odkładać na później.

— Mironie, kochany — powiedziała Tatiana, a jej oczy świeciły jaśniej niż błękitna sukienka — pan, chyba, nie wszystko zrozumiał. Nie jesteśmy waszymi niańkami. My — to wy, tyle że jutro. Nie my, a wy musicie zatrzymać się i nie zatruwać siebie i nas.

— Oczywiście — powiedział Miron Iwanowicz. — Jasne. To bardzo trafne spostrzeżenie o tej wspólnej odpowiedzialności.

— Jestem tu dopiero od kilku dni i — słowo honoru — wstrząsnęła mną przepaść między szlachetnymi zamiarami i waszymi codziennymi działaniami. Wszyscy zgadzacie się, że nie wolno marnować lasów i truć rzek. Wszyscy zgadzacie się, że nie wolno burzyć pomników kultury i zostawiać w trawie puszek. Ale kiedy to dotyczy jednej konkretnej osoby, kiedy jest sama i nikt jej nie widzi i nie może

złapać za rękę, dlaczego rzuca tę nieszczęsną puszkę i głuszy ryby dynamitem? Dlaczego?

Miron Iwanowicz trzymał w ręku niedopałek; jeszcze przed chwilą chciał go cisnąć w krzaki. Niedopałek parzył go już w palce, ale teraz nie mógł nim cisnąć za siebie.

— Ja nie głuszę ryb — powiedział, przesuwając palce na niedopałku. Zrozumiał, że musi się śpieszyć. Że Tania odejdzie. W każdej chwili. Miron nie jest jej do szczęścia potrzebny. Załatwi swoje i odejdzie. — Ja tylko chciałbym wiedzieć, nie powiem nikomu. Proszę, bardzo proszę, jako wyjątek. Oczywiście, rozumiem, że budynek dyrekcji nie wytrzyma stu lat. Materiały przecież są kiepskie. Ale przecież w przyszłości zamierzam przejść na monolit. Mam pewne pomysły. To dla mnie bardzo ważne wiedzieć, co uda mi się zrealizować. Powiedz mi, proszę.

Papieros w końcu oparzył mu palce i Miron Iwanowicz cisnął go w krzaki.

— Ja wiem tylko, że ten budynek dyrekcji będzie zburzony. To się wydarzy jeszcze przed moim urodzeniem. A poza tym nic więcej nie wiem.

— Szkoda — powiedział Miron Iwanowicz. — Zresztą, architekci wszędzie są zapominani. A tę kapliczkę — zgoda, będziemy jej strzec.

— Dobrze — powiedziała Tania. — W tym tygodniu wstąpi pan do Towarzystwa Ochrony Pomników. Nie formalnie, a jako aktywny członek.

— Oczywiście — zgodził się Miron Iwanowicz. — A czy mogę zadać pani prywatne pytanie?

— Nie jestem zamężna.

— Nie, ja o kapliczce. — Miron Iwanowicz miał wrażenie, że gdzieś na górze ktoś otworzył okno. Może podsłuchiwał. Znowu zaczął więc mówić szeptem: — Pokazała mi pani zdjęcia, a to oznacza, że kaplica zachowała się do waszych czasów. Bardzo się z tego osobiście cieszę. Ale skoro ten akt zachowania jest już zapisany, jest już prawem wieczności, to czy mogę w tym nie uczestniczyć?

— Jak to?

— Osobiście nie uczestniczyć. Dzisiaj tak sympatycznie spędziliśmy czas z moimi zleceniodawcami... A ja z nimi w przyszłości też będę miał do czynienia: garbarnia w takim mieście to siła. A jeśli ja do nich przyjdę jutro i powiem, że odmawiam, ponieważ przyszła do mnie dziewczyna z przyszłości... .

— Tego nigdy pan nie powie. Przecież nie jest pan głupi. Nie uwierzą panu i słusznie. Musi im pan to umotywować z pozycji architekta miejskiego... .

— Taniu, musisz mnie zrozumieć, musisz... . Jeśli ten cholerny warsztat szewski się zachowa, to znaczy, że mogę im nic nie mówić?

— Ach, to pan o tym! — Tania powiedziała to tak głośno, że Miron Iwanowicz omal nie przyłożył dłoni do jej pulchnych warg. — Rozumiem: w zasadzie jestem za, ale palcem nie kiwnę.

— Po co tak kategorycznie! Jesteś tu obca — przyszła — wyszła, kropka. A ja tu będę żył. Oni mi nie wybaczą, stracę ich zaufanie.

— Zaufanie i tak nie istnieje.

— Istnieje. Istnieją sympatyczne ludzkie stosunki. Będę z tobą całkowicie szczerzy — oddajemy wkrótce fabryczny budynek mieszkalny. Podwyższony standard. Dają mi w nim dwupokojowe mieszkanie. Może to nie jest argument dla świetlanej przyszłości, może wy tam już takich problemów nie macie. Ile masz pokoi?

— Nie powiem. Nic już panu nie powiem.

— Ale kapliczka przecież będzie stała! Czyli ktoś inny się za to zabierze. Ktoś wyżej postawiony.

— Architekcie — i w tym momencie Miron Iwanowicz zobaczył, że oczy Tatiany płoną błękitnym oślepiającym blaskiem — ty nic nie rozumiałaś. Kapliczka będzie uratowana właśnie dlatego, że ty ją uratujesz.

— Nie — Miron Iwanowicz pokręcił głową. — Nie ja.

— A jeśli nie uratujesz po dobremu, to będziemy musieli przejść do czynów.

— Do jakich, przepraszam, znowu czynów? Wy, proszę o wybaczenie, nie jesteście tu nawet zameldowani.

— Proszę słuchać. Ja odchodzę. Więcej nie będę na pana marnowała czasu. Wszystko wyjaśniłam. Powiedziałam, że wyruszamy do przeszłości, by ratować swoją terażniejszość — i waszą przyszłość. My wiemy, kto konkretnie jest winien w tym czy innym wykroczeniu przeciwko ziemi, powietrzu, planecie, ludziom. Przychodzimy do tych ludzi, rozmawiamy z nimi po dobremu. Ale zdarzają się przypadki, że trafiamy na ciemnego egoistę, egocentryka, przestępcę.

— Taniu!

— Wtedy stosujemy inne środki. Czy sądzisz, że mając na uwadze przyszłość Ziemi będziemy litowali się nad kilkoma niegodziwcami?

— Nie dałem ci powodu. . .

— To ja jestem winna. Myślałam: ach, jaki miły człowiek! On wszystko rozumie.

— Ja wszystko rozumiem — to ty nie chcesz mnie zrozumieć.

— Jutro im powiesz, że kapliczka zostaje. Nawet jeśli ryzykujesz utratę mieszkania i kumpli do kieliszka.

— A jeśli nie — zabijecie?

Miron Iwanowicz wypowiedział to słowo jakby żartem, ale oczy Tatiany stały się zimne i kłujące jak odłamki lodu.

— Tak — powiedziała.

— Czy my dla was. . . jesteśmy niczym? Zerem?

— Żartuję. Ale pomyśl o losie Stiepancewa.

— Kogo?

— Dyrektora chlewni.

Tania wstała i szybko odfrunęła. Pobiegła.



Miron Iwanowicz skoczył za nią, ale zrozumiał, że bieganie jest bez sensu. Czuł się poniżony, a przecież nie chciał niczego wielkiego, tylko tyle, by go rozumiano. Każdy człowiek chce być rozumiany.

Za krzewami błysnęło niebieskie światło.

Miron Iwanowicz wstał i poszedł do siebie, do małogabarytowej kawalerki — ach, żeby już się przenieść do nowego mieszkania! — położył się spać i od razu zasnął, choć sądził, że będzie do rana łamał sobie głowę nad tym, co zaszło.

Wydawało mu się, że tylko przyłożył głowę do poduszki, jak rozległ się dzwonek telefonu. Zabrzmiało to jak dzwon alarmowy, Miron Iwanowicz zerwał się, podniósł słuchawkę, zapomniawszy o wczorajszym.

— Co jest? Kto?

— Śpisz? Wybacz, stary. — To był głos zastępcy dyrektora garbarni. — Myślałem, że już stoisz na podwórku z plecaczkiem.

— Dzień dobry. A która godzina?

— Zaraz siódma.

— No to ja zaraz. Zaraz wyjdę.

— Nie śpiesz się, wypoczywaj. Odwołana wyprawa. Szaszyki też.

— Co się stało?

— Za godzinę runie tama.

— Jaka tama? — Miron Iwanowicz obudził się już, ale ciągle nie mógł przypomnieć sobie żadnej tamy w Wielkim Guslarze.

— Nie znasz naszej specyfiki, Mirosza — powiedział zastępca i westchnął. — Tamę ma Stiepancew na fermie trzody, tam gdzie jest zbiornik z odchodami. Ciągle nie może załatwić, żeby tę gnojówkę wywożono na pola, tylko tam zbiera.. No więc ten zbiornik co roku się przepełnia i — u-u-uch! — przerywa! Jak cholera. No i pech chciał, że dziś!

— Jak to przerywa? Gdzie?

— Jak to gdzie? Do rzeki, gdzie jeszcze! Co roku. Tak więc do jutra do rzeki nawet nie podchodź. A ponieważ ryby zwieją przed tym nawozem, to ze dwa tygodnie trzeba żeby wróciły — Kapujesz? Całe wędkowanie wzięło w łeb.

— Ale trzeba coś z tym zrobić! — Co?

— Zmobilizować wszystkich — młodzież, uczniów, żeby tamę wzmocnić.

— Po pierwsze, śmierdzi tam tak, że mobilizacja się nie uda. Po drugie, po co ją wzmocnić? Jak wzmocnisz, za dwa tygodnie i tak walnie, jeszcze gorzej będzie. Nie, klęska żywiołowa ma być klęską żywiołową. No to śpij, odpoczywaj, tylko do rzeki nie podchodź.

Zastępca zachichotał, ale jakoś mało wesoło i odłożył słuchawkę. Mironowi Iwanowiczowi odechciało się odpoczywać. Obudził się już ostatecznie i wszystko sobie przypomniał: i wczorajszą Tanie, i wątpliwą — teraz w porannym świetle — historię ze zdjęciami z przyszłości. Dlaczego on jej uwierzył? Przecież to stek bzdur. Może dlatego, że jej sukienka się jarzyła.

Nagle nabrał ochoty na spacer nad rzekę, póki jeszcze można.

Ubrał się i wyszedł. Zatrzymał się przy ławeczce, jakby mógł tam zostać jakiś ślad po Tani. Ale żadnego śladu nie było. Poszedł więc ku rzece. Warsztat szewski był zamknięty, ale za płotem warczała jakaś maszyna — budowa szła na dwie zmiany. Popatrzył na warsztat, ale nie udało mu się przywołać w rzeczywistości wyglądu z fotografii, i to umocniło go w przekonaniu, że stał się ofiarą jakiegoś złośliwego żartu, więc zawstydził się swojego poniżania przed tą studentką.

Zatrzymał się na wysokim brzegu rzeki. Daleko po prawej widać było barękę z restauracją. „Jeśli tama walnie — pomyślał — to barka też wykluczona!” I zaczął go irytować ten dyrektor, jak mu tam? Stiepancew? A co mówiła Tania? „Pomyśl o losie Stiepancewa”. Wiedziała o nim, widać miała na myśli przerwanie tamy. I karę, jaką ten Stiepancew zapłaci strażnikom wodnym. I nagle Miron Iwanowicz uśmiechnął się — przecież ten Stiepancew co roku pewnie płaci mandaty, przyzwyczał się. Pewnie subiektywnie, pomyślał Miron Iwanowicz, Stiepancewowi, wędkarzowi, jest przykro, że tyle ryb ginie, ale co na to poradzi? Za godzinę przerwie? Godzina minęła. Może pójść popatrzeć na tamę, może coś cię wymyśli — w końcu jest głównym architektem miejskim. Ale w tym momencie Miron Iwanowicz przypomniał sobie o fetorze, jaki musi panować wokół takiego zbiornika. Nie, na pewno tam nie pójdzie.

Rzeka płynęła sobie, czysta, tylko przy brzegu ciągnęło się, jak zawsze, pasmo rudej wody — od garbarni. „Możemy być okrutni” — powiedziała Tania, czy może to tylko wytwór jego wyobraźni? Ciekawe, tamę przerywa z hukiem, gwałtownie, czy tylko się rozpełza?

Stracił ochotę stać na brzegu i czekać na ekologiczną katastrofę.

Miron Iwanowicz zaczął wracać do domu — i tak dzień się zrobił jakiś taki nieuporządkowany. Gdzie się podziała ta Tania? Czy kogoś znowu straszysz? O nie, gołąbeczku z tak zwanej przyszłości, nas tak nie zastraszysz! Warn potrzebne są wielkie wstrząsy — nam wielka Rosja!

Spodobało mu się ostatnie zdanie! Jakby sam je wymyślił. Ale, będąc człowiekiem uczciwym, Miron Iwanowicz wiedział, że kto inny wypowiedział to zdanie pierwszy, jakiś klasyk. Może nawet sam Marks.

W domu zjadł śniadanie — kawalerska jajecznicą i maślanka z kartonu. Skromnie żył Miron Iwanowicz i nie pożywał bogactwa. Nagle znowu odezwał się telefon. I tym razem na drucie był zastępca dyrektora garbarni.

— Nie śpisz, Mironie? — zapytał.

— Nie, nie śpię.

— Bo wiesz, taka sprawa. . .

Głos w słuchawce nie podobał się Mironowi. Był zaniepokojony.

— Proszę mówić — zażądał.

Ale już wiedział — stało się coś, co wiązało się z tą Tatianą, że też napatoczyła się w nieodpowiednim czasie. Chociaż pewnie wcale nie jest z jakiejś tam przyszłości, tylko z najprawdziwszej zagranicy. Wróg.

— Przerwało tamę. Słyszysz?

— Przecież uprzedzaliście.

— Nie w tę stronę przerwało, jasne? Miało walnąć w stronę rzeczki, jak zawsze, a wywaliło do góry, pod las. To się nie mogło zdarzyć.

— No to chwała bogu! — powiedział szczerze ucieszony Miron Iwanowicz. — To znaczy, że jedziemy?

— Dokąd?

— Na ryby.

— Co za dziwak z ciebie. Najpierw dosłuchaj do końca, potem będziesz gadał. W tamtym kierunku dom Stiepancewa stoi. Pod samym lasem, od strony przeważających wiatrów, żeby aromat nie dokuczał. . .

— I ucierpiał?

— Stiepancew?

— Dom, czy dom ucierpiał?

— Dom zatopiony. Do piętra. I dywany, i meble, i obrazy w ramie. Stiepancew jak to zobaczył, że na niego wali dziewiąta fala od fermy, zdążył wezwać straż pożarną, ale ci nie dojechali, zatrzymali się i z daleka przyglądali.

— A Stiepancew?

— Stiepancew? Co Stiepancew. . . Ciało wydobyli — wyniosło go na łąkę. Ale już nie udało się ocucić. W maskach reanimowali, ale nie dali rady.

— Co? Utonął?

— Niech mu ziemia lekką będzie. . . Nieszczęśliwy wypadek. W rozkwicie sił. . . Co tak milczysz?

— Tak sobie. . . myślę.

— Co tu myśleć? Nie przywrócimy go do życia.. Dobry gospodarz był, odważny. I dobry człowiek. Butelkę z gwinta wypijał w minutę. Z zegarkiem w ręku.

— A nie zauważono tam. . . postronnych?

— Myślisz, że akcja jakaś?

— Nie wiem. . .

— Poczekaj, nie odkładaj słuchawki. Bo ja do ciebie dzwonię. . . Wymyśliłeś argumenty co do tego nieszczęsnego warsztatu? No to myśl, nie przeciągaj. W poniedziałek będziemy walczyli ze społecznością. Jakieś bydło Jelenę Siergiejewnę z urlopu ściągnęło telegramem. Jutro przyjeżdża. Walnęła nam „błyskawiczny”: „Bój to jest nasz ostatni!” Och, nie lubię ci ja niektórych ludzi! Walka będzie, jak pod Połtawą. Tak więc szykuj się, żebyś proch miał suchy, słyszysz?

Miron milczał. . . Pół minuty milczał i jego rozmówca słuchał jego przyspieszonego oddechu, czekał.

— Ja tak sobie myślę — powiedział w końcu Miron Iwanowicz — że jednak jest to budowla z czternastego wieku, dziedzictwo kulturalne... Niewykluczone, że pod podłogą jest mozaika.

— Mirosza, ty nie winduj mi tu ceny — suchym tonem przerwał zastępca dyrektora. — Wczoraj też wiedziałeś, jaki to skarb. Jakby co — będziemy cię osłaniać, przeniesiemy do innego powiatu. Ale jeśli nie jesteś nasz — strzeż się!

— Właśnie Stiepancew się strzegł.

— Stiepancew utonął jak krążownik „Wariag”. W walce. Za co mu cześć i chwała.

— Krążownik „Wariag” utonął w wodzie, a Stiepancew w gównie.

— Zastanawiaj się do poniedziałku — spokojnie podsumował zastępca dyrektora. — Ale pamiętaj: my zwyciężamy zawsze.

Miron Iwanowicz pożegnał się, odłożył słuchawkę i wolno podszedł do okna. Dzień był jasny, wietrzny, słoneczny. Przez listowie widać było róg dachu warsztatu szewskiego. Zaczął go boleć ząb...

1984

przełożył Eugeniusz Dębski

## Jabłoń

— Za stół to wam naprawdę dziękujemy — powiedział stary Łożkin, kiedy profesor Minc wyszedł na podwórko. — Ze stołu jesteśmy bardzo, ale to bardzo zadowoleni.

— Zadowoleni — powtórzył za nim Korneliusz Udałow. Zaciśnął w dłoni kostkę domina i zamachnąwszy się łupnął nią w blat stołu, wymyślony przez Lwa Christoforowicza. Rozległ się straszliwy huk, piekielny wręcz, niski i dźwięczny. Takiego huku nie potrafili sprokurować nawet na Zachodzie, mimo całej swojej osławionej techniki. Twarze graczy rozpląnęły się w rozkoszy, albowiem wiadomo, że nie ma nic piękniejszego od huku kości domina o stół w jakimś przemysłowym zagranium. To triumf zagrywającego i sromota dla przeciwnika. . .

Ale genialność wynalazku profesora Minca polegała nie tylko na tym, że stworzył materiał, wytwarzający tak potężny odgłos w zetknięciu z ludzką dłonią, a przede wszystkim na tym, że materiał ów zdolny był do emitowania fal dźwiękowych tylko w promieniu metra od stołu. I ani na milimetr dalej. Wystarczyło zrobić krok w bok, by powstało wrażenie, że gracze walą rękami w watę. W sumie ideał — i gracze zachwyceni, i sąsiedzi się nie wściekają. Wszystkie skargi i narzekania mieszkańców domu numer 16 na ulicy Puszkina, wcześniej przeklinających graczy nie mniej niż wyrostka Gawriłowa i jego magnetofon, ustały. Można było pomyśleć, że na podwórku zbierają się szachiści, arystokracja podwórkowych rozgrywek.

Minc przystanął z boku, skrzyżowawszy ręce na piersi, i z sympatycznym uśmiechem przyglądał się sąsiadom. Przyczyna jego wyśmienitego humoru kryła się w kolejnym naukowym sukcesie.

Jakieś dwa tygodnie wcześniej Lew Christoforowicz obrzucił przypadkowym spojrzeniem kwitnący na oknie kaktus i posmutniał — co za pech! — taka piękna roślina, a kwitnie tylko raz w roku. Przez kilka dni. I profesor nigdy nie zdążył nacieszyć oka wspaniałym kwiatem.

Ale czy można na to coś poradzić? Oczywiście, można bez trudu obłożyć się dwudziestoma pięcioma kaktusami i wymyślić coś, co zmieniałoby ich okres wegetacji, by kwitły po kolei. Można wymyślić jakiś konserwant, by kwiat nie

wiały i nie opadały, ale to są półśrodki, niegodne Minca. Zastanowiwszy się nad tym głębiej, Lew Christoforowicz pogрузił się w genetyce teoretycznej.

Skąd, zastanawiał się, rośliny wiedzą kiedy mają kwitnąć, kiedy mają owocować i kiedy gubić liście? Oczywiście, ta informacja jest zapisana w ich komórkach, to wie każdy uczeń. Ale jak wygląda owa informacja? Co to jest — kalendarz przyrody, ze stronicami na każdą okazję, przewodnik jakiś czy może zbiór delikatnych aluzji, pozostawiający roślinom ograniczone prawo wyboru zachowania? Jak dochodzi informacja do liści i korzeni? I tak zrodziła się hipoteza. . .

Patrząc na graczy, zawzięcie walących kostkami domina w specstół, Minc uśmiechał się z satysfakcją, w myślach analizując kolejne stadia swojego nowego odkrycia. I w jego obliczu widać było coś takiego, że po dziesięciu minutach graczom odechciało się domina. Przestał rozlegać się huk uderzeń, spojrzenia wpiły się w uśmiech Lwa Christoforowicza i w końcu Udałow ośmielił się zadać długo oczekiwane pytanie:

— Co nowego wynaleźliście, profesorze?

— Odpoczywam sobie, rozmyślam — podstępnie odpowiedział profesor, który od dawna czekał na to pytanie, całą duszą pożądał go i łaknął możliwości udzielenia nań odpowiedzi.

— Podzielcie się z nami, Lwie Christoforowiczu — powiedział Sasza Grubin.

Minc wyjął z górnej kieszonki marynarki pestkę jabłka, pokazał, nie wypuszczając z palców wszystkim obecnym, po czym zapytał:

— Co my tu mamy?

— Nasionko — odpowiedział prostoduszny Udałow. Pozostali milczeli, rozumiejąc, że zwyczajnym nasionkiem profesor nie chwaliłby się.

— Słusznie — powiedział Minc. — Nasienie jabłoni, i — co najdziwniejsze — jest to najzwyczajniejsze nasionko, z którego przy normalnym podlewaniu wyrośnie zwyczajna jabłonka. Chcecie się przekonać?

— Wierzmy — przekrzykując się odpowiedzieli sąsiedzi.

— Wierzycie, ale nie do końca sobie to uświadomiliście — uśmiechnął się Minc, przykucnął, pogrzebał w ziemi obok ścieżki i kazał Udałowowi przynieść wiadro wody. Udałow wrócił niemal natychmiast i zdążył zobaczyć, jak profesor włożył nasionko do dołka i starannie zasypał ziemią. Następnie wylał na to miejsce wiadro wody.

Sucha gleba niemal w oczach wchłonęła wilgoć. Widzowie uznali się za oszukanych. Minc cichutko podśpiewywał „Serce ślicznotki skłonne jest do zdrady”. Potem, mocnym krótkim palcem wskazał ziemię u swych stóp i powiedział:

— Proszę uważnie patrzeć.

Było to coś jak popularnonaukowy film, gdzie na zwolnionych zdjęciach demonstruje się jak nabrzmiewają pąki, rozkwitają kwiaty i dojrzewają jagody. Zielona, cienka łodyżka wysunęła się z ziemi i zaczęła rosnać w oczach, wzmacniać się, stawać się grubszą, dłuższą i ludzie już wiedzieli, że nie wolno odrywać oczu

od tego widoku. Przykuwał on uwagę tak, jak przyciąga wzrok płonące ognisko czy miarowe napływanie fal na brzeg.

Z oszołomienia wyrwały ich gwałtowne słowa Minca:

— Grubin, skocz natychmiast do mnie do gabinetu! Pod biurkiem leży papierowy worek. Tylko nie rozsyp zawartości. Udałow, więcej wody!

W głosie Minca rozbrzmiewała taka pewność człowieka mającego prawo wydawać polecenia, że Udałow z Grubinem bez dyskusji pognali je wykonać. Do czasu, kiedy Grubin przytaszczył papierowy wór, zielony pęd miał już dziesięć centymetrów wysokości i wypuścił kilka listków. Ziemia dookoła niego stała się sucha i zaczęła pękać. Minc w pierwszej kolejności wylał na pęd wiadro wody, gestem ponaglił Udałowa, by przyniósł następne, a sam chwycił przyniesiony przez Grubina worek i wyjaśnił: „Nawóz”. Widocznie pęd wymagał wsparcia dla swojego wzrostu — od razu po zasileniu wodą i nawozem przyspieszył tempo. Gołym okiem było widać, że łodyga przy ziemi zaczęła brunatnieć i pokrywać się cienką korą.

— Można chwilę odetchnąć — powiedział Minc. — Udałow, podlewaj.

Podszedł do stołu i usiadł na ławce, w takim miejscu, by cały czas mieć roślinę w zasięgu wzroku.

— I to z tej pestki? — odzyskał w końcu głos stary Łożkin.

— Tak jest — uśmiechnął się Minc. — Z najzwyczajniejszej pestki, najzwyczajniejsza jabłoń.

— I jabłka będą? — zapytał zszokowany Pogosjan.

— Będą.

— A kiedy?

— Za jakieś półtorej godziny — powiedział Minc. — To jest gatunek późniejszy.

Kiedy godzinę później wróciła z targowiska Ksenia Udałowa zobaczyła dziwny obrazek. Mężczyźni siedzieli przy stole do domina i patrzyli jak na potężnej rozłożystej jabłoni, która wyrosła na podwórku w czasie jej nieobecności, dojrzewają zielone owoce. Ksenia obrzuciła mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem, uważając, że zdążyli już się napić i dlatego jabłoń tak mocno im się zwiduje, że aż wpływa to i na nią. Pośród mężczyzn zobaczyła profesora Minca, ale nie uważała męża. Dlatego zapytała:

— Gdzie Korneliusz?

— Tu jestem — odpowiedział Korneliusz. Pędził przez podwórko targając dwa wiadra wody. — Tu jestem, kotku

— powtórzył wylewając wiadra pod jabłonią. — Chciałaś mnie o coś zapytać?

— Chciałam tylko powiedzieć, że takie hulanki nie doprowadzą cię do niczego dobrego — powiedziała Ksenia i poszła do domu.

A Minc w tym czasie perorował:

— Pomyślałem, że skoro w roślinach zakodowana jest informacja o cyklu wzrostu, wypuszczaniu liści i owocowaniu, to my, ludzie, możemy tę informację wykorzystać. Pod warunkiem, że moja hipoteza jest słuszna.

— Jaka hipoteza? — zapytał Łożkin.

— Pomyślałem sobie — odpowiedział Minc — że może w roślinie zakodowane są nie tyle polecenia czy pozwolenia, co zakazy? Wyobraźcie sobie dziecko. Widzi ono stertę czekoladek wyłożoną na stół przez rodziców, którzy oczekują przybycia ukochanej ciotki. Dziecko pędzi do stołu i wyciąga łapkę po cukierek. Dobra, jedną pozwolą mu zjeść. Ale kiedy sięgnie po drugą — po łapach! Stop, czekoladki szkodzą zdrowiu i wywołują diatezę. Być może tak naprawdę w tej chwili rodzice nie myślą o diatezie, a raczej o tym, że zabraknie czekoladek dla ciotki. Nieważne. Rodzice wypełniają swoją biologiczną funkcję — chronią przed nadmiarem. Pomyślcie, sens wychowania polega w osiemdziesięciu procentach na zakazach. Gdyby ich nie było ludzkość dawno wymarłaby z powodu obżarstwa albo przeziębienia. A rośliny nie mają takich rodziców, którzy kazaliby jej owocować albo zrzucać liście, ponieważ i tak zostaną zwarzone przez mróz. Nie ma kto uczyć ich życia, chyba że zabiorą się do tego ich własne komórki, ci wewnętrzni wychowawcy, włożeni w ich ciała przez naturę. Nadażacie za tokiem moich rozważań?

Wszyscy zgodzili się, że nadażają. Popatrzyli na jabłonkę. Jabłka zaczynały żółknąć, a niektóre nawet rumieniły się już po bokach.

— Tak więc wyobraziłem sobie... słuchajcie uważnie. Tak więc, wyobraziłem sobie, że kod genetyczny, regulujący życie każdej rośliny, odgrywa rolę surowego i nieustannie czynnego rodzica. Roślina chce szybko wyrosnąć. Ale rodzic powiada jej: nawet nie próbuj! Skąd weźmiesz tyle wody i substancji odżywczych, by w dwie godziny wyrosnąć do samego nieba? Umrzesz z pragnienia i głodu. Musisz cierpieć, rosnać rok po roku, nie śpiesz się, życie ma swoje uroki. Zachwycaj się, mówiąc w uproszczeniu, zachodami i wschodami słońca. Roślina pragnie miłości i owocowania, a rodzic na to: poczekaj. Wszyscy dookoła czekają jesieni, by owocować. Nie wychylaj się, nie bądź mądrzejsza od innych. A przy okazji — zrzuć liście, nadchodzi zima, zwijaj korzonki i zapadaj w śpiączkę.

W tym momencie Minc zasepił się, widocznie żal mu się zrobiło roślinki. Zasepili się również jego słuchacze.

— Taki los — powiedział Udałow i nie wiadomo dlaczego zerknął z obawą na okna swojego mieszkania. Z okna wyjrzała rozeźlona Ksenia, patrzyła na jabłoń. Jabłoń wyraźnie nie przypadła jej do gustu. Jabłoń nie powinna rosnać na tym podwórku. I nie powinna taka jabłoń w maju owocować. Ksenia pogroziła Udałowowi palcem, a ten szybko się odwrócił.

— Może to wszystko ma sens w przypadku dzikich roślin, które żyją bez pomocy człowieka i z nim, że tak powiem, nie mają kontaktu. Zupełnie inaczej ma się sprawa z roślinami domowymi. Niby dlaczego mają służyć swojego rodzi-



ca? Wszak mają one służyć nam bez dyskusji. Doszedłszy do takiego wniosku wzięłem pęd kaktusa, który stoi u mnie na parapecie, widzieliście go?

— Widzieliśmy — powiedział Łóżkin. — Nie pamiętam tylko jego łacińskiej nazwy.

— Nieważne — odparł Minc. — Łacińska nazwa niczego nie wnosi.

I wszyscy popatrzyli z wyrzutem na Łóżkina, ponieważ łacińska nazwa rzeczywiście niczego nie wносиła.

— Ten pęd został poddany chemicznej obróbce. Wykonałem preparat. Zneutralizowałem czynnik zakazu., powiedzmy, że usunąłem z rośliny instynkt samozachowawczy. I cóż otrzymałem?

Wszyscy milczeli. Nikt nie odważył się przerwać profesorowi.

— Okazało się, że miałem rację — powiedział skromnie Minc. — Po godzinie na moim kaktusie pojawił się kwiatek. Co prawda, kwitł niedługo... — Minc wskazał palcem jabłoń, ziemię dookoła niej, pokrytą płatkami kwiecia.

— I to wszystko — powiedział Minc. — Co dalej, wiadomo.

Wstał i zrobił krok w kierunku drzewa. Sięgnął do najbliższego jabłka. Pociągnął. Jabłko posłusznie oderwało się od gałązki i legło na dłoni uczonego. Minc odwrócił się chcąc oddać owoc Udałowowi, ale w tym momencie inne jabłko, oderwawszy się od szczytu drzewa, huknęło Minca w łysinę. Ten raźnie odskoczył w bok, ale jeszcze dwa czy trzy jabłka zdołały go sięgnąć. Czerwone soczyste owoce turlały się po ziemi, po podwórku. Był to zadziwiający i jakże jesienny widok.

— Zetknięcie głowy z jabłkiem rodzi nie tylko uczucia bólu, ale również nasila procesy myślowe. Muszę iść.

I Minc pośpieszył do swojego gabinetu, ponieważ w jego umyśle rodził się nowy wynalazek, o którym przedwcześnie byłoby już w tej chwili mówić.

Liście jabłoni żółkły w oczach i zaczynały opadać. Łóżkin poszedł po kosz. Sąsiadka Gawriłowa przyszła z garnkiem. W końcu raczyła się pojawić również Ksenia Udałowa. Z wiadrami. Zerkała nieufnie na dziwne drzewo, ale jabłka zbierała.

Żeby uniknąć rozmowy z żoną, Udałow wsunął do kieszeni jabłko i wymknął się z podwórka. Miał wielką ochotę na dyskusję o genetyce, na rozmyślania na ten temat. Doszedł do piwiarni w parku. Zapadał zmrok. W piwiarni było pusto. Korneliusz kupił kufel piwa, soloną suszoną rybkę i odszedł od kontuaru. Przy wysokim stole stał znany mu Iwan Puziło, którego Udałow poczęstował jabłkiem i opowiedział o wydarzeniach minionego dnia. Puziło kiwał głową, słuchał, ale myślał o czym innym.

— Jedz — mówił Udałow. — Widzisz, jakie soczyste? Wszystkie parametry wskazują, że prawdziwe.

Puziło kiwał głową.

— Perspektywy ogarniasz? — zapytał go Udałow. — Nie rozumiesz ich, będąc na stanowisku dyrektora łaźni. Ale my z Mincem dokonamy przewrotu w rolnictwie.

— Już nie jestem dyrektorem łaźni — powiedział Puziłło. — Przerzuciono mnie.

— Nie to jest ważne — powiedział Udałow. — Nie wybrzydzaj. W ciągu dnia nasza jabłoń daje plony pięć, może sześć razy. Rozumiesz? Weźmy taki sad jabłoniowy. Zwyczajnej wielkości. W ciągu jednego sezonu mamy plony tysiąc razy. Może nawet półtora tysiąca. Wielotonowe składy z jabłkami i gruszkami pędzą z Wielkiego Guslaru we wszystkie końce kraju. . .

— Wielotonowe? — zapytał ze smutkiem Puziłło. — Może nie trzeba?

— Trzeba. Postępu nauki nie powstrzymasz, chłopie — powiedział Udałow. — Poza tym, zaczniemy hodować ananasy. Wybieramy upalny dzień, a w tym dniu mamy trzydzieści zbiorów z krzaka. Pięć ton z hektara. I to nawet w naszych warunkach klimatycznych, w północnej Rosji. Teraz weźmy, na przykład, takie banany. . .

— O, i tego się obawiam — powiedział Puziłło. I poszedł sobie.

— Nie wierzysz? — krzyknął za nim Udałow. — Przyjdź na nasze podwórko. Tam rośnie pierwsza jabłoń. A jutro zaczniemy eksperymenty na poletku doświadczalnym.

W tym momencie Udałow zauważył, że zapadł już zmierzch i ruszył do domu. Jabłoń stała na środku podwórka i wydawała się nawet większa niż w dzień.

— Aha — powiedział do siebie Udałow wchodząc po schodach. — Następny krok, drewno budowlane. Rano wysiejemy, wieczorem gotowe belki. Trzeba będzie rano z Mincem pogadać. I żeby nie zapomniał o ananasach. Już od tak dawna marzę o tym przysmaku.

Na schodach Udałow spotkał swoją małżonkę Ksenię. Niosła miednicę i głośno domagała się, by oddać Minca w jej ręce. Udałow jeszcze nie wiedział, o co chodzi, ale na wszelki wypadek rozpoczął odwrót. Nie wycofał się daleko, ponieważ z dołu dopadła go sąsiadka Gawriłowa z wielkim garem.

— Kpicie sobie? — zapytała. — Naśmiewacie się z samotnej kobiety.

Kobiety zatrzymały się przed drzwiami do mieszkania Minca. Udałow ostrożnie podążał za nimi.

— Proszę otworzyć, Lwie Christoforowiczu — powiedziała Ksenia fałszywie słodkim głosem. — Proszę popatrzeć, coście narobili.

Minc uchylił drzwi. Miał na sobie szlafrok i papucie, przygotowywał się najwyraźniej do snu.

— Przepraszam — powiedział. — Czym mogę służyć?

— Proszę popatrzeć — opowiedziała Ksenia. — Proszę patrzeć, zdrajco!

Podniosła miednicę i podsunęła ją pod nos Minca.

— Co to jest? — zapytał ten.

— Co? To ja was powinnam zapytać. Godzinę temu to były jabłka.

Udałow przecisnął się przez tłum przybyłych tu sąsiadów. Zajrzał do miednicy. Naczynie wypełnione było brunatną mazią.

— Akurat chciałam poczęstować dziecko — opowiadała Gawriłowa. — Właśnie chciałam. . . Dobrze, że nie zdążyłam. . .

— A ja chciałam dżem zrobić.

— Ach — powiedział Minc. — Już wszystko rozumiem. To moja wina. Stary osioł. Bo kto myśli do połowy, kto, pytam się?

— Co się stało? — zapytał Łóżkin. — Proszę wyjaśnić, nie ukrywać.

— Wszystko jest proste. Usunąłem ograniczenia z rośliny, a ta, w ciągu kilku godzin osiąga dojrzałość płciową i wydaje owoce. Ale przecież przyspiesza się wszystko! Rozumiecie — wszystko! A to znaczy, że i owoce będągniły tysiąc razy szybciej. Wszystko, co szybko wyrasta i dojrzewa, tak samo szybko obumiera i rozsypuje się w proch. . . Proszę, wybaczcie mi, ludzie.

Nastała cisza. Nawet hoża Ksenia zrozumiała, że profesor nie zamierzał nikomu wyrządzić krzywdy. . . I w tej ciszy nagle wszyscy usłyszeli, że z podwórka dochodzą do nich odgłosy mocnych wściekłych uderzeń. Udałow pierwszy wypadł na zewnątrz. W mroku zobaczył, że przed jabłonią stoi Puziło i wymachuje siekierą, uderzając nią niefachowo w gruby węzłasty pień starej jabłoni.

— Zatrzymaj się, co robisz? — krzyknął Udałow. — Przecież to eksperyment! To jest własność narodu!

Puziło jakby go nie słyszał. Jeszcze raz zamachnął się siekierą i jabłoń, łamiąc swe pozbawione liści gałęzie, runęła na ziemię.

— Barbarzyńca! — zawołała Ksenia. — Podamy cię do sądu.

— A sądzicie mnie, obywatele — powiedział Puziło upuszczając siekierę na ziemię. — Ale nie miałem innego wyjścia.

— Dlaczegoż to? — zapytał profesor Minc.

— Dlatego, że pięć dni temu zostałem dyrektorem przechowalni warzyw i owoców.

— No to co?

— A to, że pomieszczenie magazynowe jest niewielkie, skromne, powiedziałbym. Już wczoraj zagrożono mi udzieleniem nagany, za to, że nie nadażam z obróbką zbiorów. Każdy może sobie hodować jabłka. Ale niech spróbuje je przechować. . .

Dyrektor przechowalni Puziło opuścił głowę i zamilkł. Minc podszedł doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Rozumiem was — powiedział. — Nie jesteście przestępcą, tylko człowiekiem, który znalazł się w trudnym położeniu i nie znalazł z niego wyjścia. Ale proszę się nie martwić. Nagana wam nie grozi.

— Zrezygnowaliście z tego? — Puziło błysnął oczami.

— Zrezygnowaliśmy — westchnął Minc. — Na jakiś czas przynajmniej.

Oparł nogę o gruby pień drzewa i stopa wpadła mu do środka. Pień był spróchniały...

„Z drewnem budowlanym też trzeba będzie poczekać” pomyślał Korneliusz Udałow.

No i ten niezaspokojony apetyt na ananasy...

1979  
przełożył Eugeniusz Dębski

## Przestańcie kochać Łożkina

Opowiedziana tu historia odnosi się do grupy moralnych niepowodzeń profesora Minca. Chociaż, z drugiej, naukowej strony, nie ma się kompletnie do czego przyczepić. Minc o niej nie wspomina, bo każdą porażkę, nawet taką najmniejszą, po prostu wyrzuca z pamięci.

Wydarzenie to miało miejsce wkrótce po przeprowadzce do Wielkiego Guslaru Lwa Christoforowicza Minca, znakomitego uczonego, który otarł się w swej karierze o nagrodę Nobla. Uciekał ten uczony z Moskwy, od kłopotów i sławy, od międzynarodowych kongresów i uroczystych zebrań. Wybrał Wielki Guslar na miejsce stałego pobytu, ponieważ z tego miasta pochodziła jego mama i kiedyś w dzieciństwie woziła małego Lwa, Lowuszkę rzecz po imieniu nazywając, do rodziny. Minc zapamiętał z tego uroczystą przestronną ciszę tego swobodnego miasta, błękit nieba i rzeki, cerkwie i cerkiewki, pokornie czekające na zniszczenie... Miasto trwało w stagnacji, w niechęci województwa, ale w tym właśnie tkwił specyficzny urok cichego wędnięcia, dominującego wszędzie tam, gdzie brak jest jakiegokolwiek przemysłu.

Minc przeprowadził się do Wielkiego Guslaru i tymczasowo zamieszkał w budynku numer 16 na ulicy Puszkina. Zaniepokojone jego przybyciem i przepełnione podejrzliwością władze miejskie, natychmiast zaproponowały Mincowi przeprowadzkę do trypokojowego mieszkania na Zarzecznej Osadzie, w nowym budynku. Ale Minc mieszkania nie przyjął, albowiem dowiedział się, że pozbawiłby w ten sposób lokalu kobietę z kolejki, z czwórką dzieci i nieudanym mężem.

— Nie potrzebuję tego — oświadczył Minc w Radzie Miejskiej. — Dwa pokoiki na parterze to marzenie samotnego mężczyzny.

Wkrótce Minc zapchał oba pokoje książkami, rękopisami i periodykami naukowymi, które przysyłano mu z całego świata. Powiatowy Pocztowy Sprawdzacz wykończył się niemal na tych zagranicznych i egzotycznych językach, a w końcu poddał się, przyszedł do Minca i poprosił, by ten tłumaczył przynajmniej nazwy czasopism i książek, dla wykonania czekistowskiej sprawozdawczości. Co też Minc i robił. Wypijali ze Sprawdzaczem po dwa kufle piwa, które zdobywać musiał pracownik wiadomych organów.

Miasto miało z Minca bezpośrednie korzyści. Profesor z przyjemnością rozwiązywał nierozwiązywalne dotąd zadania codziennego życia miasta i podmiejskiego rolnictwa. W czynie społecznym.

Nigdy nie odmawiał Minc również swoim sąsiadom z domu. Ale tu nie zawsze wszystko wychodziło dobrze.

Czasem prośba związana była z zaskakującym wynalazkiem, który doprowadzał do konsekwencji przez nikogo nie przewidzianych. W domu do Minca odnoszono się z sympatią, ale też z pewną nieufnością. Zwracano się do niego o pomoc tylko w sytuacjach naprawdę skrajnych.

Tak właśnie się stało tego przyjemnego październikowego dnia, kiedy babie lato już przeminęło, pasmo deszczy przeszło i ustaliła się chłodna, z nocnymi przymrozkami, rześka i czysta pogoda, i tylko czasem wiejący od Syberii wiatr leciutko zdejmował z drzew złote liście i rozkładał je na czarnych mokrych chodnikach.

Tego dnia Minc długo spacerował po brzegu rzeki, rozmyślając o maszynie czasu, którą zamierzał wynaleźć, chociaż wiedział też, że nie da się jej wynaleźć. Przy okazji udowodnił teoremat Fermiego, ale spotkał Udałowa, swego sąsiada, i zapomniał jak brzmi ów genialny dowód.

Rozmawiając o pogodzie i szachach, Minc z Udałowem, w tym czasie krzepkim jeszcze mężczyzną z łysinką, dobrodusznie obramowaną pszenicznego koloru kędziorkami, weszli na podwórze domu i zobaczyli, że przy mocnym stole do gry w domino męczą się w oczekiwaniu na partnerów Sasza Grubin i Wasil Wasiljicz.

— Do nas, do nas! — zawołał Wasil Wasiljicz. — Ty, Christoforycz, skatować kozła potrafisz?

— Nie znoszę widoku krwi — zaczął Minc, ale zaraz zrozumiał, że tutejszy kozioł nie ma nic wspólnego ze światem zwierzęcym i katowanie go to tylko propozycja rozegrania partyjki, więc szybko uśmiechnął się chytrze i zapytał: — Przepraszam, mieliście na uwadze grę?

— A graliście kiedykolwiek w domino? — zapytał Udałow.

— Sam nie grałem, ale widziałem, jak grają inni. I rozumiałem, że to nie jest skomplikowane.

— No to siadajcie!

Minc z trudem wcisnął brzuch w szczelinę między stołem i ławką, wyjął z teczki niebieski daszek na gumce, naciągnął go na łysinę, ponieważ ta część podwórka zalana była popołudniowym słońcem.

Minc usiadł naprzeciwko Udałowa, dlatego że miał grać z nim w parze przeciwko Grubinowi z Wasiljiczem. Udałow był nieco rozczarowany tym układem, ponieważ mimo że wierzył w znakomite naukowe możliwości Minca, to w grze preferował partnerów pewniejszych i lepiej znających arkana gry.

— Szóstka do szóstki, a dwójka do dwójki? — zapytał Minc, wyrażając tymi słowami całą istotę gry w domino.

— Niby z grubsza tak, ale w praktyce wszystko się komplikuje — zauważył Grubin i opowiedział Mincowi o rybie i dublach.

Minc posłusznie kiwał daszkiem. Gra go zainteresowała.

Rozłożono kości. Zaczęła się gra. Udałow pilnował Minca z całej siły, ponieważ wiedział, że będzie musiał wziąć ciężar gry na swoje barki. Więc kiedy Minc w drugiej rundzie pomylił się, Udałow powiedział nie bez szyderstwa:

— Przegrani włożą pod stół. Wiecie o tym Lwie Christoforowiczu?

— To bardzo interesujące — odparł uczony. — Ale nam to nie grozi.

Po czwartej rundzie Minc na długo zamyślił się. Gdyby na jego miejscu był ktoś inny, gracze takiego myśliciela zadziobaliby na śmierć. Ale nie odważyli się przerywać zadumy Minca.

Nagle Minc położył swoje kości na stół i powiedział:

— Udałow zrobi rybę znajdującą się w jego ręku kostką z pięcioma i trzema punktami.

Mimo że terminologicznie profesor wypowiedział się nieprawidłowo, to jego słowa zrobiły wrażenie. To była dopiero połowa partii i takie przepowiednie były co najmniej przedwczesne.

Udałow popatrzył w swoje kości. Trzy — pięć — miał.

— Jeśli nie wierzycie, to możemy tę partię dograć — zaproponował Lew Christoforowicz. — Możemy nawet otwartymi kostkami.

Kiedy jego przepowiednia spełniła się co do joty, wstał od stołu i powiedział:

— Sądzę, że więcej nie będę zapraszany. A zresztą i sam nie chciałbym wam psuć gry. Rozumiecie — winna jest moja fantastyczna matematyczna intuicja. A reguły domina dla człowieka rozumiejącego teorię gier, wcale nie są trudne.

Wszyscy zasmucili się, szczególnie, że nie było żadnych argumentów na te słowa profesora. Wiadomo — więcej nie wolno zapraszać go do gry.

Minc wydostał się z za stołu i wyprostował. Oświetlona przez słońce jego pulchna postać sprawiała dziwne, dwójakiego rodzaju wrażenie. Z jednej strony wydawał się być otyły. Z drugiej, może dlatego, że miał małą, ptasią głowę, wydawał się chudy. . .

W tym momencie na podwórko wszedł stary Łożkin.

Łożkin był emerytem, ale przez dwa miesiące w roku pracował na swoim starym stanowisku. Teraz kończył się właśnie pierwszy z dwu miesięcy jego emeryckiej pracy. Łożkin był zmięty, zły i przesycony pyłem.

— Po diabła mi to? — poskarżył się sąsiadom. — Zamiast siedzieć w domu, emerytura, chwala Bogu, porządna, nikt mnie za rękę nie ciągnie, to ja sam. . .

— A co się stało? — zapytał Wasil Wasiljicz.

— Już odzwyczaiałem się od jazdy w środkach komunikacji miejskiej w godzinach szczytu — powiedział posmutniały Łożkin. Jego kawaleryjskie wąsy opadły i przypominały nie dziarskie gwardyjskie, a opuszczone, jak u Tarasa Bulby. — Wszyscy się wpychają, popychają, wszyscy się wściekają. Zupełnie nie zwracają

uwagi na to, że jestem emerytem i weteranem. W pracy nikt się nie cieszy, że przychodzę. Przez rok mnie nie było i nawet nikt nie złożył życzeń. Młodzież zbeczelniała strasznie. I powiem więcej: zaraz wejdę do domu, a Matriona zamiast „dzień dobry, siadajcie do obiadu” i tak dalej, zacznie mnie piłować.

I jakby w odpowiedzi na te słowa Łożkina na piętrze otworzyło się okno i wysunęła się głowa starej Łożkinej.

— Zbóju jeden! — zakrzyknęła z emfazą. — Masłoś kupić?

Łożkin niemal się rozplakał, a pozostali mężczyźni mu współczuli. A Minc tak się rozczulił, że powiedział do starego:

— Jak się pan obrobi z zajęć, proszę wpaść do mnie. Może coś dla pana wymyślimy.

Wkrótce Minc również poszedł do siebie, a Wasil Wasiljicz powiedział w zamysleniu:

— Na miejscu Łożkina nie zgadzałbym się na usługi Christoforycza. Najpierw może się wydawać, że to fajne, a potem pokazuje się druga strona medalu.

Udałow milczał, zgadzając się z sąsiadem.

Łożkin usiadł na miejscu Minca i udało im się pograć jeszcze ze czterdzieści minut. Potem wszyscy rozeszli się do domów, a Łożkin udał się do Minca.

Na widok onieśmiałego, stojącego niezręcznie w progu Łożkina, Minc, siedzący i czytający książkę w zwyczajny dla siebie sposób — szybko przewracając strony, zapamiętując przy tym wszystko, co na nich było zapisane do ostatniego przecinka, uśmiechnął się szeroko.

— Nie boicie się konsekwencji? — zapytał Lew Christoforowicz.

— Ja już wiele w życiu przeżyłem — ostrożnie odpowiedział Łożkin.

Czuł, że fortuna kiwa do niego rączką.

— No to świetnie! — Z szuflady biurka Minc wyjął zegarek marki „Poljot” z jedną wskazówką. — Proszę nałożyć i korzystać do woli!

— A objaśnienie? — zażądał Łożkin.

Ale jednocześnie zapiął na przegubie czarny pasek.

— Wszystko jest proste — powiedział Minc, który chciał jak najszybciej wrócić do lektury. — Nałożyliście przed chwilą na rękę regulator tła emocjonalnego. To nie zegarek, tylko regulator zamaskowany w celu bezpieczeństwa i wygody stosowania. Jeśli zacznie pan przekręcać pokrętkę tak, by strzałka poruszała się do przodu, to poziom pozytywnego tła emocjonalnego wokół, będzie rósł. Kiedy zniknie potrzeba takiego tła trzeba będzie wrócić wskazówką na pozycję wyjściową — godzina zero. I tło emocjonalne wróci do stanu zerowego.

— A ja tam nic nie rozumiem! — butnie oświadczył Łożkin. — Słucham tych waszych bzdur i nic nie rozumiem.

— Wyjaśnię dla pana specjalnie — powiedział Minc i Łożkin poczuł się nieco opóźniony umysłowo. — Macie dość ludzkiej złości. Macie dość, że ludzie was



nie lubią. Gdy tylko przekręcicie wskazówkę do przodu, ludzie zaczną się lepiej do was odnosić.

— Tak zwyczajnie?

— Tak zwyczajnie. Jesteście wolni. — Minc usiadł i chwycił książkę.

Łóżkin głupi nie był. Natychmiast przekręcił wskazówkę w prawo i nagle Minc poderwał się z krzesła, odrzucił książkę, rozłożył ręce i zawołał:

— Łóżkin, kocham cię! Jeśli nie chcesz, bym cię całował, a chce mi się strasznie ciebie całować, to natychmiast przekręć wskazówkę z powrotem.

Łóżkin szybko cofnął wskazówkę — nie miał ochoty na całowanie się z Mincem.

— A dlaczego tak się dzieje? — zapytał Łóżkin, ponieważ bardzo był uradowany i chciał z kimś z tej radości pogadać. Tak naprawdę głęboko w nosie miał naukę.

— Wewnątrz tego zegarka — powiedział Minc, odsuwając się od Łóżkina — jest precyzyjny przyrząd, który najpierw wychwytuje wasze biofale, a następnie wysyła odpowiedniej długości fale do mózgow otaczających was ludzi. Idźcie, Łóżkin, do ludzi, pokochają was. Ale bądźcie ostrożni. Miłość to ryzykowne uczucie.

Łóżkin nic nie odpowiedział. Ani dziękuję, ani do widzenia. Co tam będzie rozpieszczał Minca, skoro jeszcze nie wypróbował urządzenia!

Wrócił do siebie. Żona robiła na drutach. Łóżkin zbliżył się do niej i przesunął wskazówkę na godzinę trzecią.

— Skąd masz nowy zegarek? — zapytała żona. — Rano jeszcze nie miałeś pieniędzy.

Łóżkin przesunął wskazówkę jeszcze o trzy godziny. Przy takim promieniowaniu Minc już się pchał do całowania.

— Pytam się ciebie! — krzyknęła żona.

— Co masz na obiad, Matyldo? — zapytał Łóżkin.

— Od czterdziestu lat nie jestem Matyldą tylko Matrioną — warknęła żona.

Albo urządzenie było nic nie warte, albo żona wyróżniała się szczególną odpornością na Łóżkina. Zmusiło go to do przesunięcia wskazówki o kolejne trzy godziny.

Matriona westchnęła i nieoczekiwanie zapytała:

— Podsmażyc ci kartofelków?

Łóżkin omal nie zwał się na podłogę — nie słyszał takich słów od Matriony od jakichś piętnastu lat.

— No czego milczysz, głuptasku? — warknęła czule żona. — Teraz, póki umyjesz łapki, to ja skoczę po śmietanę.

Łóżkin machnął ręką i, niemal już przekonany do przyrządu, popędził na dół, na podwórko, gdzie sąsiedzi przy stole mieszały kości.

Urządzenie wskazywało godzinę dziewiątą. Ale Łożkin nie śpieszył się do stołu, chciał zwiększać owo tło stopniowo.

Sąsiedzi nie zauważyli Łożkina, pochłonięci rozmową.

— Obawiam się — powiedział Wasil Wasiljicz — że Minc zaszkodzi staremu Łożkinowi.

— Ja też, aż mam ochotę wpaść do niego — podtrzymał Wasila Wasiljicza Grubin. — Ostrzec starego, żeby uważał. Bo fajny wszak to staruch.

Grubin przychylnie się o nim wypowiedział?! To być nie może. Łożkin poczuł ukłucie w sercu.

— No pewnie, że fajny gość — zgodził się osobisty wróg Łożkina Udałow. — Pójdę z tobą, może trzeba go będzie bronić.

— Nie zapomnijcie o mnie, idę z wami — oświadczył Wasil Wasiljicz. — Chciałbym uścisnąć mężną dłoń naszego sąsiada.

Jak na komendę wstali, nawet nie zebrali kości domina. I poszli do Łożkina. Ale nie do mieszkania, a w kierunku krzaku bzu, za którym się ukrywał.

Łożkin chciał się wycofać, ale sąsiedzi rzucili się na niego, poklepywali po ramionach, nawet trochę zmiętosili z radości. W końcu Łożkin, z trudem wyrwawszy się z ich objęć, uciekł z podwórka chcąc wypróbować przyrząd na obcych ludziach. Przecież sąsiedzi w głębi serca kochają go, chociaż zazwyczaj krępują się okazać to uczucie.

Łożkin gnał po ulicy. Niektórzy ludzie, trafiając w sferę oddziaływania zegarka, zaczęli go lubić i kiwali głowami albo nawet wołali coś radosnego. Żeby nie męczyć się ściskaniem obcych dłoni, Łożkin cofnął wskazówkę. Zrobiło się spokojniej. Miłość ma też swoje wady.

Na przystanku stał tłum — autobusy w Guslarze kursują rzadko i nieregularnie. Ten pojawił się nabyty okrutnie, Łożkin z trudem wbił się do niego. Nikt tu nie kochał nikogo i wszyscy przeklinali rząd i miejski transport.

Łożkinowi z trudem udało się przesunąć wskazówkę o trzy godziny do przodu, przygotował się do westchnienia ulgi. Ale nic z tego nie wyszło — zamiast odsunąć się i dać Łożkinowi odetchnąć, pasażerowie ruszyli do niego ze wszystkich stron, starając się objąć go, uścisnąć dłoń, wycałować... Łożkin uznał, że albo go zgniotą jego wielbiciel, albo udusi się pod naporem ich ciał.

A w takiej atmosferze trudno jest odpowiadać uczuciem na uczucie. Przystają być przyjemne takie oto głosy:

— Proszę się odsunąć, dajcie mi popatrzeć na naszego bohatera!

— Ach, jaki on urodziwy, jak się świetnie trzyma!

— Puśćcie mnie, chcę zobaczyć tego człowieka!

W autobusie zrobił się straszny ścisk. Łożkin tracił oddech, a kobieta obok niego zemdląła, ale, niestety, stała nadal. A Łożkin, jak na złość, nie mógł sięgnąć do zegarka „Poljot”, by cofnąć wskazówkę.

— Umieram! — wychrypiął.

— On umiera! — Powtarzając te słowa, otaczający go ludzie napaarli jeszcze bardziej.

Łożkin tracąc już przytomność, wydarł się z autobusu, nie pamiętał jak udało mu się przez przechodnie podwórka uciec tłumowi, i dopiero znalazłszy się na skwerze przy cerkwi Paraskiewy-Piatnicy, opamiętał się i cofnął wskazówkę.

Był to już czas najwyższy na to, ponieważ z piaskownicy zaczęły wypełzać maluchy i krzycząc: „Nasz dziadek przyjechał!” biegły do niego.

Odsapnąwszy na ławce, Łożkin zaczął się zastanawiać. Już wiedział, że należy manipulować ludzką miłością bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Okazuje się, że ludzie nie znają granic swego uczucia, nie rozumieją, że mogą swą miłością zadrzeć niewinnego przechodnia.

Oczywiście, można oddać urządzenie Mincowi, ale szkoda. Czy ty, Łożkin, mądry w końcu człowiek, nie wymyślisz jak sensownie skorzystać z urządzenia?

I Łożkin niemal już wymyślił sposób sensownego wykorzystania urządzenia, ale tu wtrącił się diabeł i wszystko pomieszał.

W warzywniaku pracuje pewna kasjerka. Straszliwie rozpustne stworzenie. W każdym razie w oczach Łożkina. Spotykał ją na ulicy ciągle z innymi mężczyznami, a na Łożkina nie zwracała ona zupełnie uwagi. I to było niemiłe, albowiem na jej widok w Łożkinie budziły się życzenia, a nawet żądze dawno minionych lat. Łożkin nieraz usiłował jakoś do niej zagadać, ale kasjerka odwracała piwne oczy, pokazywała staremu bykowi swój rzeźbiony profil z pulchnymi wargami i krucze kędziory, udając, że nie słyszy jego komplementów.

I oto w chwili, kiedy Łożkin już niemal wymyślił sposób wykorzystania urządzenia zobaczył, że po ulicy przylegającej do skweru, idzie — widocznie wracając z pracy — owa kasjerka.

Łożkin poderwał się i na sztywnych, niemal nie zginających się nogach, pognął za kasjerką. Słyszając jego kroki, kobieta odwróciła się i, widocznie, poznając natrętnego klienta, pogardliwie zmarszczyła swój nos.

Na ulicy zapadał już zmierzch, zaczęły zapalać się światła w oknach, niedługo miały zapłonąć latarnie, więc kasjerka nie mogła zauważyć, jak namolny starzec przesunął wskazówkę zegarka i przyspieszył.

A kobietę nagle ogarnęły wątpliwości.

Niby dlaczego ucieka przed tym człowiekiem? Co jej się w nim nie podoba? Może nie najmłodszy, ale z dobrą figurą i wcale nie otyły. W świetle dziennym widywała go przy swojej kasie — oblicze nie pozbawione cech przyjemnych. . .

Kasjerka obejrzała się. W świetle kończącego się dnia stwierdziła, że idący za nią mężczyzna jest na tyle jej miły, że warto przyjrzeć mu się z bliska.

Kasjerka przyhamowała.

Łożkin nie wyrobił się i wpadł na nią.

Wysoka jędrna pierś zadziałała jak amortyzator. Całe ciało ślicznotki ogarnęła słodka rozkosz: oto jaki jest, ten jej prześladowca!

Jej pulchne wargi odnalazły czoło staruszka i zaczęły pokrywać je gorącymi pocałunkami.

Nieliczni przechodnie, obserwujący tę scenę na kiepsko oświetlonej ulicy, z rozczuleniem przyglądali się całującej parze, przekonani, że obserwują spotkanie dziadka i wnuczki po długiej rozłące.

— Au! — ryczał dziadek.

— Chodź do mnie! — odpowiadała wnuczka.

I nagle staruszek poczuł silne uderzenie w głowę. To był twardy przedmiot. Jak się potem okazało, tym przedmiotem była torba na zakupy jego małżonki Matryony Timofiejewny, wypełniona woreczkami z solą, ponieważ ktoś wczoraj powiedział jej, że wkrótce zacznie się wojna i należy kupować sól.

— Ach ty! — rozwrzeszczała się Matryona Timofiejewna.

Nieszczęsna kasjerka, ofiara diabelskiego eksperymentu, przestraszyła się tak mocno, że zdołała nawet stłumić w sobie uczucie do Łożkina i uciec. A w miarę, jak oddalała się od zegarka marki „Poljot”, w jej sercu wzbierała fala zdumienia: co też mnie naszło? Jeszcze trochę i zaczęł każdego palanta całować!

Porządnie potłukłszy swego męża, którego od dawna podejrzewała o ukrytą manię seksualną, Matryona Timofiejewna zmęczyła się i powlokła do domu z łądunkiem soli, a Łożkinowi kazała kupić w końcu masło i natychmiast wracać do domu, o ile nie chce trafić przed sąd koleżeński w charakterze oskarżonego. I dodała jeszcze, że to, iż żyje, zawdzięcza wyłącznie silnej miłości, która wypełnia od jakiegoś czasu serce Matryony Timofiejewny.

Łożkin powlókł się do sklepu nienawidząc już w głębi ducha Minca i jego wynalazku. Ta, tak zwana miłość, jak na razie pokazywała mu jakieś dziwne swe oblicza. Łożkin już żałował, że zgodził się na eksperyment. Może w Moskwie, czy w Paryżu, gdzie ludzi jest pełno, z takim zegarkiem „Poljot” można zgubić się w tłumie i wykorzystać go anonimowo. U nas jednakże, w Guslarze, zawsze człowiek jest na widoku, od razu go zakablują albo rozstawią w plotach. Co robić? Odpowiedzi brak.

Łożkin wszedł do spożywczego i, ku swojemu oburzeniu, zobaczył, że przed stoiskiem nabiałowym ustawiała się długa kolejka. Wszyscy denerwowali się, że nie zdążą kupić nabiału przed zamknięciem, ludzie kłócili się i wszyscy nienawidzili wszystkich.

Stojąc w progu Łożkin pomyślał, że najprawdopodobniej nasz narodowy duch uformował się pod wpływem odwiecznych kolejek. I dlatego podstawowymi cechami stały się strach, że nie wystarczy, i obawa, że się nie zdąży, połączona z nienawiścią do tych, co stoją przed tobą.

Ale co robić? Bez masła lepiej nie wracać do domu. Zabiją. No i stawać na końcu kolejki nie można. Nie zdąży.

Tak więc los sam pchnął Łożkina do kolejnego wykorzystania zegarka.

Przekręcił strzałkę o trzy godziny do przodu, i od czoła kolejki ludzie zaczęli na niego zerkać. Wśród nich byli również znajomi, a ci już się uśmiechali.

Łożkin przesunął wskazówkę do przodu, nie miał czasu na uśmiechy i strojenie minek. Odważnie podszedł do lady.

I nagle kolejka zapomniała, że jej celem jest zdobycie nabrała. Ludzie rzucili się do Łożkina, zaczęli go obejmować, całować i w ekstazie walić się na podłogę.

— Chcę masła! — krzyczał Łożkin. — Tylko masła! A wy wszyscy spadajcie mi stąd.

Nikt go nie słuchał. Z wyjątkiem dyrektorki sklepu, Wandy Kazimirowny, która wybiegła z zaplecza słysząc krzyki w sklepie i również ogarnięta została miłością do staruszka klienta. Zaczęła więc miotać w Łożkina paczkami mrożonego masła, żeby mógł je zanieść do domu. Paczki waliły ludzi po głowach, trafiały również w Łożkina, ten krzyczał i sprzeciwiał się, ale dopiero po kilku minutach zdołał sięgnąć do zegarka. W gniewie i zdenerwowaniu Łożkin cofnął wskazówkę dalej niż to było dozwolone — w strefę ujemną. . .

I nie od razu zrozumiał, że miłość do niego zastąpiła nieżyczliwość, odraza, a następnie nienawiść. . .

Ludzie odsuwali się od ohydny starca.

Marzyli tylko o tym, by jak najszybciej opuścić sklep. Byle dalej od tej paskudy!

Wszyscy zapomnieli, że chwilę temu usiłovali pokryć pocałunkami jego ręce.

— Ja go nie będę obsługiwać! — krzyknęła ekspedientka usiłując zwać na zaplecze.

— Ale ty, Wando Kazimirowna. . . — powiedział Łożkin. Rzuciwszy okiem na zegarek zrozumiał, co się stało. — Ale ty mnie obsłużysz. W ramach kolejki, w której nikogo prócz mnie już nie ma.

Wanda cisnęła w Łożkina paczką masła i myknęła na zaplecze.

— No i świetnie — powiedział Łożkin, zostawiając pieniądze na spodeczku obok kasy, był bowiem porządnym człowiekiem. — Czy potrzebna nam jest miłość, co się objawia w chwytności i obłapywaniu?

Łożkin już zapomniał o słodkiej chwili zderzenia się z kasjerką. Myślał teraz rozważnie i trzeźwo. . .

Na przystanku autobusowym stał tłum.

Łożkin przesunął wskazówkę w położenie neutralne.

Był spokojny jak kosmonauta przed startem. Teraz miała znaleźć potwierdzenie jego teorii. Wtedy okaże się, że jest najmądrzejszym uczonym na naszym globie. Znacznie mądrzejszym od Minca.

Pochylony na jedną stronę nadszedł przeładowany autobus: usiłujący wyjść na przystanku, przechylali go na prawy bok.

Łożkin stanął w pogotowiu.

Autobus zahamował.

Ludzie zaczęli się z niego wysypywać.  
Łożkin cofnął wskazówkę daleko do tyłu i skierował się do drzwi autobusu.  
Jak przewidział — wszyscy uciekali od niego, ogarnięci niechęcią do staruszka.

— Przestańcie kochać Łożkina! — powtarzał staruszek zbliżając się do drzwi.

W tym momencie ludzie już powyskakiwali na zewnątrz i rozbiegli się, starając nie zbliżyć się do Łożkina.

A ten spokojnie wsiadł do prawie pustego autobusu. Pozostali w nim pasażerowie rzucili się do przednich drzwi. Ale nie zdążyli, ponieważ kierowca, czując przez skórę coś niedobrego, zatrzasnął je, przycisnął gaz i pognał ulicą.

Łożkin spokojnie stał w osamotnieniu, zerkając przez okna, starając się dojrzeć mijane przystanki. I kiedy zobaczył rodzinną ulicę, przesunął wskazówkę w położenie neutralne. Kierowca zahamował, otworzył drzwi, a Łożkin wysiadł i poszedł do domu.

Kiedy przechodził obok drzwi Minca, ten słysząc jego kroki wysunął na korytarz łysą głowę i zapytał:

— Jak sprawy? Kochają was ludzie?

— Ja nie potrzebuję miłości — odpowiedział Łożkin i cofnął wskazówkę tak zdecydowanym ruchem, że Minc z odrazą trzasnął drzwiami i przekręcił w zamku klucz.

Z korytarza rozległ się pełen satysfakcji diaboliczny rechot Łożkina.

Od tej chwili Łożkin nie rozstaje się z zegarkiem. Nikt go nie kocha, ale wszędzie wpuszczają go bez kolejki.

1974–1995  
przełożyli Ewa i Eugeniusz Dębscy

## Cena krokodyla

Lew Minc był kiedyś szesnastoletnim, chudym, rozczochnym i zachwyconym życiem młodzieńcem. Ałoczka Brusilowicz wyprowadzała go na spacer po nabrzeżu rzeki Moskwy. Właśnie szli wieczorkiem obok Kremla, trzymali się za ręce. Rzeką z rzadka płynęły kawały kry. Na jednej z nich siedział nieszczęśliwy kociak, a światła z brzegu, z hotelu „Bukareszt”, odbijały się w jego oczach, powodując, że wyglądały jak diamentowe okruszki. Dłoń Ałoczki była ciepła i uległa.

— Biedne stworzenie — szepnęła Ałoczka. — Skoczyłbyś, żeby je ratować?

— Gdyby to chodziło o ciebie to bym skoczył — odpowiedział Lowuszka, a wzruszona Ałoczka zacisnęła swoje paluszki na jego dłoni.

Jakże jestem szczęśliwy, myślał Minc. Muszę zapamiętać tę chwilę. Stoimy przy balustradzie, po drugiej stronie w hotelu „Bukareszt” świecą się dwa okna na trzecim piętrze, ulicą jedzie czarny „ZIS”, a Ałoczka ma sterczące piersi, chociaż o tym nie wolno myśleć. Ale można o tym, że kosmyk kruczoczarnych włosów zasłonił jej ucho. Ach, jakże pragnę ucałować to ucho!

— O czym myślisz? — zapytała Ałoczka.

Minc zawstydził się i nie powiedział, że myśli o szczęściu, o kosmyku czarnych włosów i nawet o stromych piersiach Ałoczki.

— Ciekaw jestem, kto jechał w tym „ZISie” — powiedział Minc. — Może sam Stalin?

— Nie strasz mnie — wyszeptała Ałoczka Brusilowicz. Ałoczka miała wujka weismanistę-morganistę, i cała rodzina żyła w strachu przed aresztowaniem.

Ale Minc był szczęśliwy, nigdy wcześniej nie był jeszcze tak szczęśliwy. I nigdy już później nie będzie tak szczęśliwy.

Bo co to jest szczęście?

Pół wieku później Minc powiedział sobie: szczęście to krótka chwila, istotę i wartość której można docenić dopiero do długim czasie.

Ale przecież zdawałem sobie sprawę, że jestem szczęśliwy?

I na szczęście zapomniałem o tym, tak samo, jak zapomniałem o Ałoczce Brusilowicz, której nie poznałbym już na ulicy.

A czy można cofnąć taką chwilę? Czy można ją powtórzyć? Na czym polega tragedia Fausta? Szukał chwili, a znajdował rozczarowanie. Może będąc wielkim uczonym rozumiał, że szczęście, to tylko zestaw fartownie zestawionych drgań molekuł? Albo reakcja chemiczna organizmu na zapach rozmówczyń?

No to, po jakie lichy dano nam rozum, skoro łakniemy zwyczajnego pierwotnego szczęścia?

Wynajdujesz, bracie, komputer i tłuczesz nim orzechy!

Ale nawet tak właśnie myśląc, Minc nie ustawał w wynajdowaniu odpowiedniego preparatu. Nawet jeśli sobie nie zdawał z tego do końca sprawy, dążąc do szczęścia i nie mając nadziei na jego osiągnięcie, usiłował w gruncie rzeczy przywrócić sytuację, w której czuł się szczęśliwy.

W tym celu należało zmusić mózg, by na nowo przeżył tę chwilę. To znaczy — mózg musi uwierzyć, że ta chwila wróciła. I musi w to uwierzyć nie dzisiejszy, rozczarowany i zmęczony, nie wierzący w szczęście umysł, a tamten, młodzieńczy, drżący i pełen wątpliwości.

Taki problem może rozwiązać tylko niewątpliwy geniusz.

Udałow tak właśnie powiedział:

— Lwie Christoforowiczu, to jest problem dla prawdziwego geniusza.

Na co Minc odpowiedział:

— Dlatego właśnie ja go rozwiążę.

W pokoju dominował zapach spalenizny, jeszcze nie rozwiął się dym po niewielkim wybuchu, w kolbie coś bulgotało.

— To nie będzie łatwe — powiedział Udałow. — Nawet dla ciebie.

Udałow miał prawo tak powiedzieć — byli sąsiadami z Mincem od ćwierćwiecza. To oznacza, że spotkali się jakby w czasach cara Pawła Pierwszego, a teraz nadszedł czas na powstanie dekabrystów. Albo, powiedzmy, Minc wprowadził się do domu numer 16 na ulicy Puszkina miasta Wielki Guslar w przededniu Rewolucji Październikowej, a w tej chwili odbywa się bitwa pod Stalingradem. Przecież to kawał historii, takie ćwierć wieku!

— Jaką drogą pójdziesz, sąsiedzie? — zapytał Udałow.

— Zdecydowałem się na hypnopedię.

— A konkretnie? — kategorycznym tonem zapytał Udałow, który nie miał pojęcia co to hypnopedia.

— Kształcenie podczas snu — wyjaśnił Minc. — Proponuję ci zobaczyć sen. Ale nie zwyczajny sen, a wieszcy na opak.

— Słuchaj, sąsiad, coś ty mi tu kitujesz. Wieszcy sen na opak nie jest już snem wieszczym. Co ja w takim śnie zobaczę?

— Zobacysz to, co ci się przydarzyło. W sposób doskonały przeżyjesz na nowo jakieś wydarzenie.

— Jakże ty tego dokonasz?

— Jak dokonam, zastukam do ciebie.



Ponieważ Udałow mieszkał nad Mincem, to ów, kiedy miał zapotrzebowanie na Korneliusza, stukał w sufit kijem od miotły, a Udałow odstukiwał w podłogę obcasem.

Minc zastukał po trzech tygodniach — wolno posuwała się praca nad hormonem snu. Tak bywa w nauce — wydaje się, że odkrycie jest tuż — tuż, a tu figa! Mijają tygodnie, a środek przeciwko AIDS ciągle nie jest wynaleziony.

Minc zastukał akurat, kiedy Udałow sączył kompot, po powrocie z zebrania społecznej rady stowarzyszenia „Zielony Dół”. Korneliusz odstawił szklankę i pognał na dół. Aż dygotał z przejęcia i ciekawości, czy możliwe jest osiągnięcie szczęścia jednostki.

Minc siedział przy biurku w niebieskim frotowym szlafroku i pił kawę.

— Nie dręcz! — zawołał od progu Udałow.

— Wypróbowałem — odpowiedział Minc. — To było szczęście!

— Gadaj szybko!

— Zasnąłem. I śnił mi się koniec lat czterdziestych, i pewien wieczór na brzegu rzeki Moskwy pod murami Kremla. Wiesz, z kim tam stałem?

— No, z kim?

— Z Ałoczką Brusilowicz. To był zimny marcowy wieczór. Trochę kry płynęło po rzece. Na jednej z nich siedział kotek. Jego oczy lśniły jak okruchy diamentów. A w hotelu „Bukareszt” na trzecim piętrze świeciło się w dwóch czy trzech oknach. Paluszki Ałoczki ulegle spoczywały w mojej dłoni, patrzyłem na nią i myślałem — jakże jestem szczęśliwy, widząc jak kosmyk czarnych włosów opadł na jej malutkie różowe uszko.

— Nie miała na głowie czapki? — zapytał Udałow.

— Słucham?

— Jak ją matka puściła z domu? Przecież był mróz?

— Był. Ale nie o to chodzi.

— A kiedy będzie można skorzystać? — zapytał Udałow.

— Co to znaczy — skorzystać?

— No — zażyć. Każdy przecież ma swoje problemy.

— A jakie ty masz problemy? Ze szczęściem?

— Może i ze szczęściem.

— Ale jeszcze nie jestem do końca gotów.

— No właśnie. Tak sobie myślę — nie wyobraziłeś sobie czasem tego szczęścia, Lwie Christoforowiczu?

— To bolesne posądzenie — odparł Minc. — Żebyś więc mi uwierzył, żeby pokonać twój sceptycyzm, obiecuję, że będziesz pierwszym człowiekiem, który będzie testował sen.

— Lwie Christoforowiczu, ja tak to rozumiem, że jesteś w stanie zasugerować sen z określonego momentu przeszłości. Niekoniecznie musi to być szczęśliwa chwila?

— Masz rację, Korneliuszu — odparł profesor. — Nie mogę zagwarantować szczęścia. Ale mogę obiecać: we śnie ponownie przeżyjesz taki to a taki dzień i godzinę swojego życia..

— Do mnie tylko należy zamówienia odpowiedniego momentu?

— I odpowiedniej godziny.

— A jeśli się pomylę?

— Jeśli się pomylisz, to zobaczysz to, czegoś nie oczekiwał.

Ale Udałow nie szukał szczęścia. Inny problem nurtował jego dociekliwy umysł.

Minc domyślił się, że Udałow coś przed nim ukrywa.

— Do czego ci potrzebny wiesz czy sen? — zapytał.

— Potrzebuję snu proroczego do znalezienia czegoś — odpowiedział Udałow. — Kiedy zrobisz mi ten zastrzyk?

— To nie jest zastrzyk tylko pigułka.

— Jeszcze lepiej.

Test odbył się po dwóch tygodniach. Rano. Minc wyglądał na zmęczonego.

— Znowu nie spałeś? — zapytał go Udałow.

— Byłem w tym samym miejscu i śniło mi się to samo.

— Znowu Ałłoczka Brusilowicz na wybrzeżu pod Kremlem?

— I w oczkach kota diamentowe błyski.

— Lwie Christoforowiczu, a czy aby nie wpadasz ty w narkomanię? — zadał pytanie Udałow. — Jeśli będziesz raz po raz usiłował zaznać szczęścia, to potem nie będzie ci się chciało wracać do naszej rzeczywistości. Będziesz zwiększał dawki, w końcu ześwirujesz!

— A może właśnie chciałbym zostać tam na wieki, wydłużyć szczęście swoje — od chwili do wieczności?

— Obiecałeś — przerwał przyjacielowi Korneliusz — że pierwszą pigułę dasz mi po starej przyjaźni. Tak czy nie? Nie zmieniłeś aby zdania?

— No to gadaj jaką chwilę w przeszłości chcesz w myślach odwiedzić? Co chcesz przeżyć na nowo w całym realizmie widzialnego? Pierwszy pocałunek?

— Nie.

— Czyżby ten dzień, kiedy zawiązano ci na szyi czerwoną chustę?

— Nie.

— Ostatni egzamin w szkole? Udałow pokręcił przecząco głową. Minc wzruszył ramionami.

— Jesteś zбочёнцем — oświadczył. Udałow i teraz zaprzeczył.

— No to gadaj!

— Trzecia w nocy ósmego października tego roku.

— Co? — Zdziwienie Minca nie miało granic. — Dwa miesiące temu?

— Właśnie.

— Ale co się wtedy mogło wydarzyć?

— Nie dręcz. Jesteśmy dorosłymi ludźmi i nie zadajemy niepotrzebnych pytań. Dawaj, pokaż jak działa ten twój narkotyk!

— Bardzo prosto — odparł Minc.

Wziął do ręki, stojący na biurku, duży tajwański budzik z kalendarzem, takie są w naszym markecie po sto dziesięć rubli sztuka. Szkło budzika zostało wyjęte. Następnie Lew Christoforowicz wydobyl z probówki pomarańczową pastylkę i położył ją na cyferblacie. Mamrotał przy tym na głos:

— Trzecia w nocy ósmego października tego roku. Udałow zobaczył, że cyferblat ma godziny, minuty, jak również datę, dzień tygodnia i jeszcze — mała wskazówka, dorobiona — rok od narodzin Chrystusa. Minc ustalił odpowiednią datę i czas.

— Teraz musimy poczekać — oznajmił. — Przyrząd musi się naładować.

Rozegrali partyjkę szachów, potem Minc poczęstował sąsiada herbatą. Pogadali o wydarzeniach życia codziennego w ostatnich dniach, o rosnącej bezkarności bandytów w skali województwa, o zmniejszeniu się pogłowia krokodyli w jeziorze Kopenhaga, trzęsieniu ziemi w Gwatemali, perspektywach na urodzaj narkotyków w Żółtym Trójkącie i nawet o szansach Rosjanina Stoczasowa na zwycięstwo w wyborach na burmistrza miasta Pataliputra na planecie o tejże nazwie.

Czas zleciał im niezauważalnie.

Budzik szcęknał jakimś mechanizmem i zagrał arię Trubadura.

— No i już — powiedział Minc. — Załadowała się ta twoja piguła. Przed snem ją połknij i śpij sobie spokojnie, wkrótce zaczniesz śnić sen całkowicie realistyczny, powtarzający wydarzenie z życia. Otrzymasz tę swoją przyjemność. A nie powiesz mi, jaką?

— Jak mi wyjdzie — powiem — obiecał Udałow.

Z wdzięcznością zabrał pomarańczową pigułę i poszedł do domu.

Pastylkę ukrył między wędkarskimi haczykami i błyskami, po prostu nie chciał, żeby zobaczyła ją Ksenia, ponieważ zaraz pomyśli coś niewłaściwego. Może uzna, że Udałow w tajemnicy przed nią leczy się na nieuleczalną chorobę, a może, że stał się narkomanem.

Dzień włókł się wolno i był nudny jak flaki z olejem. Udałow nawet przyłożył się do poobiedniej drzemki, żeby zabić czas. Ale kiedy się obudził, ciągle było posępnie i śnieżnie.

Ksenia wyczuła coś, kiedy podawała mu kolację.

— Znowu piłeś? — zapytała.

Podejrzenie jej było o tyle niewłaściwe, że Udałow pił rzadko, mało i tylko w doborowym towarzystwie. Ale przecież męża zawsze trzeba o coś podejrzewać! Mężowie to niebezpieczny gatunek udomowionych istot, które przez cały czas usiłują wyskoczyć na schody w poszukiwaniu przygód. Kiedyś pewien włoski działacz powiedział: „Żona Cezara jest ponad podejrzenia”. Po czym przepędził ją

z domu, ponieważ okazało się, że jest poniżej podejrzeń. Ale żadna żona, łącznie z żoną owego włoskiego działacza, nie powie, że jej mąż jest ponad podejrzania.

— A co jeszcze mogłeś nawyprawiać? — zadała kolejne pytanie Ksenia.

— Nic — nieprzekonująco dość odparował Udałow.

Podobnie jak każdy mąż Udałow podczas małżeńskich przesłuchań od razu czuł się winny, nawet jeśli nie było do tego powodu. I zawsze miał ochotę do czegoś się przyznać.

— Ty się tu nie czerwień i nie blednij — atakowała Ksenia. — Widzę po twojej minie, że kryminał cię nie minie.

Udałow poczuł ochotę sprawdzenia swojego wyglądu w lustrze, chociaż miał świadomość, że żona mówi tak tylko w przerośni.

Zaczął myśleć o tym, jak zaraz zaśnie i wtedy może znajdzie rozwiązanie zagadki, która dręczy go już od dwu miesięcy.

W rym momencie w telewizji zaczęli pokazywać serial o tajemnicach Petersburga, i Ksenia zdekoncentrowała się. Problemy obcych ludzi zawsze wydawały jej się aktualniejsze od rodzinnych.

Udałow poskarżył się na ból głowy, usłyszał na pożegnanie zjadliwy komentarz małżonki: „Wiadomo, wiadomo, dlaczego łupie cię głowa!” i poszedł szykować się do snu.

I tu zaczęło się nieszczęście.

Minc nie uprzedził go, a sam Udałow nie przewidział, że na człowieka w stresie może zwalić się bezsenność. Co właśnie się stało.

Udałow leżał sobie w ciemnym pokoju, patrzył w sufit, słyszał jak obok pochrapuje żona, a sen był w lesie. Udałow policzył do dziesięciu tysięcy, spróbował przypomnieć sobie wszystkie wiersze, jakie wymuszał na nim program szkoły, ale snu nie było. Za oknem wyłócały się psy, pod oknem przeszły pijane dzieci z gitarą. Fałszując zawodziły „Dziadku, drogi dziadku, nie chcemy jeszcze spać”. W innym momencie Udałow uśmiechnąłby się, ale teraz tylko go to rozżłościło.

Niedługo świt.

I nagle zapaliło się światło, i Udałow wszedł do pokoju.

Całe szczęście, że Ksenia poszła do Gawriłowej. Będą tam gaworzyły do północy, wszak mnóstwo próbiemów mają dwie emerytki: życie prywatne dzieciom nie wyszło, a wnuki rosną i trzeba im kupić nowe buty.

Korneliusz miał do rozwiązania niebagatelny problem — i ważki przy tym — należało ukryć przed Ksenią sześćdziesiąt dolarów.

Marzenie Udałowa o zakupie holenderskiego spinningu mogło nareszcie zostać zrealizowane. Przez trzydzieści lat marzył o nim, a dziś znajdował się o krok od realizacji mrzonki.

A wszystko tłumaczył zwyczajny fart. Udałow był na rybach, na jeziorze Kopenhaga. Łowił na robaka, pogoda była kiepska, mżyło, wędkarzy właściwie nie było.

Woda nagle wzburzyła się, na haku Udałowa zawiesił się niewielki krokodyl. Od czasu do czasu udaje się takiego złowić na jeziorze Kopenhaga, biorą na błystki. Najlepiej łowi się je w zimie, pod lodem, ponieważ krokodyl w zimie jest ospały i spokojny. A latem jest w stanie przegryźć nawet linkę.

Krokodyle żyją w jeziorze jeszcze sprzed rewolucji, kiedy zaczął je w nim hodować tamtejszy obszarnik Gul, wielki liberał i oryginał.

W ostatnich czasach coraz rzadziej się je widuje, ciągle proponuje się zapisać gatunek do Czerwonej Księgi, ale spece od czerwonych ksiąg nijak nie mogą dotrzeć do jeziora.

Można więc uważać, że Udałow miał szczęście.

Oczywiście, wołałby schwytać krokodylicę z jajami, wiadomo jaki to delikates, ale i taki malec się nada. I nadał się. Ponieważ, gdy tylko Udałow wysiadł z autobusu na przedmieściach miasta, przy wschodnim bazarze, spotkał dwóch Tybetańczyków. Od czasu do czasu przyjeżdżają Tybetańczycy do Guslaru, sprzedają wątrobę jaków, wysokogórskie z pustyni Gobi i Karakorum zioła i tantryczne rękopisy na palmowych liściach.

Uwagę Tybetańczyków zwrócił ogon krokodyla, co to zwisał z torby wędkarza, przerzuconej przez ramię.

— Północny krokodyl, azaliż — zapytał Tybetańczyk, ten starszy, odziany w żółtą togę i czerwoną czapkę z wysokim grzebieniem.

— Jak zgadłeś? — zdziwił się Udałow.

— Od dawna poszukujemy — odezwał się drugi Tybetańczyk, posiadacz półkożuszka w stylu obozowym.

— Z ogona młodego krokodyla, wyhodowanego w jeziorach północnej Rosji, ekstrahuje się bardzo rzadki preparat, zwiększający potencję męską — powiedział Tybetańczyk, ten starszy.

— Jesteśmy wysłannikami sekty Błękitnego Obłoku i poszukujemy tego właśnie preparatu dla przywódcy jej, Sapragementlamy, azaliż — uzupełnił drugi Tybetańczyk.

— Płacimy każde pieniądze — powiedział pierwszy.

I widząc chciwy błysk w ich oczach Udałow zrozumiał, że nadeszło jego pięć życiowych minut.

— Krokodyle zdarzają się u nas strasznie rzadko — oświadczył.

Starszy Tybetańczyk, człowiek już doświadczony, od razu skapował, że zaczyna się poważny targ.

— Dziesięć dolarów — powiedział on. — Ale w chińskich juanach.

— Zwariowaliście! — wściekł się Udałow i opuścił towarzystwo.

Krokodyli ogon majtał mu się za plecami i rytmicznie uderzał go w biodro.

Tybetańczycy biegli za nim i krzyczeli:

— Dwadzieścia pięć dolarów!

— Trzydzieści dolarów w chińskiej walucie! Udałow zatrzymał się i oznajmił:

— Sto dolarów i ani kopiejki mniej.

— Pięćdziesiąt!

— Siedemdziesiąt i wyłącznie w amerykańskich bagsach.

Pożegnali się ostatecznie pod domem Udałowa. Tybetańczycy odeszli z krokodylem, a Udałow wzbogacił się o sześćdziesiąt dolarów.

I oto stoi on na środku pokoju, zastanawiając się, gdzie by tu ukryć skarb, żeby Ksenia za pomocą swojej słynnej intuicji bagsów nie odnalazła.

Pod komodę? Wymiecie z kurzami. W książki na półce? A jak zapamiętać do jakiej książki schował majątek? Nie, miejsce musi być fantastycznie niezwykle. Do letnich sandałów! Oto gdzie!

Udałow otworzył szafę, ale znieruchomiał — nie, kot może harcować.

A może do teczki z dyplomami? Ileż tam tego nadostawał się Korneliusz Iwanowicz w ciągu długiego pracowitego żywota! I takie z portretami, i zwyczajne, z czerwonymi sztandarami.

Za skarby świata nie będzie tu Ksenia grzebała.

Zdecydowawszy się Udałow wyjął sześćdziesiąt dolarów, w trzech dwudziestkach, włożył do dyplomu „Za zwycięstwo w socjalistycznym współzawodnictwie na cześć XIV Zjazdu KPZR”, włożył dyplom do środka teczki, położył teczkę na górną półkę biblioteczki.

Koniec. Decyzja podjęta, teraz można poszukać odpowiedniego spinningu. Życie znowu nabrało sensu.

I Udałow obudził się.

Był wczesny poranek, niebo zaczynało jaśnieć, chmury zniknęły, poprzedzające świt gwiazdy zimno migotały na niebie. Psy wciąż jeszcze ujadają pod oknami. Potem zakrakał jakiś gawron.

Ksenia spokojnie spała obok. Nie miała o niczym pojęcia.

Wszystkie problemy zostały rozwiązane.

Preparat Minca zadziałał.

We śnie Udałow zobaczył rozwiązanie zagadki. Teraz już wie, gdzie ukrył wymarzony kapitał.

Ukrył go... A gdzie, właściwie, go ukrył?

Udałow wyskoczył z łóżka. Ksenia poruszyła się we śnie i odwróciła się na bok.

Ależ jeszcze przed chwilą widział wszystko, przypomniał sobie! Widział jak wrócił do domu, jak stał na środku pokoju i łamał sobie głowę nad miejscem ukrycia dolarów. I znalazł takie miejsce, i ukrył tam forszę.

Ale gdzie?

Udałow ledwo wytrzymał do ósmej rano, kiedy sąsiad piętro niżej zaczął hałasować patelnią — przygotowywał, znaczy się, omlet. Udałow wpadł do Minca.

— Lwie Christoforowiczu! — wrzasnął od progu. — Tak się nie umawialiśmy!

— Co? Czyżby nie podziało?  
— Nie pamiętam.  
— Ale był sen, czy nie było snu?  
— Był sen, był.  
— I zgadzała się data?  
— Nie o to chodzi!  
— A o co? — Minc nie wyspał się, łysina jego lśniła od potu, szlafrok rozjeżdżał się na brzuchu, oczy miał zaczerwienione, powieki zapuchnięte.  
— Nie zapamiętałem!  
— Chwili szczęścia?  
— Jaka tam do licha chwila szczęścia! Nie pamiętam gdzie ukryłem sześćdziesiąt bagsów!

I łamiącym się z poczucia krzywdy głosem Udałow przyznał się profesorowi Mincowi do swojego marzenia dotyczącego spinningu i do kapitału ukrytego przed Ksenia.

Minc współczuł Udałowowi, ponieważ i jego znakomita pamięć z wiekiem sypała się coraz częściej. I coraz częściej w jego gabinecie ginęły potrzebne papiery i przedmioty. Wydawać by się mogło, że dopiero co wieczorem położył książkę na widocznym miejscu, a dzisiaj książki tam nie ma i w ogóle nie ma jej w granicach widzialności. Możesz przeryć sobie całe swoje zagracone mieszkanie i nie znajdziesz niczego, prócz tych rzeczy, których szukałeś w ubiegłym roku. Po dwóch miesiącach ta książka, już niepotrzebna, znajdzie się na samym wierzchu. Nie będzie wiadomo, czym są spowodowane te dzikie losy kpiny.

— Dziwne — powiedział Minc, wysłuchawszy epopei Udałowa. — Ja, na ten przykład, pamiętam wszystko, co robiłem w tym zamówionym śnie. Każdziutkie słowo pamiętam.

— No, bo ty nie zapomniłeś niczego — odpowiedział Udałow. — A ja miałem sobie przypomnieć. Co pamiętałem, to pamiętam, a co zapomniałem, tego nie pamiętam.

— Mało mi zostało pigułek — westchnął Minc.

— No to dorobisz.

— To nie takie łatwe — odparł Minc, ale nie wdawał się w wyjaśnienia, dlaczego tak jest. Ale Udałow wiedział: skoro Minc powiedział, że to trudne, znaczy — niemożliwe.

— Daj mi choć jedną — poprosił Udałow.

— A bo to coś zmieni? — zapytał Minc.

— Może się uda, co? Dla mnie to kwestia zasadnicza. Minc otworzył fiolkę z pigułkami i zaczął je liczyć.

Potem wyjął jedną i podał Udałowowi.

Udałow zdążył zapuścić żurawia do fiolki i zobaczył, że zostało w niej co najmniej pół tuzina pigułek. Minc domyślił się, że Korneliusz zdołał sprawdzić zawartość fiolki i powiedział:

— Jestem zmuszony być egoistą. Stoi przede mną obowiązek rozwiązania problemu moralnego.

— Chcesz się ożenić? — bez zastanowienia palnął Udałow, ale Minc nawet się nie rozłościł, tylko machnął ręką, jakby słowa nie miały sensu i znaczenia.

— Nie można ożenić się z dziewczyną, która już dawno jest babcią — powiedział. — Ale można dojść do ładu z własnym sumieniem.

Udałow nie zrozumiał jego słów, ale poszedł do siebie, zaciskając w dłoni załadowaną na ten sam feralny dzień pigułę.

Zaczynający się dzień podobny był do miesiąca — tak długo i bez sensu włókł się on do zmierzchu. Potem było siedzenie przed telewizorem, jakaś sprzeczka o byle co, wizyta Sawiczów, coś jeszcze i w końcu można było położyć się spać.

Tym razem Udałow postanowił zaryzykować.

Powiecie może, że jego decyzja była nieracjonalną? Może. Odpowiem wam tak: samo odkrycie Minca jest nieracjonalne. A w nienaukowej sytuacji nienaukowe ruchy czasem przynoszą znakomite wyniki.

Nadążacie za moim wywodem?

W sumie tak — Udałow zasnął, zaciskając w dłoni przedmiocik — czerwony guzik od płaszcza pierwszej żony jego syna, Maksyma.

Zapaliło się światło, i Udałow wszedł do pokoju.

Korneliusz miał do rozwiązania problem, i to niebagatelny — musiał ukryć przed Ksenią sześćdziesiąt dolarów.

Przez trzydzieści lat marzył Udałow o zakupie holenderskiego spinningu, i dziś stanął o krok od realizacji swojego marzenia.

I oto stoi na środku pokoju, zastanawiając się, gdzie można ukryć swój skarb, żeby Ksenią, za pomocą swojej intuicji, owych bagsów nie odnalazła.

Może do teczki z dyplomami? Ileż otrzymał ich Korneliusz przez pracowite swoje długie życie! Jedne z portretami, inne tylko z czerwonymi sztandarami. Raczej tam Ksenią szukać nie będzie.

Zdecydowawszy się Udałow wyjął z kieszeni sześćdziesiąt dolarów, włożył do dyplomu „Za zwycięstwo w socjalistycznym współzawodnictwie na cześć XIV Zjazdu KPZR”, włożył dyplom do środka teczki, położył teczkę na środkowej półce biblioteczki, a na niej — czerwony guzik.

Koniec.

I Udałow obudził się.

Ksenią już zaczęła sprzątanie i akurat doszła w swoim porannym trudzie do biblioteczki.

Co takiego siedzi w pamięci, co wiąże się z tą biblioteczką? Coś ważnego. Może trzeba nową biblioteczkę kupić?



Udałow usiadł na łóżku i powiedział marudnym głosem:  
— Może byś tak mniej kurzyła jak ludzie śpią?  
— No to nie śpij — odparowała Ksenia. — Ja tu sobie ręce urabiam, a ty chrapiesz.

Machnęła ręką i czerwony guzik upadł na podłogę i poturlał się w kierunku bosych stóp Udałowa.

Jego spojrzenie zatrzymało się przez sekundę na tym guziku, potem rzuciło się ku teczce z dyplomami.

— Nie upuść! — zakrzyknął Udałow i rzucił się do półki.

Zaskoczona Ksenia odsunęła się. I chwyciła się teczki, żeby nie upaść.

Udałow wyrwał teczkę z jej rąk i pobiegł z nią do kuchni.

— Gdzie cię niesie? I nie wariuj mi tu! — krzyknęła za nim Ksenia.

Ale Udałow już wyjął z teczki trzy dwudziestodolarowe banknoty.

Udało się, pieniądze w kieszeni spodni, dzisiaj udamy się do sklepu „Sprzęt wędkarski”. Trzeba opowiedzieć Mincowi o udanym eksperymencie.

Co prawda, jak tu objaśnić profesorowi, człowiekowi z niewielkimi skłonnościami do metafizyki, że czerwony znacznik przeniósł się do snu i pomógł odszukać pieniądze? Jak ten guzik tam trafił?

Minca nie było w domu.

Udałow wrócił do siebie. Zjadł śniadanie. Minc ciągle nie pojawiał się.

Udałow wybrał się do sklepu, przymierzył się do spinningu, obmacał ze wszystkich stron, zawołał Saszę Grubina, specjalistę od wszystkiego. Poszli do sklepu razem, ale nie zdecydowali się na zakup spinningu.

Posiedzieli sobie, wprowadzili w instalacje po kufelku piwa.

Zdecydowali się.

Kupili spinning, odnieśli go do Grubina. Teraz należało przygotować Ksenię, na to powiększenie się dobytku. Pewnie będzie jej ciężko strawić tę wiadomość.

Udałow zastukał do Minca.

Odpowiedział mu charkot.

Zaniepokojony Udałow wszedł do mieszkania, na szczęście drzwi nie były zamknięte.

Profesor leżał na podłodze.

Przemoczony na wylot — od szlafroka do koniuszka nosa — i dygotał, jakby spędził dobę w lodówce. Nie był w stanie nic powiedzieć, i tylko niezrozumiały charkot wyrwał się z jego ust.

— Lwie Christoforowiczu, co panu jest? — zakrzyknął Udałow. — Wezwać pogotowie?

— Zwariowałeś — wychrypiał Minc i wykonał ruch ręką, który Udałow zinterpretował pozytywnie — otworzył zatem szafkę laboratoryjną i jednym zręcznym ruchem wyszarpnął z niej kolbę wypełnioną spirytusem na żurawinie. Na szczególne okazje.

Napełnił szklanę spirytusem, umoczył usta, żeby sprawdzić, czy napój nie zepsuł się z powodu nieużytkowania, a potem podał szklanę Mincowi.

— Pomóc? — zapytał. Ale Minc już chwycił szklanę i zdrowo łyknął.

Stopniowo jego oblicze zaczynało przybierać znajomy różowawy kolor. Udałow pomógł profesorowi przemieścić się na tapczan.

— Może prześpij się? — zaproponował. Tak naprawdę, to aż go roznosiło, żeby podzielić się swą radością. I dowiedzieć się, rzecz jasna, co się działo z Mincem przez ostatnią dobę.

— Jak tam twoje bagsy? — zapytał profesor. Należał do takich ludzi, którzy nawet w ciężkich chwilach pamiętali o przyjaciołach.

— U mnie wszystko w porządku — odpowiedział Udałow. — Ale nie obeszło się bez metafizyki — zostawiłem we śnie znaczek, i on tam został. Pomógł mi w odszukaniu.

— No i słusznie — powiedział profesor. — Słusznie. Ja też się domyśliłem, że można tak sobie pomóc.

— Też zostawiłeś znaczek?

— Można tak powiedzieć. — Profesor długo kaszłał, potem zakrzyknął łamiącym się kogucim głosem: — Niech żyje metafizyka!

— Ale powiedz, nie dręcz mnie!

— Byłem szczęśliwy, Udałow — rzekł ochryple Minc. Zamknął oczy, a głowa opadła mu na wałek tapczanu. — Byłem szczęśliwy, ponieważ odkryłem sekret szczęścia.

— Na czym więc zasadza się sekret szczęścia? — zapytał Udałow i pomyślał o spinningu, ukrytym u Grubina.

— Na tym, że należy uczynić szczęśliwym kogoś innego. Kogoś, kogo kochasz.

— Może — powiedział Udałow. Myślamy był bardzo daleko od tego miejsca.

— Nie rozumiesz! Uczyniłem szczęśliwą Ałłoczkę Brusilowicz. Dlatego ja również jestem szczęśliwy.

Profesora dopadł długi atak kaszlu. Udałow zasępił się.

— Trza lekarza zawołać — oświadczył. Minc wykonał ręką przeczący gest.

— Nic nie rozumiesz! — zawołał. — Dlatego, że nie zadałeś najważniejszego pytania.

— Jakiego pytania?

— „Dlaczego”? Dlaczego Ałłoczka jest szczęśliwa? Dlaczego ja jestem szczęśliwy?

— No to dlaczego?

— Dlatego, że udało mi się po kilku nieudanych próbach dzisiejszej nocy wskoczyć do rzeki, dopłynąć do kry i zdjąć z niej kotka. Dlaczego nie utonałem — nie wiem. Ale wyszedłem na brzeg, oddałem kociaka płaczącej ze strachu o moje

życie i z radości z powodu uratowania zwierzaka, dziewczynie. Spojrzałem w jej lśniąco oczy... i obudziłem się, żeby to licho.

— I całe szczęście, że się obudziłeś — oznajmił Udałow. — Bo jeszcze byś się w młodości przekręcił na zapalenie płuc. Leż, leż, nie wstawaj. Ogrzej się. Jakby co — zastukaj na mnie. A ja idę Ksenię przygotować. Żeby mnie razem ze spinningiem nie wyrzuciła.

Minc dopił spirytus i cicho zachichotał.

2001  
przełożył Eugeniusz Dębki

## Co dwa buty, to nie jeden

— Ty, Sasza — powiedział Lew Christoforowicz Minc — usiłujesz osiągnąć coś, co jest niemożliwe w obszarze istniejącej fizyki. Takie działanie nie ma szans powodzenia.

— No, nie wiem. — Sasza Grubin wpakował długie palce w swą kędzierzawą czuprynę. — Ale wierzę w upór.

— W upór żuczka, który odpada od szyby i znowu lezie do góry. A dokąd — sam nie wie.

Po tych słowach Lew Christoforowicz ostrożnie zdjął z szyby zmęczonego żuczka i wyrzucił go przez lufcik.

— Według praw fizyki, Sasza, wieczny silnik nie jest możliwy.

— Wiem — zgodził się Grubin. — Ale poprzedni model kręcił się przez trzy dni.

Minc aż się zatchnął z oburzenia. Dotąd uważał, że spory z Grubinem są jego obowiązkiem, ale teraz nie wytrzymał.

Gwałtownie chwycił leżącą na biurku białą kulę o średnicy około sześciu centymetrów i cisnął nią w Grubina. Ten zdążył wystawić przed siebie ręce, a kula zrykoszetowała po nich i poturlała się w kąt mieszkania. Całkowicie bezszelestnie.

— A to co? — zapytał Grubin.

— Podnieś, to zobaczysz, nie ugryzie, nie bój się.

— Z wami to nigdy nie wiadomo, co ukąsi, a co nie — powiedział Sasza i podniósł śliską, jędrną kulę.

— Co na to powiesz? — zapytał Minc.

— Nie wiem — poddał się od razu Grubin. — Jakaś piłeczka.

— Nie piłeczka, a złamanie praw fizyki — powiedział Minc. — Nie spodobało mi się to prawo, to je zламаłem. Ale nie tak, jak ty. Nie na chama.

— Proszę opowiedzieć — poprosił Grubin, świadomy, że uczestniczy w narodzinach nowego kierunku w nauce.

— Uczestniczysz — Minc jak zwykle odgadł sposób myślenia Grubina — w narodzinach nowego kierunku w nauce. Przyszedł do mnie onegdaj Spirkin. Znasz Spirkina?

— Nie.

— Dyrektor naszych delikatesów. Godny człowiek, szacowny, poważnie traktuje swoją pracę. Poskarżył się na opakowania. Aż się prawie popłakał. Przysyłają z fabryki mleko, kefir i inne produkty ciekłe, a opakowania są nietrwałe. Mleko płynie po podłodze, wylewa się kefir i jogurt. Klienci się skarżą, a wszystko to bez sensu. I Spirkin się pyta: co robić?

— Wiem! — krzyknął Grubin. — To jest mleko w nowym opakowaniu. Zrozumiałem! Cienki plastik, niemal niewidoczny. . .

Minc westchnął przeciągle i postukał koniuszkami palców w parapet, co w rym przypadku oznaczało skrajne niezadowolenie.

— Ach, Grubin, Grubin — powiedział. — Ja do ciebie przemawiam, udowadniam, przekonuję wreszcie, że zmieniłem prawa przyrody, złamałem konstans! A ty mi — plastikowa powłoka. Przecież gdybym wynalazł taką plastikową powłokę, to produkujący ją zakład na pewno nie znalazłby odpowiedniego surowca, a jeśli nawet by znalazł, to coś namotaliby zaraz w technologii. . . Nie, uratować sklep od marnowania ciekłych artykułów spożywczych mogłem tylko poprzez rewolucję w fizyce. Innej drogi nie ma. Spójrz.

Minc wziął ze stołu drugą kulę, cisnął do pustego rondelka, wyjął grubą igłę i nakłuł powierzchnię kuli. Kula zniknęła, a rondelk wypełnił się w jednej trzeciej mlekiem.

— Ot i wszystko — powiedział profesor. — Wszystko.

— Zaraz, zaraz — powiedział Grubin. — Jak to tak?

Chwycił rondelk, pobełtał zawartością, żeby zobaczyć, gdzie się podziela powłoka. Ale powłoki nie było. Grubin przelał mleko do szklanki, znowu przyjrzał się wnętrzu rondelka. Ten był pusty.

— Nic nie rozumiem — powiedział Grubin. — Czyżby powłoczka opakowania była tak cienka?

— Właśnie! — Minc roześmiał się serdecznie, jak sztukmistrz, któremu udało się zrobić w balona sceptycznie nastawioną widownię. — Gdzie jest powłoka? Szukasz? Szukaj. Do wieczora będziesz szukał, ponieważ umysł twój porusza się wyłącznie po przetartych już koleinach.

— Ale skoro nie ma powłoki, to jak. . .

— Właśnie — nie było żadnej powłoki! Nie potrzeba jej! Zmień konstans — i nie będziesz potrzebował powłoki.

— Jaki znowu konstans?

— Napięcie powierzchniowe cieczy! To jest proste i dlatego jest. . .

— Dlatego jest genialne — cicho powiedział Grubin.

— Właśnie napięcie powierzchniowe cieczy powoduje, że woda zbiera się w krople, kiedy spada z niebios na ziemię. Pozwala ono na przykład owadowi zwanemu nartnikiem biegać po wodzie. . .

Grubin wpatrywał się w Lwa Christoforowicza i nie mógł się nadziwić. No bo tak — tysiące mądrych ludzi zastanawiało się nad opakowaniem do mleka. Nasączano papier woskiem, produkowano puszki konserwowe i butelki o różnych wymiarach i kształtach. I nikomu nie przyszło do głowy, że można w ogóle obejść się bez ciężkiej, niepewnej i pospolitej tary... Jakież perspektywy otwierają się przed gospodarką narodową!

— No, jak ci się spodobał mój pomysł?

— Wspaniały — odpowiedział Grubin. — Zadziwiający, jak i wszystko czego się dotkniecie. Jesteście po prostu Midasem! Dotykacie — i otrzymujecie złoto.

— Tak? — Minc był wyraźnie zadowolony. Jak każdy człowiek miał swoje ludzkie słabostki. — Midas to już lekka przesada. Midas jest postacią negatywną. Nie myślał o ludzkości, tylko o sobie. Na tym polega nasza pryncypialna różnica. Ale wystarczy zawołać...

Grubin wzdrygnął się w duchu. Znajdował się w tym stanie ducha, kiedy gotów był uwierzyć w każdy zawijas myśli profesora. A ponieważ Sasza Grubin miał dobrze rozwiniętą wyobraźnię, to od razu stanął mu przed oczami duszy taki obraz: profesor Minc postanawia złożyć siebie w ofierze, by powiększyć zasoby złota naszego kraju. I oto wszystko, czego tylko dotknie, zmienia się w złoto. Pracownicy ministerstwa finansów stoją obok niego i podają profesorowi niewielkie sztabki ołowiu albo cyny, profesor zmęczonym gestem dotyka ich i sztabki, już złote, natychmiast są cechowane i wywożone opancerzonymi samochodami do odpowiednich składnic. Profesor chwieje się na nogach ze zmęczenia i niedożywienia. A nikt nie jest w stanie mu pomóc... nikt nie może wpaść na pomysł jak nakarmić go i napoić... Ostatnim ruchem profesor dotyka opancerzonego samochodu, a ten rozbłyskuje złotym lśnieniem, osiada, ponieważ jego resory nie wytrzymują ciężaru, a obok opancerzonego złotem samochodu upada, spełniwszy swój obowiązek wobec Ojczyzny, Lew Christoforowicz Minc...

— O czym tak myślisz, Sasza? — zapytał Lew Christoforowicz.

— O niczym — opamiętał się Grubin i postarał się zetrzeć z oblicza smutek. — Myślałem o tragedii króla Midasa.

— No to w drogę — powiedział Minc.

— Jaką drogę?

— Nie możemy przecież zatrzymywać się w połowie drogi. Jeśli potrafię zmienić napięcie powierzchniowe wody, to powinniśmy wypróbować inne możliwości tego wynalazku. — Profesor naciągnął na stopy stojące dotąd spokojnie w kacie gumowe bury, następnie zdjął ze stelaża próbkę, wylał z niej kilka kropel na szmatkę, przetarł nią podeszwy butów i skierował się do wyjścia.

Na zewnątrz czyhała na przechodniów spóźniona zimna wiosna. Wiał przenikliwy wiatr, w zacienionych kątach podwórka jeszcze krył się zszarzały śnieg. Na brzegach kałuż chrzęścił cienki lód. Minc zatrzymał się, wzdrygnął. Grubin, któremu udało się w końcu dogonić profesora, narzucił mu na ramiona palto.

— Dziękuję — powiedział Minc. — Rozumiesz dokąd i po co się kieruję?

— Jeszcze nie — powiedział Grubin.

— Każdy wynalazek musi być rozwinięty do granic możliwości. Opakowanie na mleko to tylko jeden z aspektów mojego nowego odkrycia. I przy tym nie najważniejszy. Powiększam tysiąckrotnie napięcie powierzchniowe metodą chemiczną. Na poziomie molekularnym. Wynaleziona przeze mnie substancja reaguje z molekułami cieczy i wzmacnia ich połączenia. A to oznacza, że możemy potraktować nią nie tylko samą ciecz, ale również przedmioty, które będą się stykały z tą cieczą. Jasne?

— Nie za bardzo.

— Podałem obróbce tą substancją swoje buty i w tych miejscach, gdzie stykają się one z wodą, powstaje strefa podwyższonego napięcia powierzchniowego. Patrz!

Minc podszedł do kałuży i odważnie w nią wszedł. Woda w kałuży wcale się nie ugięła, a wytrzymała ciężar profesora, który wolno i spokojnie przeszedł na drugą stronę wody, nie zmoczywszy nawet butów.

— A co będzie potem? — zapytał dumny wynalazca zatrzymawszy się na drugim brzegu. — Potem potraktujemy moją substancją opony samochodów! I rozwiążemy tym sposobem problem mostów i przepraw! Co na to powiesz?

Grubin nie odpowiedział. Cieszył go widok profesora, który raźnie odwrócił się i suworowskim krokiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na kałuże, skierował się do wiodącej na ulicę bramy. Wyraźnie szedł nad rzekę Guś, a Grubin pędził za nim, omijając kałuże.

Po rzece Guś spływała kra. Kawały lodu płynęły dumnie i niespiesznie, od rzeki ciągnęło wiosennym świeżym chłodem.

— Lwie Christoforowiczu! — jęknął Grubin. — Nie wolno!

— Dlaczego nie wolno? Jako wynalazca powinienem sam wszystko sprawdzić.

— Niech się tym zajmą specjaliści — sprzeciwił się Grubin, przytrzymując profesora za łokieć, by ten nie rzucił się do lodowatej, niebezpiecznej wody. — Pływacy, mistrzowie sportu. A może wasza substancja skończy się na środku rzeki? Przecież wy nawet nie potraficie pływać.

— Wcale nie zamierzam pływać! — nie poddawał się Minc. — Zamierzam chodzić po wodzie, jako i po lądzie.

— A ja jednak sprzeciwiam się. Możecie się przeziębnić. Proszę popatrzeć, jaki wiatr!

Minc jakby dopiero teraz zorientował się, że naprawdę jest zimno. Zawahał się. I nie wiadomo czym skończyłby się ten spór, gdyby przenikliwe spojrzenie profesora nie wychwyciło jakiegoś ruchu na małej wysepce na środku rzeki.

— Popatrz — powiedział. — Tylko popatrz, jaki dramat!

Na wysepce, kuląc ze strachu ogonek i łapki, w przerażeniu wpatrując się w płynące dookoła kry, siedział zając. Woda wzbierała i nie ulegało wątpliwości, że długo biedak tam nie wysiedzi.

— Nie możemy mu pomóc — powiedział Grubin i poczuł, że jego słowa brzmią bardzo, ale to bardzo nieprzekonująco.

— Nie możemy? Natychmiast mnie puść!

— Nie puszczę!

Na to Minc okręcił się i zręcznie wyskoczył z palta. Póki Grubin myślał co i jak się stało i wymachiwał paltem, jak sztandarem, Minc odważnie wszedł na płynącą wodę, która nieco ugięła się pod butem, następnie doszedł do pierwszej kry, przekroczył ją szeroko rozstawiwszy ręce, by nie stracić równowagi, ponieważ kra podejrzanie kiwnęła się i zeskoczył na wodę. Grubini był przez chwilę pewien, że obcasy profesora przebiją powierzchnię wody, ale ta wytrzymała, tylko ugięła się mocniej niż wcześniej, Minc pomaszerował dalej, starając się omijać kry.

Grubin stał na brzegu, denerwował się, penetrował wzrokiem brzeg w poszukiwaniu jakiegokolwiek łodzi, choć niby rozumiał, że o tej porze łódek na brzegu jeszcze nie ma, a gdyby nawet jakaś była, to i tak nie sposób byłoby dotrzeć łodzią do profesora między takimi krami. Ale oto Minc znalazł się na wysepce. Zając skulił się, próbował uskoczyć w bok, ale nadpływająca kra uderzyła krawędzią w wysepkę i zmusiła zająca, do skoku prosto profesorowi w ręce. Ten chwycił zwierzę, przycisnął do brzucha i zając natychmiast znieruchomiał.

— He-e-hej! — krzyknął Minc, przekrzykując hałas wydawany przed zderzające się kry i szum wody. — Grubin! Czekaj na mnie!

Z powrotem profesor szedł z całkowitą pewnością. Minął już większą część drogi, odpychając butami kry, podśpiewując jakąś brawurową arię operetkową. I zbytnia pewność go zawiodła. Kiedy do brzegu zostało nie więcej niż dwadzieścia metrów, profesor postawił stopę na krawędzi kry, która odsunęła mu się spod nóg, pokazawszy ostrą krawędź. Profesor stracił równowagę i usiadł na wodzie. Na nieszczęście, substancją podnoszącą napięcie powierzchniowe wody, posmarowane były tylko podeszwy jego butów, spodnie wynalazcy — nie. Profesor zwałił się w wodę i to jakoś strasznie zdziwiło Grubina, który w ciągu ostatnich minut pogodził się już z tym, że Minc chodzi po wodzie. I nagle... jakby Lew Chri-  
stoforowicz znalazł jakiś otwór w wodzie i runął weń jak w studnię. Przyciskał ciągle do piersi zająca, a ten zaczął piszczeć śmiertelnie przerażony.

Grubin nie zastanawiał się. Zrzucił płaszcz i skoczył na przepływającą obok krę. Z niej na kolejną. Teraz miał przed sobą lukę w lodzie na jakieś trzy metry. Normalnie nigdy w życiu nie pokonałby takiej odległości. Ale w tej chwili nie zawahał się — skoczył i nawet utrzymał równowagę...

Po minucie Grubin był już przy profesorze i szarpnął go w górę. Minc dosłownie wyleciał z wody.



Ten ruch na pewno spowodowałby upadek Grubina, ale uratowały ich buty profesora. Wylatując z wody, Lew Christoforowicz zdołał podkurczyć nogi i przykucnąć na wodzie. Buty od razu zaczęły działać. Dla nich woda była twarda. Profesor wyprostował się i podtrzymał Grubina.

W tym momencie znajdowali się już na środku rzeki. Stali trzymając się za ręce. Profesor Minc na wodzie, a Grubin na krze. Profesor przemókł na wylot, ale nie czuł zimna. Zajął też przemókł i trzął się jak w febrze.

— Dziękuję — powiedział Minc.

— N-n-nie m-ma za c-co — odpowiedział Grubin. Nogi mu się trzęsły po całej tej historii. Niebezpieczeństwo jeszcze nie zniknęło. Profesor Minc mógłby teraz dotrzeć do brzegu, ale Grubin na pewno nie powtórzyłby już swego wyczynu.

— Znaczą się, tak — powiedział Minc opierając się o Grubina, ostrożnie podnosząc prawą nogę. — Przyjdzie nam wykonać niezbyt elegancką, ale konieczną wędrówkę. Jaki masz numer buta?

— Czterdzieści trzy, a bo co?

— No nic, będzie cię trochę uwierało — powiedział Minc. — Na jednej nodze potrafisz skakać?

— N-n-nie wiem. . .

Profesor, stojąc na jednej nodze, ściągnął drugi but i podał Grubinowi.

— Będziemy skakać — powiedział. — Trzymając się za ręce.

I zaczęli skakać w kierunku odległego brzegu. Wolną ręką Minc trzymał zająca. Kiedy do brzegu zostało nie więcej niż trzy metry i stało się jasne, że ocaleją z tej opresji, Minc nagle powiedział:

— Co za szczęście, że nikogo nie było na brzegu. Stalibyśmy się pośmiewiskiem całego miasta.

1982

przełożył Eugeniusz Dębski

## Wmówione życie

Lato minęło, a jakoś ciągle nie mogło zebrać się towarzystwo do rozegrania partyjki domina. Czasy się zmieniają, cokolwiek by o tym mówić, ludzie się zmieniają. . . Kiedyś było tak, że codziennie pod wieczór na podwórku rozlegał się huk. To mistrzowie tej gry walili kośćmi w blat stołu. A teraz? Jedni wyjechali, drudzy przestali kochać rycerską grę.

W październiku — wieczór był ciepły, miękki, niemal letni — emeryt Łożkin wyniósł na podwórko wysłużone pudełko, rozsypał kości na jeszcze wilgotnym po porannym deszczu stole. I zaczął czekać.

Jako pierwszy pojawił się Korneliusz Udałow, który posprzeczał się z żoną. Potem wyrzwał ze swojego okienka Sasza Grubin, zobaczył, że gracze czekają, wyszedł, przysiadł się i zrzucił ze stołu żółty liść. Jako ostatni pojawił się profesor Minc, Lew Christoforowicz.

— Ciężki dzień — powiedział. — Naczytałem się gazet, a jeszcze muszę pracować.

Wszyscy zgodzili się, że dzień był ciężki.

— I czasy ciężkie — powiedział Łożkin.

— Tak, niełatwe — potwierdził Minc. — Nie nadażam z czytaniem prasy: prasa centralna, wojewódzka, miejska. . .

— Wiele hałasu — mruknął Łożkin. — Wiele hałasu. Stary był opozycjonistą. Ze smutkiem przyglądał się aktywności młodego pokolenia.

Udałow zamieszał kostki domina, starannie, jakby chciał zagrać, po staremu. Ale nikt nie sięgnął po swoje.

— Ty to byś chciał, żeby wrócił Batyjew — powiedział Gubin do Łożkina. — Żeby był porządek i spokój.

— Nie odzywaj się, prywaciarzu — odpowiedział z pogardą Łożkin.

Łożkin z obrzydzeniem obliczał ile też może zarobić Grubin wykonując te swoje dzwonki z melodyjkami dla mieszkańców Wielkiego Guslaru. Dzwonki mogły wykonywać dowolną melodię, a w razie potrzeby czułym głosem informowały, że gospodarzy nie ma w domu. Cieszyły się sporym wzięciem. A kiedy Łożkin powiedział, że chciałby może i mieć taki, ale go nie stać, Grubin zrobił

mu w prezencie dzwonek z cichą pozytywką, w której słycać było „Marsz Entuzjastów”. Ten prezent oburzył Łożkina, ponieważ wyszło mu, że Grubin musi strasznie dobrze zarabiać, skoro stać go na takie prezenty.

— Kiedy województwem rządził Batyjew — zauważył Łożkin — też osiągnęliśmy sporo. Samych sztandarów przechodnich mieliśmy ze sześćdziesiąt sztuk. Ja dostałem tytuł honorowego obywatela, nadto ze siedem różnych takich odznak... Żyliśmy sobie w sposób zorganizowany. Solidnie. A teraz? Niedawno poszedłem do Biełosielskiego ze skargą na Gawriłowa, a u niego drzwi otwarte! Każdy może sobie wejść. W ten sposób sam pozbawia się autorytetu.

Nikomu nie chciało się sprzeczać z Łożkinem.

— To co — zaczynamy? — zapytał Udałow.

— Ruch naprzód — powiedział Minc, nie sięgając po kostki — oto najważniejsze prawo natury. Nowi ludzie, nowe inicjatywy. Patrzcie, jakie przemiany dookoła!

— Czy to oznacza, że dobry jest nawet ruch dla samego ruchu? — zapytał Udałow.

— Każdy ruch — odpowiedział Minc — to zmiany. A zmian potrzebujemy najbardziej.

— Niech żyją przemiany! — zawołał Grubin. Zapanowała cisza. Słycać było jak na sąsiednim podwórku zaskrzypiała furka. Rozległ się łopot skrzydeł lądującego na dachu gawrona.

— Nie — powiedział Udałow. — Dowolne przemiany to sprawy niebezpieczne. Niektórzy tak sobie myślą — wynalazłem, zameldowałem, wysunąłem się, a za jaką cenę — nieważne. Istnieje taka tendencja.

— Istnieje — od razu zgodził się Łożkin. — Męczy mnie to.

— Czy to oznacza, że jesteś przeciwko postępowi? — zapytał Grubin.

— Nie, jestem za, ale bez specjalnego wytężania się. Jak chcecie, to coś opowiem wam.

— Ale nie wymyślaj — uprzedził Grubin.

— Czysta prawda — zapewnił go Udałow.

I opowiedział sąsiadom, co przydarzyło się na pewnym globie w czasie ostatniej podróży kosmicznej. Nazwy planety Udałow nie zapamiętał, zresztą nie o to szło — jest ich, w końcu, sporo, porozrzuconych po przestworzach Galaktyki! I każda ma swoje problemy, swoje kłopoty. Nie poznał również Udałow nazwisk występujących w opowieści osób, ani ich stanowisk. Dlatego tamtejsze karminy nazywał po prostu miastami, a wkuszera Krisłowija mianował zwyczajnym naczelnikiem miasta. To my wiemy, że wkuszer Krisłowija jest plakorissem karminy Pr. A Udałow tego nie wiedział. Natomiast był świadkiem tych wydarzeń i przekazał je bez przekłamań.

— Trafiłem tam przypadkowo, przejazdem — zaczął Udałow. — Zatrzymałem się w hotelu. Wieczorem nie miałem co robić, włączyłem telewizor. Taki

okrągły, wiszący w powietrzu, akurat nad łóżkiem. Był w nim program o ichnim lekarzu psychologu — pewna kobieta w trakcie operacji, a on jej zasugerował, że nie potrzebuje żadnej narkozy. Taką dysponował siłą sugestii.

— Ja też to widziałem — powiedział Łóżkin. — W naszej telewizji.

— Poczekaj, nie przerywaj — powiedział Udałow. — Siedzi więc ten psycholog w swoim gabinecie, dookoła aparatura telewizyjna. I powiada on tej kobiecie: „Rozluźnij się, zaraz wejdzie w ciebie nóż, jak w chleb z masłem, a ty nic kompletnie nie poczujesz”. A ta uśmiecha się, zamyka oczy i potwierdza: „Nic nie czuję, choć tną mnie jak chleb z masłem”. A lekarze w tym czasie chlastali ją tymi swoimi skalpelami. Wycięli jej wszystko co trzeba, a psycholog przez telewizor powiada do niej: „Otwórz oczy . Przyznaj się, że jest ci dobrze?” „Oj, dobrze!” — przyznaje się kobieta. A psycholog jej mówi: „No to koniec zabiegu, przez dziesięć dni nic nie będziesz czuła, a potem wszystko się zagoi”.

— Hipnoza — powiedział Minc.

— Wiadomo, że hipnoza — zgodził się Grubin.

— W naszej telewizji też taki facet gadał o chlebie z masłem. Czyżby to był tylko przypadek?

— Oni widocznie takie coś we wszystkich galaktykach mówią — rozwiązał problem Grubin.

— Być może — powiedział Udałow. — Najważniejsze jest to, co się stało potem. Wrócił ów psycholog do domu i od razu zadzwonił telefon od naczelnika miasta. Że niby psycholog ma się stawić na dywanik. Psycholog powiada: Zmęczony jestem z powodu wysiłku psychicznego, nie idę! Tylko co się położył — pukanie do drzwi i pojawia się ten naczelnik. Naczelnik był osobą nową na stanowisku, aktywną, ciągle szukał jakiegoś powodu do wyróżnienia się, jak by tu być w zgodzie z nowymi trendami. Zadręczał się chęcią wybicia. Zobaczył ten program w telewizji i aż mu serce stanęło — oto szansa! Wszedł więc ten naczelnik do psychologa i uprzejmie zagaja:

— Jeśli nie idzie góra do Mahometa, to Mahomet idzie do góry.

— U nich też jest Mahomet? — zapytał szyderczo uśmiechając się Łóżkin.

— Umownie, to jest umownie! — odpędził się od jego dociekliwości Udałow. — Przyszedł zatem do psychologa i mówi:

— Jesteśmy w trakcie wielkiej wojny z alkoholizmem, zmiany na froncie tej walki są ogromne: albo my go wypieramy, albo on nas.

— A co ja mam do tego? — pyta psycholog. — Ja nie piję.

— Ty mi odpowiedz: możesz wpłynąć przez telewizor na jedną osobę, czy możesz i na cały kolektyw?

— Mogę i na kolektyw.

— No to wystąpisz, zasugerujesz ludziom, że napoje spirytusowe szkodzą. Jeśli tak postąpisz, załatwimy ci godziwe warunki mieszkaniowe. A jak nie — zdemaskujemy cię w felietonie.

Nie było o czym dyskutować, psycholog się zgodził. Warunki mieszkaniowe miał pod psem.

W odpowiednim terminie miejscowa telewizja ogłosiła, że wszyscy powinni zasiąść przed telewizorami, ponieważ będzie miał miejsce ważny komunikat. Wszyscy grzecznie zasiedli, ekrany się włączyły, psycholog popatrzył miastowym w oczy i powiedział:

— Drodzy towarzysze widzowie! Od dzisiejszego dnia nie będzie się wam chciało pić wódki, ani nawet piwa. Wywołują one w was wstręt i obrzydzenie. Nawet was nie ciągnie do nich.

Zrobił swoje i poszedł spać.

A naczelnik miasta — nie. Najpierw przetestował sprawę na sobie — wyjął z barku butelkę koniaku, pokręcił w rękę i pomyślał: „Po co ludzie marnują swoje zdrowie?” Ale kierownictwo to jeszcze nie cały naród. Tak więc naczelnik przed otwarciem sklepu monopolowego zaczął się w pobliżu i zaczął obserwować.

Sklep otwarto, ale nie było w nim żadnej kolejki. Przez pierwszą godzinę weszły do niego ze dwie osoby, takie, co to przed telewizorem nie siedziały. Kupili po butelce, ale nie mieli z kim na miejscu wypić.

Z czystym sumieniem pojechał naczelnik do województwa. I zameldował na naradzie:

— Nasze miasto jest trzeźwe na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procenta! Kto nie wierzy — niech sprawdzi sam! Możecie nie planować w naszym miejskim handlu sprzedaży wódki.

Sala zareagowała śmiechem, hałasem. Ale minął miesiąc i co? Wraca z tego miasta nie sprzedana wódka! I ani jednej skargi na brak alkoholu w sklepach. Chcieli czy nie — musieli uwierzyć.

Ta wiadomość zaniepokoiła naczelnika miasta sąsiedniego. Od dawna konkurowały te dwa miasta ze sobą, a tu takie wydarzenie! A dodać należy, że żona naczelnika drugiego miasta miała siostrę w pierwszym mieście. Tak więc tajemnica sukcesu szybko przestała być tajemnicą.

Wymyślił ów drugi naczelnik ruch dywersyjny, albowiem młody był, przepełniały go siły i pomysły. Powiedział do swojej sekretarki:

— Nasz sąsiad ma w rękę złotą rybkę, a on gwoździe nią wbija.

Wieczorem przed nowym mieszkaniem lekarza zatrzymał się samochód, wysiadł z niego zastępca drugiego naczelnika i wniósł do mieszkania firmy tort i bukiet purpurowych goździków.

— To od pańskich wielbicieli z naszego miasta — powiedział.

— Dziękuję — odparł lekarz. — Jestem bardzo wzruszony.

— Proszę mi powiedzieć — zapytał zastępca naczelnika. — Za jakie honorarium wystąpi pan w naszej telewizji miejskiej z odczytem o szkodliwości alkoholu? U nas też jest jeszcze kilku pijaków i bardzo byśmy chcieli ich reedukować.

Nie za bardzo chciało się psychologowi jechać do obcego miasta, ale przekonano go, że służy szlachetnej sprawie. Więc się zgodził.

Tam, w telewizji miejskiej, pomyślnie przeprowadził walkę z alkoholizmem, a naczelnik, będący tego świadkiem, powiedział doń z przekonaniem:

— Kochany nasz psychologu, mamy dla ciebie zadania. Tylko mi się tu nie stawiaj, rękami nie machaj, nie sprzeciwiaj się, bo i tak jesteś w naszych rękach. Niestety przytrafiło się naszemu miastu — strasznie brakuje mięsa i cukru.

— No to co? — zapytał psycholog, który wcale tak szybko nie myślał jak naczelnik. Może dlatego nie został naczelnikiem. Przypominam sobie pewien taki przypadek z Guslaru...

— Bez dygresji! — rzucił Łożkin. — Opowiadaj o sprawie. Bez lirycznych odstępów.

Udałow przeprosił i kontynuował:

— Ty — mówi drugi naczelnik — musisz wystąpić w miejskiej telewizji i przekonać naród, że nie lubi cukru i nie znosi mięsa.

Psycholog obruszył się, zaczął oponować. A ci mu — honorarium, bęc! On się odmówił od honorarium, no to go aresztowali i posadzili do ciupy za zakłócanie porządku społecznego.

— Dobrze, że to nie na naszym globie miało miejsce — powiedział Grubin. — Bo byśmy ci, Udałow, nie uwierzyli.

— Przecież mówiłem, że nie na naszej planecie — powiedział Udałow i ciągnął dalej: — Trzy doby odsiedział psycholog. Złamali go w końcu. Wystąpił. I taką on dysponował siłą hipnozy, że następnego dnia przestali mieszkańcy tego miasta kupować cukier i mięso. I od razu zniknął deficyt, skończyły się braki w mięsie i cukrze.

— Granda! — powiedział Łożkin. — Za takie rzeczy należy pod sąd oddawać!

— Należy dodać — kontynuował Udałow — że pierwszy naczelnik od razu dowiedział się, że jego psycholog zaginął. Zaalarmowano milicję, ta zawięła rękawy i wykryła, że w sąsiednim mieście nie tylko przestali ludziska pić wódkę, ale cukru i mięsa nie kupują. W tym momencie pierwszy naczelnik zaczął sobie włosy garściami wrywać, że sam na to nie wpadł. Zażądał od sąsiada: „Oddaj psychologa!”. Ale tamten nie oddał psychologa, tylko się śmiał — szykował swojego więźnia do kolejnej akcji: odmowy jedzenia masła.

Ale nie zdążył. Pierwszy naczelnik już dotarł do województwa i narobił tam straszego rabanu. Przebił się do naczelnika województwa i wyłożył mu całą prawdę — siebie nie wybielał, ale sąsiada zdemaskował.

Wzywa władza przez gorącą linię drugiego naczelnika. Nie pozostało temu nic innego jak przywieźć psychologa do województwa.

— Nie puścili go do domu? — zapytał Grubin.

— Nie, do województwa zawieźli. W województwie przecież też były kłopoty. I tam też był nowy naczelnik, młody, energiczny i z pomysłami.

I tak się wykręcał psycholog, i siak, i owak, błagał, żeby go puścili do naukowej i leczniczej roboty — nie udało się. Musiał w wojewódzkiej telewizji wystąpić, oduczać ludzi od pijaństwa na skalę wojewódzką. A potem. . .

W tym momencie Udałow przerwał i milczał długą chwilę, a przyjaciele jego czekali, ponieważ bardzo chcieli poznać zakończenie.

— Już następnego dnia psycholog wystąpił w telewizji i przekonał ludzi, że powinni pójść w sobotę na czyn społeczny, poświęcić ten subotnik na sprzątanie miasta, a w niedzielę dobrowolnie pojechać do podmiejskich kołchozów na pielenie.

— No tu już przegiąłeś! — obruszył się Łożkin. — Skąd na obcej planecie subotniki?

— Może się nazywało to czwartniki. Czy to takie ważne? — powiedział Udałow. — Najważniejsze, że wypielili. Entuzjastycznie. I województwo zameldowało o tym gdzie trzeba. I był to ostatni dzień pracy psychologa w tym województwie.

— Zastrajkował? — zapytał Grubin. Udałow pokręcił przecząco głową.

— Niby czemu miał strajkować? — zapytał Łożkin. — Wykonywał dobrą robotę. Czy z dobrej woli ludziska wyjdą do pracy na pola? Pamiętam, w czterdziestym siódmym, zapisywałem się na pożyczkę państwową. W wymiarze dwóch miesięcznych pensji. Och, jak ja się sprzeciwiałem. Aż do podjęcia kroków.

— Łożkin — powiedział Grubin — opowiesz nam kiedy indziej o swojej działalności w epoce kultu jednostki.

— Niby dlaczego? — Łożkin wychwycił w głosie Grubina jakieś niebezpieczne nutki. — Co tam ja? Ja byłem tylko szeregowym buchalterem. W związku zawodowym. Jak wszyscy, tak i ja. . .

— Nie — kontynuował Udałow, jakby nie słysząc tej króciutkiej wymiany zdań. — Nie o to chodzi, że zastrajkował psycholog. A jeśli zastrajkował, to tak, że nikt tego nie zobaczył. Bo już był złamany tą odsiadką. Ale wydarzyło się co innego — odwieziono go w nocy do stolicy.

— Słusznie — zaaprobował zwrot akcji Łożkin. — Jeśli walka z pijaństwem ma mieć sens, to tylko na skalę całego globu. Jednym ciosem.

— W centralnej telewizji raczej nie rozmawiano o pijaństwie.

— Dlaczego? — poderwał się Łożkin.

— Walczyć z pijaństwem należy, ale jeśli nikt nie będzie kupował wina — powiedział w zamyśleniu profesor Minc — to powstaną poważne problemy finansowe. To obowiązujące w Galaktyce prawo.

— Słusznie — powiedział Udałow. — Nie było więc mowy o pijaństwie. Wśród stołecznych naczelników byli tacy, co stawiali partykularne departamentowe interesy ponad narodowe i chcieli wykonać swoje plany i swoje zamysły jednym ruchem. Jako pierwszy dorwał się do psychologa minister przemysłu tekstylnego i obuwniczego, którego zakłady produkcyjne kompletnie nie dawały so-

bie rady ze swoimi obowiązkami. Psycholog według jego nakazu zasugerował ludności pogardę do odzieży. Pamiętam, że było wtedy lato i wszyscy wyszli na ulicę w kąpielówkach albo majteczkach, albo i na waleta.

— A ty jak? — zapytał Grubin. — Też się rozebrałeś?

— Ja się nie rozbierałem, ponieważ nie znałem ichniego języka.

— Mów dalej — powiedział Łożkin. — Łżyj po swojemu.

— Następnego dnia psychologa dopadł minister transportu, któremu ciągle nie udawało się rozwiązać problemu paliw. Musiał psycholog wmówić narodowi, że chodzenie na piechotę jest znacznie przyjemniejsze niż jazda samochodami czy autobusami. Z tego powodu, rzecz jasna, zawały się prace w fabrykach i instytucjach, ponieważ ludzie zaczęli się spóźniać. Przyszło wtrącić się do akcji ministrowi pracy. Nakazał psychologowi zasugerowanie narodowi miłości do pracy na taką skalę, że wielu w ogóle przestało odchodzić od swoich stanowisk, żeby tylko nie spóźnić się do pracy następnego dnia.

— Znakomicie! — zakrzyknął Łożkin, ale nikt go nie podtrzymał.

— Zaczęły się głodowe omdlenia i chorobowe komplikacje — mówił Udałow. — Zaniepokoił się ministrowie ideologii i kultury. Jeden dlatego, że opustoszały wszystkie sale wykładowe i biblioteki, drugi — bo ludzie przestali chodzić do teatru i cyrku. Urażeni ministrowie posadzili psychologa przed kamerami i stanęli za jego plecami, pilnowali żeby wmówił społeczeństwu miłość do sztuki i do strawy duchowej. Ale kiedy audycja trwała w najlepsze, do studia wpadł minister handlu. Ekonomia ekonomiką, ale sklepy zawalają plany. W studio zaczęła się krwawa bitwa między ministrami i psychologowi udało się umknąć. Bardzo był już zmęczony tymi wystąpieniami.

Przy wyjściu ze studia na psychologa czekała czarna opancerzona limuzyna. W limuzynie siedział prawie całkiem goły minister obrony.

— Poczekaj — powiedział on. — Zjedz kanapkę, wypij czarę żołnierskiej naleweczki. Zaraz moje zuchy wezmą szturmem to studio, a wtedy powiesz narodowi to, co dawno powinien był usłyszeć.

— Co, mianowicie? — zapytał psycholog głosem pozbawionym nadziei.

— Nasz lud — oświadczył minister obrony — nijak nie może przepelnić się duchem sprawiedliwej nienawiści do Pułtian, którzy dwieście lat temu zdradziecko wyszarpnęli nam kawałek naszego odwiecznego bagna! Powinieneś zasugerować narodowi chęć wzięcia karabinów do rąk, celem pokazania godnym pogardy wrogom, gdzie raki zimują.

Psycholog ze smutkiem patrzył jak pomykają po ulicach dygocący z zimna, głodni, ogarnięci zapałem do pracy mieszkańcy stolicy i wyobraził sobie, jak jutro będą zwijali się w agonii posiekani pociskami. I powiedział:

— Zgadzam się na współpracę, ale pod jednym warunkiem. Muszę być pewien, że moją ostatnią audycję będą oglądali wszyscy mieszkańcy państwa bez wyjątku.



— Oczywiście — zgodził się minister obrony.

— Ale — chcąc być pewien tej stuprocentowości — musi mi pan zagwarantować, że pana ludzie będą również przy ministrach i innych wysokich osobistościach państwa. Nie chcę, by którykolwiek z nich odwrócił się choćby na chwilę od ekranu.

— Słuszne żądanie — zgodził się minister. — Mnie też opozycja nie jest potrzebna. Bojowy zapal winien ogarnąć wszystkich.

I wydał odpowiednie dyspozycje. Psycholog wszedł do studia, odczekał aż włączyły się kamery i powiedział, przenikliwym wzrokiem przesywając widzów:

— Szanowni widzowie. . .

W tym momencie Udałow przerwał opowieść i popatrzył na milczących sąsiadów.

— Co powiedział?

— Nie dręcz! — krzyknął emeryt Łożkin. — Może i łiesz, ale interesująco.

— Wezwał wszystkich na front? — zapytał Grubin.

— Poczekajcie. — Lew Christoforowicz podrapał się po łysinie. — Wszystko to nie jest takie proste. Ten psycholog był na pewno inteligentem z natury swojej, a z powołania — humanistą. A to oznacza, że wezwał. . . do pokoju!

— I natychmiast go zastrzelili — powiedział Grubin.

— Może i nie — nie zgodził się Minc. — Jeśli zasugerował wszystkim, łącznie z ministrem obrony, absolutne umiłowanie pokoju, to żołnierze nie mogli do niego strzelać. Ale wtedy nie rozwiązałby pozostałych problemów.

— Właśnie — przytaknął Udałow. — A on chciał z tym wszystkich skończyć. Przecież nadchodziła jesień. I porozbierani, zmęczeni, głodni ludzie na pewno by poumierali. Tak więc oto co powiedział:

— Panowie ministrowie i zastępcy ministrów, panowie wysocy biurokraci i naczelnicy! Panowie, myślący przede wszystkim o zachowaniu swoich stołków, a nie o własnym narodzie! Wszystkich was ogarnęła w tym momencie straszliwa ochota podać się natychmiast do dymisji! I nigdy nie wracać na stanowiska kierownicze. A pozostali mieszkańcy — żyjcie, jak żyliście przed moimi hipnotycznymi seansami, ale — proszę was — zmądrzejcie!!

— I udało się? — zapytał z nadzieją w głosie Grubin.

— Naczelnicy natychmiast napisali podania o dymisje. Tak się śpieszyli, że jeszcze tej samej nocy spakowali manele ze swoich gabinetów i potem nawet się dziwili — a co ich tak ciągnęło do przewodzenia narodowi? A Psycholog wrócił do swojego miasta.

— A mieszkanie zachował? — zapytał Łożkin.

— Mieszkanie otrzymał w zgodzie z prawem. Więc zachował — powiedział Udałow. I dodał: — Mam nadzieję, że zachował. . .

— To wszystko bujda. — Łóżkin składał kostki domina do pudełka. — Nie mogło coś takiego się wydarzyć. Nawet na odległej planecie.

Udałow wzruszył ramionami i poszedł do domu, godzić się z żoną.

W końcu i tym razem też nie zagrali w domino.

1988

przełożył Eugeniusz Dębski

## Marzenie zaocznego studenta

Profesor Minc wyglądał przez okno. Padał drobny deszcz, aż nie chciało się wierzyć, że była połowa grudnia.

Ale to nie widoczne jak na dłoni i negatywne zmiany klimatyczne troskały Lwa Christoforowicza w tym momencie, a zmiany w społecznej świadomości.

Dokładnie naprzeciwko niego, pracowity niczym chrząszcz buldożer równał z ziemią wspaniałą willę z XVII wieku, zapisaną do księgi dziedzictwa UNESCO.

W połowie tego wieku kupiec Deniska Pierłamutrow, pochodzący z Lubeki, wzbogacony na handlu starzyzną, czyli futrami sobolimi i kunimi, kupiec, który wysyłał ekspedycje, mające odkryć Alaskę i Kalifornię, postanowił wybudować sobie rezydencję, aby mieć gdzie przyjmować stołecznych i zagranicznych gości.

W tym celu Deniska Pierłamutrow wysłał do Paryża swojego pasierba Sawielija i jego guwernanta, Chińczyka Li Bo, by poznali nowe trendy w budownictwie i architekturze, oraz podjęli kroki, żeby to, co najlepsze, wdrożyć w Wielkim Guslarze.

Sawielij i Li Bo szczerze zakochali się w niedawno odbudowanym Wersalu, zamieszkałym przez francuskiego króla. Przespacerowali się po parku i dookoła fontann, dowiedzieli się, gdzie mieszkają twórcy Wersalu, i jednego z nich, niemłodego już Francoisa Leroi, skusili na czasową robotę dwukrotnie większą zaliczką niż ta, jaką otrzymał za całą pracę od Ludwika. Drugiego mistrza, młodego Francoisa d'Orbie, który bał się jechać w lodowe przestrzenie Moskwy, zwiążali i ułożyli w długiej skrzyni na miękkich poduszkach.

Po czym wrócili do Wielkiego Guslaru.

Leroi z zapałem zabrał się do kreślenia planów, poza tym uczył guslarskie dzieciaki subtelności zachodniej architektury, a d'Orbie, udręczony podróżą, strajkował, nie przyjmował żadnego pokarmu poza czarnym kawiolem, i przeklinał po francusku.

W 1666 roku zaczęła się budowa pałacu Deniski Pierłamutrowa, ale prace zakończyły się na małej części, oficynie tylko, gdzie miała być przechowywana porcelana. Sąsiedzi i konkurencja donieśli do Moskwy o występkach Pierłamutrowa, z Moskwy przyjechała komisja, zakuła Pierłamutrowa w łańcuchy, wywozła do Pustozierska, gdzie kupiec spędził dwa lata w brudnym i zimnym dole. Potem

jego pasierb Sawielij, co już samo w sobie jest materiałem na historyczno-awanturniczą powieść, podmienił go Chińczykiem Li Bo, który dobrowolnie poświęcił życie dla swoich dobrych rosyjskich panów, i wraz z ojczymem uciekł przez biegun północny do Ameryki. Tam stanęli na czele ruchu oporu Apaczów przeciwko najazdowi białych i pozostali na zawsze we wdzięcznej pamięci Indian.

Ale ta sprawa nie ma związku z opowiadaniem, a jest tylko tłem historycznym. Po pierwsze, zawsze warto przypomnieć, jacy dziwacy zamieszkiwali Wielki Guslar w przeszłości, a po drugie, należy przeciągnąć niteczkę z przeszłości do współczesności.

W końcu XVI wieku miejscowy obszarnik odkupił od miasta rozpoczętą budowlę i usiłował przewieźć ten cud francuskiej architektury do siebie, na Suchonę. Architekt d'Orbie, zapomniany w Guslarze po dramatycznym zniknięciu Pierłamutrowa i zamieszkujący schodki cerkwi Paraskiewy Piatnicy, na widok chłopów pańszczyźnianych, którzy już rozwinęli liny, by wywieźć z miasta wykwinną oficynę, rzucił się na nich. Przeklinał po francusku, a te wyzwiska, w połączeniu z wyglądem architekta, doprowadziły niszczycieli do myśli o tym, że mają do czynienia ze strasznym zagranicznym upiorem.

Pańszczyźniani rozbiegli się po lasach i wkrótce podzielili się na zbójckie gromady. Do jednej z nich przystał architekt d'Orbie.

Ale obszarnik, którego imienia historia nie zachowała, nie potrafił już rozstać się z oficyną, więc zamieszkał w niej ze swą ukochaną Cyganką, która grała na klawesynie i własnoręcznie batożyła służbę. Po kilku latach doprowadzili oficynę do stanu straszliwego zapaskudzenia, i ta, może, zginęłaby, gdyby nie Piotr Wielki.

Jego Wysokość udawał się do Archangielska budować flotę. Po drodze odwiedził Biełoziersk, Wołogdę, Pofmę i Wielki Guslar.

Uprzedzeni o przyjeździe cara, znając jego dziwne skłonności do zagranicznych przedmiotów, naczelnicy miasta odkupili od cygańskich spadkobierców bezimiennego obszarnika oficynę i doprowadzili ją do stanu używalności.

Piotr I, widząc w Wielkim Guslarze mały Wersal, a na Wersalach to on się znał, uronił skąpą męską łzę i uznał, że miasto zasiedlone jest szczerymi zwolennikami jego reform. Co prawdą nie było.

Piotr z radości nadał Wielkiemu Guslarowi prawa wolnego miasta i pozwolił wstąpić do Związku Hanzetyckiego. Odtąd guslarskie statki mogły bez cła handlować z Europą.

Flota w Guslarze nie była szczególnie wielka, ale łodzie guslarskie odwiedzały i Lizbonę, i Hamburg, a jedna z nich nawet odkryła Australię.

Ale to kolejna sprawa nie mająca związku z opowiadaniem, chociaż tłem historycznym na pewno jest.

Potem losy wersalskiej oficyny różnie się układały. Przez jakiś czas trwała pusta jako miejsce pamiątkowe w nadziei, że jakiś inny monarcha zdecyduje się odwiedzić Wielki Guslar. Władcy nie pojawiali się.

W XIX wieku w oficynie znajdowała się szkoła diecezjalna, a w chwili zlikwidowania biskupstwa w Guslarze, usiłowano umieścić tam muzeum miejskie, ale z pomysłu zrezygnowano, ponieważ w oficynie szalał duch architekta d'Orbie.

Potem w tym budynku zamieszkał arcybiskup, który za pomocą postów i modłów przegnał Francuza.

W lutym 1930 roku rada miejska Wielkiego Guslaru zdecydowała, że należy zburzyć dom numer 19 na ulicy Puszkina, aby pozbyć się wspomnień o krwawym ucisku mas pracowniczych za Ludwika XV, a także o Piotrze I. Ale nie znaleziono środków na wyburzenie, mimo że do Moskwy poszedł meldunek o wykonaniu postanowienia.

W jakichś moskiewskich rejestrach odnotowano, że oficyna została wyburzona. Tak minęło wiele lat.

Jednakże pod koniec lat czterdziestych, na fali ojczyźnianego patriotyzmu, z Moskwy przybyła ekspedycja, której celem było znalezienie fundamentu zburzonego budynku, o którym już napisano w gazecie „Prawda”, że jest: „naszym rosyjskim Wersalem”, który posłużył za prototyp francuskiego pałacu. Ni mniej, ni więcej. Ekspedycja odszukała według planu miejsce, gdzie niegdyś stała oficyna, i zaczęła wyburzać powstałe przez wiek drewniane przybudówki, by przystąpić do wykopalisk.

Jakież było zdziwienie archeologów i historyków sztuki, kiedy okazało się, że w stercie budowli kryje się całkowicie zachowany, jeśli nie liczyć kolumn, budynek rosyjskiego Wersalu.

Powstało niemało artykułów w prasie, rozpraw, przyjechało wiele zagranicznych delegacji. Kolumny zostały odtworzone, dodano dwie, żeby pokazać przewagę radzieckiego stylu życia. Oficyna została nazwana Domem Przyjęć, ale znowu nikt nie przyjeżdżał, wtedy przywłaszczył ją sobie zastępca przewodniczącego Nytikow. Nytikowa wysłano na awans do województwa, w oficynie zostali jego krewniacy. Ci wmieszali się w walkę o władzę, posadzono ich i przy okazji oficyna stała się przedszkolem. Tak minęło jeszcze dziesięć lat, które doprowadziły do postępującego niszczenia budowli. Każdy nowy przewodniczący rady miejskiej przysięgał, że odtworzy ten pomnik francuskiej architektury, ale kiedy dochodził do władzy, to jakoś mu przechodziła na to ochota.

Do naszych dni oficyna doczekała jako ten nieszczęsny kundel ze szlacheckim pochodzeniem. A dookoła niej rozciągał się śmietnik, na jednym jego brzegu bawiły się dzieci, na drugim królowali menele.

Teraz w Wielkim Guslarze nastąpiło pewne ożywienie — przyjechał Kara-Murzajew, Mikołaj Achmetowicz. Założył bank, kupił grunta, buduje trzynastopiętrowy office banku ze zdobieniami z czarnego szlifowanego szkła.

I musiało się tak zdarzyć, że owa wersalska oficyna trafiła pod zachodni róg bankowego drapacza chmur.

Społeczność zaniepokoiła się, za późno, rzecz jasna; dwie babcie maszerowały z plakatami, nauczyciel Awdiuszkin ogłosił poobiednią głodówkę. Nowy guslarski burmistrz dał słowo reporterowi „Guslarskiego Sztandaru”, Miszy Stendalowi, że wersalską oficynę zachowa dla potomnych, ale potem odbył rozmowę z Nikołajem Achmetowiczem, prezesem „Guslarnieurządbanku”. Po tej rozmowie władza zmieniła stosunek do oficyny i stała się zwolennikiem postępu. Wystarczy już — powiedziała władza starszynom i Stendalowi — trzymać się kurczowo przeszłości. Niech powieje świeży wiatr od oceanu!

I oto właśnie smutnym wzrokiem Lew Christoforowicz odprowadza manewry buldożera, który odsuwa na bok resztki oficyny, której udało się przeżyć reżim carski i nawet lata radzieckie.

„Ta oficyna — myślał profesor — nie tylko była świadkiem, ale i uczestnikiem historii Rosji ostatnich wieków. A co to oznaczało dla wyrafinowanego emigranta? Pojawia się na naszym balu, wyfiokowany i wypomadowany, dookoła słyszy głosy zachwyty, ale też i warczenie niezadowolonych. I wystarczy, że przypadkowy protektor zginie, już zaczyna się epoka pogardy i nagonek. Wersal pamięta wszystko — szyk i blask królewskiego balu, hałas rewolucji i stabilność muzealnego żywota. Życie oficyny było życiem w strachu — zaraz coś mi zrobią, spalą, zburzą, lepiej ukryję się między komórkami i będę udawać taką samą ruinę. Im jestem brzydsza tym więcej szans na przeżycie!

Co to za kraj! Czy w ogóle możliwy jest w nim postęp?”

Ulicą przeszedł Gawriłow. Nie dałoby się go nazwać młodym człowiekiem, ale ciągle był Kolką. Jeśli nie zajmie w życiu jakiegoś stosownego miejsca, to do końca alkoholowej starości będzie Kolką. Matka, co to ciągnęła go przez życie do trzydziestki, zestarzała się, a Kolka ciągle wpadał po rozum do głowy i zaczynał nowe życie. Teraz też, jak słyszał Minc od Udałowa — zaczął zaoczny Uniwersytet Techniczne — Humanistycznych Perspektyw im. Mikłucho-Makłaja Chciał otrzymać specjalistyczne finansowe wykształcenie i założyć własną firmę. W Wielkim Guslarze nie mało jest firm, przede wszystkim małych, handlowych, są nawet miejscowi reketierzy. Zupełnie jak w wielkim mieście.

Kolka, mijając okna profesora rzucił obojętne spojrzenie na budowę. Los rywała Wersalu nie interesował go wcale. Niósł pod pachą wielką kopertę. Ciekawe, z kim ten niebieski ptak korespondował?

Kolka zniknął z oczu. Minc wrócił w myślach do smutnych rozważań.

„Kiedyś — myślał on — nasze społeczeństwo przypominało piramidę. Na szczycie był car albo gensek — nieważne, jak zwał tak zwał. A potem, w ściśle określonej hierarchii rozmieszczeni byli mieszkańcy państwa różnych kategorii. Była to piramida typu mafijnego, ale przestrzegano reguł. Jeśli żyjesz w warstwie sekretarzy powiatowych, to nie daj Boże, byś kradł jak sekretarz wojewódzki! Łeb

ci urwą! A jeśli ktoś krzywdził mieszkańca niższego piętra, to ten mógł udać się do jakiegoś komitetu partii, nawet do powiatowego. Nie jest pewne, czy otrzymałby pomoc i wsparcie, ale odpowiedź od wyżej umiejscowionej organizacji otrzymałby na pewno. . . Obywatel był pozbawiony praw, bał się złodziei, ale jeszcze bardziej — władzy. . . A teraz żyjemy na polu, pokrytym piramidkami — nie wiadomo, czy to robota kretów, czy ślady po zabawach psów. A każda piramidka żyje według własnego prawa, nikt się nikogo nie boi, ponieważ zawsze jest jakaś sąsiednia piramidka, do której można przystać. Każdy to może zrobić, poza tą najniższą warstwą, która musi czekać i cierpieć”.

Minc pomyślał, czy nie powinien zamrozić budowy — w dosłownym tego słowa sensie. Obniżyć temperaturę w wykopie do minus czterdziestu stopni. Ale wiek nie pozwalał mu zajmować się takimi ryzykownymi eksperymentami! Jeszcze się jakaś powódź przydarzy. . . Czas kupić komputer! Najlepszy na świecie komputer — mózg Lwa Christoforowicza — zaczął kiksować. Już nie może rozwiązywać jednocześnie więcej, niż sześć-siedem problemów.

Minc zdrzemnął się. Leciwy już organizm żądał odpoczynku.

Ktoś zastukał do drzwi.

Minc nie odezwał się, spał.

Drzwi otworzyły się. Kolka Gawriłow, jak wszyscy w kamienicy, wiedział, że profesor nigdy nie zamyka drzwi, wszedł do gabinetu, zapalił górne światło i zaczął przyglądać się profesorowi. Myślał, że posunął się staruszek przez ostatnie lata — i wianuszek włosów dookoła łysiny był białutki, brzuch — nie taki jędrny jak kiedyś.

— Masz problemy z matematyką? — zapytał profesor.

— Myślałem, że śpicie? — powiedział Gawriłow.

— Spanie — to najbardziej nieproduktywne zajęcie. Mchy nie śpią nigdy. A człowiek jest myślącym mchem, porostem, pleśnią. . .

— Lwie Christoforowiczu, mogę prosić o radę?

— To nie będzie pierwsza rada — powiedział Minc. — A ty i tak jej nie posłuchasz.

— A może posłucham?

Minca rozbawiła taka możliwość.

— No to gadaj.

— Zacząłem się uczyć — powiedział Kolka. Przysiadł na brzeжку krzesła i pochylił się, demonstrując swój smutek.

— Cały dom wie, że kolejny raz coś zacząłeś — zgodził się Minc.

— Ale tym razem zacząłem na serio — przyznał się Gawriłow. — Zrobiłem dwa zadania, ale przecież muszę też jakoś zarabiać na życie.

Gawriłow zarabiał na życie jako ratownik na rzece Guś. Podczas zimy zastępował po kolei wszystkich czterech pozostałych ratowników, którzy szli na urlopy.

A na wiosnę on szedł na urlop do listopada. Teraz właśnie, przed Nowym Rokiem, przychodziło mu siedzieć na wieży z lornetką, okutanemu w służbowy kozuch.

— A co się stało z trzecim zadaniem? — zapytał profesor.

— Nie mogę zrozumieć — powiedział Kola. — Przyglądałem się i tak, i owak, ale nie rozumiem. Przecież uważa się, że to ja napisałem, a ja jestem, rozumiecie, człowiekiem z honorem.

— To znaczy — napisałeś i nie rozumiesz?

— Właśnie.

— No to jesteś geniuszem — powiedział Minc. — Tylko geniuszom się to zdarza. Opowiadają, że Einstein napisał swój nieśmiertelny wzór i przez dwa dni zastanawiał się: „A co to ja tu takiego nasmarowałem?”

— Właśnie — zgodził się Gawriłow. — Ja mam to sarno.

— Pokaż, Einstein.

— Najpierw muszę wyjaśnić — powiedział Gawriłow i wyciągnął z kieszeni wymięty wycinek prasowy. — Muszę się przyznać, że skorzystałem z tego. Przecież pracuję jako ratownik, czasu mam mało.

Minc przeczytał ogłoszenie, wycięte z gazety:

*Międzynarodowy Uniwersytet Ekonomiki i Sztuki informuje:*

*Po analizie wykonanych prac semestralnych i dyplomowych, proponuje się studentom zaocznym, którym nie wystarcza czasu lub wiedzy do wykonania na wystarczającym poziomie pracy rocznej czy dyplomowej, a posiadających środki finansowe, opłacenie wykonania danych usług:*

- 1. Za pracę roczną według planu nauczania lub tematu, zaproponowanego przez uczelnię (objętość 30 stron znormalizowanych) — 50 jednostek rozliczeniowych, tzn. USD.*
- 2. Za pracę dyplomową w dwu egzemplarzach (objętość 60–80 stron maszynopisu znormalizowanego) — 110 jednostek rozliczeniowych. Nie jest przy tym wymagana obecność na zajęciach.*

— Jeszcze czegoś takiego nie widziałem — powiedział Minc. — Kto by to pomyślał! Za sto bagsów pełne wyższe wykształcenie. Czyżbyś się nie skusił?

— Najpierw skusiłem się na prace semestralne. Po pół setki za jedną.

— I co, udało się?

— Zaliczone. Pomyślałem wtedy — co tam będę przeciągał? Skończę uniwe-rek w ciągu roku! Jak Lenin.

— A Lenin też im po pół setki płacił? — jęknął Minc.

— W prospekcie była sugestia, że tak. Ale wątpię. On, podobno, umarł dawno temu.



— Zuch! No to jaki masz teraz problem?

— Przysłali mi następną pracę roczną. Z matematyki. Jutro idę zdawać, ale a nuż o coś mnie z niej zapytają? A ja — nic nie kumam, żebym się skitrał — nie kumam! Już w szkole nie znosiłem równań.

— To jak mogę ci pomóc?

— Proszę popatrzeć, wujku Lowa, może to jakaś bzdura?

— A dolarami się podzielisz z wujkiem? — zażartował Minc.

Niestety, Gawriłow potraktował jego słowa serio.

— Dużo, wujku Lowa, nie odpalę. Nie mogę więcej niż dychę. Mam duże wydatki, rozumiesz?

— Dycha też pieniądz — zgodził się Minc. — Możesz ją sobie, leniu, na lody wydać. Gdzie ta twoja pisanina?

Gawriłow krępując się, bo i ciągle nie rozumiał — weźmie od niego profesor tę dychę, czy zrobi mu się żal, podał tekturową teczkę, na której wydrukowane było „AKTA Nr: ...”.

Minc westchnął i zabrał się za czytanie, wzdrygając w duchu w przeczuciu bzdur, jakie zaraz przyjdzie mu konsumować.

Ale kiedy przeleciał wzrokiem pierwszy akapit, to pomyślał, że aferzyści z Międzynarodowego Uniwersytetu Ekonomiki i Sztuki poszli po linii najmniejszego oporu. Musieli brać opublikowane już prace i po przepisaniu na maszynie, sprzedawali je, licząc na to, że egzaminatorzy nie będą niczego czytali.

„Ale ja ich tu zaraz załatwię — ze skrywaną radością myślał Minc. — Nie przypuszczali, że te kopie trafią do rąk człowieka z fenomenalną pamięcią”. Minc przeczytał w swoim życiu kilka tysięcy cudzych artykułów i monografii, a wszystkie one leżały w jego mózgu, jak wypalone na deseczce.

Profesor zaczął czytać.

I im dalej czytał, tym większe ogarniało go zdziwienie.

Tak, ogólnie temat artykułu był mu znajomy, ale nic poza tym. I równanie, jakie usiłował rozwiązać autor, to znaczy zaoczniak Gawriłow, zasiadło gdzieś na peryferiach pamięci. Co to jest...  $x^n + y^n = z^n$  przy  $n > 2$ ? Dlaczego serce Minca tak kęsa doskonałość tego równania? Gdzie on je, niech to dunder, widział?

— Gdzież ja je, niech to dunder, widziałem? — zapytał Minc tknąwszy palcem w równanie.

— A gdzie? — zapytał Gawriłow.

— No właśnie! — powiedział Minc. I przypomniał sobie. Wszystko było bardzo proste.

Mowa była po prostu o Wielkim Twierdzeniu Fermata.

Trzysta pięćdziesiąt lat temu francuski matematyk Fermat oświadczył, że nie istnieją liczby naturalne  $x, y, z$  (O) oraz  $n > 2$  takie, że  $x^n + y^n = z^n$ . „No to co?” — odpowiedzieli na to współcześnie. Ich obojętność tak zraniła matematyka,

że zapomniał wyjaśnić, jak doszedł do takiego wniosku i jak można udowodnić taki zabawny i prosty teoremat.

Gawriłow aż przestał w nosie dłubać, tak go wystraszyła przemiana rysująca się na obliczu profesora. Ten poczerwieniał, łysina załśniła potem, na nosie pojawiły się również krople potu, wargi poruszały się, ale bezgłośnie, a oczy wyglądały jak szklane.

— Co z wami, wujku Lowa? — zapytał Gawriłow. — Za trudna ta matma? Nie da rady?

Minc jakby nie słyszał pytania. Zwarł brwi i zadał pytanie:

— Coś ty narozrabiał?

— Czego? — zapytał onieśmielony Gawriłow.

— Jeśli toś ty sam napisał, to lepiej od razu się przyznaj.

— A żebym się skitral — nie ja! Ja tylko bagsy odpaliłem. Przecież mówię, że nie kapuję nic w tych równaniach! O co chodzi, wujku Lowa?

— O to chodzi — uroczyście oświadczył Lew Christoforowicz — że ludzkość może odetchnąć z ulgą. Wielkie Twierdzenie Fermata zostało udowodnione!

— No to chwała Bogu — odetchnął z ulgą Gawriłow. — Cieszę się w imieniu ludzkości. Proszę dać mi teczkę, pójdę już sobie.

— Nigdzie nie pójdziesz. I nic nie zrozumiałeś. Musisz mi podać imię i nazwisko autora tej pracy.

— A skąd ja mam to wiedzieć?

— Wyteż pamięć!

— Mnie to bez różnicy.

— A czy ty wiesz, ile jest warta ta praca?

— Myślę, że i pięćdziesięciu bagsów nie jest warta.

— Ona jest warta... — Minc poderwał się z krzesła, podbiegł do półek z książkami, wyciągnął stamtąd jakiś opasły wolumin w obcym języku i zaczął go wertować.

Gawriłow skamieniał. Zaraz coś się stanie. Minc odnalazł odpowiednią stronę i przełożył na rosyjski:

— Udowodnienie Wielkiego Twierdzenia Fermata wycenia się dziś na ponad dwieście tysięcy dolarów amerykańskich. Te sumę gotowa jest zapłacić Amerykańska Akademia Nauk, Brytyjskie Towarzystwo Królewskie, Fundacja Sorosa, jak również władze miasta Lyon we Francji, które dodatkowo gwarantują zwycięzcy tytuł honorowego obywatela Lyonu.

— Honorowego obywatela? — zrozumiał w końcu Gawriłow.

Wysokości innych nagród przekraczały możliwości jego percepcji.

— Nie ciebie — powiedział Minc. — Nie ciebie, leniu.

— A ja? Przecież coś mi się należy!

— Milczeć! — ryknął Minc. — Dawaj no mi ten adres Międzynarodowego Uniwersytetu!

Stał się cud. Teoremat, którego nie mogły rozgryźć najtęższe matematyczne umysły świata, poddał się nieznanemu pracownikowi wątpliwego uniwersytetu.

Nie zadając już więcej pytań, tylko ciężko dysząc i nawet pokaszując, Gawriłow poszedł z Mincem do siebie, gdzie oddał mu kopertę, w której otrzymał referat. Z tą kopertą Minc udał się na uniwersytet, który, jak się okazało, mieścił się w domu kupca Pirenejewa, zaraz obok Technikum Żeglugi Śródlądowej.

Uniwersytet zajmował nie cały piętrowy budynek, a dwa pomieszczenia, w piwnicy, wejście od podwórka. Drzwi napęczniały od zimowej wilgoci, dzwonka nie było.

Z trudem Minc otworzył drzwi, zapiszczały, jakby je mordował.

Pierwsze pomieszczenie było puste. W drugim znajdowała się młoda kobieta z bezczelnym radzieckim handlowym obliczem. Siedziała przy uczniowskiej ławce i rozpieczętowywała koperty.

Minc stał w progu dobrą minutę, dziewczoja go nie zauważała, zajęta pracą. Jeśli w liście był banknot, kładła go z prawej, jeśli pieniędzy nie było, ciskała kopertę do kubła na śmieci.

— Dzień dobry — powiedział Minc. — Czy mogę się zobaczyć z rektorem?

— Nie mamy lektorów — odpowiedziała dziewczę — tu jest tryb zaoczny. — Nakryła stos pieniędzy szeroką dłonią i przesunęła po stole, żeby można było je szybko zrzucić sobie na kolana. — A wam co? Jeśli zapisać się, to w piątki, można korespondencyjnie.

— Ja właśnie w sprawie korespondencji — powiedział Lew Christoforowicz.

— Jeśli z pretensjami, to pieniędzy nie zwracamy.

Lew Christoforowicz znalazł się pod dominacją bezczelnego dziewczęcia i zaczął prowadzić z nią dialog w takim samym szczekliwym i szybkim tonie.

— Pieniądzy nie chcę — powiedział.

— No to czego?

— Adres.

— Adresów nie podajemy.

— Konkurencji się boicie?

— Czniam na nich! Ze wszystkich trzech guslarskich uniwersytetów nasz jest najbardziej klawy.

— Muszę porozmawiać z waszym człowiekiem — powiedział Minc. — Z tym, który zaocznym pisze prace po pięćdziesiąt dolarów.

— No i masz, kurna Olek! Trzeba mu będzie popędzić kota na wszystkie światy strony! — rozżłościła się dziewczoja, chociaż Minc wcale nic złego nie powiedział o autorze semestralnych prac.

— Kogo ma pani na myśli? — zapytał ostrożnie.

— Kogo-kogo!?! Kogo i wy! Bruno Wasyljewicza, starego diabła. Ile razy mu mówiłam — nie wymądrzaj się! Nie wychylaj, nie bądź mądrzejszy od innych! W końcu u nas piszą ludzie godni, jeden doktor nauk weterynaryjnych nawet,

żebym tak z tego miejsca nie wstała! Wszyscy mają wyższe wykształcenie, rozumiecie? A tu trzecia skarga w ciągu tygodnia! No nie, to właśnie Boria ode mnie usłyszy: musimy go przepędzić, albo stracimy klientów!

— A może ja mam kogoś innego na myśli?

— Nie — nie miała wątpliwości dziewczyna. — Proszę mi podać nazwisko zaozycznego, i zobaczycie, że mam rację. Będziemy go pędzili.

— Zaoczniaka?

— Nie, Bruna cholernego.

— Gawriłow — powiedział profesor. — Nikołaj Gawriłow. Pierwszy rok.

— Wiadomo, nikt jeszcze u nas do drugiego nie dociągnął — złowieszczo skwitowała jego informację dziewczyna, jakby informowała, że drugi rok jest w całości poświęcony na ofiary krwawym bogom nauki.

Grube, ozdobione wiśniowymi szponami palce, zręcznie przeleciały się po kartotece stojącej na rogu biurka. ;

— Gawriłow — powiedziała. — Wysłano dwie prace. Za jedną jeszcze nie wniesiono opłaty. Pieniądze przynieśliście?

Dziewczyna nagle odwróciła się do drzwi. Chyba miała rozwinięte wycucie zagrożenia, jakby przez cały czas oczekiwała ciosu w plecy.

— A oto o wilku mowa, a on tuż! — powiedziała radośnie. — Mamy go, całego pięknego. Już cię milicja szuka.

Błaźnie jeden.

W piwnicy panował półmrok, przybyły nie od razu dojrzał Minca, a Minc nie zdążył przypatrzeć się jemu.

— Milicja? — szepnął głos od drzwi i natychmiast dały się słyszeć niepewne oddalające się kroki.

— Uciekł, skubany — oświadczyła dziewczyna. — Nawet forsy nie chciał. Aleśmy go postraszyli!

Roześmiała się perliście, a Minc rzucił się po schodach na ulicę.

Oczywiście, konsultant Bruno Wasyljewicz nie uciekł daleko. Był to niemłody już mężczyzna, znacznie starszy od Minca, chudy i biednie ubrany. Na nogach miał walonki z kaloszami, bardzo rzadkie w naszych czasach obuwie. A powyżej — wąskie czarne palto i czapka narciarska, chyba błękitna.

— Stać — zawołał Minc. Bruno Wasyljewicz puścił się biegiem.

Nie pozostało nic innego, jak ślizgając się i niemal wywracając, biec za nim po ulicy.

Staruszek był żwawszy niż się zdawało oraz można było sądzić na pierwszy rzut oka, ale wiek wziął jednak górę. Minc, już trochę zły na szybkość uciekiniera i na to że się go nie słucha, rozpędził się, przycisnął staruszka do wysokiego płotu i zaczął ze złością:

— Proszę nie uciekać, nie zrobię panu krzywdy. Tylko proszę odpowiedzieć na jedno pytanie.

Stary oddychał często i szybko.

Był niski, spłaszczony nos i pulchne wargi zdradzały domieszkę murzyńskiej krwi — zresztą, to nie dziwota, nie takie domieszki krążą po naszych rodakach. Może dlatego rosyjski rasista nigdy nie jest pewien siebie, żąda paszportu od swego ideologicznego przeciwnika, ale unika okazywania swojego. Ach, nie żyli w czystości przodkowie nasi!

— Tylko jedno pytanie — powtórzył Minc. — Czy mówi coś panu nazwisko Fermata?

— Francuski matematyk z siedemnastego wieku — odpowiedział staruszek.

Zamilkł i podniósł spojrzenie na szare, beznadziejnie szare niebo, z którego opadały śnieżynki i, opadając ku ziemi, zmieniały się w zimne krople deszczu.

— Prawda — powiedział Minc. — A jest on przede wszystkim znany z teorematu, nazwanego na jego cześć... Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

— Nie mamy o czym rozmawiać, Lwie Christoforowiczu — powiedział starzec.

Minc nie zdziwił się. Zaletą, jak i wadą jednocześnie, życia w niewielkim mieście, jest to, że człowiek jest znany. I powinien znać resztę.

— Możemy pójść do mnie — powiedział Minc. — Na Puszkina. Poczęstuj pana herbatą z moroszką, przysłali mi z Norwegii. Mój doktorant zawsze przysyła mi baryłkę maliny moroszki na rocznicę śmierci Puszkina.

— Nie — powiedział staruszek. — Nie mam o czym z panem rozmawiać. Jestem zmęczony.

— Przecież ja niczego od pana nie chcę — powiedział mc. — Chciałbym tylko okazać panu swój szacunek.

— Ach, bez kpin! — odciął Bruno Wasyljewicz. — Niemało ludzi w moim życiu obiecywało mi swoje poparcie i nawet pieniądze. Jednakże kończyło się to wszystko kolejnym rozczarowaniem. Chce mnie pan do czegoś wykorzystać? Nie uda się panu. Jestem nieprzydatny.

— A to? — zapytał Minc podsuwając Bruno Wasyljewiczowi pod nos semestralną pracę Gawriłowa.

— To jest dowód mojej bezsilności — nie zawahawszy się nawet odpowiedział Bruno Wasyljewicz

— Jeśli nie chce pan iść do mnie — powiedział Minc — to ja odprowadzę pana.

— Ach, po co to panu? — niemal rozplakał się staruszek. — Ponaigrywa się pan, pokpi ze starego, a ja potem będę się czuł jeszcze gorzej! Po co to panu, profesorze, do którego przyjeżdżają akademicy, któremu moroszkę przysyłają, no po co takiemu człowiekowi brudzenie rąk o osobę tak nikczemną jak ja?

— Dość! — krzyknął Minc, który potrafił być twardy i nawet okrutny, jeśli go do tego skłaniały okoliczności. — Skoro nie idzie pan do mnie, to ja do pana.

— Do mnie nie wolno — powiedział Bruno Wasyljewicz. — Mam niedobrą sąsiadkę.

— I bardzo dobrze — ja też jestem niedobry. Bruno Wasyljewicz całkowicie okłapał i już się nie sprzeciwiał. Milczał aż do samego domu. Minc też milczał. Czuł się podle z powodu tej napaści na bezbronного człowieka.

Zatrzymali się przed czarnym ze starości, drewnianym piętrowym domem. Kiedyś w Wielkim Guslarze była wybudowana cała dzielnica takich domów — ze trzydzieści. Miał się bowiem rozwijać przemysł drzewny, kosztem tu zesłanych. To było na początku lat trzydziestych. Dzielnica nazywała się Belki.

Od tego czasu wiele się zmieniło, zesłańcy wyjechali i baraki niemal wszystkie zostały zburzone.

— Od tamtych czasów pan tu mieszka? — domyślił się Minc.

— Nie — odpowiedział Bruno Wasyljewicz. — My jesteśmy przyjezdni.

W korytarzu było ciemno choć oko wykol, Bruno Wasyljewicz czymś szeleścił, macał palcami po ścianie, szukając klamki do swoich drzwi.

— Nie zamykam na klucz — powiedział.

W jego pokoju panował półmrok, okno zasłaniała stora. Z różnych ciemnych kątów ruszyły do nich koty, nie miauczały, tylko piorunowały ludzi wzrokiem.

— One wiedzą, jaki jest do nich stosunek mojej sąsiadki, Marii Siemionownej — szepnął Bruno Wasyljewicz. — Już niejedną raz wzywała milicję.

Koty wpuściły ludzi do pokoju. Stały dookoła nich, podnosząc pyszczki i uderzając o podłogę ogonami; było ich tu pół tuzina, albo i więcej.

— Czuje pan, jakie są głodne? — zapytał Bruno Wasyljewicz.

— Tak — powiedział Minc.

Koty patrzyła na niego jak dzieci w sierocińcu, dzieci, które wiedzą, że płakać nie wolno — bo jeszcze zbiją, a jeść i tak nie dadzą.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział Minc. Chciał skoczyć na róg, tam widział sklep spożywczy.

Ale nie zdążył pobiec, ponieważ spod schodów wyłoniło się bezczelne na oko babsko w futrze z norek. Niosła duże pudełko z napisem „Whiskas”.

— Pieniądze masz? — zapytała.

— Poznajcie się — powiedział Bruno Wasyljewicz. — Maria Siemionowna. Nasza sąsiadka i ostoja. Jednakże, muszę panią, Mario Siemionowno, rozczarować. Nie dali mi pieniędzy na uniwersytecie. Nie dali, kazali przyjść jutro.

— Ile to kosztuje? — zapytał Minc.

— Plus piętnaście procent — powiedziała Maria Siemionowna. — Proszę mnie też zrozumieć — emeryturę mam nie ludzką a kocią. Ale żółdek, proszę o wybaczenie, ludzki.

Minc kupił pudełko z kocią karmą, Maria Siemionowna odeszła przeliczając po drodze pieniądze. Bruno Wasyljewicz i koty patrzyli na Minca nie mrugając. Minc Pocztał, że i Bruno Wasyljewicz jest gotów skosztować kocią karmy.

Pokój świadczył o biedzie właściciela, był przy tym zagracony ponad miarę, zastawiony rozwalającymi się meblami, jakby specjalnie urządzono go tak, by kotom było miło bawić się w chowanego

Bruno Wasyljewicz postawił pudełko na stole, a koty zaczęły zawzięcie drzeć karton.

Pokój dzieliła na dwie części zasłona. Niespodziewanie rozległ się zza niej głuchy, przerywany głos:

— Otrzymałeś honorarium?

I nie wiadomo było, czy to głos męski, czy kobiecy. Bruno Wasyljewicz odwrócił się do profesora, przyłożył palec do ust, a potem odezwał się:

— Honorarium za wykłady mają zapłacić pod koniec tygodnia. Dzisiaj nie mieli w kasie pieniędzy.

— Zawsze tak! Leń! — złościł się ktoś za zasłoną. — Poszedłbyś wcześniej, to i dla ciebie by wystarczyło.

Koty szeleściły opakowaniem „Whiskasa”, chrupki rozsypały się po stole, koty chwyciły je i chrzęściły.

— Proszę siadać. — Bruno Wasyljewicz wskazał krzesło, sam usiadł na wygodniejszej kanapie.

— Mogę panu pożyczyć — powiedział Lew Christoforowicz. — Ile pan potrzebuje?

Bruno Wasyljewicz nie zdążył odpowiedzieć, jak zza zasłony dało się słyszeć:

— Kto tam jest? Dlaczego nieznajomy głos?

— To mój kolega po fachu, mam — powiedział Bruno Wasyljewicz. — Profesor Minc.

— Nie miałam przyjemności poznać — powiedziała mama Bruno Wasyljewicza.

Gwałtownie odsunęła zasłonę i wyjechała do gościa.

Mama Bruno Wasyljewicza, niemłoda czarnowłosa kobieta z wydatnymi wargami, siedziała na wózku inwalidzkim. Miała na sobie czarną, zdobioną szklanymi paciorkami suknię. Kolana mamy przykrywał pled, ze starości wyglądający jak nie wiadomo co. Dłonie, leżące na tej szmacie, były obficie upierścienione. Koty przestały jeść, usiadły w szeregu okazując szacunek gospodyni.

— Tak właśnie sobie żyjemy — powiedział Bruno Wasyljewicz.

— Cieszę się ze spotkania — powiedział Minc do matki konsultanta. — Niestety, nie miałem wcześniej przyjemności poznania was.

Mama przymknęła jasnobrązowe oczy.

— Czy pan jest człowiekiem majątnym? — zapytała.

— Stosunkowo.

— Czy pański majątek pozwala panu na butelkę szampana?

— Oczywiście — powiedział Minc.

— Proszę udowodnić — powiedziała mama.

Minc wyjął portfel, otworzył go, wyjął banknot z widokiem na obóz koncentracyjny w Solówkach.

— Mamo, wstyd mi za ciebie — powiedział Bruno Wasyljewicz.

Minc pomyślał, że staruszek wygląda gorzej niż jego własna matka. Zresztą, kobiety o wschodnim typie urody często tak się jakoś konserwują.

Mama nacisnęła na przycisk w poręczy wózka.

Natychmiast w progu, jakby tylko czekała na sygnał, pojawiła się Maria Siemionowna. Trzymała w ręku tacę z czterema kieliszkami i otwartą już butelką szampana „Nowy świat”

— Ojczysty — powiedziała i postawiła tacę na owalnym stoliku, w tym celu strącając zeń kilka książek. Koty zasyczały.

Matka pierwsza podjechała do stolika. Pozostali też chwycili za kielichy.

— Dziękujemy ci, Brutusie — powiedział matka. — Mario Siemionowno, choć niezłe z ciebie bydlę, to czasem i w tobie coś dobrego się budzi.

— To z chciwości — przyznała z wdziękiem Maria Siemionowna.

Wyjęła z ręki Minca banknot i powiedziała:

— Resztę wybij sobie z głowy, Christoforowicz.

— My się znamy? — zapytał Minc.

— Uwiodłeś mnie, kiedy byłeś na drugim roku — powiedziała Maria Siemionowna i, dźwięcznie roześmiewszy się, uciekła z pokoju.

Dopiero teraz Minc uświadomił sobie, że nawet nie przyjrzał się dobrze sąsiadce.

— Co pana do nas sprowadza? — zapytała matka.

— Szczęśliwy przypadek — odpowiedział Minc. Szampan już przyjemnie uderzył do głowy, co nie stałoby się, gdyby mieli do czynienia ze zwykłym winem.

— Profesor zobaczył u jednego zaocznego artykuł, to znaczy tę semestralną o teoremacie Fermata.

— Boże — powiedziała matka. — Przecież to przedwczorajszy dzień!

— Mamo, szkodzi ci, jak tak dużo pijesz — powiedział Bruno Wasyljewicz

Matka wyciągnęła dłoń z pustym kieliszkiem. Ręka nie drżała. Bruno pokręcił głową. Minc pomyślał, że imiennik konsultanta też tak kręcił głową, kiedy inkwizytorzy chcieli, by wyparł się idei wielości światów.

Matka odwróciła się do profesora i wyciągnęła kielich w jego kierunku.

Minc wziął ze stołu butelkę i nalał matce szampana. Bruno Wasyljewicz nie był tym zachwycony.

— Dziękuję — powiedziała matka. — Ale, mam nadzieję, nie wyda nas pan? Sprawia pan wrażenie porządnego młodego człowieka.

Minc popatrzył pytająco na Bruno Wasyljewicza.

— Mamo — powiedział ten. — Proszę dopić i iść spocząć.



— Ach — rzekła matka — spoczynek to nam się tylko śni! Gdybym nie pracowała, to bym się dawno zestarzała!

Trzymając kieliszek jak chorągiewkę podczas spaceru, matka odjechała za zasłonę. Bruno Wasyljewicz zamknął drzwi na korytarz. Koty chrzęściły chrupkami karmy.

— Moje nieszczęście zasadza się na tym — powiedział Bruno Wasyljewicz półgłosem — że mama nie jest tu zameldowana. Ta historia bierze swój początek w rym tragicznym okresie naszej historii, kiedy byłem tu zesłany jako syn wroga ludu. Ojciec został rozstrzelany jako wróg ludu, a mama siedziała w obozie, jako żona tegoż wroga. Nie mogłem, oczywiście, otrzymać wykształcenia. . .

Nieoczekiwanie Bruno Wasyljewicz chlipnął i otarł łzę z policzka rękawem.

— Pamiętam, jak przyniosłem mojemu mistrzowi swój wynalazek. Pochwalił mnie. I kazał zapomnieć. „Spróbuj to pokazać, to nie wykręcisz się tylko zsyłką”.

— A propos — dało się słyszeć zza zasłony — ten sam rodzaj strachu jest mi znany jeszcze sprzed rewolucji. Przyszłam na wydział chemii do Stoletowa. Nie miał, w gruncie rzeczy, nic do powiedzenia na ten temat, ale nawet nie przeczytał mojej pracy. „Co może przynieść mi niemyta Cyganka? Gdzie szwajcar? Kto wpuścił ją w mury?”

— Mamusiu, ile razy mam jeszcze to mówić! To nie był Stoletow, a akademik Bach. Stoletow nigdy by sobie nie pozwolił na takie słowa.

— Może, może. Pamięć wyczynia ze mną okrutne rzeczy. Ale Wasylj Gienrichowicz, były anarchista — jakich on wykrętów nie wyczyniał, by ukryć swoje zdolności! Ale się nie udało!

— Wasylj Gienrichowicz to mój ojciec — wyjaśnił Bruno. — Ojciec dowodził dywizją, wchodzącą w skład armii pod dowództwem Jegorowa. Udawał, że jest ledwo piśmienny. Ale się wygadał. . .

— A co miał Wasia robić? Dywizję ogarnęła cholera. Musiał wymyślić lekarstwo. Kiedy wszyscy wyzdrowieli, sześciuset chorych, nie licząc cywili, to oczywiście powiadomiono o tym Trockiego. A Trocki wezwał męża do Moskwy. Na szczęście nie rozstrzelali go, a dali laboratorium.

— A co z lekarstwem na cholerę? — zapytał Minc. — Przecież do dziś ono nie istnieje.

— Laboratorium Wasi czekałi rozwalili z armat — odpowiedział głos zza zasłony. — To się zgadzało z okresem represji przeciwko anarchistom w armii.

Minc zapytał ostrożnie:

— A kto z państwa. . . Mam na myśli was czy waszego ojca. . . Kto interesował się matematyką?

— Pan ciągle o teoremacie Fermata? — zapytała matka zza zasłony.

— Jeśli mówić dokładnie — tak.

— Jestem panu bardzo zobowiązana, profesorze — powiedziała matka. — Od dawna nie mogłam sobie pozwolić nawet na kieliszek tego napitku. . . Rozumie

pan, od wielu lat obawialiśmy się z Bruno, tyle lat się ukrywaliśmy, że zaczęliśmy zapisywać niektóre wyniki swoich rozmyślań dopiero niedawno, od początku lat dziewięćdziesiątych. Coś tam też zostało po ojcu. . .

— Ja nie otrzymałem prawdziwego wykształcenia — powiedział Bruno. — Musiałem sam przerabiać uniwersytety.

— A pana ojciec?

Drzwi na korytarz otworzyły się, pojawił się pysk Marii Siemionownej, kobiety — jak teraz stało się widoczne — leciwej i otyłej.

— Powiem sama, bo oni ze strachu zaraz zaczną kłamać — oświadczyła ona. — Wasylj Gienrichowicz — to był szczerzy i czysty człowiek. Zawsze tu żył, jeszcze od czasów. . .

Bruno Wasyljewicz rzucił się do drzwi i zatrzasnął je niemal przytrząskując nos sąsiadce. I już przez drzwi wrzasnął:

— I proszę nie wtrącać się do naszego życia!

— Bo ile jeszcze będziecie łąć? — dotarło do nich przez drzwi. — Mamy już inne czasy!

Zza zasłony dał się słyszeć stukot maszyny do pisania.

Tak to zdziwiło Lwa Christoforowicza, że zrobił krok i zajrzał za zasłonę. Zobaczył, że matka postawiła na kolanach starutką maszynę typu portable i stuka w nią.

— Proszę nie zwracać uwagi — powiedział Bruno. — To odruch. Jak się zderwuje i napije szampana, to zawsze tak.

— A czy nie mógłbym się zapoznać. . .

— Nie ma tu nic ciekawego — powiedział Bruno Wasyljewicz. — Nie należy grzebać się w przeszłości.

Matka oderwała się na chwilę od maszyny.

— Wiecznie walczę z moim chłopcem — powiedziała. — Ale to on decyduje — jest naszym żywicielem. Ja sobie bez niego nie poradzę. Zabiorą mnie do przytułku, maszynę zabiorą. A wtedy umrę.

— Czasy się zmieniły. — Minc powtórzył słowa sąsiadki. — Czego się obawiacie? Przy sprzyjającym zbiegu okoliczności udowodnienie Wielkiego Twierdzenia Fermata da wam setki tysięcy dolarów.

— Pan myśli, że jesteśmy sfiksowanymi anachoretami! — krzyknęła matka. — Nie gorzej od pana wiemy, że czasy się zmieniły. Od siedmiu lat wysyłamy swoje prace i tytuły do poważnych czasopism. Nawet nam nie odpowiadają.

— Ale dlaczego?

— A co by pan zrobił na miejscu redaktora pisma „Przyroda”, otrzymawszy pocztą artykuł o problemach nieśmiertelności z adresem zwrotnym „Wielki Gulsar, ulica Krzywoboka”? Niech pan nie wzrusza ramionami, tam też mają kosz na śmieci. Tak więc dla nas nie ma różnicy między terrorem i demokracją. . .

— Przesadza pani! — obruszył się Minc. — Jeszcze dziś zadzwonię do naczelnego „Przyrody”, tam chyba szefuje Aleksander Fiodorowicz. Wspaniały człowiek, wielki uczony. . .

— I podpisze się pan „profesor”?

— Oczywiście.

— Macie tam mafię lepszą niż kryminaliści — westchnął Bruno Wasyljewicz. Zza zasłony dał się słyszeć głos matki:

— Synuś, zapomniałam stałą Plancka. Skleroza mnie dobija.

— Mamo, nie wolno ci tak hańbić naszej rodziny! — zawołał Bruno Wasyljewicz. —  $E = hv$ , gdzie  $v$  to częstotliwość jej fali. . .

— A  $h$  jest właśnie stałą Plancka — potwierdził Minc.

— Dziękuję, chłopcy — zawołała matka.

Na etażerze wznosiła się sterta maszynopisów.

— Czy to są wszystko. . . wasze opusy?

— Nikomu ani słowa! — szepnął Bruno. — Odbiorą nam Pokój. Mieszkamy tu jako emeryci-renciści. . .

— Oddadzą do przytułku — powiedziała matka. — A ja mam nieważny dowód osobisty.

— Ja też — powiedział jej syn.

— Oddadzą na pewno. Codziennie czekam, kiedy Przyjdzie dzielnicowy i każe zwolnić pomieszczenia. — Maria Siemionowna weszła z tacą, na której stała druga butelka szampana. — Już na nich wszędzie pisałam. Tylko teraz wszyscy się tak rozpuścili, że nie reagują na sygnały od społeczeństwa.

— Mamie nie wolno więcej pić — powiedział Bruno. — Przecież mama wie, że w jej wieku. . .

— Ach, przestań. Żyje się tylko dwa razy — odpowiedziała matka wyjeżdżając spoza zasłony. — Proszę nalać, profesorze.

— Jak to się zaczęło? — zapytał Minc, upiwszy z kieliszka. — Mam na myśli te prace semestralne.

— To ja im poradziłam — powiedziała Maria Siemionowna. — Nie ma gdzie się obrócić przez te papierzyska.

— Dostajemy na uniwersytecie listę z adresami — powiedział Bruno. — Wkładamy do kopert nikomu nie potrzebne prace. I wysyłamy.

— To znaczy, że Gawriłow nie jest wyjątkiem?

— Jest jednym z setki. Każdy artykuł daje nam co najmniej dwadzieścia rubli czystego dochodu.

— Potrzeba — westchnęła matka — jest matką wynalazków.

— Nie baliście się zdemaskowania?

— A kto tam będzie czytał prace zaocznych, napisane z podwójnym odstępem i bez poprawek? — zapytał Bruno.

— Ja jestem wspaniałą maszynistką — pochwaliła się jego matka. — Nawet próbowałam zarabiać tak na życie. Ale okazało się, że prześladuje mnie fatum: zawsze od drugiej strony zaczynałam pisać swój własny tekst. I wyrzucili mnie.

Bruno postawił kielich na stole i zwrócił się do Minca:

— Pana pojawienie się tu to niepokojący sygnał. To się musiało stać. Wcześniej czy później.

— Moje pojawienie się, to wspaniały sygnał! — nie zgodził się z nim Minc. — Wasze talenta zostaną przywrócone ludziom.

— Nie tylko ludzie mają w nosie nasze talenta — odezwała się mama. — My sami też się co do nich rozczarowaliśmy.

Ale Minc był uparty.

— Gwarantuję wam sławę i dobrobyt! Czy zostały wam kopie tych tak zwanych semestralnych?

— Nigdy nie marnujemy niepotrzebnie papieru — powiedział Bruno. — Musimy oszczędzać.

Minc podszedł do etażerki i zaczął podnosić kartki. Otrząsać z nich kurz i pył... Pogрузzył się w lekturze. Po półgodzinie powiedział:

— Nie znajduję słów. Co wiesz to krok ludzkości do przodu, a wasz — do nieśmiertelności.

— Uprowadzałam cię — powiedziała mama. — Przez niego wylądujemy pod klasztornym murem w charakterze żebraków.

— On twierdzi, że czasy się zmieniły!

— Jakkolwiek by się zmieniły, wieczne prawo rosyjskiego życia pozostaje niezmiennie: nie wychylaj się!

Syn z matką zaczęli się kłócić, do sporu wtrąciła się Maria Siemionowna.

Minc pożegnał się na chwilę. Pognął do Międzynarodowego Uniwersytetu. Potrzebował adresów zaocznych, którzy otrzymali swoje semestralne prace i dyplomy. Musiał ratować wieloletni trud dziwnej rodziny.

Niestety, wyprawa Minca nie przyniosła spodziewanych wyników. Na drzwiach uniwersytetu wisiała magazynowa kłódka, a pod drzwiami przytupywali wierzyciele.

Rozpacz Minca nie miała granic. Runął z powrotem na ulicę Krzywoboką.

Przy drzwiach baraku czekała na niego Maria Siemionowna.

— Nie pędź tak, Lwie Christoforowiczu — powiedziała. — Właśnie się spakowali i odeszli.

— Dokąd? Po co? Przecież im powiedziałem, że epoka nieuznawania zakończyła się.

— A oni na to, że chcą jeszcze trochę pożyć. Maszynka do plecaka, papiery do worka, a koty same za nimi pobiegły.

— Pani wie, dokąd pojechali.

— Ja, Lwie Christoforowiczu, czczę pamięć ich ojca Wasylija Gienrichowicza d’Orbie. Nie dam ci namiaru choćbyś pękł, choćbyś mnie zabił. Ta twoja miłość ich zabije.

— Mogę przynajmniej zajrzeć do ich pokoju? — zrezygnowanym głosem zapytał Minc.

— Zajrzyj, wyświadczę ci tę przysługę na pamiątkę twych gorących pieśczot. Ale ja i tak pokój na siebie przemelduję, a co zostało — na śmietnik.

Minc zmieszał się trochę. Zmrużywszy oczy przypatrywał się Marii Siemionowej, ale w tej otyłej leciwej kobiecie nie potrafił rozpoznać ofiary swojej młodszej namiętności.

Pokój był niemal pusty. Na etażerze leżała porzucona koperta z napisem „Praca semestralna studenta 2 roku Technikum Żeglugi Śródlądowej”. W środku była spięta spinaczem praca pod następującym tytułem: „O problemie usunięcia toksyn z organizmu”.

Minc z przyzwyczajenia zerknął na ostatnią stronicę. Praca kończyła się następująco:

Korzystając z naszej metody usunięcia toksyn za pomocą enzymu „f”, można przedłużyć ludzkie życie do nieskończoności. Do chwili zakończenia omawianych badań, poddani testom Bruno d’Orbie i jego matka, E. S., osiągnęli długość życia — odpowiednio — dwieście osiemdziesiąt i trzysta dwa lata, co, oczywiście, nie jest granicą.

Więcej Minc tych ludzi nie widział i o nich nie słyszał.

Problemem usunięcia toksyn z ludzkiego organizmu metodą d’Orbie zajmują się dwa otwarte i sześć tajnych, zamkniętych instytutów. Osiągnęły bardzo obiecujące wyniki.

Wersalską oficynę naprzeciwko budynku numer 16 na ulicy Puszkina zburzono doszczętnie i ostatecznie. Budynek banku z samego czarnego szkła wzniósł się na trzynaście bitych pięt.

1997

przełożył Eugeniusz Dębski

## Liśki

Nikt dokładnie nie określi, kiedy pierwsza liśka pojawiła się w Wielkim Gulszarze. Najprawdopodobniej będzie to ta, którą przywiózł z wycieczki do Japonii syn Sawicza, Arkady, biznesmen. Liśki, jak wiadomo, są bardzo niekłopotliwe — Arkady przywiózł ją w torbie. Liśka milczała, nie ruszała się, jakby wiedziała, że nie tak łatwo jest przebrnąć przez kontrolę celną.

Potem liśka wędrowała przez pół Rosji i znalazła się w końcu w naszym ci-chym miasteczku.

Arkasza Sawicz przyszedł do domu i od progu oświadczył:

— Proszę nie oczekiwać indywidualnych podarków. Jest jeden gościniec dla wszystkich, mam nadzieję, że się wam spodoba.

Otworzył torbę, a z niej wyłonił się czarujący zwierzęcy pyszczek. Zresztą nikt nie powie, że liśki mają zwierzęce pyszczki. To są po prostu pyszczki, pysie, mordeczki.

Wszyscy wpatrywali się w zwierzątko wstrzymując oddech. Liśka też przy-patrywała się nowym gospodarzom, potem wysunęła pyszczek jeszcze bardziej, żeby się rozejrzeć.

— Wyłaż, tu sami swoi — powiedział Arkasza.

I posłusznie, jak domowy kociak, z torby wyłoniła się cała liśka.

Liśki są nieco większe od kotów, powiedzmy — wielkości bobra, jeśli mieli-ście przyjemność widzieć bobra. A tak pokrótce można by ją porównać do liska. Barwa lisiek — złocista, sierść mieni się aksamitowo, oczka mają małe, jak guziczki, ale żywe i sprytne. Twarzyczka — pardon, mordka — ruchliwa, przednie łapki kończą się paluszkami, więc rączki, że tak powiem, mają ludzkie, ale tylne są silniejsze i wyposażone w pazurki. Pyszczek jest wąski, kąciki wyginają się ku górze, więc wydaje się, że liśka jest stale uśmiechnięta.

Zazwyczaj liśki biegają na czterech łapkach, nieco uniósłszy zad i majtają, niczym proporcem, puszystą wiewiórczą kitą, ale czasem stają na tylnych łapkach i nawet chodzą na nich — widok, możecie mi wierzyć albo i nie, jest czadowy.

Najważniejsza cecha lisiek to ich urokliwość.

Druga najważniejsza cecha — niekłopotliwość.

Trzecia — przywiązanie do gospodarzy.

Po pięciu minutach od powrotu Arkaszki z lišką wszyscy Sawicze zgromadzili się dookoła zwierzątka, wszyscy chcieli ją pogłaskać, wziąć na ręce, poprzytulać, podrapać za uszkiem, a liška wcale nie miała nic przeciwko temu.

— A co ona je? — zapytała Wanda Kazimirowna.

— To co i my — powiedział Arkasza. — To była istota eksperymentu. Nie czytaliście?

Rodzice nie czytali. Ponieważ wielkie to odkrycie miało miejsce nie tak dawno, że trzy lata temu. Lisiek było mało na świecie, pisano o nich, opowiadano i pokazywano w telewizji. Ale — wiadomo, ile jest na świecie nowych zabawek i rozrywek!

Chociaż, rzecz jasna, liški to nie zabawki.

To żywe istoty, ale wyhodowane przez inżynierów genetycznych w Japonii.

Zadanie przed nimi postawione było proste: mamy dość sztucznych zabawek! Stwórzmy prawdziwą żywą zabawkę dla dzieci na całym globie. Idealne domowe zwierzątko, które nie napaskudzi, nie kaprysi, nie podrapie dziecka gospodarzy, ładne, czułe i ogólnie dostępne.

Oczywiście, pierwsze eksperymenty nie dały pozytywnych wyników. Ale czy jakiś wielki wynalazek udaje się od pierwszego podejścia? Tylko naiwni mogą sądzić, że Newton jak zobaczył jabłko spadające z gałęzi natychmiast wyliczył swoją słynną zasadę. Nic podobnego. Newton przesiedział w tym sadzie dwa lata, w deszczu, spiekocie i nawet w śniegu, oczekując kiedy odpowiednie jabłko spadnie w odpowiednim miejscu.

— Jak się wabi? — zapytał Sawicz senior. — No i w ogóle — to on, czy ona?

— To liška — powiedział Arkasza.

I nie dlatego, że ktoś mu podpowiedział, jak się nazywa to zwierzę, tylko tak, z ducha, gdzie powstała wielka fala czułości do tego zwierzaka.

— A gdzie będzie spała? — zapytała Wanda Kazimirowna.

Liška, która, to jasne, nie rozumiała języka rosyjskiego, ale była, jak powiedział profesor, empatą, poczuła czego się od niej oczekuje i raźnie pobiegła do kuchni, a stamtąd do przedpokoju. Wyszukała sobie miejsce w najbardziej zasłoniętym, nieprestizowym, że tak powiem, kącie przedpokoju, gdzie nikomu by nie przeszkadzała. I mimo że nowi gospodarze proponowali jej wygodniejsze, liška postawiła na swoim: ułożyła się w kąciku naprzeciwko wieszaka, zwinęła się w kłębek — jakby całe życie tam spędziła. Inne swoje życiowe problemy liška załatwiła tak samo łatwo — żaden kot by na to nie wpadł. Najpierw poszła do kuchni, stanęła, i podniósłszy pyszczek tak wyraziście popatrzyła na Wandę Kazimirowną, że ta od razu nabrała ochoty, by postawić tam miseczkę dla zwierzęcia. I zrobiła to. I nalęła do niej mleka. Liška uprzejmie pochleptała i natychmiast poszła do ubikacji, gdzie na oczach wszystkich wskoczyła na sedes, udowadniając, że i ten ludzki obyczaj nie jest jej obcy.

Tak zaczęło się życie liški w domu Sawiczów.

Liśka wstawiała zawsze pierwsza, ale nigdy nie budziła gospodarzy, a siadała na wezglówiu pościeli Sawiczów, których uznała za najważniejszych gospodarzy i czekała na pierwsze oznaki ich budzenia się. Wtedy liska unosiła łapkę i ostrożnie głaskała miękkimi poduszkami rękę Nikity albo Wandy, zależy które wcześniej się budziło.

Ogarnięty poczuciem winy Sawicz zrywał się z łóżka i pędził do kuchni, żeby nalać mleka lisieczce, a potem, już przy śniadaniu, dzielił się z nią kawałeczkiem omleta, jajeczkiem albo keksem. Liśka naprawdę nie była kłopotliwa — co jej dawali z wdzięcznością przyjmowała.

Po jedzeniu i załatwieniu innych spraw, liska szła na spacer. Na szczęście Sawiczowie mieszkają w oddzielnym domu, za płotem, po podwórku i ogródku można spacerować do woli, nie obawiając się transportu kołowego ani niedobrych przechodniów.

Liśka tak śmiesznie uganiała się za owadami, że ludziska pękali ze śmiechu. Pewnego dnia przyniosła do domu myszkę polną i Arkasza, który w jej oczach nie był szefem domostwa, powiedział:

— To nie pasuje, stara.

„Stara” przechyliła głowę na bok. Starą się zrozumieć, co zrobiła nie tak, czego dotyczy wyrzut pana. Ale nie rozumiała. Zostawiła myszkę na podłodze i odeszła z ogonem na kwintę. Była syta. A jeśli liśka schwytała ptaszka, to nigdy go nie przynosiła gospodarzom, a ci, dopiero widząc kolejny raz piórka na ziemi albo na parapecie, domyślali się, że liśka miała fart na polowaniu.

Wybrawszy Wandę Kazimirownę na ukochaną i najważniejszą panią, czekała na nią pod drzwiami, kiedy ta szła do sklepu i cicho popiskiwała, kiedy pani długo nie było. Na widok Wandy liśka zaczynała zabawnie turlać się po podłodze — wszystkie cztery łapki do góry — i mrucała jak kocię.

W zachowaniu liśki wiele było z kota, ale kotem nie była: pod względem rozwoju stała gdzieś między kotem i małpką, ale oddanie i umiejętność zauroczenia największego nawet wroga zwierząt, wzbudzały zachwyt i rozczulenie.

Wielu przychodziło popatrzeć sobie na zwierzaczka, to było w końcu coś nowego. Nawet profesor Minc, wielki przecież uczony, odwiedził Sawiczów. Liśka ocierała się o jego nogi, ale na kolana nie wchodziła, jakby czuła, że Minc jest przeciwny bliskim kontaktom, zarówno ze zwierzętami, jak i ludźmi.

Liśka pokręciła się obok gościa — może czekała na jakiś prezencik, ale nie doczekała się. Minc przykucał przed nią, patrzył w oczy, wzdychał, ale w sumie znudził ją — nie poszła nawet odprowadzić go do drzwi. Liśka miała znakomitą pamięć, poznawała wzrokiem i węchem wszystkich znajomych i krewniaków, dla każdej osoby miała swoje popisowe numery, swoje mruczenie czy inny przyjemny dźwięk, tak więc w domu Sawiczów goście zaczęli bywać częściej.

Tak minął miesiąc i liśka posmutniała. Zaczęła kiepsko jeść, zapomniała o swojej roli — ozdoby domu, kiedyś nawet uciekła i trzeba było zorganizować



za nią pościg — co prawda sama wróciła, wcześniej niż została schwytana. Kiedy Minc usłyszał o tym, powiedział: „Dobrze, że nie zaczęła się rozmnażać. Dobro należy sobie dawkować”.

Jak widzicie, nawet taki wielki uczony nie potrafił przewidzieć przyszłości.

Pewnego dnia wieczorem, widząc jak liśka cierpi, włóczy się z kąta w kąt, przeciąga i nerwowo ziewa, Nikita Sawicz powiedział:

— Już wiem.

— Co? — zapytała Wanda.

— Potrzebuje kolegi — powiedział Nikita.

Na te słowa liśka, od dawna już rozumiejąca ludzką mowę, uniosła spiczaste uszko, pisnęła z zadowolenia, w potem rzuciła się do kominka, nad którym na półce stało ślubne zdjęcie Sawiczów, wstała na tylne łapki i wyciągnęła się, żeby sięgnąć czubkiem pyszczka skraju zdjęcia.

Sawiczowie, oczywiście, roześmiali się widząc tę domyślność zwierzątko i zaczęli rozważać, co teraz z tym począć. Wszystko wskazywało na to, że Arkasza do Japonii się nie wybiera, zakup korespondencyjny takiego zwierzątko nie wchodził w grę, a w gazetach jakby nie widać było ogłoszeń o sprzedaży innych egzemplarzy.

W tym momencie na szczęście przyszedł z Japonii list z firmy „Mitsubishi Animals”. List utrzymany w uprzejmym, nawet przyjacielskim można rzec, tonie, a w nim napisane było, co następuje:

Drogi nieznany rosyjski przyjacielu!

Nabyłeś wspaniałego przyjaciela — zwierzątko honki, wyhodowane w naszej firmie. Nie wątpimy, że zwierzątko wam spodobał, że stał się członkiem rodziny i odczuwacie w stosunku do naszej firmy właściwą wdzięczność. Jednakże nadchodzi dzień, kiedy wszystko, co żyje zaczyna pożądać miłości. Stało się to również z waszym pupilem. Jego zachowanie denerwuje was, nie jest już tak miły waszemu sercu jak wcześniej. Proszę zrozumieć, to nie jego wina, a jego nieszczęście. Wiedząc o tym problemie, jesteśmy gotowi wysłać do was w specjalnym opakowaniu tabletki do sztucznej inseminacji waszej honki, tabletki są niezawodnym środkiem naszej firmy z gwarancją pozytywnych wyników. Możecie zrobić miły prezent waszym bliskim albo dobry interes. Po otrzymaniu przesyłki powinniście wnieść opłatę w niewielkiej wysokości 98 dolarów amerykańskich, jak również podpisać petycję o zwrocie Japonii wysp Onekotan i Kunaszyr.

List wywołał radość w rodzinie Sawiczów, jednakże problem wysp kurylskich rozwiązał się nie tak szybko. W końcu petycję podpisała tylko Wanda Kazimirowna — po pierwsze, najbardziej kochała zwierzątko, po drugie, nie wiedziała, gdzie owe wyspy się znajdują.

Paczka przyszła, zwierzątko łączywie połknął tabletki a po dwóch miesiącach wypuścił na świat czwórkę cudownych malców.

Trzeba powiedzieć, że pod domem Sawiczów ustawiła się niesłychana kolejka po liškę. Jedni krewni chcieli liškę sprezentować pociechom, inni chcieli złagodzić swoją starczą samotność, a odległy krewniak Pupykin chciał stworzyć małą hodowlę i handlować liškami.

Tego dnia kiedy Sawiczowie, nie posiadając się z radości, biegali po domu — część z nich pomagając liške karmić maluchy, część — zdobywając dla niej witaminy, jeszcze inni — odpierając napór krewniaków — profesor Minc wezwał do siebie swego sąsiada Udałowa i pokazał mu artykuł w gazecie „Sensacje Tygodnia”, wydawanej w Wołogdzie, gdzie uwagę uczonego przyciągnął komunikat z amerykańskiego stanu Kalifornia, władze którego zabroniły przywożenia z Japonii zwierząt honki, znanych w Stanach pod nazwą „doiły”, ponieważ wypierają z serc ludzi wszystkie inne zwierzęta, zmuszają do zaniechania troski o własne dzieci i, być może, zakłócają nawet ekologiczną równowagę w stanie.

— No, nam to nie grozi — powiedział Udałow. — To jest jak AIDS — straszą nim, straszą, a epidemia u nas ciągle nie wybucha.

— Nie gadaj, bo jeszcze. . . — westchnął Minc.

Rodionowie mieli ukochanego kota.

Kot nie pokochał liški, którą wyblągali u Sawiczów. Kot był zazdrosny, syczał i udawał że chce rozszarpać japońskiego zwierzątko, ale ponieważ ustępował mu w zwinności i wielkości, to ograniczał się do pogróżek i usiłował wyzreć mu z miski wszystko zanim liška przyjdzie na obiad.

Było to powodem do śmiechu i żartów w rodzinie, póki Waśka nie zaginął. Niby nie wychodził z domu, niby był ostrożny, wykastrowany i mądrała. Ale wziął i zaginął.

Wszyscy się zdenerwowali, a ciocia Szura nagle powiedziała, że nie podoba jej się uśmiech tego liška. Pozostali, oczywiście, rzucili się na ciocię Szurę z wyrzutami, a lisiek — podrostek, miły i nieśmiały, obraził się i okazał to kryjąc się pod kanapą i nie wychodząc aż do kolacji.

Oczyszczone z mięsa kości kota zostały w końcu znalezione pod schodami. Widocznie wyszedł jednak na spacer i spotkał jakiegoś psa.

Profesor Minc wycinał notki o liškach, jakie coraz częściej pojawiały się w gazetach, chociaż lisiek w naszym kraju było mniej niż w kapitalistycznie rozwiniętej Ameryce czy w Szwajcarii. I to właśnie on natrafił na artykuł w „Nature”, gdzie z kalkulatorem w ręku udowodniano, że będąc idealnym domowym zwierzęciem, honki, inaczej liški, nie znoszą żadnej konkurencji ze strony innych zwierząt. I dlatego są genetycznie zaprogramowane na ich niszczenie. Firma „Mitsubishi Animals” złożyła na „Nature” pozew do sądu, ale póki sprawa się ciągnęła, w Wielkim Guslarze zaginął miniaturowy pudełek Bim, mieszkający w pewnym mieszkaniu razem z lišką. A powiedzieć należy, że w tym czasie w mieście żyło już ze trzydzieści lisiek — trzecie i czwarte pokolenie powstało bez pomocy japońskich pigulek, drogą naturalną.

Dobra, zaginął pudel, wielka mi sprawa, ale pani widziała, obudziwszy się o świcie, że jej ukochana liska coś zagrzebuje w rabatce z floksami. Zainteresowała się tym i bardzo była zdziwiona, że na jej widok liska uciekła wystraszona.

W dołku, zasypyany do połowy, znajdował się oczyszczony z tkanki psi szkielecik. Tak zakończył żywot Bim.

— Tego należało oczekiwać — powiedział profesor Minc i napisał artykuł do gazety „Guslarski Sztandar”, w którym przystępnie wyjaśnił, że japońscy uczeni osiągnęli lepsze rezultaty niż te, do których dążyli. Wszystko wskazywało na to, że doszli do idealnego „efektu kukułki” — dla zachowania swego miejsca w rodzinie czyli stadzie, liśka jest gotowa na każde przestępstwo, ponieważ nie ocenia swego działania w kategoriach przestępstw. Przecież atakując gniazdo szpacze kot nie myśli o tym, że jest mordercą.

Artykuł został wydrukowany pod dziwnym tytułem: „Strzeżcie psy” i nikt się nim poważnie nie przejął.

No bo jak można serio potraktować taki tekst, skoro czytający siedzi w fotelu, przed nim mamrocze telewizor, a kolana grzeje zwinięty w kłębek czarujący zwierzak, cud, który pozwala ci odpocząć po trudnym dniu i obrzydliwej kłótni w autobusie.

... Wydarzyło się to w angielskim miasteczku Bromley pod Londynem.

Pani Mary Wicont martwiła się stanem zdrowia swego niemowlęcia, cierpiącego na silne przeziębienie. Pędzała przy jego łóżeczku całe noce i dni, odchodząc tylko w razie konieczności. A należy powiedzieć, że według danych gazety „Daily Telegraph”, Mary mieszkała sama, ponieważ jej mąż służył na Wyspach Falklandzkich.

Domowa doiły leniła się, co oznaczało, że stała się na kilka dni źródłem alergii, dlatego pani Wicont nie wpuszczała pupila do dzieciennego pokoju.

Rano w piątek Mary zwróciła uwagę, że doiły jest rozzłoszczona, nie chce jeść i nawet szczyrzy zęby, czego wcześniej nigdy nie robiła. A kiedy Mary, przechodząc obok, w roztargnieniu chciała pogłaskać zwierzę to liśka odskoczyła na bok, czym wywołała uśmiech na twarzy gospodyni. Poza rym nie zwróciła na incydent większej uwagi.

Nakarmiwszy niemowlę Mary udała się do kuchni i wyszła z workiem śmieci na zewnątrz, do śmietnika. Nie było jej w domu około dwóch minut, a kiedy wróciła, zaniepokoił ją niewyraźny hałas na górze. Kierując się macierzyńskim instynktem rzuciła się tam — i w samą porę. Zastała swoją ukochaną doiły wczepioną zębami w gardło dziecka.

Mary zaczęły odrywać zwierzę od ofiary, zwierzak się bronił, podrapał jej ręce do krwi pazurkami tylnych nóg, ale kiedy, oderwawszy go od malca, Mary z obrzydzeniem cisnęła doiły w ką, ta nagle straciła całą swą agresję i zupełnie jak człowiek zasłoniła łapką mordkę i zalała się rozbrajającym szlochem.

Kiedy do domu wrócił wezwany przez matkę mąż, był wściekły.

Chciał niezwłocznie oddać zwierzaka do kliniki, do uspienia, ale doiły jakby zrozumiała co jej grozi: położyła się na plecy, podniosła do góry łapki i jęczała gorzko. Doiły lizała podłogę, usiłowała całować po stopach gospodarzy, a wezwany weterynarz wytłumaczył jej zachowanie zazdrością, która, jak się okazało, jest cechą wszystkich zwierząt, a u tych najbardziej czułych i przywiązanych do człowieka — najsilniej występującą.

Weterynarz zgodził się zabrać ze sobą doiły i Mary, choć zgadzała się z mężem, że nie można więcej ryzykować zdrowia potomka, przeżywała to rozstanie co najmniej tak, jak pupil.

Weterynarz, co opisały potem gazety, nie odwiózł zwierzaka do kliniki, a ogarnięty atakiem sympatii przywiózł je do domu, żeby tam dokonać aktu uspienia. Ale im bardziej zbliżał się do domu, tym bardziej współczuł nieszczęsnemu stworzeniu. Przecież doiły działała instynktownie, starała się zachować całą miłość pani dla siebie. Tylko tyle. Ludzie, w końcu, postępują znacznie gorzej.

Po przywiezieniu doiły do domu, kawaler weterynarz nakarmił zwierzaka i zamiast uspić pozwolił mu ułożyć się u swoich stóp, póki oglądał telewizor. Potem on i doiły zjedli kolację, doiły łaściła się, była wdzięczna weterynarzowi i ten postanowił, że zatrzyma zwierzaka.

W nocy doiły ułożyła się w nogach łóżka, co spowodowało, że gospodarzowi było jak nigdy przyjemnie i miło.

Weterynarz nie potrafił powiedzieć czy zwierz opuszczał jego łóżko, ale kiedy obudził go dzwoniący do drzwi policjant, doiły spokojnie spała u jego stóp.

Tej nocy, coś czy ktoś, zagryzł dziecko pani Wicont.

Ślady pazurów i zębów wskazywały jednoznacznie, że napastnikiem była doiły. A gdy weterynarz przyznał, że nie wykonał zlecenia i nie uspił zwierzęcia, wątpliwości zniknęły.

Historia ta trafiła do gazet i narobiła potwornego hałasu, albowiem trafiła do tego gatunku sensacji, który jest najmilszy sercu Brytyjczyka.

Oczywiście — nagle wyszły na jaw i inne przypadki, co prawda nie tak oczywiste i wiarogodne jak ten. Ale stosunek do doiły zmienił się natychmiast, co znalazło wyraz w przepędzeniu wielu zwierząt z ich domów. Doiły musiały kryć się na pustkowiach i lasach — przejść do życia w stanie półdzikim.

Przy okazji, firma „Mitsubishi Animals” kategorycznie odmówiła uznania agresji doiły czy też honki, albowiem genetycznie nie zakładano takiej cechy w zwierzętach. Firma gotowa była zrekompensować dowolny przypadek udowodnionej napaści honki na człowieka czy inne zwierzę, ale udokumentować takiej napaści nie udało się. Historia pani Wicont dotarła i do Wielkiego Gusłaru, gdzie w tym czasie mieszkało już kilkadziesiąt czarujących lisiek. A należy podkreślić, że niemal wszystkie te okazy kosztowały niemało swoich właścicieli, a miłość do nich nie miała granic. Tak więc tylko para lisiek trafiła do lasu, a po-

zostałe żyły sobie po staremu — dlaczego niby mamy wierzyć tym Anglikom, co nie mają nic lepszego do roboty jak naszkodzić rosyjskiemu człowiekowi?

Kiedyś Minc wyciągnął Udałowa na wieczorny spacer po nadbrzeżu, a potem pociągnął za sobą na peryferie, za Guslarke. Działo się to wiosną, tuż przed latem, wieczór był jasny i ciepły. Spacerowali sobie, rozmawiając o różnych sprawach. Potem Minc zapytał:

— Nic ci się tutaj nie wydaje dziwne? — Nic.

— I cisza ci nie wpada w ucho?

— Jaka cisza?

— Pomyśl. Zazwyczaj o tej porze głośno tu od słowicznych treli. Słowiki to duma guslarskiego zarzecza. Powinny też wydzierać się koty, jeszcze im się nie skończyły miłosne podchody. Psy powinny szczekać...

Udałow nie jest głupi — od razu zrozumiał, do czego pije przyjaciela.

— Jaki widzisz związek między tymi zjawiskami — zapytał — a obfitością naszych pupilków, lisiek? Czy psy i koty mogą na tym ucierpieć?

— Psy... Nie wiem. Może na razie nie. Ale psy wyczuwają, że coś się złego dzieje, kryją się w budach — kły w pogotowiu. Nie wierzysz — zajrzyj przez płot — ani jeden pies nie gania wzdłuż parkanu obszczekując przechodniów.

— A koty?

— Obawiam się, że niemal nie ma już kotów w mieście.

— Jak to? Czyżby ludzie tego nie zauważyli?

— Kiedy wpada ci w ręce piękna kobieta, to podejdziesz do zniknięcia żony z określoną ulgą — powiedział Minc. — W każdym razie mniej będziesz wydawał na żywność.

— Ale dlaczego? Przecież Japończycy zaklinają się, że liśki są nieszkodliwe?

— Nieszkodliwe są — odpowiedział Minc, zatrzymując się przed wielką kałużą na środku zaułka Włóknarzy. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat brzegi kałuży obrosły szuwarami, w których kryły się żaby. — Liśki są nieszkodliwe, ale ich funkcją jest — w tym celu zostały przecież wyhodowane — kochać pana i grać się w promieniach jego miłości. To są zwierzęta kochające i do kochania. A przecież miłość jest najbardziej egoistycznym uczuciem.

— Lwie Christoforowiczu — machnął ręką Udałow. — Przecież te liśki to nie ludzie?

— Miłość to uczucie powszechne we wszechświecie — uroczyście zapewnił go Minc. — Jeśli te maluszki liśki kochają swoich panów, to nie potrafią dzielić tego uczucia z innymi. I im dalej to idzie, tym jest gorzej. Przypuszczam nawet, że japońscy uczeni nie podejrzewali nasilania się tych uczuć w liśkach w kolejnych pokoleniach. Pół roku temu, kiedy w Guslarze pojawiła się pierwsza liśka, była delikatnym, nieśmiałym stworzeniem. A teraz w co trzecim mieszkaniu liśka rządzi całym domem, a na ulicach i w ogrodach pojawiły się nikomu niepotrzebne liśki, które mimo swego losu lgną do ludzi i rozumieją, że nie otrzymują ich

miłości z powodu konkurencji. Wiesz co, Korneliuszu, obawiam się, że dążenie genetyków do stworzenia idealnej maszynki do kochania doprowadzi do stworzenia idealnej maszyny śmierci.

Udał się nie wytrzymał i roześmiał się.

Odezwała się siedząca na brzegu kałuży żaba. Kwaknęła, jakby od dawna czekała na jakiś sygnał i wreszcie znalazła odpowiednie dla siebie towarzystwo.

I natychmiast coś błyskawicznie poruszającego się, jasnego, błysnęło w świetle latarki, plusnęła woda — żaba me zdążyła wskoczyć do kałuży i zniknęła w pyszczku liśki, która w tej samej chwili czmychnęła w szuwar.

— Co to było? — zdziwił się Udał. — Co się stało?

— Nic szczególnego, kolejna scena zazdrości. Liśka pokochała ciebie, a ty zacząłeś wpatrywać się w żabę.

Udał machnął ręką, nie wierząc staremu przyjacielowi. I wrócili do domu w ciszy wiosennego wieczoru, w której nawet koty milczały, a popiskiwały tylko alarmy w mercach — ale na to liśki nie mogły nic poradzić.

Ze wszystkich krańców świata dobiegały niepokojące sygnały.

Ludzkość podzieliła się na dwie części.

Pierwsza część — właściciele lisiek, bezinteresownie i czule przywiązani do nich i gotowi w ich obronie na każde poświęcenie, a także liśki, gotowe na wszystko, byle zachować przywiązanie ukochanych gospodarzy. Druga natomiast część ludzkości uważała, że ta epidemia miłości zagraża całej populacji.

Oczywiście, istniały też grupy przejściowe i jednostki wyjątkowe. Na przykład, liczba obywateli Rosji, którzy podpisali petycję o zwrocie Japonii wysp południowo kurylskich, doszła do dwudziestu procent ludności całego kraju.

Następną niepokojącą wiadomością była ta z Kolumbii.

Narkobaron Escobar Juanito wyhodował u siebie w willi sześćdziesiąt juaniteczek, jak nazywano liśki w tamtej strefie geograficznej. Chodziły za nim całym stadkiem, wpatrywały się w oczy i kochały znacznie mocniej niż podwładni. I oto pewnego razu do willi Escobara trafił prokurator Bogoty, żeby w spokojnej atmosferze wręczyć mu nakaz aresztowania.

Miała miejsce wymiana poglądów między prokuratorem i Escobarem, po czym prokurator skierował się do swego samochodu. Ale nie zdążył doń dojść.

Sześćdziesiąt juaniteczek rzuciło się na niego, jak stado os, i w minutę obskuwały prokuratora do kości. Na nieszczęście dla gospodarza, w pełni aprobującego działania swoich pupilek, scenę tę obserwowali kierowca prokuratora i ochroniarz, którzy zamknęli się w pancernym wozie i uciekli z terenu willi mimo ognia z broni maszynowej.

Wieczorem zaś willę wzięły szturmem śmigłowce, wszystkie juaniteczki zostały schwytane jako dowody rzeczowe, a sarn narkobaron uciekł.

O świcie, kierując się wdzięcznością do pupilków, dokonał nalotu na prokuraturę, po czym ukrył się w lasach wraz z juaniteczkami.

Banda Escobara, do której stopniowo przystawały coraz to nowe oddziały zbójów i dzikich lisiek, wkrótce przekształciła się w armię, pretendującą do ustanowienia w Kolumbii swojej własnej władzy.

W Guslarze niektórzy obywatele wierzyli w tę opowieść, na przykład Minc. A inni, jak choćby Sawiczowie, uważali wszystko za knowania liśkożerców. Tak więc, kiedy w prasie pojawiły się głosy nawołujące do likwidacji lisiek, oburzenie spokojnych posiadaczy tych maleństw nie miało granic. Ci gotowi byli przykuć się do torów.

Musiało dojść do nowych dramatycznych wydarzeń, by opinia społeczna zaczęła skłaniać się ku pozycjom zdecydowanie wrogim liskom.

W Bułgarii stadko lisiek, zjednoczonych w czułej miłości do wychowawczyni przedszkola w Płowdiw, eksterminowało grupę młodszą, ponieważ dzieciaki hałasowały i nie słuchały się pani.

Podczas manewrów czołgowych w Korei Południowej trzy liśki, należące do dowódcy pułku, pożarły załogę czołgu, ponieważ jej członkowie niezbyt pochlebnie wyrażali się o duchowych przymiotach pułkownika Kim Sen Ira.

Przedostawszy się na pokład amerykańskiego statku kosmicznego „Atlantis”, parka doiły — pupilki astronautów — zabiła dowódcę Blacka Brauna, ponieważ ten z powodu roztargnienia zajął sypialne miejsce właściciela stworków, porucznika Conolly.

Można przytaczać kolejne przykłady, są ich tysiące, i liczba ich rosła z każdym dniem. Miłość tych miłych stworków była zabójcza, jak każda miłość idealna.

Na początku września, kiedy już nie tylko podmoskiewskie lasy, ale również dżungle Wietnamu kipiały liskami i ich krewniakami, które to hordy nie pozostawiały przy życiu ani jednej obcej im istoty, ONZ, większością głosów przy sześciu wstrzymujących się, podjęła decyzję o wstrzymaniu rozmnażania lisiek, doiły i honków, a także o eksterminacji tych, które jeszcze żyją.

O, jakież dramatyczne sceny rozgrywały się, gdy specjalne międzynarodowe drużyny chodziły po mieszkaniach, wyławiając i odbierając zwierzaki! Dochodziło do zbrojnych utarczek. Australijczyk Ben Costello bronił się przed policją przez sześć dni, dopóki nie został zbombardowany ze śmigłowca.

W końcu szaleńczo droga operacja zakończyła się.

Udałow zajrzał do Minca i od progu zapytał:

— No to jak — idziemy do lasu ptaków posłuchać?

— Aniele mój — odparł Minc. — Skąd weźmiesz ptaki? Wymarły jak dinozaury.

— Wyhodujemy — odpowiedział Udałow.

Poszli na spacer. Dookoła panowała cisza, a ludzie chodzili zagubieni, posępni, ubezwłasnowolnieni.

Spacerując tak doszli do ogródków działkowych, ciągnących się wzdłuż lasu.

Tam zobaczyli Sawicza. Właśnie dochodził do swojej działki. W jednej ręce niósł łopatę, a w drugiej podróżną torbę.

— Cześć, Nikita! — rzucił Udałow. — Tęsknisz do swojej liśki?

— Och, jeszcze jak! — odpowiedział Sawicz i przyspieszył.

I nagle Udałow zobaczył, że torba w ręku Sawicza poruszyła się.

— Nikita! — krzyknął za nim. — Co ty wyprawiasz! Nie rozumiesz, że nie wolno zostawić żywej ani jednej liśki?

Nikita ze złością pogroził mu łopatą.

— Doniesiecie — zagroził ten spokojny i nieśmiały człowiek — zabiję! Ja potrzebuję miłości. Otrzymuję ja i daruję sam!

Minc z Udałowem nie wdawali się w walkę z Sawiczem, tym bardziej, że właśnie wtedy Minc wysnuł przypuszczenie, że połowa lisiek została u swoich gospodarzy, którzy zręcznie je ukryli. A to oznacza... Rozumiecie sami: albo cywilizacja albo miłość!

Wtedy to Minc zabrał się za przygotowanie środka przeciwko liśkom.

Jakimś cudem inteligentniejsze i żyjące teraz właściwie tylko w lasach liśki zwęszyły, skąd zagraża im niebezpieczeństwo i dom numer 16 na Puszkina był trzykrotnie szturmowany, ale, na szczęście, obronił się. Zginął tylko uparty, potężny, ostatni w mieście kocur Wasilij, który na swoim koncie bojowym miał ze dwadzieścia lisiek.

W końcu Mincowi udało się wynaleźć środek na liśki.

Jak zwykle tok jego myślenia był niezwykły.

Rozumiał, że polowanie czy inny sposób eksterminacji lisiek jest nie tylko antyhumanitarny, ale i niebezpieczny. Rosja obfituje w wiele takich historycznych przykładów. Spróbujcie tylko skrytykować jakiegoś polityka, przyłapać go na łapówkarstwie i złodziejstwie, a najlepiej — wsadźcie go do więzienia, za to, że ograbił przytułek czy zabił kilka babć. I od razu w sercach rodaków „wzbiera współczucie, litość do tego bydlaka i mocne postanowienie wyboru go na stanowisko gubernatora.

Jak tylko zaczniecie trzebić liśki, natychmiast miłość do nich stanie się po trzykroć silniejsza. A do czego to doprowadzi — nie wiadomo. Niewykluczone, że za rok czy dwa jakaś liśka zostanie w Rosji prezydentem.

Tak więc Minc wymyślił sposób bezbolesny, choć i bardzo niemiły dla liśkoposiadaczy.

Udało mu się stworzyć aerozol, bezpiecznie rozpuszczony w przestrzeni okołoziemskiej. Ludzie niczego nie poczuli, a liśki poczuły — wstręt do ludzi. Łącznie z umiłowanymi gospodarzami.

Liska budziła się rano, patrzyła jak wstaje, przeciąga się gospodarz i pędzi do kuchni, by podgrzać mleczko dla ukochanej liśki.

Póki tak się krzątał, liśka nagle odczuwała atak niechęci do pana, do domowników i ludzi w szczególności. Tak silny był ten atak, że rzucała się do lufcika



i po chwili r Pędziła do lasu, w pustynię, w góry, byle nie widzieć obrzydliwych ludzkich pysków.

To było coś jak fujarka słynnego szczurołapa, ale jakby na odwyrtkę. Liśki nie szły za szczurołapem, a uciekały od niego i jego przyjaciół.

Tej masowej ucieczce lisiek towarzyszyły dramaty, ponieważ właściciele pędzili za pupilami do lasu, miotali się po puszczech, wspinali się na zagrożone lawinami stoki i wrzeszczeli:

— Liśka, lisieczka, chodź tu! Lisieńko, marcheweczki ci przyniosłam! Lisia! Dasza i Maszeńka tęsknią za tobą!

Ale — zero odpowiedzi. Tylko szeleszczą suche liście — liśki wieją w ostępy leśne — byleby ich oczy ludzi już nie ogłądały!

Tak zakończył się pierwszy akt dramatu, który niemal doprowadził do wyniszczenia ludzkości.

Ale potem, jak się okazało, nastąpił akt drugi, ponieważ firma „Mitsubishi Animals”, zamknięta w wyniku decyzji japońskiego rządu, zmieniła szyld i wymyśliła nowy figiel.

Dowodem tego jest zupełnie świeża historia z naszego Wielkiego Guslaru.

Kolka Gawriłow, który niedawno rozszedł się z Rimoczka, siedział u siebie w domu i zastanawiał się — iść spać, czy poczytać o Bliźnie Wściekłym. I nagle ktoś zadzwonił do drzwi.

Kolka podszedł do drzwi i zobaczył, że stoi za nimi dziewczyna w ciemnych okularach, szczelnie owinięta chustą.

— Czy tutaj mieszka Nikołaj Gawriłow? — zapytała.

— To ja — przyznał się Gawriłow, któremu od razu spodobał się niski, lekko chrapliwy głos dziewczyny.

— Kawaler? — zapytała dziewczyna.

— Rozwiedziony.

— Łaknie prawdziwej miłości? — zapytała dziewczyna.

— Jeszcze jak! — powiedział Gawriłow.

— No to mam do was list od firmy „Mitsubishi Lovers”. List został wydrukowany dużą rosyjską czcionką.

Drogi przyjacielu! — stało w nim. — Dowiedzieliśmy się o Twoim problemie i postanowiliśmy ci pomóc. Posyłamy Ci na próbę genetycznie wyhodowaną idealną kochankę i żonę, najukochańszą istotę, Twoje seksualne marzenie Galinę G. Zapoznaj się z nią, porozmawiaj. Jeśli ci się spodoba — zostaw sobie. A nam przyślij tylko podpisany papier o żądaniu zwrotu Japonii wysp południowokurylskich. Otrzymanie tego listu będziemy uważali za początek naszej milej i owocnej współpracy.

Póki Gawriłow, poruszając wargami, czytał list, przybyła zdjęta ciemne okulary, zrzuciła chustę i skromnie usiadła na krzeselku w kącie pokoju, ułożywszy dłonie na kolanach.

Gawriłow obrzucił ją spojrzeniem, potem przypatrzył się uważnie, runął przed nią na kolana i poprosił o rękę i serce.

— Jestem gotowa być dla ciebie idealną kochanką i żoną — powiedziała Galina w niezłym rosyjskim. — Ale najpierw podpisz list.

Powiadają ludzie, że w Guslarze już pojawiło się około czterdziestu idealnych kobiet z Japonii.

Ogólnie są wspaniałe, ale mówi się też, że są okropnie zazdrosne.

1996  
przełożył Eugeniusz Dębki

## Klina, klinem

Piętro Poganini odziedziczył jednopokojowe mieszkanie po śmierci swojej babci Wasylisy Fieoktisownej Pogankinej w piętrowym domu z cegły na ulicy Puszkina, na jej zbiegu z ulicą Radziecką.

Spadek przyszedł w bardzo szczęśliwym momencie, ponieważ mieszkanie w Winnicy musiał zostawić swojej drugiej żonie Odarce, a otrzymanej od Związku Prawdziwie Rosyjskich Pisarzy mansardy w Moskwie nie udało się wyszarpać od trzeciej i niewdzięcznej żony Waleni. Wyszło, że gwiazdce rosyjskiej literatury masowej przyjdzie nocować na dworcach, ponieważ przyjaciołom i kochankom tak już dopiekl, że nawet przynoszona na nocleg w charakterze daru butelka „Grzelki”, nie załatwiała sprawy. Zwłaszcza, że i tak sam ją wypijał, w potem kleił się do córki gospodarza albo do jego żony, czasem tłukł naczynia i wrzeszczał, że Tołstoja, owszem, czytał, ale Tołstoj, znaczy się, jakoś mu nie leży.

Z pieniędzmi też nie było gładko, ponieważ za „Potyczkę na orbicie Saturna” i „Kochankę robota” nie otrzymał żadnych pieniędzy.

W chwili tego piętnego i duchowego kryzysu, zmarła babcia Wasylisa, której Pogankin od dziecka nie widział, więc przyjechał do Wielkiego Guslaru, mając nadzieję, że spienięży mieszkanie za porządne dolary i nabędzie za nie powierzchnię mieszkaniową w Moskwie.

Piętro wszedł we władanie mieszkaniem o powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych i porozwieszał gdzie się dało ogłoszenia. Nie zaproponowano mu więcej niż trzydzieści dolarów, a i to pod warunkiem, że naprawi cieknący dach.

Piętro nie znalazł lepszego rozwiązania, jak zakochać się w Darii Hoff, córce kierownika apteki weterynaryjnej, a kiedy nie było już odwrotu, ożenił się z tą kobietą i zrozumiał, że następny etap jego twórczości będzie ściśle związany z miasteczkiem Wielki Guslar. Trudno — na małych grządkach też wyrastają ogromne arbuzy!

Rano Piętro Poganini wkładał odpowiednio do pogody albo kapcie albo walonki i szedł do nabiłowego, a potem po solone ogórki. Pierwszy sklep był dla Daszy, której serwował kawę do łóżka, a ogórki dla siebie — żeby przeczyścić mózg przed kolejnym zasiadaniem do biurka.

Właściwie więcej o Piętrze Pogankinie nie da się powiedzieć. Siedzi, pracuje, popija, je ogórki, pisze powieść. Ani pożytku, ani szkody nie przynosi.

Ale w pewnej chwili w Wielkim Guslarze zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Wracający jesiennym zmierzchem ze szkoły, powtarzający drugą klasę Siemion Liszajew i Ritka Polakowa natknęli się na czarnego smoka, wolno lecącego nad ulicą, który co jakiś czas wypuszczał z nozdrzy jasny płomień i biały dym.

Drugoklasiści rzucili się do ucieczki.

Smok pędził za nimi, muskając szponami ziemię, a to, że pościg odbywał się w całkowitej ciszy, wystraszyło dzieciaki jeszcze bardziej, niż gdyby ryczał i tupał.

Dzieci wybiegły na plac przed Halą Targową, gdzie zauważył ich spacerujący z psem staruszek Łożkin.

Potem Łożkin zobaczył smoka, który uderzył piersią w brzeg Hali Targowej, ale przeszedł przez nią na wylot, jakby była niematerialna.

W tym momencie Łożkin, który chwycił pieska na ręce i wiał za dziećmi, nie pomyślał, że bezcielesnym może być sam smok. Może dlatego, że bardzo przekonująco chlustał z niego płomień.

Od rana następnego dnia miasto znalazło się we władzy fantomów, co do których nie wszyscy połapali się od razu, że są fantomami. Dlatego, kiedy tłum krasnoludów uzbrojonych w topory, wypadł na jezdnię moskwicza Miszy Stendala, to ten tak depnął w hamulce, że w efekcie wyrznął w lipę na chodniku. Wielu widziało krasnoludów, ale gdzie zniknęli po incydencie, nie wiedział nikt. Natomiast przed stołówką numer 1 przemaszerowała grupa kosmonautów w dziwnych skafandrach. Kosmonauci urządzili rozpaczliwą strzelaninę z przerażającymi zielonymi istotami, obwieszonymi bronią wyraźnie niezemskiego pochodzenia. Tę strzelaninę widziało mnóstwo ludzi, ponieważ miała miejsce podczas przerwy obiadowej dokładnie pod urzędem miejskim. Najpierw ludzie tylko sobie patrzyli, ale kiedy rozległy się pierwsze serie i zielone promienie zaczęły razić przeciwnika, gapie rzucili się do ucieczki. Część powywracała się, podrapała i poobijała, kogoś podeptano, ktoś był ranny. Ale kontuzje, co należy podkreślić, nie były wynikiem działania broni kosmicznych wojowników — ich powodem była panika i ścisk. Co prawda, guslarzczyki nie przyznają się do tego. Im się wydaje, że bardziej honorowo jest paść z ręki przybysza niż mieć guza z ręki, czy raczej łokcia, Matryony Łożkinej.

Od tej chwili miasto znalazło się pod panowaniem potworów.

Nawet najkrótsza i niepełna lista fantomów, zamieszkujących ulice, a czasem nawet mieszkania guslarzczyków, mogłaby wprawić w przerażenie naszego czytelnika.

Na ulicach pojawiały się, rozplywały się w powietrzu albo pękały jak bańki mydlane, uganiały się za dziećmi, psami, przechodniami, biły się między sobą, straszyły babcie, oblegały izbę porodową i wchodziły do szpitala: smoki, węże, ża-

by wielkości parowozu, rusałki w szortach z blasterami. Do tego widziani byli przybysze jednonodzy, dwunodzy, pięcionodzy i na gąsienicach, jak również pełzające krasnoludy, skaczące trolle, szkielety różnych zwierząt i zbrodniarzy, książęta mroku w czarnych płaszczach i roboty o odrażającym wyglądzie, nie mówiąc nawet o wampirach.

Już po dwóch dniach mieszkańcy miasta zrozumieli, że oblegające miasto stwory nie są w stanie nikomu zaszkodzić — są bezcielesne i nietrwałe. Czasem na spłoszonych widzów odbywały się zadziwiające transformacje. Smokowi odpadała głowa, ufoludkowi — noga, a na poły obnażona dziewczyna z trzema pistoletami w biustonoszu nagle pozbywała się odzienia, a zastępowały je trzymane w trzech rękach pistolety.

Ale ani racjonalne podejście, ani przekonywanie siebie nie dawało rezultatów — potwory wyglądały przerażająco, zachowywały się bezczelnie, kobiety w ciąży, starcy i dzieci bały się ich widoku, a niektórym z nich nawet to szkodziło, ponieważ pobierały z rozgrywających się scen wzorce gwałtu i wrogiej nam erotyki.

Nie można powiedzieć, by profesor Minc, najważniejszy uczony miasta Wielki Guslar, nie zwrócił uwagi na fenomen, władający aktualnie miastem. Jak zresztą miałby nie zwrócić uwagi, skoro w wannie natyka się człowiek na rogatą żabę wielkości mężczyzny, zza kuchenki celuje do Kseni Udałowej jednooki kosmiczny pirat, a kiedy profesor Minc chce odnaleźć artykuł z miesięcznika „Naturę”, to okazuje się, że na jego biurku siedzi prawdziwy diabeł z granatnikiem w ręku i zamierza wystrzelić profesorowi w twarz, a naukowiec nie do końca jest pewien, czy ma do czynienia z fantomem czy z najazdem z kosmosu.

— To jasne, że mamy do czynienia z postaciami z masowej fantastyki — powiedział Minc. — Jej źródłem jest rodzima chałtura.

— Dlaczego od razu rodzima? Ludzie mówią, że te świństwa podrzuciła nam CIA. Wielu tak myśli — odparł Udałow, który wpadł na chwilę do sąsiada.

— CIA — zaoponował Minc — od razu powiesiłaby amerykański sztandar nad naszym urzędem miasta. Oni bez sztandaru nie potrafią.

W tym momencie przez ścianę przeszedł muskularny dzikus w spodenkach z erkaemem w ręku. Skierował broń na Minca i puścił bezgłośną serię. Przyjaciele rzucili się pod stół. Stamtąd mieli widok na bosc stopy dzikusa.

— Wiesz jak odróżniam ich od rzeczywistości? — zapytał Udałow.

— Wiem. Są bezdźwięczni. Ale wolę najpierw się ukryć, a dopiero potem przysłuchiwać

Dzikus zniknął w przeciwległej ścianie. Przyjaciele podnieśli się. To było takie... ponizające, to ukrywanie się we własnym domu.

— Dlaczego, profesorze, jeszcze lokatora nie znalazł? — zapytał Udałow. — Skoro to nie jest CIA, to źródło musi się znajdować w naszym mieście!

Minc tylko machnął ręką...

Przez drzwi przeszła zupełnie naga kobieta bajecznej tuszy, odziana w samą koronę.

— Gdzieś czytałem o podobnym fenomenie — rozmyślał Minc. — Gdzie to było, że bohater literacki wędruje po historii literatury i z okienka maszyny czasu obserwuje postaci literackie?

— Może u braci Strugackich? — zapytał Udałow.

— Dlaczego tak sądzisz?

— No bo oni wszystko już wymyślili — powiedział Udałow. Milczał chwilę i dodał: — Im to dobrze, dla nich to bajka, a u nas — realne życie powiatowego, w końcu, ośrodka!

— Ale jeśli mamy do czynienia z owocami wyobraźni literata — powiedział profesor — to *cherchez l'ecrivain*, czyli szukajcie pisarza!

— Nie mamy tu pisarzy — westchnął Udałow. — Nie spodobaliśmy się pisarzom. Mamy krajoznawców, współpracowników literackich w gazecie, a pisarza nie mamy. . .

— Gazeta! — podchwycił Minc. — Dzwon do Miszy. Będzie wiedział, czy nie mamy w Guslarze jakiegoś przyjezdnego pisarza?

Misza Stendal natychmiast odpowiedział, że w „Guslarskim Sztandarze” przygotowywany jest wywiad z pisarzem fantastą Piętro Poganinim, pracującym aktualnie nad trzema powieściami z gatunku ostrej fantastyki. Najważniejsi bohaterowie jego powieści to roboty bojowe, ochroniarze, najemni zabójcy smoków i smoki najemnych zabójców. Opus Poganiniego „Ostatnia kula w smoku” zainteresowało wydawnictwo w Syzranii. A tak naprawdę nazywa się autor Piotr Pogankin, a jego adres Stendal może podać w każdej chwili.

Przyjaciele udali się do Poganiniego od razu. Dookoła domu fruwały fantomy. Otworzyła im Daszeńka, którą Udałow huśtał na kolanach w odległej przeszłości. Teraz Daria była kobietą o imponującym biuście i niskim głosie.

— Ach, jak się cieszę, wujku Korneliuszu! — zawołała Daszeńka. — Chodźmy do kuchni, właśnie lunch odgrzewam. Mój ślubny tworzy, tworzy, a potem lunchu żąda.

W kuchni było dość ciasno, poparskiwała zaparzarka do kawy, pod sufitem kiwały się półprzeźroczyste wampiry.

— Nad czym pracuje? — zapytał Minc.

— Nie uwierzycie — odciął jej głowę, zrobił z niej puchar i pije piwo ukochanej kobiety.

— Kto taki?

— Ach, no ten Korniuszon, rozumiecie?

— A widma pani nie dokuczają? — zapytał profesor. Daszeńka pobladła, ale nie zdążyła odpowiedzieć.

— A któż to nas odwiedził? — dźwięcznym dyszkantem zapiął od drzwi niski masywny mężczyzna w czarnej peruce z napomadowanymi karaluszowymi wąsika-

mi. Odziany był po pisarsku, w aksamitną kurtkę i dzinsy. — Jak sądzę, przedstawiciele społeczności przyszli zaprosić mnie na spotkanie z czytelnikami?

Piętro wyciągnął dłoń. Odbyła się ceremonia przedstawiania. Od Pietra zalaływało perfumami.

— My do pana — powiedział Minc. — Z powodu materializacji duchów.

— Nie rozumiem! — Piętro cofnął się do pokoju. Pokoik był niewielki. Stało w nim dwuosobowe łóżko zasłane atlasową, przepikowaną w romby narzutą (pewnie z posagu), oraz biurko z krzesłem. Niełatwo było to wszystko zobaczyć, ponieważ pomieszczenie szczelnie wypełniały widma. Ale takie jeszcze nie uformowane, niemal przezroczyste, zmieniające kształty i pozycje, przygotowywały się do ukształtowania, ale na razie były tylko dymami.

— Oto mój gabinet — powiedział Piętro. — Piszę gęsim Piórem, jak mój nauczyciel, Saszko Puszkina.

Atmosfera w pokoju wywoływała dreszcz obrzydzenia, może widma nie uformowały się jeszcze ostatecznie, ale Udałowowi wydawało się, że wszedł do ciepłej wody wypełnionej żabim skrzekiem.

— No właśnie — powiedział Minc. — To właśnie mamy na myśli. Tu one się rodzą.

— Nie rozumiem — powiedział pisarz, podnosząc z boku perukę, żeby się podrapać w czerep. — Co to za pretensje?

— Wypełnił pan miasto swoimi robotami i smokami! — nie wytrzymał Udałow. — Dzieci boją się wychodzić na ulicę. Prosimy więc, by trzymał je pan przy sobie.

— Co to znaczy? — zdziwił się pisarz. — Wygląda mi na to, że nakładacie okowy na moją wyobraźnię? O nie, takie numery nie przejdą! Ja się będę skarżył w Pen Clubie!

Ale otworzył lufcik i widma zaczęły wypływać na zewnątrz.

— No, tak lepiej — powiedział Minc. Piętro obrzucił pokój spojrzeniem i rzekł:

— Tak, powinienem mniej palić. Robi się mgliście.

— Albo głupi, albo udaje — szepnął pod nosem Minc, a wszyscy udali, że tego wyrazistego szeptu nie słyszeli.

— Przecież jestem uczciwym, choć biednym pisarzem. Nawet na maszynę do pisania mi nie starcza.

Wąsy drgnęły, po policzku spłynęła łza.

— Przecież one są nieszkodliwe! — pisnęła z przedpokoju Daszeńka.

Piętro odwrócił się, zobaczył żonę, zmrużył oczy i ryknął:

— Miotaj mi lunch na stół! — I odwróciwszy się do Minca z Udałowem, zapytał: — Jeszcze jakieś pytania? Jak nie, to idę. Muszę siły zregenerować. A panowie — proszę odwiedzać, bez krępacji.

Przyjaciele wracali pochmurni, przeszli na wylot przez włochatego bazylijszka, ominęli rozbity latający talerz. Milczeli i zastanawiali się — bo takie już mieli charaktery.

„Siła wyobraźni? — myślał Minc. — Ale dlaczego innym pisarzom to się nie udaje? Tworzą, wyobrażają sobie Bóg wie co, i nic! To by dopiero było — po Petersburgu biegają Nosy albo Raskolnikowowie z siekierami!”

— Mamy tu do czynienia z jakąś formą współdziałania — powiedział Udałow. — Taki zbieg okoliczności. Gęsię pióro, lunch, papier, troska o kobiety i, co najważniejsze, specyfika aktu tworzenia.

— Bez granic — zgodził się Minc. — Rozbuchana wyobraźnia.

— Czyżbyśmy byli bezsilni? — zapytał Udałow.

— Zastanowimy się — obiecał Minc. Weszli na swoje podwórko.

— Może go wysłać na Wyspy Kanaryjskie? — zapytał Udałow. — Urządzimy zbiórkę w mieście, wykupimy mu wczasy. A tam, na tych Kanarach, ludziska do wszystkiego przyzwyczajeni!

— To obrzydliwe! — obruszył się nagle profesor Minc. — Dlaczego mamy takie natury, że jak tylko coś nam nie pasuje, to od razu — za granicę! A potem sami będziemy ich rugali, po coście jakieś obrzydlistwa wyhodowali? Nie, samiśmi urodzili, sami...

— Co — zabijemy? — podpowiedział Udałow.

— Kto mówi o śmierci?

Z tymi słowami na ustach Minc zniknął za drzwiami swego mieszkania.

A zamiast niego na klatce schodowej pojawił się, wypłynawszy spod jego drzwi, wielki pterodaktyl i Udałow przykucnął schodząc mu z drogi, choć niby rozumiał, że pterodaktyle w Guslarze nie żyją.

Nazajutrz Minc nie wpadł do sąsiada. Udałow natomiast, zbliżając się do swego domu, zobaczył, że profesor właśnie podąża po ulicy w przeciwnym do niego kierunku. Za nim pędził neandertalczyk z maczugą.

Po półgodzinie zaczęły sływać do Udałowa informacje o ruchach i działaniach profesora. W końcu przeżył w Wielkim Guslarze Udałow całe swoje życie. Chciał tego, czy nie, w takim wypadku musiał wiedzieć wszystko o wszystkich, znajomych i sąsiadach.

Najpierw przyszła z targu synowa i powiedziała, że widziała Minca, jak wychodził z miejskiej biblioteki ze stosem książek pod pachą.

Potem Ksenia powiedziała, że Minc odwiedził komis a Gawriłowa, wpadłszy do Kseni na sekundę dodała, że Minc wyszedł już z komis, kupiwszy w nim kilka starych sukien, wachlarz ze strusich piór i wielki parasol.

Najbardziej zdziwiła Udałowa wiadomość o wizycie Lwa Christoforowicza w sklepie „Inny padół”, gdzie sprzedawane były akcesoria pogrzebowe. Kupił tam bukiet sztucznych kwiatów.



Wszystko to Minc zataszczył do domu Pogankina. I przesiedział u niego do samego wieczora.

Udałow któryś już raz stanął przed oknem i dopiero wtedy zobaczył, że Minc wraca do domu.

Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego. Jak człowiek, który dopiero co zakończył niełatwą, ale absolutnie konieczną sprawę honorową.

Udałow wychylił się przez okno i zapytał sztucznie zwyczajnym i wcale nie obrażonym tonem:

— Jak tam sukcesy, kolego?

Minc zniknął na chwilę przesłonięty stadem olbrzymich wampirów, które przemknęły przez ulicę. Potem pojawił się znowu.

— Sprawa będzie załatwiona — powiedział.

— W jakim sensie?

— Za wcześniej na deklaracje — odparł Minc. Następnego ranka jakby trochę się polepszyło. Częstotliwość pojawiania się potworów zaczęła spadać i to niemal do zera.

Ludzie zaczęli wychodzić ze swoich domów, wdychali świeże powietrze, mrużyli oczy radośnie i rozumieli, że deszczyk znowu pada dla nich, słońce świeci dla ludzkości i wiatr gwizdże dla nich, a nie dla jakichś upiorów.

I oto nad ulicą przeleciało, a raczej wolno i uroczyście przepłynęło, coś bajecznie pięknego, jak beza czy mus truskawkowy.

Czując, że coś jest nie tak Udałow rzucił się na dół.

Wpadł do pokoju Minca i od progu zapytał:

— Coś ty narobił, Lwie Christoforowiczu?

— Jak zwykle, wymyśliłem środek.

— No to opowiadaj, opowiadaj! — Udałow dreptał w progu, nie wchodził, bo jeszcze nie jadł śniadania, ale i odejść nie pozwalała ciekawość.

— Sam się domyślisz — zagadkowo uśmiechnął się profesor.

Udałow obraził się i zamierzał wyjść. Profesor go nie widział, ponieważ golił się maszynką gillette i patrzył w lustro.

Wkrótce potem Udałow wyszedł na ulicę.

Smoków już nie było.

Miasto trwało w ciszy i błogości, dzieci bawiły się w piaskownicach i biegały po skwerze.

Nagle przerwały swoje zabawy i przestraszone zamilkły.

Po dróżce skweru biegła nieznana Udałowowi ładna młoda kobieta w nieco naderwanej, długiej, białej sukni. Na jej obliczu malował się niepokój i ból serca.

Udałow usunął się jej z drogi.

Przechodząc obok domu, w którym zamieszkiwał Piętro Pogankini, Udałow zatrzymał się i popatrzył do góry. Z okien nie wypływały pterodaktyle i przybysze. Ale słychać było jak śpiewa jakaś kobieta. Daria Hoff śpiewała romans Alabiewa.

Co tu się dzieje?

Nagle przez ścianę domu przesaczyła się czarnowłosa kobieta w średnim wieku, dobrze odżywna, ale nieszczęśliwa. Przyciskała do oczu batystową chusteczkę. Za nią pojawił się mężczyzna o postawie wojskowego, ale w stroju do jazdy konnej z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Mężczyzna wyciągał do kobiety rękę.

Nie dogoniwszy jej jednak znieruchomiał, zaniechał gonitwy, stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami, a kobieta kontynuowała swój marsz.

Udałowiec nie oglądał sceny do końca. Zaprzagnął być w domu.

Kiedy skręcił na swoją ulicę, zobaczył, że pod nogami ma szyny, choć po Puszkina tramwaje nigdy nie kursowały, co to za jakaś nowa udreka? Może już lepsze były smoki?

Udałowiec, przyspieszając ciągle, pędził do Minca. I omal nie wpadł pod pociąg.

Archaiczny parowóz z długim kominem ciągnął za sobą kilka niewielkich zielonych wagonów. Cały skład był dość efemeryczny i na pewno zrodził się gdzieś w umyśle Poganiniego. Ale wyglądało to mimo wszystko przekonująco.

Pociąg pędził w kierunku, gdzie stała zasmucona brunetka, której z kolei przyglądał się mężczyzna w stroju do jazdy konnej.

Udałowiec wpadł do gabinetu Minca.

— Co się dzieje, sąsiedzie? — zapytał groźnie. — Lepiej się przyznaj.

Minc uśmiechnął się od ucha do ucha. Siedział sobie w bujanym fotelu, głaszcząc czarnego kota o imieniu Lumumba, którego to kota zaposaadł i pokochał nie tak dawno temu.

— Uwolniliśmy miasto od potworów — powiedział.

— Ale na ich miejsce leżą inni!

— Z tym, że ludzie, a nie potwory! A i to nie na długo. Wkrótce pisarz nas opuści.

— Wyjaśnij mi wszystko.

— Dobrze. Jeśli nie możesz uwolnić się od przypadłości, to prościej klina klinem wybić. Rozumiesz, skontrolować.

— Jaki znowu klin i jakim klinem?

— Przyniosłem Poganiniemu kilka nieznanym mu utworów literackich. Przekonałem tego młodego człowieka, że ma znacznie więcej szans stać się sławnym, jeśli będzie szedł drogami wielkich literatów minionych epok. Dałem mu słowo, że sumaryczny nakład powieści nie kochanego przez niego wcześniej pisarza Lwa Tołstoja osiągnął w ciągu ostatnich stu lat nakład sześciu miliardów egzemplarzy.

— I co on na to?

— Wyjął kieszonkowy kalkulator i zaczął obliczać, ile otrzymałby będąc na miejscu Lwa Tołstoja, licząc rubel pięćdziesiąt na każdy egzemplarz.

— I?

— Był zadowolony z otrzymanego wyniku. Poza tym zajrzałem dziś do niego.

— No i co?

— Pisze. Nie widziałeś dookoła jego domu postaci literackich?

— Eureka! — zawołał Korneliusz Iwanowicz. — Pisze „Annę Kareninę”! To dlatego pociąg po Puszkina jechał!

— Ach, miły mój Korneliuszu — uśmiechnął się profesor Minc. — W życiu nic nie jest tak proste, jak się wydaje. Powieść Poganiniego ma tytuł „Mania Kaledina”. Jak widzisz, nie zniża się do prostego plagiatu.

— Ale pod pociąg się rzuci?

— A co by miała innego ze sobą zrobić?

Udałow zamyślił się. Potem odwrócił do Minca okrągłą prostoduszną twarz.

— Nie — powiedział. — Nic z tego nie wyjdzie. Jak nie dziś, to jutro znowu powyłażą smoki.

— Dlaczegoż to?

— Bo nikt nie kupi od Poganiniego jego Mani. Czy wydawcy w szkole lektur nie czytali?

— Niektórzy wydawcy chodzili do szkoły, prawda. Ale uczyli się kiepsko — westchnął Minc. — A bogaci czytelnicy zapomnieli, czego się uczyli. W końcu, ci najbogatsi wyróżniali się słabym zdrowiem i chorowali, kiedy klasa przerabiała „Annę Kareninę”. A tak nawiasem mówiąc, Korneliuszu, nikt w szkole nie spodziewał się, że dzieci przeczytają powieść Tolstoja. Dlatego nie była czytana, a przerabiana. A jak się przerabia?

— Po łebkach.

— Właśnie. Po łebkach.

— No to zobaczymy — powiedział Udałow. — Jeśli mam rację, to Poganini wróci do smoków, jeśli ty masz rację — przyjdzie nam mieć do czynienia z wzniosłymi uczuciami.

— Jeśli mam rację, to Poganini zarobi tyle forsy, że będzie mógł kupić mieszkanie w Moskwie.

Udałow uśmiechnął się i poszedł do siebie. Miał ochotę posiedzieć w wygodnym fotelu i poczytać gazetę.

Ale nie udało się.

W kuchni siedziała Tatiana Łarina, sądząc z ubrania i wyrazu twarzy, czytała list od Oniegina i cicho płakała.

A Ksenia, która właśnie weszła do kuchni, stanęła w progu, skrzyżowała ręce na piersi i zabójczym wzrokiem mierzyła nieproszoną kobietę.

Udałow drgnął i chciał przemknąć obok, ale Ksenia chwyciła go za rękaw.

— Już nawet do domu sprowadzasz? — zapytała Udałowa.

— Kogo sprowadzam?

— Dzwiki sprowadzasz!

— Ja ją pierwszy raz w życiu widzę. A poza tym ona jest tylko wizualnym wyobrażeniem Aleksandra Sergiejewicza Puszkina.

— Jeśli jego wyobrażenie, to dlaczego nie siedzi u Puszkina w kuchni, a u mnie?

— No to sprawdź, jak mi nie wierzysz. Ona jest bezcielesna.

Ten pomysł spodobał się Ksenii. Chwyła patelnię i rzuciła ją w Tatianę Łariną.

Patelnia przeleciała przez ciało gościa i stłukła stojące na półce trzy ulubione filiżanki gospodyni.

— Ach, jeszcze naczynia tłucze! — wrzasnęła Ksenia i drugą patelnią cisnęła w męża.

Po miesiącu widma zniknęły.

Guslar opustoszał.

Potem zniknął gdzieś również Piętro Poganini.

A jesienią Minc zastukał kiedyś trzonkiem miotły w sufit, wzywając Korneliusza.

Korneliusz pobiegł na dół.

Minc miał włączony telewizor, oto, co mówiła spikerka:

— Nowa powieść znanego literata Piętro Poganiniego „Mania Kaledina”, będąc wydarzeniem sezonu i to zekranizowanym przez Spielberga, została nominowana do nagrody Bookera. Wiarogodność realiów historycznych oraz historia upadku i tragedii kobiety z wyższych sfer Petersburga, która zakończyła życie pod kołami pociągu, wywołała wzrost zainteresowania oryginalną twórczością prozaika. Nasz korespondent spotkał się z autorem, który niedawno nabył czteropiętrową willę na Wyspach Kanaryjskich. Pierwszym pytaniem naszego korespondenta...

Na ekranie pojawiła się willa.

Obok niej w szortach, z tenisową raketką w dłoni stał Piętro. Wisiały na nim dwie ciemnoskóre z powodu morskiej opalenizny hiszpańskie ślicznotki. Przez okno kuchni wyjrzała markotna Daria Hoff.

— Jak się panu udało wymyślić tak wspaniałą fabułę? — zapytał korespondent.

— Niełatwo było — odpowiedział Piętro.

— Jak pan się odnosi do szansy na nagrodę Bookera?

— Bookera weźmiemy, czemu nie — odpowiedział Piętro. — A i Oskar w naszym zasięgu.

Wgapiony w ekran roześmiał się, jakby wiedząc, że profesor Minc, który uwolnił Wielki Guslar od owoców rozbuchanej wyobraźni Pietra, nie odrywając wzroku uważnie wpatruje się w ekran.

## Sześćdziesiąty drugi odcinek

Udałowie przychodzą do domu o różnych porach. Najwcześniej Ksenia — z zakupów, z targu, od sąsiadów — i od razu zabiera się do gotowania. Następny pojawia się jej wnuk, Maksymka, uczeń, siada do lekcji albo pędzi na podwórko czy pograć na komputerze u sąsiadów. Jako ostatni przychodzi sam Korneliusz Iwanowicz — znowu zatrzymały go sprawy w przedsiębiorstwie budowlanym. Sprawy, przemiany, walka o przetrwanie, nie to, co w czasach zwycięskiego socjalizmu. Wtedy był w domu już o szóstej, chyba że było zebranie partyjne.

Udałowie jedzą obiad wspólnie. Czekają na ostatniego członka rodziny i dopiero jedzą obiad. Najczęściej spóźnia się Korneliusz, wtedy wszyscy się na niego złością.

Po obiedzie każdy idzie oglądać swój serial.

W Guslarze lecą swoje własne seriale, nie to, co w Kijowie czy w Melitopolu.

Korneliusz włącza swój ekran o ósmej dwadzieścia — dziś nowy odcinek. Dwusetny, jubileuszowy. Fabuła serialu pokrótce jest taka: trójkąt. On — farmaceuta, spokojny człowiek, myślami już na emeryturze. Ona — młodsza od niego o kilkanaście lat, zachowała liczne ślady nie tak dawnej jeszcze urody, kobieta pulchna, ale nader apetyczna. Do tego nowy sąsiad na klatce schodowej — o dwanaście lat młodszy od niej i o dwadzieścia od niego. I do tego problemy z bratanicą, która została podrzucona na lato a do chwili obecnej ciągle nie została odebrana. Poza tym problem — oddać czy nie leciwą mamę do domu starców, w końcu zwolni się przecież po niej pokój? „Ubodzy płaczą również”, tak nazwała ten serial Ksenia Udałowa. Ona sama woli inny — o młodym małżeństwie, które wynajmuje pokój, a właściciel mieszkania zakochuje się w młodej żonie... Ale wszystko odbywa się w ramach przyzwoitości i bez erotyki.

Maksymka powinien oglądać serial młodzieżowy, o rodzinie z szóstką dzieciaków, które gimnastykują się rano, spędzają sporo czasu na świeżym powietrzu, ale chłopiec wpakował się w zabroniony przez dorosłych program o pewnej grupie rockowej, która weszła w konflikt z rokerami, ponieważ lider grupy jest zakochany w Iren, którą kocha również przywódca rokerów. Ostry film! Z gwałtownymi scenami, metalem i seksem — dla ucznia Maksymki — największy czad.

Tak więc od ósmej wszyscy Udałowie oddzielnie znikają w światach zajmujących widowisk.

A kiedy seriale się kończą, Ksenia pędzi do pokoju Maksymki i wydziera się nań dzikim głosem, ponieważ wpada na końcówkę serialu o grupie rockowej, w finale odcinka którego lider patrzy namiętnie na Iren, a przywódca rokerów skrada się ku nim z gazrurką w dłoni.

— Już gaszę! — ponuro oznajmia Maksymka. Wie, że z babcią nie da się dogadać.

Po godzinie Ksenia zapędza wnuka do łóżka, jutro klasówka z matematyki, głowa musi być świeża i wypoczęta.

Maksymka leży w pościeli i słyszy, jak za ścianką działową dziadek, w charakterze wieczornego lekarstwa, zażywa ostatnich radiowych wiadomości o polityce i ekonomicznym rozpadzie. Potem sprzeczą się z babcią. Maksymka nie o klasówce myśli, a o niedoli Iren. Chciałby wiedzieć, co się będzie działo w następnym odcinku, jutro, ale jak przyspieszyć czas?! A tu Maksymkę, dzieciaka, nawet jeszcze nie wyrostka, strasznie niepokoi to, co może się stać w nocy: naprawdę mocno napięty się stosunki między grupą rockową i bandą rokerów. Wydaje mu się, że pod oknem śmigają motocykle bez tłumików, ale może to tylko chrapanie ojca. . . Maksymka wyobraża sobie, jak to on wtrąci się do zatargu i wtedy Iren będzie jego. Oczywiście, całowanie się z dziewczynami jest głupie i nieciekawe, ale spacer z Iren po Puszkina, z trzymaniem za rękę — to by było coś. Z tą słodką myślą Maksymka zasnął.

Następnego dnia w szkole nie mógł się skoncentrować. Nie udało mu się rozwiązać ani jednego zadania na klasówce — a czort z nią. W życiu istnieją znacznie ważniejsze problemy. Los Iren jest ważniejszy. Znalazłszy się w przestrzeni między dwoma takimi typami jak lider grupy i przywódca rokerów, może stracić swoje życie.

Przez cały dzień Maksymka czekał na wieczór, to znaczy na nowy odcinek.

I oto doczekawszy się chwili, kiedy dorośli zasiedli u siebie w pokoju oglądać serial „Pogotowie ratunkowe”, Maksymka przymknął drzwi i zagłębił się w wydarzeniach ze środowiska młodzieżowego.

To, co powinno było mieć miejsce, a czego się obawialiśmy, być może zdarzyło się w nocy, ale poza kadrem. Można się tylko tego domyślać na podstawie zacieklej sprzeczki między liderem grupy rockowej i Iren.

— Nie chciałam tego! — krzychała Iren, załamując szczupłe długie dłonie. — A on nie dał rady poniżyć mojej ludzkiej godności w ciemnym małym gaju, pomiędzy połamanyymi motocyklami, przy akompaniamencie odległej muzyki z magnetofonu. Sprawa skończyła się na pocałunkach, żebym tak pękła!

— Och, nie! — zakrzyknął w odpowiedzi lider grupy. — Nie łzyj, nieszczęsna! Dobrowolnie poszłaś do niego i oddałaś się temu niegodziwcowi. Opowiem o twej hańbie całemu światu!

— O, tylko nie mamie! Mama nie może się dowiedzieć! — błagała Iren, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Rozczochrany i niewyspany lider rzucił się na nią. Zamierzał udusić dziewczynę.

Iren udało się odskoczyć, zaczęli się ganiać dookoła zestawu perkusyjnego, ustawionego na scenie.

Ale nie udało się Iren uciec daleko. Na pomoc liderowi przyszedł perkusista. Razem udało im się związać Iren i wcisnąć knebel w jej różowy przetyk. Potem odciągnęli ją za kulisy, gdzie panował mrok i widzowie nie dowiedzieli się, gdzie została zamknięta.

Za sceną dał się słyszeć warkot, na scenę wjechał na swoim harleyu wódz rokerów.

— Gdzie ona jest? Gdzieście ją ukryli, pacany? — ryknął. Ale zakurzona sala milczała, nie miał kto mu udzielić odpowiedzi.

Roker zaczął szukać swojej ukochanej, ale bez powodzenia. Kiepsko orientował się w konfiguracji sceny — widać trafił na nią po raz pierwszy w życiu.

I wtedy Maksymka zrozumiał, że oto nadeszła jego wielka chwila. . .

Podszedł na paluszkach do drzwi — za nimi słychać było rozmowę, dorośli zajęci, nie oderwą się od „Pogotowia ratunkowego” Maksymka ma mniej więcej pół godziny na realizację pomysłu.

Narzucił kurtkę i skradając się, przeszedł za plecami dorosłych.

W tym właśnie momencie żona anestezjologa przekonywała młodego pielęgniarza:

— Ale wy mnie wcale nie znacie! Nie możecie zrozumieć moich duchowych zapotrzebowań, drżenia mojej dojrzałej duszy.

— Czy to takie ważne? — namiętnie syczał w odpowiedzi sąsiad.

Co się dalej działo Maksymki nie interesowało.

Sturłał się migiem po schodach, przytrzymał drzwi wejściowe, żeby nie huknęły jak armata i już był na ulicy.

Wieczór był chłodny, jesienny, dopiero co ustał deszcz, w powietrzu dominował zapach opadłych liści i mokrych płotów. Mała postać Maksymki przeskakiwała rzadkie kręgi światła na jezdni i znikwała w gęstym półmroku.

Obok Domu Kultury Wodniaków Maksymka na sekundę zatrzymał się, rozważał różne warianty przedostania się do wnętrza. Zauważywszy przy głównym wejściu dwa motocykle z palącymi papierosy rokerami, zrozumiał, że szansą może być tylko tylne wejście.

Przebiegł wąskim zaułkiem między Domem Kultury i łaźnią. Oto jest tylne wejście. Drzwi tylko przymknięte, za nimi widać słabe światło. Dziś Dom Kultury jest zamknięty, nikogo nie powinno tu być — tylko kapela rockowa ma próbę.

Oto dał się słyszeć łoskot bębnow, zawył saksofon. . . Cisza. Głosy odległe i słabe.

Maksymka zebrał całą swą siłę woli i przemknął do wnętrza. Ogarnął go zakurzony mrok kulis. Daleko przed nim paliła się jedna żarówka, może dziesięciowatowa. Najważniejsza sprawa — nie wpaść w oczy niegodziwcom, bo zrobią z niego kotlet. Po pierwsze, bo są silniejsi, po drugie — złamał naczelną zasadę serialu. . .

Maksymka mniej więcej domyślał się, gdzie powinna znajdować się branka.

Długo przemykał między rusztowaniami i zwiniętymi w rulony kulisami, zanim udało mu się dotrzeć do magazynu z kuframi, w których przypisany do Domu Kultury Teatr Ludowy „Analiza” woził swoje dekoracje i kostiumy. Teraz musiał jeszcze odgadnąć, w którym z kufrów zamknięta została nieszczęsna dziewczyna.

— Irena — cicho zawołał Maksymka. Zero odpowiedzi.

— Ireno, przyszedłem cię uratować.

— Nie chcę być ratowana — dał się słyszeć szept Iren. Jej głos dobiegał ze stojącego z boku kufra. — I nie zbliżaj się do mnie, bo będę krzyczała.

— Myślisz, że jestem rokerem, tak?

— A kim jesteś?

— Jestem widzem — przyznał się Maksymka. — Jestem widzem twojego serialu i nie mogę obojętnie przyglądać się twojej niedoli.

— Kłamiesz — powiedziała Iren. — Żaden widz nie ośmieli się wtrącić do akcji. Za to można nieźle oberwać.

— A ja mam to w nosie — powiedział Maksymka.

— Odłączą cię od serialu.

— A ja tylko chcę cię uratować, nic więcej.

— Aleja nie jestem pewna, czy chcę, żebyś mnie uratował — powiedziała po chwili namysłu dziewczyna. — Może będzie lepiej, jak poleżę w kufrze.

— Nie, bo nie wyobrażasz sobie, co oni wymyślili! Nie oszczędzą twojej dziewczęcej czci!

— Kto mianowicie? — rzeczowo zapytała Iren. — Jeśli Wasia, to jestem przeciwna, ale jeśli Kola, to mogę to jeszcze przedyskutować.

— Ciszej! — syknął Maksymka.

Rozskrzyziały się stare deski podłogi. Ktoś nadchodził. Maksymka zrozumiał, że powinien teraz ukryć się, zaleć, zamilknąć, wyparować, ale zamiast tego z rozpaczliwą determinacją młodości podniósł wieko kufra, w którym lider kapeli zamknął Iren i pociągnął ją za rękę.

— Uciekajmy! Uratuję cię!

Gdyby Maksymka był rówieśnikiem Iren, to ta wyszarpnęłaby rękę i zaległa w kufrze, by czekać na decyzję ojej losie. Ale kiedy zrozumiała, że ratuje ją chłopiec mniej więcej o pięć lat od niej młodszy, to zrobiło jej się go żal. W końcu wiedziała jak okrutni potrafią być muzycy rockowi i rokerzy.

Więc posłusznie pobiegła za Maksymka.



— Niech to diabli! — rozległ się za nimi złowieszczy głos. — Dokąd?! Łby wam podrywam.

Ogromnymi krokami lider kapeli pognał za uciekinierami.

Maksymka znał kilka sprytnych tras przez ogrody i podwórka. Co prawda, Iren też je znała. I Wasia też. Tak więc ucieczka przez tyły odbywała się ze zmiennym powodzeniem.

— Dokąd mnie ciagniesz? — zapytała w biegu Iren.

— Do twoich starych! — odpowiedział Maksymka.

— Ocipiałeś, czy co? Przecież oni mi warkocze pourywają!

Musieli przeciąć były plac Targowy, który potem był placem Stalina, a obecnie Podróżników. Na środku placu Iren zaczęła rozpaczliwie sprzeciwiać się, ponieważ nie chciała uciekać do domu, a dokąd chciała — jeszcze nie wiedziała. I tu dopadła ich kapela rockowa w pełnym składzie — kudłaci, niemyci, rozchełstani romantycznie muzycy zamknęli uciekinierów w półkolu, ale nie mogli zamknąć formacji do końca, ponieważ z drugiej strony

na plac wtargnęły, rycząc silnikami, motory rokerów, którzy też chcieli osiąść Iren.

Straszliwa cisza zapadła nad palcem. Rokerzy trzymali w rękach wyczyszczone do błysku gazrurki, muzycy — smyki. Przeciwnicy zbliżali się do siebie wolno i nieubłagane...

— No tak, wpuściłeś mnie w maliny — powiedziała niezła w gruncie rzeczy dziewczyna Iren, tarosząc palcami kokardę na wspaniałym ciemnoblond warkoczku. — Okazałeś się przesadnie odważny i dlatego jesteśmy w szambie. Widać śmierć nam pisana...

Iren pochyliła się do Maksymki i odbiła mu na policzku niewinny, ale gorący pocałunek.

— I-jeah! — ryknęli rokerzy.

— Bij świrów! — darli się klezmerzy.

I w tym momencie z prawej rozległ się okrzyk:

— Hej tam, dość tego!

A z lewej dał się słyszeć głos:

— Ja wam zaraz dam!

Na placu, oświetlonym niedbale latarniami, pojawiły się nowe postaci dramatu. Od prawej zbliżała się mama Iren, z lewej — Korneliusz Udałow, dziadek Maksymki.

Groźnie porykiwali przeciwnicy, ale nic już nie mogli zdziałać — motory zaczęły odjeżdżać i wkrótce opuściły plac, a klezmerzy pochowali w pochwy smyki i również rozplnęli się we mgle.

— Ja ci pokażę, po nocy biegać — powiedziała mama Iriny, mocno złapała ją za rękę, drugą wymierzyła klapsa Maksymce, czym zasmuciła Korneliusza, który sam przymierzał się do klapsa, ale nie zdążył. Dlatego Korneliusz innym

sposobem, „katuszami” — dłonią w czubek głowy — popędził wnuka do domu. Mama Iriny prowadziła do siebie córkę, a Maksymka miotał się i krzyczał na cały plac:

— Kocham cię, Iren! Jeśli będzie trzeba, to jutro znowu cię uwolnię.

— Też mi, oswobodziciel... — zaczęła Irina, ale umilkła, ponieważ w głębi serca szanowała męską ofiarność. I, odwróciwszy się, głośno krzyknęła: — Dziękuję ci, chłopczyku!

Nic więcej już nie krzyknęła, ponieważ rozszlochała się. I tym szlochem opłakiwała wszystko: swą dziewczęcą wolność, szybkość nie mogących rozkwitnąć uczuć, przyjemne z powodu zaskoczenia leżenie w zakurzonej kufrze i połyskiwanie przedmiotów siecznych w ręku rywali...

— Dobrze, że sąsiedzi do nas przybiegli i powiadomili — mówił tymczasem Udałow popędzając Maksymkę do domu. — Przełącz, powiadają, na inny program, młodzieżowy. Tam twój Maksymka w sześćdziesiątym drugim odcinku nielegalny udział bierze. No nie, powiadam, nie może być, bo Maksymka lekcje odrabia w swoim pokoju. Ale sprawdziłem — a ciebie nie ma! Kto ci pozwolił bez pytania włączyć do programu? Przecież wiesz, że nas za to odłączają?! I będą mieli rację! Zapomniałeś, jakie kłopoty miał Łożkin w ubiegłym roku?

Maksymka nie zapomniał, ale nie bardzo się przejmował problemami Łożkina. Stary Łożkin oglądał serial z życia sierżanta Pilipienko. Cóż może być powszedniejszego? Kryminał jak kryminał, policyjna powieść z życia prowincji. Ty jesteś widzem, sierżant Pilipienko — głównym bohaterem. Ale nagle staremu Łożkinowi wydało się, że kiedy Pilipienko szukał na miejskim targowisku skradzionych kół od łady, jeden z przyjezdnych handlarzy dał mu łapówkę. No, może i dał, ale Pilipienko raczej nie wziął. Nie jest on drobiazgowy, naprawdę! I wie, że gra w serialu. A Łożkin nie miał prawa wtrącać się do reguł wieloodcinkowego żywota. Nikt mu nie pozwalał pisać listu na Pilipienkę do komendy miejskiej milicji! Z przytoczeniem faktów i podejrzeń. Pilipienkę, rzecz jasna, zdjęli i ukarali. Ale dwieście czterdzieści siedem rodzin miasta Wielki Guslar, które codziennie oglądały serial z życia sierżanta, zostało bez widowiska i nigdy już nie dowiedzą się, kto buchnął koła od łady i obrobił budkę z piwem. A to niemały cios w kulturę.

Tak więc Łożkina słusznie odłączono. Musi być jakaś kara — nie wolno mieszać widowisk z parszywym życiem!

Wszystko to Udałow w marszu przypomniał wnukowi, a ten słuchał, posępnie gapiąc się na boki i potykając z tego powodu. W nosie miał wnuk problemy Łożkina, eksplodowała w nim pierwsza miłość, a dorośli tak uparcie i niezręcznie zalewali ją wyrzutami i pouczeniami.

Najgorsze obawy Udałowa zaczęły się spełniać, kiedy doszli do swojego domu. Pod plamą światła z samotnej latarni, świecącej nad bramą na podwórko, zebrała się zwarta, ciemna grupa ludzi.

Na widok zbliżających się Udałowych, od grupy oddzielił się krzepki mężczyzna w kapeluszu nasuniętym na uszy.

Zastąpił im drogę i zatrzymał władczy gestem dłoni. Na dłoni miał czarną metkę.

— O nie! — zakrzyknął Korneliusz Iwanowicz. — Ja sam będę codziennie lał tego nieroba! Proszę nie karać całej naszej rodziny. Nie możemy zostać pozbawieni kulturalnego widowiska.

Ale mężczyzna w kapeluszu nic nie odpowiedział Udałowowi. Odwrócił się i odszedł ulicą. Za nim — pozostali. Ulica opustoszała.

— No i widzisz, coś nam narobił?! Jesteśmy teraz wyklęci.

Maksymka uporczywie milczał. Zresztą, co miał niby powiedzieć? Że gdyby nawet przewidział wszystkie konsekwencje swoich postępów, to i tak nie zmieniłby swego zachowania? Miłość dopada człowieka nieoczekiwanie, jak cegła w głowę. I najczęściej — raz w życiu.

Kiedy weszli na podwórko, z mroku, zza krzewów bzu już częściowo przewitłych, wybiegły dwie dziewczynki — córki Afinogenowych z sąsiedniego podwórka. Obie trzymały w rękach po bukietcie astrów.

— Bierz, Maksymka, jesteś prawdziwym bohaterem — powiedziała jedna.

A druga tylko chlipnęła, cmoknęła Maksymkę w policzek i też podała mu bukiet. I dziewczynki uciekły.

— A to co znowu znaczy? — rozeźlił się Korneliusz i chciał odebrać wnukowi kwiaty, ale ten nie oddał.

— To jest uznanie, dziadku — powiedział. — Tobie, być może, nikt nie podarował nigdy kwiatów, a mnie zaczęli w wieku dwunastu lat, rozumiesz?

— Gdzieś ty się wychowywał, co? Kiedy cię straciliśmy? — zatroskał się głośno Udałow, ale wnuk nie odpowiedział na te pytania.

Kiedy weszli do mieszkania, przy stole siedział i pił herbatę ich sąsiad z dołu, profesor Lew Christoforowicz Minc. Ksenia krzątała się przy gościu, częstowała ciasteczkami i herbatniczkami domowego wypieku. Bezskutecznie. Minc nie miał na nic ochoty.

— No i masz — powiedział na widok Udałowych. — Wychodzi, że dobre zamiary prowadzą prosto do piekła. Macie czarną metkę?

— Tak — powiedział Udałow i podał ją Mincowi.

Na czarnym kółku wielkości dłoni napisano kredą: ODSUNIĘCI OD SERIALI NA MIESIĄC — Miesiąc — powiedział w zamyśleniu Minc. — Ostro zabrali się za widzów.

— Przez ten miesiąc akcja posunie się tak daleko, że za rok nie dogonimy — powiedział Udałow.

— Albo i wszyscy powymierają — dodała Ksenia.

— Będziemy do nich chodzić i podglądać przez płot — powiedział Maksymka, a wszyscy na te słowa popatrzyli na niego z wyrzutem.

Podglądanie należało do tak złego tonu, że — uznali — chyba przyszło im zrezygnować z tak zepsutego dzieciaka.

Nawet miły Lew Christoforowicz z wyrzutem pokiwał głową.

Nie bez powodu czuł się winny i przyszedł do Udałowych, gdy tylko usłyszał o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Przecież to właśnie profesor Minc, po tym, jak w Rosji przestała działać telewizja i kraj podzielił się na sześćset czterdzieści dwa niezależne państwa, zaproponował guslarczykom proste i zarazem genialne wyjście z sytuacji: oglądać samych siebie. W tym celu cały Wielki Guslar został połączony mnóstwem rur i pudeł, nie pominięto ani jednego domu, ani jedno mieszkanie nie zostało wyłączone z systemu wspólnej telewizyjnej sieci miasta. Od tej chwili każdy mógł wieczorem oglądać wydarzenia, albo i brak takowych, w dowolnym wybranym domu, w dowolnej rodzinie, w dowolnym internacie. Ale żeby uruchomić materialne bodźce, zdecydowano — kto przygląda się sąsiadkiemu żywotowi, wnosi opłaty pod odpowiednim adresem. A jeśli nie chcesz, by oglądano twoje życie, to masz prawo zasunąć zasłonki i żyć sobie w sekrecie przed otoczeniem. Ale jeśli podpisałeś dokument o udziale w serialu — cierp, nawet jeśli bardzo ci się chce zasunąć szyber w swoim pokoju, kiedy żona tak niesprawiedliwie krzywdzi cię swymi działaniami.

Najważniejsze zostało omówione i zaklepane przez władze miejskie: nawet jeśli się komuś bardzo nie podoba zachowanie głównego bohatera czy cierpienie jego nieszczęsnej ukochanej — nie masz, człowieku, prawa łapać siekiery w ręce i zaprowadzać sprawiedliwości. A jeśli ktoś z widzów zapomni, że nie ogląda taniego spektaklu, a obserwuje prawdziwe guslarskie życie i zapragnie wtrącić się doń i zmienić jego bieg — niech ma pretensje do siebie. Kara jest jedna: powita cię przed domem Komisja Państwowa w czarnych kapeluszach i wręczy czarną metkę, a to oznacza, że na dzień albo dwa, miesiąc, rok lub na całe życie w twoim mieszkaniu zaczopowane będą wyjściowe i wejściowe rury. I oślepniesz.

Rano, w kolejce po chleb, sąsiadki będą rozpatrywały trzechsetny odcinek serialu pod tytułem „Rodzinny dramat prowizora Sawicza”, a ty, kryjąc twarz i gapiąc się w podłogę, będziesz w duchu zalewał się łzami, albowiem twój wzrok mieszkania Sawiczów nie sięgnie.

Najpierw wszyscy guslarzycy cieszyli się i dziękowali wynalazcy najtańszej telewizji świata. Ale wkrótce zaczęło dojrzewać ukryte, a potem nawet jawne niezadowolenie. Miało ono na imię zazdrość. Okazało się, że największy zysk z serialu mają nie porządni, uczciwi i rozsądni obywatele, a osoby o wątpliwej reputacji i na niskim moralnym poziomie. Wyjaśniam: nikt nie chciał oglądać szczegółów z życia działaczy związkowych Iwanowych i trójki ich dzieci. Natomiast całe miasto dygoce z chęci dowiedzenia się — udusi w końcu alkoholik Sidorenko swoją rozpustną konkubinę Kafkę, czy może ona dźgnie go kuchennym nożem i odejdzie do Krzywego Kolki.

Wiedząc o tym zainteresowaniu i nawet uczując za honoraria, Sidorenko i jego współmieszkanca znakomicie wykorzystywali swoją popularność. Zamontowali nawet dodatkowe rury przy swoim łóżku małżeńskim, a noży to porozkładali w mieszkaniu kilka tuzinów. Nie zamierzali wcale się nimi ciąć, ale trzymali Wielki Guslar w napięciu i co wieczór przepijali kilka tysięcy rubli.

W tym krytycznym dla miasta momencie odbył się właśnie wypad Maksymki Udałowa i wręczenie jego dziadkowi czarnej metki. . .

— Nawet ja, ze swoimi zdolnościami nie jestem w stanie pomóc — powiedział Minc. — Nie mogę, korzystając z przyjaźni, namówić parlamentu miejskiego i osobiście pana Biełosielskiego, by uczynił dla mnie ten wyjątek.

Po tych słowach Minc pożegnał się i wyszedł od Udałowych.

Wieczór w ich mieszkaniu skończył się tym, że Korneliusz przymierzył się do wymierzenia kary cielesnej wnukowi, zapomniawszy, że ten uprawia boks. Spotkanie między dziadkiem i wnuczkiem skończyło się remisem.

Rano Udałowie byli ponurzy i źli, rodzina wyraźnie rozpadała się.

Ksenia przygotowała mężczyznom przypaloną kaszę. Udałow, wychodząc do pracy, zapomniał w domu teczkę, Maksymka udał, że idzie do szkoły, a sam pobiegł do jaru i tam się ukrył, mimo że kropił deszcz. Ale co najdziwniejsze — w parowie znalazł go Gosza Kaczijew, przewodniczący spółki akcyjnej „Georgij i Co”. Gosza zszedł do parowu, rozsunął gałęzie i zapytał:

— Nie ma pan nic przeciwko temu, mister Udałow-junior, że się do pana zwrócę?

Maksym zdziwił się, ale chamówy nie odstawił. I słusznie zrobił.

Kiedy wieczorem Korneliusz Udałow wrócił do domu, zdziwił się, widząc, że pod bramą stoi niewielki tłumek sąsiadów, którzy rozstąpili się na jego widok w milczeniu. Korneliusz w duchu zadrzał. Zrozumiał, że w domu pewnie czeka go jakieś kolejne nieszczęście.

Przeskakując po dwa stopnie wbiegł na piętro i szarpnął drzwi.

I zobaczył, że na środku pokoju stoją trzy japońskie telewizory: panasonic, sony i akai. Każdy z telewizorów pokazuje inny program — po japońsku, po angielsku i w meksykańskim narzeczu latynoamerykańskiego języka.

A każdy z aparatów nadaje inny program, co jeden to ciekawszy.

A przed telewizorem siedzą Maksymek i Ksenia, sącząc przez słomkę coca-cole.

— Co jest? — ryknął Udałow, szykując się na najgorsze. — Przyznawać się!

— A ty popatrz sobie na balkon, dziadziuś — odpowiedział wnuk.

Udałow posłusznie skoczył na balkon.

I zobaczył na nim dwa wielkie, średnicy człowieka talerze, które dla kogoś znającego się na rzeczy były antenami telewizji satelitarnej.

— Skąd to? — Udałow wpadł do pokoju.

— Dziadku — powiedział Maksymka — jak myślisz, ile mogą zapłacić wszyscy mieszkańcy miasta, jeśli jednocześnie włączą ten sam wewnętrzny program?

— No, po setce. . . — bąknął Udałow.

— Właśnie.

— A oni — wtrąciła się do rozmowy Ksenia Udałowa, która całkiem zapomniała o obiedzie — wszyscy bez wyjątku oglądali wczoraj sześćdziesiąty drugi odcinek serialu, gdzie główną rolę grał nasz wnuczek — i pogłaskała chłopca po głowie.

— Rozumiesz, Korneliuszu — powiedział dojrzały nagle wnuk. — Goszka Kaczijew potrzebuje gotowizny — będzie budował pod placem Podróżników podziemny garaż. Za ten milion, który mi ofiarowało społeczeństwo, ustawił mi te zabawki — dostarczyli je samolotem z Pofmy po obiedzie. Tak więc my ten miesiąc bez guslarskiej telewizji jakoś wytrzymamy.

— Wytrzymamy — uśmiechnęła się Ksenia. Zachowywała się naturalnie, jakby wcale wczoraj nie usiłowała wziąć udziału w egzekucji wnusia.

I Udałow, póki co, siadł w fotelu i zaczął oglądać prawdziwy meksykański serial.

Stopniowo tłum gapiów przed bramą rozchodził się, każdy pędził do domu obejrzeć wewnętrzne programy. Ale nagle do drzwi Udałowych ktoś zastukał.

— Proszę! — zawołał Maksymka.

Przez próg przestąpiła i znieruchomiała za nim jasnowłosa miła dziewczyna o imieniu Irina, którą Maksymka uratował wczoraj wieczorem.

— Maksym — zapytała. — Mogę też sobie popatrzeć? Twoi starzy nie będą się ciskać?

— Moi starzy w takich przypadkach milczą. Ja ich trzymam w garści: jak podpadną odłączę technikę i bye-bye! — powiedział Maksymka, jakby wcale nie zaskoczony wizytą czarującego gościa.

Udałowie-seniorzy zmilczeli.

Iren usiadła na kanapie przy Maksymce.

Tego wieczora serial z jej udziałem nie szedł, a rokerzy i klezmerzy nawalili się na brzegu rzeki Guś i powtarzali w kółko, że się rozliczą z Udałowem i niewierną Irką.

I to im się nie udało, o czym opowiedziane będzie w innym miejscu.

## Reinkarnacja z drugiej ręki

Udałowie wykupili tanią posezonową wycieczkę po Morzu Śródziemnym. Nad Morzem Śródziemnym lało, nawet nad Capri, gdzie kiedyś tworzył Górki, któremu, jak mówią zorientowani ludzie, niedawno odebrano ulicę i przekazano obywatelce Twerskiej. Udałow nawet nie słyszał o takiej rewolucjonistce.

Ksenia czaiła się na maltański port La Valetta, ponieważ trwa tam nieustająca wyprzedaż skórzanych kurtek, a ona zamierzała kupić dobre jakościowo wyroby synowi i wnukowi. Udałow deszczowe dni na pokładzie przeczekiwał w salonie albo przy pustym basenie. Czasem pozwalał sobie na jednego maluśkiego z Wasylim Borysowiczem, który zamieszkiwał kajutę półluks. Wasyla Borisowicza konkurenci nazywali Pytończykiem i ciągle czekali, że ktoś go zastrzeli. Może dlatego tak przyłgnał do emeryta z miasta Wielki Guslar.

Przesiadując tak przy basenie, przegadali mnóstwo tematów. Pytończyk lubił gromić demokratów. Za co — nie wiadomo, wszak za komuny był drobnym urzędniczyną, dostawał łapówki w bramie i to w wysokości trojaka, a w epoce demokracji przygruchał sobie referentkę z nogami, które zaczynały się od biustu, a o jej piersiach pewien bard napisał piosenkę „Jak dotykałem Himalajów”.

Udałow nalatawszy się po odległych galaktykach, skłaniał się raczej ku demokratom, ponieważ sądził, że demokratom bliski jest demos. Pytończykowi nie mówiło swoim sekretnym przekonaniu — po co ma się denerwować człowieka na takim stanowisku?

Na statku „Pamięć Nachimowa” było pustawo, ponieważ na plażach Suchumi trwała pełnia sezonu. Z basenu korzystała tylko Dylemma Kofanowa — znana piosenkarka rockowa, której Udałow wcześniej nie znał. Wszyscy sądzili, że jej imię to pseudonim, tylko Pytończyk, który wiedział wszystko o wszystkich, i dlatego ciągle jeszcze żył, poinformował Udałowa, że Dylemma to jej prawdziwe imię. Ale na nazwisko ma Wagończyk. Tak więc to nazwisko, nie imię, ukrywała.

Wasyli Borysowicz długo śmiał się, zasłaniając usta dłonią — był to człowiek dowcipny, ale świadomy, że nie jest to bezpieczne. Dylemma dysponowała ochroniarzem, tym niemniej ciągnęło ją do Pytończyka, ponieważ miała wspaniale rozwiniętą kobiecą intuicję, która podpowiadała jej, że Pytończyk, gdyby

chciał, mógłby spokojnie połknąć wszystkich jej wielbicieli, i nawet by się nie skrzywił.

I taki człowiek, na którego skinienie dłoni do burty statku podjeżdżał mercedes, któremu byli posłowie Związku Radzieckiego składali wizyty w czarnych frakach, miał jedną słabostkę! Był ofiarą współczesnych zabobonów — wierzył w astrologię, latające talerze, telepatię, czarną i białą magię, żywą wodę i dusz migrację. Przenoszenie się dusz interesowało Wasylego Borysowicza najbardziej. Wyciągnąwszy przed siebie owłosione nóżki, tak, by czyste pięty zwisały nad basenem, sącząc sok z guajawy, Wasyli Borysowicz perorował:

— Okazuje się — tylko pomyśl, Korneliuszu! — że myśmy już mieszkali na tym świecie, ale zupełnie w innym charakterze. Może byłeś niewolnikiem przy budowie starożytnych piramid, a ja, powiedzmy, doradcą faraona. I ciągle przychodziło mi, wybaczyć, spuszczać ci łanie za niedołęstwo.

Wasyli Borysowicz rozszerzył nozdrza i zmrużył malutkie żółtawe oczka. Widocznie posiadał specyficzną wyobraźnię: żył w nim niezrealizowany tyran i dyktator.

— A mówią ludzie — powiedziała Dylemma Kofanowa — że człowiek podczas migracji dusz zachowuje swoje uzdolnienia.

Podpłynęła w międzyczasie do burty basen. Jej czepek kąpielowy był oklejony niewielkimi gumowymi rajskimi ptaszkami, a na twarzy niemal nie miała makijażu, dlatego tylko najbliżsi znajomi mogli odgadnąć z kim mają do czynienia.

— Na tym zasadza się idea wyboru Dalaj Lamy — rozwinął temat Wasyli Borysowicz. — Do najodleglejszych punktów Tybetu wysyłani są kurierzy, by sprawdzili, czy nie urodził się tam w chwili śmierci poprzedniego Dalaj Lamy jakiś chłopczyk. Przy tym ma on posiadać szereg odpowiednich cech.

— Pieprzyk na czole — powiedziała Dylemma.

— Pieprzyk, gabaryty, kształt nosa i tak dalej. Jeśli wszystko się zgadza, to chłopca biorą do klasztoru i wychowują. Tak długo, aż nadejdzie czas jego inauguracji. Jasne?

Wasyli Borysowicz pytał poważnie, jak podwładnego, dlatego też Udałow odpowiedział poważnie, jak podwładny.

— Jasne. Wychowują chłopca.

— Oczywiście, nic nie rozumiesz — westchnął Pytończyk. — To już nie jest chłopczyk, a nowe wcielenie Dalaj Lamy.

— Nie to jest najważniejsze — powiedziała Dylemma i podpłynęła tak blisko, że Udałowa zaniepokoiło, czy nie uderzy się o piętę Pytończyka. — Tylko to, że każdy z nas już kiedyś żył i cieszył się naturą oraz różnymi łaskami.

— W poprzednim życiu siedziałas w domu i nie pływałaś po morzach i oceanach — poważnie rzucił Pytończyk do Dylemmy.

— O nie! Byłam markizą! W obronie mojego honoru szlachetni ludzie — dworzanie, hrabiowie — obnażali szpady, lała się krew... Morze krwi!



Przyszedł barman, brunecik, z kędziorkami po trwałej. Zapytał, czy coś im podać. Zapytał również Korneliusza, albowiem był wykształcony w nowych tradycjach, w których pieniądze decydują o wszystkim. Ponieważ było chłodnawo, zamówione zostały napoje rozgrzewające i Wasyli Borysowicz kontynuował interesującą rozmowę:

— Mam znajomego dyrektora pewnego instytutu, nie będziemy wnikali, jakiego...

Odczekał odpowiednią pauzę, by obecni zrozumieli jak tajny jest ten instytut.

— Opowiedział mi ze szczegółami, jak można się dowiedzieć, kim był człowiek w poprzednim wcieleniu.

— Oj! — powiedziała Dylemma i niemal upuściła kieliszek do basenu.

— Ale to tylko teoria? — zapytał Udałow.

— A czy ja jestem podobny do teoretyka? — oburzył się Wasyli Borysowicz. — To już jest dokładnie rozpracowane. Wprowadzają dane do maszyny, obliczają przez dwadzieścia sekund i otrzymujesz odpowiedź: obecny tu typ zamieszkiwał Ziemię trzysta lat temu i spędził swoje życie w więzieniu „Kriesty” za kradzieże kieszonkowe i okradanie sierocińców.

— O kim pan mówi? — przestraszyła się Dylemma. Tak się przejęła jego słowami, że aż się rozejrzała, w obawie, że opisany drań wcielony przedostał się nad basen.

— To jest program doświadczalny — poinformował Wasyli Borysowicz półgłosem. — Dla wiodących państwowych urzędników. W Japonii ma to już masowy charakter.

— Proszę opowiedzieć! — błagała Dylemma.

— Więcej ani słowa — odciął Pytończyk. — Tu wszystko ma uszy.

Barman natychmiast wysunął się zza swoich drzwiczek — uszy miał cienkie, przeźroczyste. Ale mowa była o innych uszach.

Rozmowa miała ciąg dalszy wieczorem, kiedy Dylemma odśpiewała swoje trzy piosenki w koncercie dla nielicznych pasażerów obecnych w salonie „Mala-chitowa reduta”, pozbyła się lepkich wielbicieli i poleciała goryłowi zażyć wódki i iść do kajuty. Tak więc zostali w salonie we troje, sporo wypili i Wasyli Borysowicz nabrał humorku. Kocie oczka Pytończyka błyszcząły, przewidując zainteresowanie rozmówców jego sekretem, już się cieszył na myśl, jak ich pomęczy, zanim go przed nimi odsłoni... Podał się dopiero pół godziny przed północą.

— Chłopaki z FBŚ szepnęli mi co nieco — powiedział. — Mamy już nowe wyniki. Wywracają wszystkie nasze oczekiwania... Gorzej być nie może.

— Wasyli Borysowiczu — odważył się przerwać mu Udałow — a w jakim celu przeprowadzany jest ten państwowy program? Przecież jak ktoś kimś jest, to jest. Przecież nie będziemy wsadzali do więzienia za poprzednie jego powłoki?

— Och, jak palnął! — ucieszyła się Dylemma. — Poprzednia powłoka! Ja też taką miałam.

— Ty miałaś skórę — brutalnie zgasił ją Wasyli Borysowicz, ponieważ był świadomy swojej władzy i mógł poznęcać się nad bliźnimi. — A program jest realizowany w wiadomym celu. Żeby wiedzieć, czego można w przyszłości oczekiwać od towarzysza na odpowiedzialnym stanowisku.

— Ale i tak nie rozumiem — wtrąciła się Dylemma. — Co ma do tego charakter i skłonności?

— Na wysokim stanowisku konsekwencje czyichś odchyłeń mogą być prawdę fatalne.

— A jak komisja. . .

— I w tym jest cały problem. — Pytończyk nalał sobie „Białego konia” do kieliszka, dodał szampańskiego, bo lubił bawić się w sposób wyrafinowany, walał miksta i przekąsił homarkiem. — Komisja jest na najwyższym poziomie. Jeśli taki „wcieleniec” okaże się niesterowalny, niebezpieczny, to ona stara się go po cichu usunąć, póki parlamentarna дума się nie dowiedziała i nie zaproponowała go na prezydenta. Kosztowaliście homarów? Bardzo smaczne, serdecznie polecam, jeśli nie macie problemów z walutą.

— Ja mogę sobie pozwolić — odszczeknęła Dylemma.

Ludzi można poznać po drobiazgach. A co się tyczy drobiazgów, to Wasyli Borysowicz był raczej skapiradłem.

— Przepraszam — zapytał Udałow — a jakiś przykład?

— Ja ci podam przykład, a ty polecisz do prasy, wybuchnie sensacja. . . A mnie potem nieumyślnie przejedzie samochód inkasenta. To się zdarza. . .

— Ale my nikomu — ani mru-mru! Cicho-sza.

— Nie musi pan używać imion i nazwisk — poprosił Udałow. — Można tak: pewien towarzysz czy pewna obywatelka. . .

— A tam, i tak ryzykuję strasznie, oj strasznie. . . Pytończyk zamilkł. Potem walał jeszcze jedną szklanekę whisky z szampanem. Złoty sygnet ze szmaragdem zagadkowo błysnął, strzelił laserowym promieniem po salonie. Dylemma napięła się jak pantera — dla takiego szmaragdu skoczyłaby z dziesiątego piętra.

— Podaję przykład — powiedział cicho Pytończyk. — Jest pewien człowiek w stolicy. Na kierowniczym stanowisku. Zaczął wywoływać zaniepokojenie specjalistów swoją gigantomanią.

— Jak to? — zdziwiła się Dylemma, której to słowo nic nie mówiło.

— Zaczął się na skalę stolicy zabawiać Dnieprogesami. I to im dalej, tym gorzej. Poza granice rozumu. No, przypuśćmy, jest w stolicy trzysta zburzonych cerkwi. A ten buduje na pustym miejscu sobór wyższy do wieży Eiffla. Albo niweluje górę — stawia na jej miejscu szczyt sięgający Księżycy. Nawet ogród zoologiczny zmienił w gotycki zamek wielki na dziesięć kwartałów. A w centrum miasta powstał wykrot. . .

— Wiem, wiem — powiedziała Dylemma. — Ma pan na myśli. . .

— Ani słowa! — syknął wściekle Pytończyk. — Nie mam zamiaru ginać przez plotki.

Własnoręcznie wlał do gardła śpiewaczki szklanę whisky z piwem. „Konotopski bies” — tak zwie się ten koktajl w kręgach szarej strefy. A Udałow, chcąc jakoś wypełnić niezręczną pauzę, zapytał:

— No i jakie osiągnięto wyniki?

— Zebrała się komisja, pobrała od niego włosy. I wykryła, że w rzeczywistości jest przesiedleńcem. . .

— A kim był w poprzednim wcieleniu? — zatchnęła się Dylemma.

— Faraonem Cheopsem — odpowiedział Pytończyk patrząc na sufit, po którym błąkały się plamy z kolorowego reflektora.

— Kim? — powtórnie zapytała Dylemma.

— Egipskim faraonem. Zbudował piramidę przy pomocy niewolniczego trudu rodaków, nie zwracając uwagi na panujące dookoła ubóstwo i ucisk mas pracujących.

— On kłamie, prawda? — zapytała Dylemma Udałowa.

Ale Korneliusz Iwanowicz nie był co do tego przekonany, dlatego tylko pokręcił głową. Gdzieś, kiedyś, słyszał o takim okrutnym faraonie.

— Proszę się nie miotać — oświadczył Pytończyk. — To, czego się ode mnie dowiedzieliście, nikt inny wam nie powie. Top secret!

— No to co? — zapytał Udałow. — To było przypuszczenie. . .

— Głupis! Nie przypuszczenie, a dowód! Przekonująco udowodnili. Teraz te opracowania wdrażają u siebie Japończycy. Oni nawet nie wezmą człowieka na dozorcę, póki nie sprawdzą, kim był w poprzednim wcieleniu.

— A konkretnie? — zapytała Dylemma.

— Konkretnie — zebrała się Rada Bezpieczeństwa, wezwała człowieka i powiada: „Możesz sobie świątynie i parkingi tworzyć, nawet największe na świecie. Ale pamiętaj, że mamy cię na oku i oczekujemy z twojej strony zagrożenia. Tak więc od dziś, drogi towarzyszu, zabraniamy ci wznoszenia w Moskwie piramid i grobowców. Jakby co, to my cię, jak Cheopsa, zamurujemy w piramidzie i siedz sobie tam, aż do odpowiedniego terminu”.

— I co on na to? — Brązowe oczy Dylemmy płonęły.

— Zapłakał. Mimo wszystko naturę ma cheopsią, za przeproszeniem. Potem się uspokoił. Ważniejsze dla niego było zachowanie stanowiska. Na tym stołku przysługuje mu grobowiec na Nowodziewiczym, reprezentacyjnym, cokolwiek by mówić, cmentarzu w Wielkim Guslarze

Wasyli Borysowicz pomachał palcami, przywołał kelnera i zamówił jeszcze butelkę whisky i więcej cocacoli.

— A kogoś poza nim sprawdzano? — zapytała Dylemma.

— Polityków nie ruszaliśmy — powiedział Pytończyk z chytrym pijanym uśmiechem.

— A członków rządu? — zapytała Dylemma.

Ale Pytończyk uchylił się, złapał niedopitą butelkę, ponieważ nie istniał taki stan upojenia, żeby nie zabrał swojego, i powędrował do swojej kajuty. Tak więc dowiedział się tego wieczora Udałow sporo, ale nie wystarczająco dużo.

Więcej do rozmowy o reinkarnacji nie wracano, ponieważ Pytończyk ujawnił inne zainteresowania, związane z córką pewnego ministra z sąsiedniego półluka, która sypiała z ochroniarzem Dylemmy. W rezultacie wybuchł skandal z mordobicie, a Udałowa nikt nie zauważał, i niemal nikt już się z nim nie witał.

Korneliusz wierzył w otrzymaną od Pytończyka informację, i nie wierzył jednocześnie. Rodziły się w nim dodatkowe pytania, ale nie miał komu ich zadać.

Do ostatniego dnia wycieczki. Tego dnia bowiem, kiedy liniowiec dumnie przybił do nabrzeża portu w Odessie, los ostatni raz zetknął ze sobą byłych miłych rozmówców na trapie. Jak w tragedii, w której w ostatniej scenie wychodzą wszystkie ofiary i niegodziwcy, by wyjaśnić do końca stosunki i zaszłości.

Jako pierwsza schodziła po trapie Dylemma, w pomarańczowych włosach i zielonym płaszczu. Pogranicznicy na jej widok przybili do daszków. Ochroniarz przeszył ich wilczym spojrzeniem. Następny schodził Udałow z małżonką. Już na nabrzeżu udało mu się dogonić Dylemmę i powiedzieć jej:

— Do widzenia, Dylemmo Matwiejewno. Było mi miło panią poznać. Dziękuję w imieniu publiczności za pani talent.

Dylemma odwróciła się. W chwili rozstania coś drgnęło w jej sercu. Uśmiechnęła się, błysnęła piwnymi oczyma, machnęła rękami i powiedziała:

— Klawo się napompowaliśmy tamtego wieczoru! Ksenia jęknęła: Udałow nie do wszystkiego się przyznawał!

— Nie bój się, mamuśka — powiedziała do niej Dylemma. — Z twoim mężem łączą nas stosunki pełne zaufania, ale nie intymne.

— Właśnie! — rozległ się głos z góry. Po trapie schodził Wasyli Borysowicz. Pytończyk we własnej osobie. — Miło sobie posiedzieliśmy.

Okazało się, że i on bywał sentymentalny. Udałow rozplynał się w uśmiechu.

— Rad jestem z panem się pożegnać! — zawołał. Zatrzymali się wszyscy przy trapie na nabrzeżu. Granatowy mercedes wolno pełzył wzdłuż burty statku.

— No, już po mnie przyjechali — z pewną nostalgią w głosie powiedział Pytończyk.

— No to proszę powiedzieć, bo przez całe życie będzie mnie to męczyć — błagalnym tonem powiedziała Dylemma. — Proszę powiedzieć, kim wcześniej był ten człowiek, który tak brutalnie odnosi się do kobiet? Wie pan, o kim mówię? Ten z telewizora! Aż mnie ciarki przechodzą, jak go widzę.

— Życie nie jest takie proste, maleńka — powiedział Wasyli Borysowicz, czule, ale stanowczo biorąc pod bródkę śpiewaczkę i odwracając ją do siebie z widocznym zamiarem wpicia się ustami w różowe wargi obywatelki Wagończyk. —

Myślisz, że jeśli człowiek oświadcza, że zamierza umyć swoje buty w Oceanie Indyjskim, to oznacza to, że kiedyś był Aleksandrem Macedońskim?

— Tak — szepnęła Dylemma, nie próbując się wyrwać.

— Nie, bo kiedy sprawdziliśmy na poziomie genetycznym, to okazało się, że w poprzednim wcieleniu ten nasz bohater był Czuczczą!

— Ach! — wyrwało się Udałowowi.

— No właśnie. I ten oto towarzysz Czuczczka przez całe poprzednie życie marzył o tym, by umyć stopy w ciepłej wodzie. A ponieważ władza radziecka dała Czuczczki wykształcenie podstawowe i powiadomiła o istnieniu kraju takiego jak Indie, ale gorącej wody do tamtych okolic nie doprowadziła, to i wykształciło się u niego marzenie, niezrealizowane w wyniku uprzedniego zgonu Czuczczyna kłach morsa.

Powiedziawszy tak, Pytończyk namiętnie wpił się wargami w usta śpiewaczki, a Ksenia Udałowa gwałtownym ruchem pociągnęła męża do komory celnej i stanowiska kontroli paszportowej.

A granatowy mercedes, który — jak sądził Pytończyk — przyjechał po niego, zahamował obok całującej się pary, bezszelestnie i szybko opuściły się przyciemnione szyby i z wnętrza rozbłysły białe wybuchy. Okazało się, że ktoś strzelał z samochodu — po Wasylego Borysowicza przyjechali nie przyjaciele, a wrogowie.

Pytończyk opadł na mokry i zimny asfalt, ciągnąc za sobą Dylemmę. Której było, zresztą wszystko jedno, bo zginęła i ona.

Krzyczała Ksenia, jęknął Udałow — na szczęście w tym momencie znajdowali się już o kilka kroków od miejsca tragedii.

Na pogrzebie Udałow nie mogli zostać — mieli już wykupione bilety do Wołogdy.

Korneliusza przygniała ciężar.

Wiele rzeczy przyszło mu w życiu widzieć, ale takiego bestialstwa — ani razu.

Dlatego można zrozumieć, dlaczego z żadnym z przyjaciół nie podzielił się wiedzą o reinkarnacji. Jakby powstała jakaś czarna kurtyнка w jego pamięci — a za nią ukryły się rozmowy prowadzone podczas rejsu na statku.

A rąbek tajemnicy uchylił się tego mało przyjemnego dnia, kiedy Usiszczew zaproponował mieszkańcom Wielkiego Guslaru, żeby wybrali w każdej bramie po jednym donosicielu, który będzie informował władze miasta o nastrojach i nieodpowiednich słowach.

Tego dnia Udałow poszedł z profesorem Mincem na spacer po nadbrzeżu, witali się ze znajomymi, rozmawiali półgłosem. I nagle Minc nieoczekiwanie pchnął do przodu rozmyślenia swego przyjaciela.

— Czasem wydaje mi się, że Usiszczew w poprzednim życiu musiał być Priszbiejewym z opowiadania Czechowa. Lubił on wszystkiego zabraniać i wszystko ucinać. A przy tym żulik i niegodziwiec, chyba że go myślę z kim innym.

— Chcesz powiedzieć, że Usiszczew żył na Ziemi wcześniej? — wyrwało się Korneliuszowi, i od razu, krystalicznie przejrzysto stanęła przed jego oczami scena z salonu statku „Pamięć Nachimowa”, pijane spojrzenie Wasylego Borysowicza i płonące oczy biednej Dylemmy.

— Istnieje taka teoria — powiedział Minc i cisnął do rzeczki Guś płaski kamyczek. Nadciągała zima, blisko brzegu rzekę już zaciągał lód — kamyczek brzęknął soczyście, uderzywszy w krę i dopiero potem zginął w ciemnej listopadowej toni. — Ale naukowo nie została potwierdzona.

— Czy to znaczy, że myśmy już swoje przeżyli?

— Nie wykluczam — uśmiechnął się smutno profesor. — I nawet już umarliśmy.

— A mnie pewien nieżyjący już człowiek powiedział, że w pewnym naszym instytucie działa aparatura pomiarowa, a Japończycy to już nawet bez sprawdzenia kto kim był, nie biorą do pracy.

— Jakże znowu sprawdzanie? — zawołał Minc.

— No, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Jeśli człowiek w poprzednim życiu był partyzantem, to za nic nie można go brać do pracy w charakterze dróżnika. Wcześniej czy później pochodzenie i przeszłość wezmą górę i człowiek wysadzi w powietrze powierzony mu pociąg.

— Gdzieś ty się nasłuchiwał takich bzdur?

— Przecież mówię — całe instytuty tym się zajmują. A my tu siedzimy na pieku!

Udałow nie chciał urazić profesora, ale, oczywiście, uraził. Minc zamilkł i zaczął przyglądać się szarym chmurom.

— W Moskwie wykonano doświadczenie z pewnym towarzyszem na odpowiedzianym stanowisku — powiedział Udałow, dotykając rękawem przyjaciela. — Wyróżnia gigantomania za państwowe pieniądze. To sobór, to monument, a ludzie nie mają co do gara włożyć... — I co? — zapytał Minc.

— A to, że okazał się wcieleniem egipskiego faraona Cheopsa.

— Mało prawdopodobne!

— Co mało prawdopodobne? Jest takie zarządzenie rządu — zabrania mu się wznoszenia na terenie Rosji piramid i obelisków.

Minc uśmiechnął się. Ciągłe jeszcze był sceptycznie nastawiony do rewelacji Udałowa.

— A inny, co to chciał nogi umyć w Oceanie Indyjskim okazał się... — zaczął; Udałow.

— Tylko mi nie mów, że jest wcieleniem Aleksandra Macedońskiego.

— Nie, jest wcieleniem Czuczki, który tęsknił do ciepłej wody.

— Przecież to śmieszne.

— No to sam sprawdź. To wy jesteście uczeni, macie wszelkie dane, argumenty, wykształcenie...

— Czemu nie? W przyszłym tygodniu jadę do Barcelony na kongres inżynierii genetycznej, to pogadam z kim trzeba.

Na tym stanęło, a w nocy Udałowowi śnił się koszmar z nieszczęsną Dylemą Kofanową, rozciągniętą u jego stóp na mokrym i zimnym asfalcie odeskiego portu.

Wróciwszy z Barcelony profesor Minc od razu zajrzał do Udałowych. Minc był podniecony, kropelki potu połyskiwały na łysinie, oddech miał płytki i przyspieszony.

— Idziemy do mnie! — polecił, ledwie się przywitawszy.

Ksenia już miała zamiar najpierw polecić Korneliuszowi, by dokończył kompot, ale wygląd sąsiada przekonał ją, że stało się coś wyjątkowego, więc nie odezwała się.

Na dole Minc otworzył teczkę, wysypał z niej papiery, kasety i karty perforowane i kilka różnych przyrządów.

— Żyjemy na zapiecku! — krzyknął piskliwie. — Dookoła ludzie odkrywają i zakrywają Ameryki, a my nie wiemy, kto z nas jest reinkarnantem!

— A oni tam wiedzą?

— Miałeś rację, Korneliuszu, i wstyd mi, że jestem taki prowincjonalny.

— Czy to znaczy, że ten tam jest naprawdę z Cheopsów? — zapytał Korneliusz.

Minc nie od razu przypomniał sobie o kim mowa, potem plasnął się w łysinę i roześmiał:

— Cheops, dokładnie tak. Ale to dopiero początek...

— Lwie Christoforowiczu, a jak z innymi?

— Korneliuszu, weź się w garść. Konferencja były międzynarodowa. Ich interesują swoje osobistości. Madame Thatcher, na przykład...

— No? Kim ona jest?

— Sam się powinienes domyślić. Oczywiście, że królową Elżbietą Pierwszą.

— No tak — zgodził się Udałow, który nawet nie wyobrażał sobie, czym wsławiła się Elżbieta Pierwsza. — A inni?

— Weźmy takiego prezydenta Clintona...

— A w nosie mam prezydenta Clintona... w przenośni, rzecz jasna.

— Aleja innych nie pamiętam... Aha, mówili mi o naszym reżyserze Michałkowie.

— Że co?

— Zapomniałem. Coś zagranicznego, ale — zapomniałem.

— Zaraz powiesz, że nie pamiętasz kim była Ała Pugaczowa?

— Brak danych. I odczep się ode mnie z tymi drobnymi konkretami! Ty, jak widzę, nie do końca uświadomiłeś sobie istotę odkrycia. Przecież każdy człowiek może się rodzić nie raz i nie dwa, a nawet dziesięć razy. W historii ludzkości nie jeden był Napoleon. Ale w większości przypadków nie udawało im się wdrapać

na szczyty władzy, pożarli ich inni rywale. Tak więc i piramid mamy niejedną, a sto...

— Rozumiem — powiedział Udałow. — Pierwszej Ałły Pugaczowej należy szukać w postaci Szeherazady.

— Łapiesz widzę! — pochwalił go Minc. — A teraz powiedz mi, co u nas w Guslarze. Co nowego, co złego?

— Och, nie pytaj lepiej. Obawiam się, że nie dożyjemy do wyborów. Rządzi się Usiszczew, zagarnia władzę. A jak go wybierzemy — pożre nas.

Minc kiwał ze współczuciem głową. Potem położył na stole ciężką czarną kulę wielkości dużego jabłka.

— To jest generator — poinformował Udałowa. — Emituje energię łączącą pola.

— Jakie pola?

— Między reinkarnantami istnieje wspólne pole. Żeby je odnaleźć i rozmieścić w nim reinkarnantów, konieczna jest ta kula.

— Rozumiem — powiedział Udałow. — Czyli zdobyłeś tę maszynkę?

— Tak jest — zgodził się Minc. — Oto jej druga część.

Druga część wyglądała jak stożek, na podstawie którego widniał owalny ekran nieco większy od dłoni; na czubku świeciła zielona lampka.

— Oto — powiedział Minc — sposób, by zobaczyć osobę, której reinkarnantem jesteś, Udałow.

— Mnie w to nie wciągaj. To nic ciekawego — sprzeciwił się Udałow.

— Wcale nie sądziłem, że w twojej przeszłości zobaczę jeszcze jednego podróznika po galaktyce, zwyczajnego bohatera wszechświata.

Widocznie Minc żartował. W każdym razie Udałow wolał uznać jego słowa za żart.

— No to poszukajmy czyim reinkarnantem ty jesteś, Lwie Christoforowiczu — odzyskał rezon Korneliusz.

— Ach, daj spokój, Korneliuszu — machnął ręką profesor.

— Dlaczego? Jesteś jednostką znaną, można powiedzieć — genialną.

— Może, ale kiedyś, nie teraz.

— Przecież tym kiedyś właśnie jesteśmy zainteresowani.

— Nie, nie, pożytku ze mnie nie będzie — zaparł się profesor.

— A może jesteś wcieleniem samego Leonardo da Vinci! Ja co do tego niemal nie mam wątpliwości, może z wyjątkiem guza.

Udałow przewrotnie, choć bez złośliwości, wskazał niewielki guz, który od zawsze widniał nad prawym uchem profesora.

— Nie rozumiem — zaniepokoił się Minc.

— W to miejsce, jak powiada nauka — odparł Udałow — Izaak Newton obe-rwał jabłkiem.



Minc usiłował się roześmiać, ale był to jakiś nieprzekonujący śmiech. Korneliusz zrozumiał, że siebie samego profesor nie będzie sprawdzać na wcielenie. A jeśli nawet sprawdzi, to w tajemnicy przed społeczeństwem. Stało się jasne po nieudanym żarcie Korneliusza, że Minc wpadł w panikę: a może jest wcieleniem jakiegoś zupełnie nieznanego i nawet nieciekawego człowieka, jakiegoś podrzutka Historii?

— Nurtuje mnie taki oto problem — powiedział nagle Minc — przyszłość naszego miasta.

Udałow aż otworzył usta ze zdziwienia. Przyszłość rodzinnego miasta nijak się chyba nie miała do problemu wcielenia.

— Udałow, Udałow! — pokiwał z wyrzutem głową profesor. — Mimo twoich bohaterskich czynów i życiowego doświadczenia, nie jesteś w stanie spojrzeć dalej niż poza czubek nosa. A ja myślę na wielką skalę. Mnie nie interesuje w tej chwili, kim był w poprzednim życiu Francois Mitterand czy Ała Pugaczowa. To banalne. Nie obchodzi mnie, czy spadło jabłko na głowę mnie czy innemu Newtonowi. To też jest powierzchowne. Przypomina to stary dziecinny żart.

— Jaki?

— Wymień część twarzy.

— Nos.

— Poeta?

— Puszkina.

— Dziewięćdziesiąt sześć procent ludzi odpowiada dokładnie tak samo — biorą to, co leży na samym wierzchu umysłu i proponują to ludzkości. Mój geniusz natomiast polega na tym, by wyszukiwać nowe szlaki.

— I powiedzieć „ucho” oraz „Lermontow”?

— Nie, gołębczku. Powiedzieć „brew” i „Safo”.

W tym momencie Udałow musiał złożyć broń, ponieważ nie wiedział kim był Safo.

— Każdy wynalazek — kontynuował Minc, przemierzając ciasny gabinet z rękami za plecami i wypiętym okrągłym brzuszkiem — powinien służyć ludzkości. I jeśli zobaczymy w tym urzędzeniu, że jestem wcieleniem Łomonosowa, to niczego to nikomu nie da. I bez tego jestem znanym uczonym. Jednakże, jeśli uda nam się zajrzeć do przeszłości towarzysza Usiszczewa, to może uratujemy nasze miasto.

— Jassne — szepnął Udałow i rzucił zaniepokojone spojrzenie w stronę okna.

Dla tych, co nie wiedzą co jest grane, wyjaśniamy, że do wyborów w Wielkim Guslarze pozostało sześć dni. A do władzy rwał się niejaki Usiszczew, osobnik zrodzony przez nowe czasy; pojawił się w mieście nie wiadomo skąd, najpierw jako właściciel kramu przy bazarze, potem przeniknął do władz miasta, następnie stanął na czele „Guslarnieurządbanku”, założycielami którego stali się niektórzy ojcowie i matki miasta, a depozytariuszami — mieszkańcy onegoż. Zebrawszy

wszystkie pieniądze Usiszczew oświadczył, że wypłacać niczego nie zamierza, z powodu antyludowej polityki moskiewskiego rządu w Bośni i Hercegowinie. Lud Wielkiego Guslaru mocno się wzburzył i pisał na Usiszczewa listy do różnych instancji. Ale miejskie instancje w przeważającej liczbie pieniędzy swoich nie straciły, a nawet powiększyły swoje kapitały w banku, co zaś się tyczy guslarczyków z dołów społecznych, to Usiszczew wymyślił dla nich godne igrzyska. Ogłosił mianowicie przez radio, że wszystkiemu są winni demokraci i kiedy się z nimi ostatecznie rozliczymy, to dochody wszystkich mieszkańców Guslaru potroją się.

I wszyscy z radości zapomnieli, że dochody te leżą i będą leżeć w sejfie towarzysza Usiszczewa.

Jak w każdej rosyjskiej społeczności, nie wszyscy chóralnie przemawiali za tym, by pan Usiszczew stał się panem Wielkiego Guslaru. Niektórzy nawet oburzali się i nazywali go społecznym mętem. Tak więc towarzysz Usiszczew zmuszony był do wynajęcia ochrony z podmoskiewskich Luberec, by odgrodzić siebie od demokratycznego terroru, a poza tym, by przeciwną na swoją stronę miejską milicję, obiecawszy budowę dla milicjantów basenu, a dla ich dzieci szkoły jazdy figurowej na lodzie. Nie mówiąc już o materialnym wsparciu służb porządkowych. Na dodatek do miasta przybyło, ale na razie tylko przyczaiło się, szesnastu bezkarnych szefów band narodowości kaukaskiej, którzy mieli pomóc w dniu wyborów w niedopuszczeniu do urn prowokatorów.

Usiszczew nie żartował. Korespondent „Guslarskiego Sztandaru” Misza Stendal opublikował artykuł „Jeśli ktoś ukradł kolej żelazną...”. Mówiło się w nim o obyczajach w USA, gdzie potężni przestępcy stoją ponad prawem. I oto trzeci już dzień Misza leży w szpitalu z połamanymi żebrami, a Usiszczew w tejże gazecie opublikował odpowiedź skierowaną do pewnego chuligana, który podniósł rękę na świętego...

Z miasta zaczęli emigrować obywatele. Ale emigrację Usiszczew zablokował — nie miał zamiaru rządzić pustym miastem. W tym celu na rogatek zostały ustawione posterunki drogówki.

Oto jaką sytuację zastał Udałow, kiedy wrócił z wycieczki po Morzu Śródziemnym, a Minc — z Barcelony.

— Dla mnie twoje słowa, Korneliuszu — powiedział Minc — były ważnym bodźcem. Zrodziły we mnie przekonanie, że uda nam się podpatrzeć, czyim wcieleniem jest ten nasz bandyta, złodziej i przyszły niszczyciel miasta Wielki Guslar.

— Zwariowałeś! Przecież on nas zetrze na pył!

— Jeśli naród nie może sam siebie ratować i nie chce tego, to do akcji wkraczają przyjaciele ludu. Muszę mieć włos Usiszczewa.

— Z wąsów?

— Z dowolnego miejsca.

Udałow zamyślił się. Zadanie było jakby niewykonalne, ale istniała pewna dyskretna szansa: wychodząc co rano z mercedesa przy budynku „Guslarnieu-rządbanku”, zajmującego budynek po byłej Szkole Muzycznej imienia Rimskiego-Korsakowa (niegdyś ów kompozytor odbywał w tej okolicy praktykę morską i dlatego wybudował mocny piętrowy budynek za swoje własne prywatne pieniądze), pan Usiszczew, zanim przystąpił do swych obowiązków, wstępował do Zakładu Fryzjerskiego nr 1, mieszczącego się w sąsiednim budynku i golił się z użyciem wody kolońskiej „Christian-brutal” u starego mistrza Terzibaszanca.

— Idź, odpocznij przed akcją — poradził Udałowowi Minc.

Ale Udałow nie chciał odpoczywać. Poszedł do siebie, owszem, ale nie wypoczywać, a myśleć: co będzie jeśli, na przykład, dowiedzą się, że w przeszłości towarzysz Usiszczew był Iwanem Groźnym. I co dalej? Rozgłosić to? Czy pisać do Moskwy? A jak z Moskwy przyjdzie odpowiedź: „Kierujcie go do nas pilnie. Ojczyzna potrzebuje!”

Następnego dnia o 10.25 Udałow wpadł bez pukania do laboratorium profesora.

Wpadł i otworzył dłoń. Zaciskał w niej fryzjerską serwetkę, a na niej było trochę wyschniętej piany ze szczecina.

Minc, zajęty przygotowaniami do wizyty Udałowa, zapytał:

— Nie pomyliłeś się?

— Obserwowałem wszystko z kąta, osobiście zebrałem.

— No to idź na spacer, a ja spróbuję się dowiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Udałow przespacerował się po okolicy, doszedł do muzeum, wrócił, posiedział na ławeczce i nagle usłyszał głos przyjaciela:

— Która godzina?

— W pół do trzeciej.

— Niemal się domyśliłem! — zawołał profesor.

— No to z jakiego on jest plemienia?

— Nie mogę powiedzieć, to zbyt straszne.

— Czyżby Hitler?

— Ciekawszy... I straszniejszy.

— No to co robimy? — Udałow nie był tchórzem, ale w tym momencie ogarnęła go przedstartowa gorączka.

— Jeśli się nie boisz, to chodź ze mną — zaproponował Minc.

— Idziemy.

Po minucie z bramy wyłonił się Minc z grubą teczką. Stale żartował, że zabierze ją ze sobą, kiedy pojedzie po nagrodę Nobla.

Po drodze Udałow kilka razy usiłował wyciągnąć z przyjaciela, jaką tajemnicę niesie w duchu, ale profesor był zagadkowy, zamyślony i smutny.

— Straszne! — powtarzał od czasu do czasu. — To straszne!

Po ciele Udałowa wędrowały hordy ciarek.

Tak zdecydowanie podeszli do „Guslarnieurządbanku”, że lubereckie zuchy, co ochraniały wejście, ledwo zdążyły skrzyżować przed przybyszami automaty.

Udałow ze zdziwieniem patrzył na fasadę.

Fasada szkoły nie zmieniła się, tylko profil Rymskiego-Korsakowa został odłupany, a na jego miejscu pojawił się profil Usiszczewa. Podpis na razie został ten sam: „Wielki rosyjski kompozytor”.

— My do towarzysza Usiszczewa — poważnie odezwał się Minc.

Luberecka młodź między innymi dlatego stanęła w ochronie Usiszczewa, że nie знаła nikogo w Guslarze. Czy w mieście znalazłby się taki, co odważyłby się zatrzymać i nie wpuścić Minca i Udałowa? Nie było takiego wśród mieszkańców...

— Spadaj, ojczulku — powiedział ochroniarz.

Oburzony Minc, którego nikt jeszcze tak nie spostponował w Guslarze, rozłościł się i trzasnął chama teczką w rękę. Automat upadł, a drugi ochroniarz odwrócił się, zamierzając przeszyć serią parę starych chuliganów.

Na szczęście hałas spowodował, że otworzyło się okno na piętrze i wyjrzała gęba najważniejszego zbója, i gęba ta powiedziała:

— Bez strzelaniny! Proszę wpuścić do mnie szanownych towarzyszy weteranów, moich kochanych wyborców. A ty, Wasyli, możesz czuć się zwolniony. Jeśli byle jaki stary Żyd może ci z ręki wytrącić automat — to twoje miejsce jest na cmentarzu...

— Szefie, nie oczekiwałem tego!

— W takim razie — na śmietnik — powiedział Usiszczew i wystrzelił w swojego ochroniarza z pistoletu. Goryl upadł bez życia, a jego purpurowa krew zrosiła automat, jak również buty Udałowa, a ten umknął do wnętrza szkoły muzycznej.

Wstrząśnięci z powodu wydarzenia, starszycy weszli na piętro. Usiszczew nie czekał na nich na szczycie schodów, ale dowiedzieli się, że zawsze urzęduje w błękitnym salonie, w klasie harf. Większość unikatowych harf sprzedał już do Bangladeszu, ale jedna — co prawda, bez strun — została w celu wytwarzania inteligentnego anturażu.

Tłusty, gładki, wąsaty, z cienkimi łapkami Usiszczew siedział za biurkiem, zastawionym jego kolekcją — figurkami nagich dziewczyn wykonanymi w radzieckich fabrykach porcelany.

Nie zaproponował gościom krzeseł, ale Minc, już otrząsnąwszy się ze wstrząsu, podszedł do biurka, postawił na rogu teczkę i powiedział:

— Mamy do was, towarzyszu Usiszczew, ważny problem dotyczący waszego pochodzenia.

— Moje pochodzenie nie podlega dyskusji! — nagle wystraszył się Usiszczew.

— Źle mnie pan zrozumiał — powiedział Minc. — Wiemy, że taka wybitna osobistość, jak wy, już żyła na tym świecie...

I w popularnej, przystępnej formie, wyłożył jutrzejszemu dyktatorowi Wielkiego Guslaru teorię przemieszczania się dusz. O przemieszczaniu tym dyktator wcześniej nie słyszał i, gdyby nie powaga otaczająca profesora Minca, to by w coś takiego nie uwierzył. Ale kiedy Minc rzekł: „Może wśród waszych poprzedników znajdzie się jakiś Napoleon” — Usiszczew jak płóć wziął się na to stwierdzenie, rozpląnął się w uśmiechu i zapytał:

— A czy to można sprecyzować?

— To nie jest łatwe — odpowiedział Minc.

— Ile chcecie za Napoleona? — zapytał Usiszczew.

— Aparatura zachodnia, dostrajanie precyzyjne. . .

— Sto bagsów? — zapytał Usiszczew.

— Proszę posłuchać, Usiszczew — rozeźlił się Minc. — Nie jesteśmy na bazarze. O jakich stu bagsach mowa, skoro dostaniecie od jutra prawo wypisywania na tabliczce „Były Napoleon, dziś towarzysz Usiszczew”?

— Dobra, może być i bez towarzysza — zgodził się Usiszczew. — A ile?

— Jutro wszechrosyjska telewizja zakomunikuje: „Miastem Wielki Guslar od niedawna kieruje nowy Napoleon”. Jak myślicie — nie pojawią się tu aby reprezentanci pewnych partii z propozycją startu w wyborach prezydenckich?

— Ale tam! — machnął ręką Usiszczew. Jego ręce, nieco nieskładnie połączone z tułowiem, były cienkie i kruche, a palce — jakby szponiaste.

— Tak więc będzie to was kosztowało dwanaście tysięcy dolarów przelewem na bank szwajcarski, jak również po nowym mieszkaniu dla nas z Udałowem, kiedy tylko wybiorą was jako wszechogólnego dobroczyńcę.

— Nie przejdzie!

Zaczęły się targi i trwały jakieś dziesięć minut. Minc i Usiszczew spocili się. Wyklócali się szczerze, namiętnie, a Udałow ciągle miał ochotę zawołać: „Lwie Christoforowiczu, wykiwa was, po oczkach widać! Popatrzcie o w te czarne kropki. Nie da ani grosza!”

W końcu dogadali się do trzech tysięcy i dwóch mieszkań.

Minc wyjął z teczki i rozłożył na biurku przyrządy. Usiszczew przyglądał mu się z mieszanymi uczuciami, ze strachem i nadzieją jednocześnie. Marzyło mu się zostać Napoleonem, ale bał się jakiegoś kantu i tego, że za dużo obiecał zapłacić za wątpliwą tajemnicę.

Środek blatu zajęła czarna kula. Przed sobą Minc ustawił stożek, zwróciwszy go ostrym końcem ku Usiszczewowi, a ekranem do siebie.

— Czy to nie jest niebezpieczne dla zdrowia? — zapytał Usiszczew.

— Dziedziczność nie ma żadnego odniesienia do zdrowia — odciął Minc. — Ale muszę uprzedzić, że reinkarnanta łączy ścisła więź wewnętrzna z jego poprzednikiem. A jak ścisła jest ta więź — tego jeszcze nie wiemy.

— A to, że jestem Napoleonem to wiadomo na pewno?

— Będzie wiadomo na pewno, jak sprawdzimy.

— No to dawaj! — polecił Usiszczew i poprawił budionowskie wąsiska. — Czas nagli. Bo może, czemu nie... I Aleksander Macedoński... Czuję czasem w sobie Aleksandra, tego, Macedońskiego.

— Proszę zamknąć oczy — polecił Minc.

Na ekranie stożka Udałow zobaczył wcale nie Usiszczewa i nawet nie Napoleona... Ekran zasnuwała jakaś mgła.

— A nie można by zrobić tak, żebym stał się zewnętrznie taki jak Napoleon? — zapytał Usiszczew, nie otwierając oczu. — Postaraj się, coś dorzucę.

— To właśnie zamierzamy zrobić. Jeśli takie jest wasze życzenie.

— Jasne — chcę być taki, jak ten... od którego pochodzę.

Mgła na ekranie zaczynała przybierać wyrazistą i przerażającą formę.

Udałow otworzył usta, żeby krzyknąć, ale Minc syknął nań jak kobra.

Brzęczenie w stożku i czarnej kuli nasiliło się.

I nagle Usiszczew zaczął wznosić się nad biurkiem opierając się o blat cienkimi łapkami. Zmniejszył się przy tym najbardziej zmniejszała się głowa, właściwie główka... Czarne punkciki oczu błyskały rozpaczliwie i ze złością, a Usiszczew wysychał, zmniejszał się, coraz szybciej i szybciej...

— Chciał tego — posepnie rzucił Minc.

Wielki czarny karaluch stał chwilę, rozglądając się, na środku biurka, potem rzucił się do ataku na Minca. Szarża była tak wściekła, że Minc z Udałowem skoczyli na boki, a karaluch Usiszczew, źle obliczywszy siły, zwałił się ze stołu i, widocznie zrozumiałwszy, że przyjdzie mu przemodelować swą działalność na inny świat, szybko rzucił się w kąt pomieszczenia.

— No i koniec — powiedział Minc, odłączając przyrządy. — O jednego człowieka mniej, o jednego karalucha więcej...

— Coś ty narobił! — zawołał Udałow. — Zabiłeś działacza miejskiego!

— Nikt nie zginął, nic nie zginęło. On teraz organizuje wybory w karaluszym królestwie... A my wynośmy się stąd, bo jeszcze jakiś lokaj z kałachem zajrzy i się zdziwi.

Wyszli ze szkoły muzycznej bez przeszkód. I poszli do domu.

A po drodze Udałow zażądał wyjaśnień. Jeszcze nie wszystko rozumiał.

— My, uczeni, popełniliśmy jeden błąd, co do którego uprzedzał nas już Budda — powiedział Minc. — Nie wiadomo dlaczego uznaliśmy, że reinkarnanci zawsze byli ludźmi. Był sobie Napoleon — stał się Hitlerem. Był Łomonosow — stał się Kapicą. A niby dlaczego? Każde istnienie może zmienić się w inne... I ja też na to nie wpadłem. Przez kilka godzin badałem włoski — szczerinę kandydata Usiszczewa, ale ciągle mi żaden człowiek z niego nie wychodził. Ekran ciągle milczał i pokazywał jakieś paski...

Minc zatrzymał się, popatrzył jak pokrzykując lecą na nocny wypoczynek wrony, jak rozhuśtują gołe gałęzie drzew, strącając śnieg na ziemię.

— Na szczęście jestem genialny — kontynuował po chwili Minc. — A skoro tak, to postanowiłem sprawdzić, czy mamy do czynienia z wcieleniem człowieka. Ale żeby to sprawdzić, musiałem mieć coś więcej niż kilka włosów. Musiałem udoskonalić urządzenie, dostroić ciaśniejszą łączność między reinkarnantem i oryginałem, żeby wykluczyć błędy... Resztę widziałeś.

— Ale dlaczego Usiszczew zmienił się w karalucha?

— Ach, Udałow, Udałow... Przed nauką kryje się jeszcze wiele tajemnic! A on tak chciał być Napoleonem, że nie mogłem mu odmówić. A kto mógł pomyśleć, że jest Napoleonem karaluchów?

Doszli do bramy. Pożegnali się.

— Coś mi wyglądasz na smutnego, mój przyjacielu — odezwał się Minc.

— Nie tam, tak sobie...

— Lepiej mi powiedz.

— No... Karaluchów mi żal. Żyły sobie spokojnie, rozmnażały się — bęc, i mają tyrana. Wyobrażasz sobie, jakie on tam wśród nich zaprowadzi porządku?

— Udałow, ty mnie ciągle zadziwiasz. A ludzi ci nie było żal?

— Żal, oczywiście, ale stworzeń bez mowy — bardziej.

— Nie smuć się — powiedział na pożegnanie Minc. — Wyrósł u nas jeszcze niejeden dyktator. I to gorszy niż poprzednik. Nie mam wątpliwości, że się doczekasz...

1995

przełożył Eugeniusz Dębski

## Ku gwiazdom!

O zmierzchu, błysnąwszy w ukośnych promieniach zachodzącego słońca, wyładował na podwórku domu numer 16 przy ulicy Puszkina antracytowego koloru śmigłowiec ze złotym dwugłowym orłem na burcie — symbol władzy prezydenckiej.

Dzieciaki bawiące się na podwórku, pierzchły przestraszone na boki, ale dwumetrowy kurier w mundurze z galonami dojrzał je i, uśmiechnąwszy się, zapytał:

— No, kto mi powie, gdzie mieszka profesor Lew Christoforowicz Minc!

Wyjął z górnej kieszeni munduru czekoladkę i pokazał ją dzieciom. Dzieciaki przekrzykując się poinformowały go:

— Mieszkanie numer dwa!

Kurier podziękował im skinieniem głowy, schował cukierka do kieszeni, otworzył rdzawe, od dawna nie malowane drzwi i wszedł do budynku. Na schodach panowała ciemność, przepaliła się kolejna żarówka, ale kurier był przygotowany na sytuacje ekstremalne — włączył latareczkę wmontowaną w daszek furazerki. W jej jasnym świetle bez trudu odszukał mieszkanie numer dwa.

Zadzwoił do drzwi. Zero odpowiedzi. Zastukał do drzwi pięścią w stalowej rękawicy. W końcu drzwi otworzyły się.

W progu stał leciwy, dobrze wyglądający, żeby nie powiedzieć korpulentny czy otyły, mężczyzna, tak łysy, że można było na jego makówce wecować brzytwę. Spojrzenie miał gniewne.

— Ile razy mam powtarzać — zawołał gospodarz — że codziennie do szesnastej oddaję się rozmyślaniom!

Powiedziawszy to usiłował zamknąć drzwi, ale kurier zdążył wstawić okuty tytanowym stopem czubek buta w szczelinę i profesor musiał poddać się i ustąpić.

Pokój zadziwił kuriera swoją nieprzytulnością i ubóstwem.

Znajdowały się w nim: kozetka otoczona legionem książek i wielkie biurko, zastawione przyrządami, zavalone naukowymi periodykami i brudnymi naczyniami. W pokoju nie widać było ani jednego przedmiotu z tak zwanego profesorskiego otoczenia. A ponieważ kurier książek nie lubił i słowo drukowane uznawał tylko w postaci tekstu zapieczetowanego w specjalnej kopercie, to ubóstwo



i tandeta wyposażenia zrodziły w nim pewne wątpliwości. Czy aby trafił do odpowiedniego miejsca?

— Imię! — zażądał. — Nazwisko! Patronimik!

— A kogo pan szuka? — bezczelnie zapytał grubas. — Proszę się nie bać i odpowiedzieć, nie ugryzę.

Kurier zmieszał się. Nikt od dawna nie zarzucał mu tchórzostwa. Dlatego potulnie zeznał:

— Mam przesyłkę do profesora Minca, Lwa Christoforowicza.

— Proszę dać przesyłkę. — Minc usiadł już przy biurku, przysunął do siebie talerz z zimną jajecznicą i zaczął ją piłować nożem.

Kurier ciągle jeszcze się wahał. Wtedy profesor zapytał:

— Gdzie mam się podpisać?

Pytanie to przekonało kuriera, podał profesorowi kopertę, a potem podsunął do podpisania specjalną książkę.

Profesor bez szacunku cisnął kopertę na stertę czasopism, a kurier przemilczał tak lekceważące jej potraktowanie, kurierzy nie powinni wszak udzielać rad adresatom.

Gdy tylko drzwi za kurierem zamknęły się, profesor sięgnął po kopertę, ponieważ nie był pozbawiony ciekawości, ale w tym momencie przed jego nosem zderzyły się dwie osy i profesor zajął się obliczaniem prawdopodobieństwa takiego zderzenia. Kiedy więc po półgodzinie do Minca zajrzał jego sąsiad Korneliusz Iwanowicz Udałow, zastał profesora pochłoniętego obliczeniami, do których służył starutki arytmometr „Feniks”, któremu Minc ufał bardziej niż wszystkim komputerom Ziemi.

— Już szesnasta dwadzieścia — powiedział Udałow. — Mieliśmy iść na wystawę kwiatów w parku. Zapomniałeś, czy co?

— Ja niczego nie zapominam — odparł profesor. — Za trzy minuty zakończę pracę nad nową teorią zderzenia ciał swobodnie latających i będę wolny, jako te ciała.

— A po co tu kurier przychodził? — zapytał Udałow. — Od prezydenta, czy jak?

Może komuś wydać się dziwnym spokój, z jakim mieszkańcy domu numer 16 odnosili się do światowej sławy profesora Minca. Nie było w tym fałszu ani obłudy — Udałow na przykład, sam jest sławny ponad miarę, a i cały Wielki Guslar zajmuje nie ostatnie miejsce w światowych serwisach informacyjnych.

— Otwórz kopertę — powiedział Minc. — Może to coś pilnego?

Udałow złamał pieczęć i wyjął kartkę papieru.

Wielce szanowny Lwie Christoforowiczu! - pisał prezydent do Minca. — Proszę nie odmówić mi swej uczynności i odwiedzić mnie w środę, gdzieś tak około czwartej. Przy okazji spożyjemy obiad, moja żona przygotowuje swoje wspaniałe

sznycle z kartofelkami. Jeśli będzie się pan wybierał, proszę zabrać ze sobą Korneliusza Iwanowicza. Wasz Prezydent.

— Trzeba by skoczyć — powiedział Minc, kiedy Udałow skończył czytać list. — Nie odczepią się. . .

Prezydent nie był sam. W gabinecie siedziało kilku generałów lotnictwa i paru członków akademii. Udałow stracił kontenans. Fakt — trafiał w swoim życiu w różne sytuacje, ale zawsze trochę się wstydził, w przeciwieństwie do Minca, którego nic już nie dziwiło. Uścisnął rękę Prezydentowi, przywitał się z akademikami i generałami.

Niektórzy z uczonych cieszyli się ze spotkania z Mincem, który dawno zniknął im z oczu, a inni zazdrościli mu i nie ukrywali niechęci. W Rosji geniuszy rzadko kiedy się kocha.

— Proszę siadać — powiedział Prezydent i sam usiadł u szczytu długiego stołu. — Czeka nas poważna rozmowa. Musimy porozmawiać o dalszych, rozumiecie, badaniach kosmicznych.

W gabinecie zapanował cisza.

— Mamy, rozumiecie, problemy — kontynuował Prezydent. — Awarie, niedoróbki, coraz głośniejsza jest krytyka z zagranicy, niektórzy zaczynają wątpić, rozumiecie, że jesteśmy wielkim mocarstwem.

Słowa te wywołały oburzenie wśród generałów i uczonych. Zaczęli otwarcie okazywać swoje oburzenie, żeby Prezydent ich usłyszał. Ten uniósł rękę i powiedział:

— Nie podniecajcie się, słyszę wszystko, wszystko rozumiem, w tym waszą dzisiejszą aktywność. I sądzę, że znajdziemy na wszystko sposób. Nie brakuje na naszej ziemi talentów. Mamy kamienie w zanadrzu.

Prezydent dał znak referentom, a ci otworzyli natychmiast drzwi i wprowadzili młodzieńca na oko piętnastoletniego — chudziutkiego, nieuczesanego, z kolczykiem w uchu, w koszulce z wyblakłym nadrukiem, dżinsach i przybrudzonych adidasach.

Niektórzy z obecnych nie kryli swego oburzenia z powodu młodzieży, której tak wiele przecież brakuje.

— Poczekajcie — rozeźlił się Prezydent. — Należy stawiać na młodzież, a nie rzucać jej kłody pod nogi. To każdy umie. Chodź tu, Sierioża, opowiedz naszym koryfeuszom co odkryłeś i wykryłeś, w czasie, kiedy oni po zagranicach się włóczyli.

Młodzian nie był tak nieśmiały, jak tego oczekiwał Korneliusz Iwanowicz.

Wyjął z tylnej kieszeni dżinsów jakieś liczydełko i zaczął naciskać guziki. Hałas w gabinecie ucichł. Wszyscy czekali.

— Wyjaśnić jak doszedłem do odkrycia, czy tylko tak pokrótce? — zapytał młodzian Prezydenta.

— Jeśli szczegółowo, to zrozumiemy?

— Obawiam się, że jeszcze nie — uśmiechnął się nieśmiało Sierioża. — W sumie, udało mi się za pomocą wyliczeń wykazać, że w naszej galaktyce istnieją zamieszkałe planety. Niestety, znajdują się dość daleko. Ale znam dokładne ich współrzędne i, jeśli ktoś chce, mogę pokazać obliczenia.

Wszyscy mieli ochotę się oburzyć, ale oświadczenie Sierioży było tak zaskakujące i bezczelne, że nikt nie znalazł odpowiednich słów oburzenia.

I nagle, jak na złość, wstał akademik Koczubej, czołowy astrofizyk i powiedział:

— Chłopiec pracował w moim kółku zainteresowań przy planetarium. Sprawdziłem jego obliczenia. Nie ma tam błędów.

I w tym momencie zaczęły się spory i nawet okrzyki! Jakby nie było Prezydenta w gabinecie. Takie to było sensacyjne odkrycie.

Pohałasowali, pokrzyczeli, potem Prezydent leciutko stuknął dłonią w blat, stół drgnął, akademicy i generałowie przypomnieli sobie gdzie się znajdują.

— Chcę zauważyć — powiedział Prezydent — że informacja jest ściśle tajna, Sierioża jest na razie odizolowany. . .

— O tym właśnie chciałbym porozmawiać — wtrącił się Sierioża. — No bo ile można? Gdybym wiedział, to w życiu bym takiego odkrycia nie dokonywał.

— Ech, młodość, młodość — westchnął akademik Benewoleński. — Popracowałbyś ze mną przy odkryciu bomby wodorowej, to byś się nie oburzał.

— Przy okazji — dodał generał-pułkownik z diaboliczną bródką — wszyscy obecni muszą podpisać papiery o tajemnicy.

— Co się tak przed szereg pchasz! — przygasił nadgorliwca Prezydent. — To się zdąży. A wiesz dlaczego? No właśnie — nie wiesz, skoro tak kłapiesz oczami. Bo do naszego brata w rozumie, to jeszcze trzeba dolecieć. A dolecieć się nie da. Ile ci tam tych parseków wyszło?

— Sześć — odpowiedział młodzian.

— No właśnie, tak mówię — nie damy rady dolecieć. Ale musimy. Zebrałem was, rozumiecie, żeby się naradzić.

Akademicy zaczęli przepytywać Sieriożę, chcąc go poniżyć w oczach Prezydenta, który to rozumiał i podśmiewał się z nich, generałowie też włączyli się do przepytывania, ale — jak to oni — głupio pytali: na przykład o militarny potencjał naszych braci w rozumie. A Udałow głęboko się zadumał.

Kto jak kto, ale on przecież dobrze wiedział, że w galaktyce aż wrze od rozumnych cywilizacji; przylatują i do nas, Udałowa zabierali nawet na odległe globy. Ale to jest tajemnicą w granicach Wielkiego Guslaru. Sierioża do swojego odkrycia doszedł samodzielnie. Ale skoro tak, to niech ktoś mi wytłumaczy, myślał Udałow, dlaczego Prezydent wezwał do Moskwy właśnie Minca z Udałowem z Wielkiego Guslaru, a nie, powiedzmy, Pipkina z Rabinowiczem z Niznieosieńska?

Narada trwała jeszcze półtorej godziny i nie doprowadziła do żadnego wyniku. Nawet jeśli ktoś uwierzył chłopcu, to i tak nie mógł zaproponować wysłania kosmicznej ekspedycji, by utrzcę nosa Amerykanom. Po prostu Rosja nie miał takich możliwości.

Po dwóch godzinach Prezydent podziękował wszystkim uczestnikom. Kiedy goście zaczęli się podnosić, powiedział do Minca:

— Lwie Christoforowiczu, proszę zostać, i pan, Korneliuszu Iwanowiczu, również.

Kuląc się pod wściekłymi spojrzeniami niektórych akademików, Udałow z Mincem zostali w gabinecie sam na sam z szefem państwa.

— Nie — powiedział Prezydent — z naszymi ludźmi kaszy się nie ugotuje. Z góry byłem pewien, że niczego nie wymyślą. Ale żeby aż tak nic nie wymyślili, to nie przypuszczałem. A wy co o tym sądzicie?

Profesor Minc podrapał się po lśniącey łysinie i rzekł:

— Nie moją sprawą jest osądzać kolegów i generałów. Ale myśl pana prezydenta jest dla mnie zrozumiała.

— No, to już lepiej! — ucieszył się Prezydent.

— Wystarczy dodać dwa do dwóch, by otrzymać dwa do kwadratu.

— To muszę sobie zapamiętać — powiedział Prezydent i zapisał wypowiedź profesora. — Śmieszny, rozumiecie, paradoks.

— Panu przyniesiono koordynaty nieziemskiej cywilizacji — ciągnął Minc — i pan, będąc działaczem państwowym, doszedł do wniosku. . .

— Doszedłem do wniosku, że trzeba lecieć! — powiedział Prezydent.

— To dziś jedyny sposób, by prześcignąć Amerykę i pokazać całemu światu, że Rosja jest wielkim mocarstwem.

— Zuch nasz staruszek! — ucieszył się Prezydent. Dawaj, kontynuuj!

— Ale ja również nie mam pojęcia, jak moglibyśmy. . . — zaczął Minc, ale Udałow przerwał mu:

— Sądzę, że sprawa zasadza się w minimalizacji.

— Czy chodzi ci o to nieudane doświadczenie? — zawahał się Minc.

— Właśnie! — zawołał Prezydent. — Szkoda że ten wynalazek wyrzuciliście, Lwie Christoforowiczu. . . Bardzo by się nam teraz przydał. Jeśli mamy pewną odległą cywilizację i nie mamy pieniędzy, by wysłać do niej kosmiczną wyprawę, to dlaczego nie mielibyśmy pomniejszych kosmonautów do minimalnych wymiarów, a wtedy. . .

— Zapas powietrza i żywności mógłby być sto razy mniejszy, waga statku sto razy niższa — wszystko byłoby sto razy mniejsze! — oświadczył Udałow. — Jest pan geniuszem.

— Genialny — to przesada. Mam rodzinę i doradców. W kolektywie żyję, myślimy razem. Ale decyzje, rozumiecie, muszę podejmować samotnie. Zmęczony jestem, chłopcy. Chodźmy, zjemy coś. Małżonka czeka.

Wszystkie miniaturowe przyrządy statku były wykonywane w warsztatach młodych techników oraz w Instytucie Walki ze Szkodliwymi Owadami. Meble i inne rzeczy miały być wyprodukowane w fabryce zabawek twardych. Fabryka została otoczona kordonem gwardzistów, inne instytucje również były chronione.

W ministerstwie obrony wiedziały o operacji „Ku gwiazdom!” trzy osoby. Natomiast bardzo wielu wiedziało o równoległej operacji „Galaktyka”. Na poligonie w Plesiecku przygotowywano do startu prawdziwy olbrzymi statek kosmiczny, i mimo że cel wyprawy trzymany był w tajemnicy, połowa ludzkości wiedziała, że szykuje się lot ku Odległym Gwiazdom.

W USA eksperci od spraw rosyjskich kategorycznie oświadczyli, że rosyjska technologia i ekonomika tego startu nie przetrzymają, a jeśli nawet statek przeleci ileś tam milionów kilometrów, to na pewno się rozsypie. Tak więc do gwiazd i tak najpierw polecą amerykańscy astronauty. Tyle że trzeba trochę poczekać.

A na razie, póki co, amerykańscy agenci i przekupione przez nich mafijne klany prowadzili poszukiwania chłopca o imieniu Sierioża. Opadli z sił, ale nie mogli znaleźć, ponieważ ten zaprzyjaźnił się z akademikiem Mincem i na czas przygotowywania ekspedycji pojechał z nim do Wielkiego Guslaru, gdzie zamieszkał jako stryjeczny bratanek i prowadził z Lwem Christoforowiczem nie kończące się spory o cybernetyce. Stary uczony i młodzian mocno się zaprzyjaźnili.

Obecność Minca w centrum wydarzeń na razie nie była konieczna. Sprawy toczyły się bez niego pod kontrolą prezydenta.

Dzieci z podwórka domu numer 16 już dawno przywykły, że o siódmej ląduje śmigłowiec ze złotym herbem Kosji na burcie, wychodzi z niego wielki kurier, który zawsze ma dla nich cukierka.

W końcu, jesienią, kiedy trawa w parku miejskim pożółkła, a klony zapłonęły czerwienią, przygotowania do ekspedycji zostały ukończone.

Do Wielkiego Guslaru przyszła epistoła od Prezydenta:

Udałow i Minc mają przybyć do Plesiecka na szóstą wieczorem.

Odlecieli tym samym kurierskim śmigłowcem.

Na kosmodromie, naszych znajomych od razu zaprowadzono do bunkra, w którym znajdował się już Prezydent. Wcale nie incognito, a całkowicie oficjalnie, ponieważ tylko on mógł pomachać dłonią odlatującym kosmonautom.

Prezydent siedział przy zwyczajnym dębowym stole, który otrzymał w spadku po akademiku Kor ołowie. Z prawej siedział Generalny, z lewej generał z bródką a la Trocki. Komisja odbierała meldunki służb.

Kiedy okazało się, że wszystkie służby spełniły swoje zadania i statek jest gotów do startu, Prezydent udał się na konferencję prasową.

Dziennikarzy zebrało się tylu, jakby Prezydent dopiero co szturmował Kreml.

W korytarzu, kiedy trafiła się taka chwila, że nikogo nie było w pobliżu, Prezydent przyjaźnie objął za ramię Minca i Udałowa i zapytał:

— Nie rozmyśliliście się?  
— Nie — odparł Minc.  
— Środek przywieźliście? Minc poklepał się po kieszeni.  
— Okres inkubacyjny sprawdziliście?  
— Nie raz, proszę się nie przejmować — powiedział Udałow. — Okres inkubacji jest krótki.

Prezydent pognał na konferencję prasową. Przed progiem odwrócił się i głośno szepnął:

— Cała nadzieja w was, chłopcy! Jeśli damy plamę, to mnie zrzucą, a was poślą na śnieżną emeryturę, jak nie gorzej, a cios w reputację Rosji będzie tak silny, że już się nie podniesiemy.

— Nie zawiedziemy — zapewnił go Udałow.

W przydzielonym im pokoju przesiedzieli ze dwadzieścia minut. Oglądali program telewizyjny w małym odbiorniku. Widzieli jak Prezydent broni się przed sceptycznie nastawionymi dziennikarzami. Wszyscy byli podnieceni. Odpowiedzialność — ogromna.

Przez drzwi zajrzała Córka Prezydenta, zaufana osoba.

Wykonała zapraszający gest ręką. Córka była cała na czarno, na głowie miała czarną chusteczkę.

Niczym zakonnica powiodła ich po korytarzu.

Wyszli na zewnątrz, wiał zimny wiatr. Udałow pożałował, że nie wziął palta.

Przed nimi sterczała w niebo ogromna wieża — kosmiczna rakieta.

Córka Prezydenta zręcznie wskoczyła na niewielką platformę, Minc z Udałowem poszli jej śladem, wózek potoczył się w kierunku statku.

Dookoła panowała głęboka cisza.

Wartownicy przy wieży spokojnie drzemali.

— Nikt nie zauważy, że tędy przeszliśmy — powiedziała Córka Prezydenta.

Wjechali windą na szczyt statku kosmicznego, przymocowany od góry do nośnika raketowego. Rakieta była ogromna, na jej tle statek wyglądał na zupełnie mały.

— Tato bardzo na was liczy — powiedziała Córka. Minc pocałował młodą kobietę w rękę, a Udałow mocno uściśnił jej chłodne palce. Po chwili zostali sami.

— Cóż — powiedział Udałow. — Może się pożegnamy? Bo czy wiadomo, co się może zdarzyć?

— Nic się nie zdarzy — uciał Minc. — Moje odkrycia są całkowicie bezpieczne.

Tymczasem konferencja prasowa skończyła się. Prezydentowi udało się przekonać zagranicznych korespondentów, że misja do Odległej Gwiazdy zakończy się powodzeniem. Opozycyjni żurnaliści oskarżyli go o bezlitosny stosunek do ludzi rosyjskich. Również o świadomą próbę zamordowania kosmonautów na

zlecenie zachodnich służb specjalnych. Reputacja kraju i osobiście Prezydenta została postawiona na szali.

Na oczach setek kamer Prezydent ucisnął dłonie kosmonautów i życzył im szybkiego powrotu.

Gedike Piotr Aleksiejewicz był wysoki, miał czarne kędzierzawe włosy i nos z garbem. Wyróżniał się szaloną odwagą i sprytem. Pięć lat temu, jeszcze przed zakończeniem szkoły lotniczej był kapitanem drużyny „Wesołych i Pomysłowych” moskiewskiego konserwatorium. Piotr Iwanów — przysadzisty, jasnooki, wolno poruszający się, z pszenicznego koloru włosami, z grzywką opadającą na czoło — był geniuszem ślusarskim. Własnymi rękoma zbudował samolot i usiłował uciec nim do Ameryki. Schwytano go w okolicach bieguna północnego i zamiast do więzienia, skierowano do oddziału kosmonautów.

Cały świat widział, jak kosmonauci defiladowym krokiem, połyskując przezroczystymi kulami hełmów, pomaszzerowali do rakiety. Piotr Gedike zameldował o gotowości załogi Prezydentowi.

— Z Bogiem — odpowiedział Prezydent. Patriarcha wygłosił krótką mowę. Kosmonauci znikli we wnętrzu statku. Cały świat wstrzymał oddech.

Zaczęło się odliczanie.

Kosmonauci nie potrafili ukryć swego zdziwienia, widząc w statku kosmicznym dwóch leciwych dżentelmenów — grubego i niskiego.

— Co wy tu robicie? — zawołał dowódca Piotr Gedike. — Natychmiast opuście statek.

— Nie — twardo powiedział Minc. — Lecimy wszyscy razem.

— Jak to, razem? — zdziwił się Piotr Iwanów. — Każdy kawałek chleba, każdy łyk wody jest policzony i ma swoje przeznaczenie.

— Chleba i wody nam wystarczy! — odciął Udałow. Wyjął z kieszeni i podał kosmonaucie Gedike swój zagraniczny paszport z otwartą wizą kosmiczną. Minc również pozwolił kosmonautom przekonać się, że papiery ma w całkowitym porządku.

— Od tej chwili do końca lotu — powiedział Minc — jestem naukowym koordynatorem ekspedycji, a Korneliusz Iwanowicz — konsultantem do spraw problemów galaktycznych.

Kosmonauci byli w kłopotcie i Piotr Gedike zdecydował się połączyć z centrum kontroli lotów.

— Poczekaj — polecił Udałow. — Zaraz będziesz miał łączność.

I tak się stało. Zajarzył się ekran telewizora, pojawiła się na nim zmęczona twarz Prezydenta.

— Jesteście zdziwieni, moje sokoły kosmiczne — powiedział. — Ale proszę się nie dziwić. Jako Głównodowodzący biorę na siebie całą odpowiedzialność za niespodziewane wypadki. Potwierdzam pełnomocnictwa moich przedstawicieli

Minca i Udałowa. Proszę was, byście we wszystkich sprawach słuchali starszych towarzyszy. Życzę wam szczęśliwej podróży i miękkiego lądowania!

Ekran zgasł, a Piotr Iwanów powiedział:

— Ja piernicze!

Na co Minc odparł:

— Przeklinanie i leksykę nienormatywną proszę wykluczyć z naszego życia.

Piotr Iwanów zamilkł i milczał od tej chwili przez kilka tygodni, starając się wymyślić jakąś wypowiedź bez tej leksyki.

— A teraz — kontynuował Minc — zrobimy wam zastrzyki.

— Zastrzyki już nam robili — zaproponował Piotr Gedike. Ale nikt nie przejął się jego sprzeciwem.

Jedno w tym było dobre — profesor miał tak długą i ostrą igłę, że przekłuła skafander i nie trzeba było się rozbierać.

Na dwanaście minut przed startem kosmonauci zasnęli. Po kolejnej minucie zaczęli się zmniejszać i zmniejszali się aż do chwili, gdy Minc mógł ich włożyć do pudełka po zapałkach i zanieść do tajnej sekcji statku, gdzie znajdował się taki sam statek, tylko siedemdziesiąt razy mniejszy od prawdziwego.

— No cóż — powiedział Minc. — Teraz już za późno na odwrót. Ojczyzna słyszy, ojczyzna wie. . .

— Jak po niebiosach syn jej mknie — dokończył kuplet Udałow.

— Na starość, to chyba powinno się w domu siedzieć.

— Może ostatni raz, Lwie Christoforowiczu, może to ostatni raz. . .

Minc zrobił zastrzyk sobie i Udałowowi. Tyle że z innej fiołki — środek nasenny zbawcom Rosji nie był potrzebny.

Przyjaciele przycupnęli na stopniu, prowadzącym do malusieńkiego stateczku i zaczęli czekać aż środek zadziała.

— Ale się Amerykańcy zdziwią — powiedział Udałow.

— Z całą tą ichnią przereklamowaną techniką. Za nic gwiazd nie sięgną.

— Geopolitycznie jest ważne — rozwinął jego myśl Minc — to, że niektóre kraje Europy Środkowej, a przede wszystkim Polska, zrezygnują z członkostwa w NATO.

— Właśnie, w NATO — zgodził się Udałow i zaczął się zmniejszać.

Wraz z nim zmniejszał się i Minc. Ponieważ zmniejszali się jednocześnie, to właściwie nie zauważyliby nawet tego, tylko sekcja statku szybko się jakby powiększała.

— W dołku mnie łaskocze — przyznał się Udałow. — Pewnie nie przyzwyczajony jestem.

Kiedy pomniejszanie zakończyło się, Minc z Udałowem szybko weszli do miniaturowego stateczku, przymocowanego do czubka statku prawdziwego. Kosmonauci spali na podłodze, w olbrzymiej dwumiejscowej trumnie. Tak wyglądało obecnie w oczach Udałowa pudełko po zapałkach.



— Jak my ich stąd wyciągniemy? — zatroskał się Udałow.  
— Wcale nie będziemy musieli tego robić.  
— Dlaczego nie musimy?  
— Zrobi to za nas przyroda — tajemniczo odpowiedział Minc i nałożył na nos jakiś przyrząd, którego przeznaczenie poznał Udałow dosłownie po minucie.  
Głuchy i nieco zdenerwowany głos kierownika lotu wypełnił sekcję statku.  
— Czy jesteście gotowi do startu, przyjaciele? — zapytał.  
— Gotowi! — odpowiedział Minc głosem Gedike. Oto do czego była mu potrzebna nasadka na nosogardło! Wielki człowiek w detalach. Udałow nigdy by nie wpadł na taki genialny szczegół. A przecież gdyby nie było tej nasadki — wszystko mogłoby się zawalić.  
— Pamiętajcie, że obserwuje was cały kraj! — rzekł kierownik lotu. — Cały świat. Cała cywilizowana ludzkość. Ale i nasi wrogowie, przygryzając wargi, nie odstępują od ekranów telewizyjnych w nadziei, że wyprawa się nie powiedzie. Tak więc...  
— Poczekaj... — przerwał mu inny głos, głos Prezydenta. — Ja też wam coś powiem. Już z góry dziękuję w imieniu całego narodu i swoim osobiście.  
— Zaczynamy odliczanie — oświadczył kierownik lotów. — Dwadzieścia... dziewiętnaście... osiemnaście...  
Minc z Udałowem usiedli w fotelach i przypięli się pasami. Gdy tylko to zrobili jakaś niewiarygodnie wielka siła wduśła ich w fotele, ryknęły silniki rakiety.  
— Lecimy! — wygłosił sakramentalne słowo profesor Minc.  
Jak zawsze, profesor Minc miał rację.  
Kiedy skończyło się wznoszenie i rakietę wyczerpała swoje możliwości, pierwszy stopień odłączył się i spłonął w atmosferze, tak jak było zaplanowane. To samo stało się z drugim stopniem i trzecim. Ale w odróżnieniu od pozostałych nosicieli gwiazdna rakietę miała dodatkowy czwarty stopień, przy włączeniu którego miniaturowy stateczek odłączał się od swojego wielkiego brata, a ten pozostawał na orbicie, czekając na powrót kosmonautów.  
Kiedy nadeszła ta chwila, nadszedł czas na przebudzenie Piotra Gedike i Piotra Iwanowa. I znowu przydał się dalekosiężny umysł profesora Minca. W tym czasie na statku panowała już nieważkość, co oznaczało, że kosmonauci sami unieśli się nad pudełkiem od zapalek i zaczęli szybować w powietrzu. Pudełko, oczywiście, było składane i profesor ukrył je za fortepianem, który stał w mesie stateczku, żeby podróżnicy mogli kulturalnie spędzać czas podczas długich kosmicznych wieczorów.  
Oczywiście, kosmonauci bardzo zdziwili się, że przespali start, ale Minc przekonał ich, że nie będą za to ukarani, ponieważ startowy sen wchodzi w zakres programu wyprawy.  
Mistrzowie z fabryki twardych zabawek pokazali, co potrafią. Nawet trzycentymetrowe pianino nie fałszowało. Oczywiście, kosmonautom nawet do głowy

nie przyszło, jaki dowcip z miniaturyzacją wyciął im profesor Minc. Tak więc lot przebiegał w spokoju i zgodzie.

W wyznaczonych terminach odbywały się seanse łączności i kosmonauci pływali w powietrzu przed telewizyjnymi kamerami, opowiadali o doświadczeniach z roślinami i owadami. W tym czasie Udałow i Minc siedzieli w toalecie, żeby przypadkiem nie wpaść w oczy widzom.

Ósmego czy dziewiątego dnia lotu seanse łączności urwały się — odległość przekraczała zasięg środków łączności.

Stateczek dawno już opuścił granice Układu Słonecznego, niczym srebrna kulka mignął za iluminatorem Pluton i wokół zrobiło się pusto.

Stateczek ciągle się rozpędzał i rozpędzał, póki nie osiągnął prędkości światła. I wtedy, zgodnie z teorią względności, czas na nim istotnie zwolnił swój bieg; dni, które migotały dla Ziemiaków jak ogniki świateł przejeżdżającego pociągu, rozciągnęły się na statku do odpowiedniej długości, tak na trzy posiłki.

Kiedy zaczął się trzeci miesiąc podróży Udałow zaczął rozpoznawać znane sobie gwiazdozbiory i kosmiczne latarnie. Właśnie stąd przylatywały na Ziemię kosmiczne obiekty i wszelkie latające talerze.

Ale nie mówił o tym. Obawiał się, że zostanie źle zrozumiany. Owszem, podróżował po wszechświecie, ale na obcych statkach, kapitanowie których nie podejrzewali nawet istnienia Alberta Einsteina, a wykorzystywali po prostu zwyyczajny kosmiczny flop — to znaczy skakali przez przestrzeń. Na tę technologię Ziemia jest jeszcze za młoda, zbyt niestabilna jest jej sytuacja wewnętrzna, zbyt wiele widać na niej zarzewi konfliktów i wzajemnej wrogości.

A oto i glob, tak zgrabnie wyliczony i odkryty przez chłopca o imieniu Sierioża. Leży na skraju Kosmicznej Federacji, rzadko przylatują tu statki.

Glob wolno wirował pod statkiem.

Nadszedł czas zdecydowanych i odpowiedzialnych działań.

Minc miał przywrócić kosmonautom ich prawdziwe rozmiary, żeby nie zgubili się wśród ogromnych obcych. To by dopiero była sensacja, gdyby któryś z kosmonautów, nie mówiąc już o Udałowie, trafił pod obcas aborygena!

Ale należało to zrobić ostrożnie, już po lądowaniu. W tym celu zaplanowano, że wylądują poza obszarem miejscowego kosmodromu, jeśli taki istnieje, potem zmienią się w ludzi o normalnych gabarytach, i dopiero wtedy postarają się o nawiązanie kontaktu z miejscowymi.

Statek znalazł się na orbicie. W odbiornikach rozległy się głosy — to znaczyło, że odkryto już tutaj radio.

Oto na czym polegał plan Minca.

Piloci mieli wybrać jakieś oddalone miejsce, wylądować na nim, ukryć się w trawie, wśród żuczków i żab.

Dalsze działanie — w zależności od rozwoju sytuacji.

Zachowanie Minca, który chciał znaleźć miejsce całkowicie bezludne, wydało się kosmonautom bez sensu. Po co gnali przez połowę Galaktyki, żeby teraz kryć się przed miejscowymi?

Udałow go rozumiał.

— Chłopaki — powiedział. — Ja chcę żyć, wy też i to z pożytkiem dla ojczyzny. Dlatego musimy zachować maksymalną ostrożność. Może tu mieszkają wybuchowi, podejrzliwi ludzie, którzy otworzą ogień do statku przybyszy, pikującego na stolicę ich państwa? Może będą nawet mieli rację?

— Wylądujemy, odetchniemy, porobimy badania — podtrzymał go Minc. — Zwiad wyślemy. Trzeba przecież porozmawiać, wszystko wyjaśnić. Dopiero potem odbędzie się uroczyste powitanie.

Po namyśle kosmonauci zgodzili się.

Stateczek kilka razy okrążył planetę. Gdyby nie jedna niebezpieczna chwila, kiedy trafili w środek burzy, nic się szczególnego nie działo. Widać było pola uprawne i miasta, ale cywilizacja na specjalnie rozwiniętą nie wyglądała.

Odszukano gęsty las w strefie umiarkowanej, żeby nie było za dużo anakond i tygrysów. Wylądowali na polanie.

Lądowanie było dobre, miękkie, nie mieli powodu do jakiegoś niepokoju.

Humory dopisywały.

Wypili buteleczkę wódeczki, specjalnie na tę okazję wziętą z Ziemi. Udałowa kolejny raz zadziwiły umiejętności i talenty rosyjskich mistrzów. Przecież, jeśli mówić prawdę, to buteleczka miała około trzech milimetrów wysokości, ale miała też korek, naklejkę i zawartość.

Potem Minc nakazał wszystkim sen.

On z Udałowem też zasnęli — wódeczka podziałała.

Kiedy nastał błękitny świt i nieznanymi ptasie trele rozbudziły załogę, Minc trącił Udałowa i powiedział:

— Już czas.

Udałow, lekko skacowany, pokręcił głową i zapytał:

— Na co czas?

Minc wskazał śpiących towarzyszy.

— Wyciągamy ich na ulicę, wstrzykujemy powiększacz i robimy sobie zastrzyki. Po kilku minutach osiągniemy swoje normalne gabaryty.

— Jasne — zgodził się Udałow. — A statek?

— Prawdziwy statek zastąpi nadmuchiwana kopia. — Minc przerzucił przez ramię torbę ze złożonym statkiem olbrzymem. — Chodź, ustawimy go w jakimś oddaleniu, a naszych przyjaciół poprowadzimy w przeciwnym kierunku.

Z pewnym trudem wyciągnęli śpiących na łączkę. Minc przytargał swoją apteczkę.

Już zamierzał wkluć się w kosmonautów, gdy nieopodal rozsunęły się krzewy i nieznanym głosem powiedział, na szczęście w znanej Udałowowi kosmolingwie:

— Witamy na planecie Stoloki. My jesteśmy oddział poszukiwania, obserwujący lądowanie waszego znakomity statku w naszym rezerwacie, tak.

Udałow wyprostował się i zrobił krok w kierunku przyjaźnie nastawionych aborygenów.

Chwała Bogu, pomyślał. Są normalnego wzrostu. Nic nie trzeba robić.

Popatrzył na Minca, który przycupnął obok ciągle śpiących kosmonautów i dojrzał na obliczu profesora najprawdziwsze zdumienie. A przecież nie miał ku temu powodów.

Udałow przenosił spojrzenie z profesora na skromnie odzianych tubylców. Wyglądali dobrze, jak typowa wyprawa zwiadowcza. Sympatycznie się uśmiechali...

Udałow poszedł w ich kierunku z wyciągniętą dłonią.

Przywódca grupy poszukiwawczej również zrobił krok w jego stronę. Uścisk jego dłoni był ciepły, przyjazny, prawdziwy.

— A to profesor Minc — powiedział Udałow, wskazując przyjaciela.

Ten znieruchomiał ze strzykawką w dłoni, z igły wyciekał cenny powiększacz...

I dopiero w tym momencie Udałow pojął, że miejscowi nie są wielkimi ludźmi, a małutkimi istotami, niemal takimi jak Udałow z Mincem i kosmonauci. I że nie ma potrzeby powiększania nikogo.

Albowiem, jak powiedział profesor Minc po zakończeniu oficjalnego bankietu z powodu przylotu przyjaznych przybyszów z planety Ziemia:

— A kto ci powiedział, że wszystkie istoty we wszechświecie mają mieć jednakowe gabaryty? Szansę na to, że będą twojego wzrostu, są nie większe od tych, że będą liliputami. I jeszcze mniejsze niż to, że okażą się ośmiornicami. Nie ma się czemu dziwić. Po prostu mamy szczęście, jak to opisuje się w przygodowych powieściach czy w telewizyjnych programach, których uczestnicy odkrywają w krzakach fortepian.

— Ale i tak jest to dziwne i nieprawdopodobne.

— Wcale nie mniej prawdopodobne niż powstanie życia białkowego. A to się przecież stało — powiedział Minc.

Udałow zamyślił się.

— Ty się nie dekoncentruj — powiedział Minc. — Filmuj nasz pobyt. Na Ziemi mocno cię przepytają z tego tematu — musimy mieć dowody, że utarliśmy nosa amerykańskiemu imperializmowi.

Udałow filmował spotkanie, humor stopniowo mu się poprawiał. Wszak znacznie gorzej byłoby, gdyby bracia w rozumie okazali się skorpionami czy olbrzymimi cyklopami. A przecież i jedni, i drudzy występują w Galaktyce, zajmują się nauką i kulturą, chodzą na randki i nie podejrzewają nawet o swoim przerażającym wyglądem. Może nawet uważają nas, ludzi, za istoty niezbyt estetyczne.

— Lwie — powiedział Udałow — nie pomyślałeś, że moglibyśmy z ich pomocą opanować cały wszechświat.

— Nie rozumiem — odpowiedział Lew Christoforowicz, ściskający w tym momencie dłońe czcigodnym starcom z Komisji Spotkań.

— Przecież są mali, znaczy — ekonomiczni.

— I jak to sobie wyobrażasz?

— A tak, że my im dostarczamy technikę, a oni latają. Tanio i sensownie.

— Po co mają latać? — zapytał Lew Christoforowicz.

— No... żeby naszym wrogom pokazać figę.

— Już pokazaliśmy — zauważył profesor. — Czas wracać. Teraz żaden Kissinger nie powie, że tutaj nie byliśmy. Byliśmy!

Pięć dni pobytu na planecie Stoloki, jak nazywali ją mieszkańcy największego z kontynentów, przeleciały jak sen. Kosmonauci i konsultanci odżywiali się jak podczas tuczu przemysłowego, odwiedzali instytucje rozrywkowe, a także szkoły, fabryki, zakłady przemysłowe i farmy rolnicze. Gospodarze byli szczerzy i życzliwi. Zaproponowali nawiązanie dyplomatycznych i handlowych stosunków, wymianę studentów i poprosili o pomoc w rozwinięciu nowych technologii.

Minc z Udałowem wzięli na siebie formalną stronę komunikacji, a młodzi Piotrowie znikali nie wiadomo gdzie i nawet nie wracali na sen do statku. Było to bardzo poważne odstępstwo od reguł dyscypliny, Udałow chciał nawet zwołać zebranie całej grupy i poddać pod dyskusję zachowanie młodzieży, ale Minc się nie zgodził.

— Po co — powiedział — te totalitarne działania? Raz w życiu nasi kosmonauci trafili do żywych ludzi, do swobodnego społeczeństwa, a ty od razu — zebranie!

— Nie mam przekonania do tych hulanek. Mówię ci, że to się źle skończy.

I rzeczywiście — skończyło się zaskakująco.

Szóstego dnia kosmonauta Piotr Gedike zjawił się na kolacji z młodą zielonkawą osobą (bo taką miała barwę cera mieszkańców Stoloki), posiadającą niewielkie trzecie oko na czole. Co do reszty — zwyczajna dziewczyna. Dziewuszka krępowwała się i ciągle chciała odejść.

— Zakochaliśmy się w sobie — powiedział Piotr Gedike. Dziewczyna spuściła wzrok. Piotr Iwanów przerwał milczenie jako pierwszy:

— Ja piernicę!

— I co proponujecie? — zapytał profesor Minc.

— Muszę się ożenić — powiedział Gedike.

— Tego tylko brakowało! — zakrzyknął profesor. — Czy wy wiecie, co mówicie?

— Wiem, i sam też bym się nie śpieszył ze ślubem, ale Grugena nalega.

Minc popatrzył na Udałowa, Udałow na Minca.

— Nie ma w tym nic złego — powiedział Gedike. — Przecież jak przywieziemy ze sobą przedstawiciela obcej cywilizacji to nam tylko podziękują za to. A Amerykańcy skichają się z zazdrości!

— Młodzieńcze! — powiedział na to Minc. — Mylicie się, sądząc, że nasz lot odbył się na złość Zachodowi. Ten lot był realizowany w celach naukowych i poznawczych.

— Ja piernicę, ale nadaje! — powiedział Piotr Iwanów.

W jego głosie Minc wyczuł osąd. Przecież kosmonauci chcieli jak najlepiej...

— Może odłożymy ślub? — zapytał Minc. — Przecież nawet nie sprawdziliśmy jeszcze genetycznej zgodności!

— Miłość ją pokona — oświadczył Gedike. Narzeczona wisiała mu u ramienia, niczym dojrzała gruszka.

— No to dlaczego się tak śpieszycie? — zapytał Minc.

— Zbecześciłem ją — przyznał się Gedike.

— Nie, to ja sama chciałam — ufnie przyznała się dziewczyna.

— To jeszcze nie dramat — wtrącił się Udałow. — Ja ze swoją żoną Ksenią aktywnie spotykałem się przed ślubem — i nic się nie stało.

— Ale ja, według praw rządzących naszym społeczeństwem, będę musiała się utopić.

— Być nie może! — zdziwił się Minc. — Przecież wasze społeczeństwo jest tak humanitarne!

— Może dla was humanitarne, dla mnie — bydłce — odpowiedziała dziewczyna. — Mieszkamy tu, w czterech ścianach, odstajemy w postępie, nawet kina jeszcze nie wynaleźliśmy, a Centrum Galaktycznego nikt o to nie poprosi! Wszystko przez tych przeklętych starców!

Wrogo zerknęła na Minca.

— Jeśli oni ją utopia, to ja też się utopię — powiedział Gedike.

— I dzieciątko, które się we mnie rozwija, też się utopi — powiedziała Grugena.

I rozszlochała się tak, że nawet Iwanów uronił męską łzę.

— Przygotujcie się na wysłuchanie gorzkiej prawdy — powiedział Minc. — Usiądźcie, jak to się mówi — nie nogi prawdę utrzymują. Chcę was najpierw zapytać, czy wiecie, że nasz kraj przeżywa pewne przejściowe problemy ekonomiczne?

— Czytaliśmy o tym — powiedział Gedike. — Ale co ma do tego moja miłość?

— To, że w swoim naturalnym stanie nie mógłbyś pocałować narzeczonej, ponieważ niechcący mógłbyś ją połknąć razem z jej ślicznymi trzema oczkami.

— Ja piernicę! — Piotr Iwanów aż się skrzywił z obrzydzenia.

Gedike pobladł straszliwie. Aż zaczął dygotać w przeczuciu fatalnych wieści.

I wtedy, nie widząc możliwości uniku, Minc opowiedział towarzyszom lotu całą gorzką prawdę.

Nastąpiła cisza, przerywana tylko krótkimi westchnieniami narzeczonej.

Potem Gedike powiedział:

— Mogliście to nam od początku powiedzieć. Już jestem duży chłopczyk, nawet zdążyłem w Komsomole pobyc.

— I w pionierach — dodał Iwanów.

— Rząd uważał, że stres, wywołany przez obawę pozostania w mikroskopijnym stanie będzie zbyt silny.

— I co — że ześwirujemy? — zapytał Gedike.

— Mniej więcej.

— Teraz rozumiecie, dlaczego poradziłem wam poczekać ze ślubem.

— Teraz to my wiele rzeczy rozumiemy — odpowiedział Iwanów.

Wyprawa znalazła się w trudnej sytuacji.

Teoretycznie można było przywieźć Grugenę do domu, na Ziemię. Wydawało się, że takie wyjście urządzi wszystkich. Nawet Prezydenta.

Ale pomyślcie sami: na Ziemi obaj kosmonauci po prostu muszą być znowu duzi, bo wszechświatowe oszustwo zostanie zdemaskowane, a na Rosję padnie cień, a Prezydent stanie się pośmiewiskiem kręgów reakcyjnych i radykalnych. No dobra, będą duzi i Gedike będzie udzielać się na konferencjach prasowych, występować w telewizji, pisać sprawozdania z lotu, a jego żona co? Będzie mieszkała w pudełku po zapałkach? A gdzie będzie jego dziecko, które ma się urodzić z tego związku?

Też w tym pudełku. Całą rodzinę może pożreć wrona.

W tym momencie narzeczonej rozszlochano się. I powiedziała, że woli utonąć w ojczyźnie, niż być owadem na obczyźnie.

— Może zastosujemy inny wariant — powiedział Minc. — Gedike tu zostanie.

— Jak to — zostanie? — obruszył się kosmonauta. — Na mnie czekają przyjaciele, mam dostać order, gwiazdę bohatera, za granicę mnie, pewnie, wyślą... A zamiast tego będą mnie tam sądzić! Za dezercję z kosmicznego frontu.

— Mój kochany! — jęknęła narzeczonej. — Czyżby te ordery i gromkie słowa były ważniejsze od naszej miłości? Tata daje w posagu willę na brzegu morza i jacht. Od dawna chciałeś mieć jacht, prawda? Urodzę ci piątkę, albo i szóstkę herosów...

— Ja piernicę! — powiedział Piotr Iwanów.

— Czekają na nas — powiedział Minc, który uważał, że nic dobrego z tego związku nie wyniknie. — Cały kraj przyłgnał do ekranów telewizorów. Przecież filmy, na których jest nasz przylot i spotkanie, już są na Ziemi. Ojczyzna czeka z szeroko otwartymi ramionami!

— Przyjdzie mi wracać — ze smutkiem westchnął Gedike. — Najpierw obowiązek, potem przyjemność.

— A ja co, mam się utopić? — zapytała narzeczona.

— Leć z nami — powiedział Gedike. — Obejdziemy się bez jachtu. Rząd nam podaruje i willę, i motorówkę, i konia wierzchowego. Lwie Christoforowiczu, nie znajdziecie trochę tego środka, żeby doprowadzić Grugę do stanu normalnego ludzkiego gabarytu?

— Oj, nie jestem pewien, czy to się uda! — rozłożył ręce Minc. — Środek został przetestowany tylko na ludziach. To się może nie udać.

W tym momencie zadzwonił telefon. Obcy głos z zagranicznym akcentem zapytał:

— Czy znajduje się tu znany kosmiczny podróżnik Korneliusz Udałow?

— Jestem przy telefonie.

— Co ty, nie poznajesz starych znajomych? Niezwykły akcent, śpiewna intonacja wywołały z otchłani pamięci Udałowa obraz starego znajomego, z którym zaprzyjaźnił się na Zjeździe Niezwykłych Istot Galaktyki kilka lat temu, kiedy Udałow otrzymał zaszczytny tytuł Najbardziej Przeciętnego Mieszkańca Galaktyki. Oczywiście, na Ziemi Udałow się tym nie chwalił, a i żona Ksenia nie pochwałała tego jego wypadu, ale teraz szczerze się ucieszył słysząc głos świerszcza Tori.

— Musimy się spotkać — powiedział Tori. — Specjalnie w tym celu flopnąłem tu z Centralnego Biura Śledczego. Nawet musiałem się pomniejszyć. Wychodź na ulicę, pójdziesz na skwerek, usiądziesz za różowym krzewem na trzeciej ławce od prawej. Nikt nie powinien nas widzieć razem.

Udałow w myślach uśmieł się z tej tajemniczości, która tak bawiła świerszcza. Ale nie sprzeczał się, rozejrzał się, zobaczył, że nikt nie zwraca na niego uwagi — wszyscy pocieszają narzeczoną Piotra Gedike — i pognął na skwerek.

Na ulicy było pochmurnie, wiał jesienny wiatr i gnał przed sobą po jezdni żółte liście. Różowy krzew, za którym stała odpowiednia ławka, już przekwitł i tylko jedna, ostatnia różyczka sypała jeszcze płatkami na zwiędłą trawę. Udałow zasmucił się.

„Po co to wszystko? — pomyślał. — Po co ta krzątanina, plany, loty kosmiczne, premie i nagrody? Pewnie ma rację Grugę, namawiając kosmonautę, by osiedlił się z nią na brzegu morza i pływał jachtem. . .”

— No, stary, nic się nie zmieniłeś! — rozległ się ostry głosik.

Do Udałowa podbiegł podskakując zielony konik polny, odziany barwnie i jaskrawo. Trącił twardym nosem brzuch Udałowa, pociągnął nosem z radości. Udałow poczuł, jak w jego duszy poruszyły się paluszki duchowego podniecenia.

— Chudnąć trzeba! — oświadczył świerszcz. — Ty, Udałow, przekroczyłeś wszelkie granice! A popatrz na mnie — szczuplutki jak szparag.

Takimi mało grzecznymi słowami świerszcz Tori usiłował zamaskować swoje uczucia. Obawiał się, że uznają go za sentymentalnego.



— Ty się nie liczysz — powiedział Udałow. — Ty masz chitynowy pancerz. Jak stal. Nie możesz utyć.

Usiedli na ławce.

— Jak zobaczyłem w informacji naszego biura, że na Stoloki przybył miniaturowy stateczek z Ziemi, od razu uznałem, że to musicie być wy z Mincem. Przecież wcześniej Ziemia wypraw do gwiazd nie wysyłała.

— Masz rację — powiedział Udałow. — A po coś te informacje oglądał?

— Ja teraz siedzę w Biurze Śledczym Centrum Galaktycznego, jestem konsultantem, specem od Rosji.

— Co z ciebie za spec?

— Nie gorszy od innych — obraził się świerszczyk. — Po tym, jak pracowałem jako twój tłumacz cieszę się całkowitym zaufaniem w Centrum.

— A ja ci dziękuję — powiedział Udałow — że przypomniałeś sobie o mnie, przyleciałeś się przywitać. . .

— Głupiś, Udałow — dość brutalnie zgasił go świerszcz.

— Gdyby chodziło tylko o przywitanie się, siedzielibyśmy w tawernie „Smażony Indyk”, napiłbym cię do utraty tętna! A skoro wywołuję cię na tajne rendezvous, to muszę mieć inne powody. Nie cierpiące zwłoki.

— Dobra, mów — westchnął Udałow. Był rozczarowany — miał nadzieję posiedzieć z Tori, porozmawiać, przypomnieć sobie młodość. . . A ten znowu o problemach. . .

— Powiedz mi, przyjacielu — powiedział świerszczyk — wysłaliście już na Ziemię zdjęcia z waszego spotkania i pobytu tutaj?

— Wysłaliśmy — odpowiedział Udałow. — Gdy tylko przedwczoraj otrzymaliśmy telegram z Moskwy, od razu wysłaliśmy.

— Niedobrze — powiedział świerszczyk.

W zamyśleniu rysował czubkiem buta na piasku, powstawał tam jakiś zagadkowy wzór.

— Ale co się stało? — zaniepokoił się Udałow.

— Nie powinienem ci tego mówić — powiedział konik polny, odwracając się do Udałowa i uważnie patrząc na niego nieruchomymi wypukłymi oczyma. — To jest, oczywiście, tajemnica państwowa. Ale skoro dotyczy ciebie, mojego najlepszego przyjaciela, nie mogę milczeć!

— Nie dręcz! — jęknął Udałow. — Mów. I tak mam problemy.

— Nie jest tajemnicą, że Ziemia od dawna znajduje się pod kosmiczną obserwacją — powiedział świerszcz. — Nigdy nie wiadomo, co mogą narobić ci wasi politycy czy generałowie.

— Wiem. Sam, jako uczciwy obywatel, jestem zaniepokojony.

— Więc tak, otrzymaliśmy naszymi utajnionymi kanałami informację. Na niejawnym naradzie waszych władz zdecydowano, że należy was zlikwidować.

Konik polny westchnął, jakoś tak zaskrzypiał od wnętrza, i uniósł do nieba wypukłe oczy.

— Po co nas likwidować, skoro jesteśmy dumą naszej bezgranicznej Ojczyzny?

— Chwila — rzucił Tori i wielkimi skokami pognał za wielkim wielokolorowym motylem.

Po jakichś trzech minutach wrócił, wycierając z kącików ust kolorowy pyłek.

— Patrzyłem tylko — oświadczył — czy jest wpisany do Czerwonej Księgi? Okazało się, że jest. No i wróciłem jak niepyszny.

Świerszczyk przenikliwie zaświergotał, zadowolony że przypomniał sobie ten idiom.

Udałow zrozumiał, że istota na takim odpowiedzialnym stanowisku wstydzi się swojego łakomstwa na motyle z Czerwonej Księgi, dlatego przemilczał ten incydent, żeby nie peszyć przyjaciela.

— Coś mówiłeś o tajnej naradzie? — zapytał.

— Jak zwykle zebrali się generałowie i niektórzy utajnieni uczeni, jak również przedstawiciele Służby Bezpieczeństwa i zdecydowali, że będziecie musieli bohatersko zginąć na podejściu do Ziemi.

— Ale dlaczego? Wykonaliśmy zadanie, spotkaliśmy się z braćmi w rozumie, porozmawialiśmy, nawet narzeczoną przywieziemy — z naszym kosmonautą, przykro mi, zaciążyła. . . Wkrótce oczekujemy powiększenia się rodziny.

— Wasze filmy są już na Ziemi. Cały świat wie, że wykonaliście zadanie. Ameryka, możesz tak uważać, pogrążona jest w żałobie. Prezydent zrzeka się stanowiska. Polska wycofała swój akces do NATO. Najwyższy czas, byście bohatersko zginęli.

— Ciągłe nic nie rozumiem!

— Powiedz mi — jak u ciebie z piciem?

— Jak u wszystkich, piję do towarzystwa.

— A kosmonauta Gedike przez sen nie gada?

— Nie mam pojęcia.

— A profesor Minc nie zaczął pisać wspomnień?

— Chyba coś takiego. . .

— A nieziemska narzeczoną będzie trzymała język za zębami?

— Do czego zmierzasz?

— Komputery obliczyły, że któreś z was na pewno się sypnie. I to dość szybko. A wtedy tajemnica zminimalizowanego lotu kosmicznego wyjdzie na jaw. I prestiż Rosji ogromnie na tym ucierpi. Będzie gorzej, niż żebyście w ogóle nie lecieli.

— Nie — oświadczył Udałow. — Prezydent do tego nie dopuści!

— Prezydent od trzech dni jest na urlopie — powiedział świerszcz. — Prezydent dowie się o nieprzyjemnych sprawach za trzy dni. Że niby bohatersko zginął

jego przyjaciel Udałow. Chlipnie Prezydent, każe postawić popiersia w ojczystych stronach bohaterów, a potem sobie pomyśli — w sumie to i lepiej. . .

— Jak zostaniemy zniszczeni? — Udałow nagle uwierzył świerszczowi.

— Na podejściu do lądowania, rakieta. Na dodatek muszę ci powiedzieć, że pieniądze, które były przydzielone na wyprawę, tę w normalnej skali, czyli jedna trzecia rocznego budżetu, już zostały rozkradzione.

— Gdzie się one podziały?

— W zasadzie są skierowane na poprawę warunków mieszkaniowych administracji Prezydenta i jego Kancelarii. . . Rozumiesz, każdy chce mieszkania z podziemnym garażem i basenem w prestiżowej dzielnicy Barwicha.

— Nie, nie mogę w to uwierzyć! Odmawiam!

— Coś tam popłynęło do szwajcarskich banków. . .

— Nie, nie i nie!

— Możesz w chwili nudy przesłuchać zapis dyskusji o waszej likwidacji. — Tori podał Udałowowi kasetę.

Udałow odsunął jego rękę.

— Nie trzeba — powiedział przybity. — Wierzę, tylko mój rozum nie chce uwierzyć. . .

— Trzeba wierzyć — powiedział Tori. — Nie istnieją rzeczy niemożliwe w waszym kraju.

Udałow zebrał kolegów. Bał się, że zaczną z niego szydzić, oskarżać o tchórzstwo albo nawet o brak patriotyzmu.

Ale kosmiczne podróże kształcą.

Wysłuchawszy relacji wszyscy zamilkli.

Piotr Gedike mocno uścisnął rękę narzeczonej. Ta przylgnęła do niego, niczym liana do dębu.

— No i co, ja pierniczę? — zadał retoryczne pytanie kosmonauta Iwanów.

— Smutno mi przyznać, że taki wariant jest możliwy — powiedział Minc, obliczywszy w umyśle prawdopodobieństwo takiej zdrady. — Wszystko wskazywało, że taki będzie koniec, i tylko ja, stary ufny dureń, mogłem nie przewidzieć takiej prostej możliwości.

— Dzwon do taty — zwrócił się Piotr Gedike do narzeczonej. — Powiedz staremu, że zgadzam się na jacht.

Naręczona Grugena roześmiała się i szczęśliwa pognęła do telefonu.

Kosmonauta Iwanów, wojskowy przecież, niespodziewanie wypowiedział całe zdanie:

— Statek, pierniczony, odpalamy w trybie automatycznym. W kierunku Ziemi, ale bez załogi.

— A załoga? — zapytał Udałow, znając już odpowiedź, ale łaknący potwierdzenia swoich domysłów.

— A załoga w składzie Piotr Gedike i ja zostaje na stałe na planecie Stoloki, zadowolona z odpowiednich warunków mieszkaniowych.

— Słusznie — powiedział Minc. — Niech nasza słynna kosmiczna obrona pelot rozwała sobie pusty stateczek. Nam go nie żal.

Na pożegnanie wszyscy poszli do restauracji „Smażony Indyk”, śpiewali, przysięgali sobie wieczystą przyjaźń, podchmielony Tori kleił się do kelnerek, kucharz obił mu pysk.

Następnego dnia pożegnali się.

Kosmonauci zostali na Stoloki, a konsultantów, którzy nie chcieli zostawać tak daleko od domu, Tori służbowym talerzem odwiózł na Ziemię.

Pomyślnie minęli kosmiczne zasieki i wylądowali na skraju lasu pod Wielkim Guslarem.

— Może się rozmyśliliście? — zapytał na pożegnanie Tori.

Minc zrobił zastrzyk sobie, potem Udałowowi, Tori na razie został malutki.

Póki powiększali się Tori kontynuował:

— Obawiam się, że wywęszą wasz powrót i przyślą tu kinderów.

— Killerów — poprawił go Udałow.

— Nie bój się — zaoponował Minc. — Nikt nie będzie marnował na nas kul. Formalnie to my pojechaliśmy tylko na ryby. A tym bardziej nie wylatywaliśmy poza granice Układu Słonecznego. Nie ma nas na liście kosmonautów — ani żywych, ani umarłych.

— Ja tylko ostrzegam — powiedział Tori i odleciał do Centrum Galaktycznego.

A Minc z Udałowem poszli w kierunku przystanku autobusowego. Mieli przed sobą jeszcze ze dwadzieścia minut jazdy do swojego domu numer 16 przy ulicy Puszkina.

1997

przełożył Eugeniusz Dębski

## Czego tylko dusza zapragnie

Profesor Minc czekał na hydraulika Kieszę, który od dwóch tygodni nijak nie mógł trafić do jego mieszkania. W tym czasie Kiesza był widziany w restauracji „Guś”, gdzie uczestniczył w oblewaniu nowego merca niejakiego Koliandy. To znaczy niegdyś Koliandy, dziś prezesa funduszu „Czyste ręce”, Nikołaja Tigranowicza. Ktoś spotkał Kieszę na demonstracji liberał-radykałów, gdzie każdy uczestnik otrzymywał butelkę piwa Mińskiego, widziano go również w wyścigu pływackim przez rzekę naprzeciwko muzeum krajoznawczego. Kiesza nie tylko w tym wyścigu uczestniczył — nawet zwyciężył, ponieważ przyjechała wołogodska telewizja. W wielu miejscach spotykało się Kieszę, tylko nie w pracy.

Profesor Minc, człowiek z gruntu dobry, humanitarny (tak teraz przyjęto mówić), ale jednak nastawił się na jakąś straszliwą zemstę. Miał jeszcze schowany flakonik ze środkiem „Pracohol”. Każdego, kto zażył tego specyfiku nachodziła niemożliwa do powstrzymania ochota do pracy. Dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

Ale w tym momencie otworzyły się drzwi, nie zamykane nigdy, o czym wiedział każdy miejski kot, i wszedł technik sanitarny — nie, nie Kiesza, a inny mężczyzna. Niemłody, z przyjemnym obliczem i manierami.

— Wzywał pan? — zapytał.

— Och, jeszcze ile razy! — odpowiedział profesor. — Pan jest hydraulikiem?

— Technikiem sanitarnym — z godnością poprawił go mężczyzna. Ubrany był skromnie, miał na sobie czysty kombinezon i adidasy. W ręku walizeczkę — wysłużoną, ale całą i czystą. Wszystko w tym hydrauliku napawało ufnością.

— Proszę wejść — zaprosił go Minc.

— Dziękuję, Lwie Christoforowiczu — odpowiedział hydraulik i zaczął wycierać nogi o wycieraczkę przed drzwiami.

Profesora nie dziwiło to, że technik sanitarny go zna. Wielki Guslar nie jest znowuż taki wielki, by mógł w nim zatracić się uczony o światowej sławie.

Profesora wytrącało z równowagi coś innego — znał tego technika, widział go już, nawet poznali się, ale coś mu przeszkadzało go rozpoznać.

— Na co się pan uskarża? — zapytał hydraulik. — Co pana niepokoi?

Profesor zaprowadził technika do łazienki, gdzie z kranu ciekła woda strumieniem grubym na palec, a na podłodze widniała kałuża.

— Taak... — powiedział technik. — Trzeba wymienić. I nie zaszkodziłoby czyszczenie.

— Ale proszę tylko mi nie mówić — powiedział przewidujący wszystko z piekielną logiką profesor — że skończyły się uszczelki, że można je zdobyć tylko za potrójną cenę, a krany znikły z półek przed miesiącem...

Technik sanitarny roześmiał się wesoło i, postawiwszy na podłodze walizeczkę, przycupnął obok niej, otworzył gestem prestidigitatora, pokazując wnętrze, w którym poukładane były różne części zapasowe, uszczelki i podkładki, a nawet krany.

— A pan mówi, że nie mam! — uśmiechnął się technik, patrząc na profesora z dołu.

— Ilja Samuiłowicz! — zawołał Minc. — Jak mogłem od razu pana nie poznać! Przecież pan jest naszym dentystą!

— To przeszłość — powiedział dentysta.

— Co się stało? Co za nieszczęście?

Ilja Samuiłowicz wyjął z walizeczki odpowiednie uszczelki i najładniejszy z kranów. Potem zakręcił wodę i wziął się do roboty. Przez ten czas Minc zadawał pytania, a Ilja Samuiłowicz chętnie na nie odpowiadał.

— Na emeryturę za wcześnie?

— Proszę się nie krępować — odpowiedział stomatolog. — Nie urazi mnie pan. A jeśli pan uważa, że przeżyłem życiową klęskę, to, zapewniam pana — nic takiego. Bajecznie mi się udało.

— Jak to?

— Zaproponowano mi dobrą pracę i zgodziłem się na to.

— Czyżby poprzednia nie była dobra?

— Wydawało mi się, że była niezła, ale byłem w błędzie.

— Przecież chyba pan nieźle zarabiał?

— Nie narzekałem.

— Trudno było do pana trafić z powodu obłożenia pacjentami.

— Wiem, wiem, ale to był wynik tego, że w naszym mieście brakuje dobrych stomatologów. Na tle innych byłem orłem.

— Chce pan powiedzieć, że dobrowolnie zmienił swoją... specjalizację?

— Proszę mówić śmiało — los!

Minc przyglądał się jak technik pracuje. Jego ręce niemal śmigały nad wanną. Całe życiowe doświadczenie Minca podpowiadało mu, że ma do czynienia z mistrzem w swoim fachu, człowiekiem uzdolnionym, zakochanym w zawodzie, nawet skromnym i niedocenianym przez współczesnych, ale tak potrzebnym!

— Jak do tego doszło? — zapytał Minc.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — powiedział Ilja Samuiłowicz. — Plac Podróżników dwa.

— A co tam jest?

— Gdyby pan sam nie rozumiał — odparł technik — to chętnie panu wszystko wyjaśnię. Ale po pracy. Proszę mnie zrozumieć — czekają cierpiący niewygodę ludzie! Wielu z nich przeklina całe hydrauliczne plemię, ponieważ w naszym środowisku niemało jest takich typów, jak choćby Kiesza.

— O, Kiesza! — zakrzyknął Minc z łotrowskim angielskim przydechem. Nie potrafił inaczej wymówić tego imienia.

Szybko i nader sprawnie zakończywszy swoje działania, dentysta opuścił Mincę, zdecydowanie odmówiwszy pobrania napiwku. Minc, szczerze mówiąc nawet specjalnie nie nalegał, ponieważ przez cały czas nie opuszczało go przeświadczenie, że uczestniczy w jakimś żarcie. Albo że lekarz stomatolog mu się tylko przyśnił. Krany działały jednak bez zarzutu, a kałużę Ilja Samuiłowicz sam wytarł przed wyjściem.

Kiedy drzwi za nim zamknęły się, profesor Minc usiadł w wygniecionym fotelu i zaczął myśleć. Jako prawdziwy myśliciel nie znosił wątpliwych sytuacji. Wszystko musiało mieć swoje wytłumaczenie. To jest zasada gnostycyzmu, której przestrzegał Lew Christoforowicz. A jeśli wytłumaczenia nie ma, znaczy to, że źle było szukane, albo może jest niedostępne na współczesnym, prymitywnym poziomie rozwoju nauki.

Tak więc mamy szczęśliwego, dobrego, kompetentnego, pewnego siebie stomatologa. Mamy podkreślającego swój fart technika sanitarnego. To jeden i ten sam człowiek. A tajemnica kryje się gdzieś na placu Podróżników.

Profesor Minc naciągnął na grzbiet marynarkę i wyszedł na ulicę. Było ciepłe, sierpniowe południe, ptaki odśpiewały co miały i zabrały się za szkolenie piskląt w lotach.

Ryknął motocykl. Lew Christoforowicz ledwo zdołał uskoczyć przed nim do bramy, miał wrażenie, że na siodełku siedziała leciwa pulchna dama, była dyrektorka domu towarowego Wanda Sawicz, było to jednak tak mało prawdopodobne, że Minc pokręcił głową i pomyślał, że może wiek robi swoje. I może czas zatroszczyć się o jakiś lek na zmurszałość.

Odsapnąwszy nieco Minc skierował się na plac Podróżników, ale nie dotarł tam, ponieważ napotkał aptekarza Sawicza, męża Wandy. Widząc go Minc roześmiał się i powiedział:

— Nie uwierzysz, Sawicz, jak ci powiem, co mi się przed chwilą przywidziało.

— Uwierzę — odarł Sawicz. — Przywidziało ci się, że moja żona Wanda przemknęła obok ciebie na sportowym motocyklu.

— Dziwne, jakżeś na to wpadł?

— Dlatego, że nie przywidziało ci się, a widziałeś to, co ja widzę od samego rana. Moja żona Wanda szykuje się do mistrzostw województwa wołogodzkiego w speedwayu.

— No właśnie — przytaknął Minc.

Powiedział to tylko po to, by jakoś pocieszyć najwyraźniej chorego na umyśle Sawicza. Ale tamten wcale nie był niepokieszony czy zmartwiony.

— Dla mnie to taniej. — A widząc zdziwione spojrzenie profesora wyjaśnił: — Mieliśmy oszczędności na starość. Chcieliśmy spędzać wolny czas na wybrzeżu Cypru. Ale komu to potrzebne? Brud, krzątania, nowi ruscy, mafia, a przede wszystkim. . .

— Co?

— Zysk! Chciwość! Rozpusta! Seksualne patologie. Zgadzasz się ze mną?

Sawicz chwycił Minca za rękaw i pociągnął do ściany, ponieważ obok nich przemknął ten sam dziki motocyklista, i teraz już Minc nie miał wątpliwości — to była Wanda Kazimirowna. Zresztą, jak miał w to wątpić, skoro przekrzykując ryk motoru krzyknęła do Minca:

— Cześć-cześć-cześć, chłopaki!

— Dobra-dobra — cicho powiedział Sawicz. — Już niedługo będziemy drepali po tych samych chodnikach. Jutro odlatuję.

— Dokąd?

— Do Candragupty, na brzegu Gangesu. Oczekują mnie w aśramie całkowitej ciszy, to właśnie tam znajdę spokojną niszę dla osiągnięcia nirwany.

— A co z pracą? Rodziną?

— Moją rodzinę dopiero co widziałeś, tak więc mogę się już pożegnać. Więcej się nie spotkamy.

— A mieszkanie?

Minc rozumiał, że zadaje niewłaściwe pytania — nie o to tu chodziło. Ludziom przytrafiają się różne nieszczęścia, ale nie zmieniają się aż w takim stopniu i nie szukają nowego sposobu życia. Dlaczego? Jak można porzucić życie w Wielkim Guslarze, gdzie niczego się nie osiągnęło i nagle, w jednej chwili. . .

— A ja jestem szczęśliwy! — niespodziewanie wrzasnął Sawicz. — Możesz wszystkim o tym powiedzieć! Całej postępowej ludzkości. Niech żyje Siwa i jego żona Lakszmi!

I głośno wyśpiewując hymny w którymś z hinduskich dialektów, prowizor Sawicz skierował się do agencji turystycznej „Maybe”. Oszołomiony Minc patrzył w ślad za nim i starał się uporządkować myśli. Podejrzewanie Sawicza o umiłowanie hinduskiej filozofii było jeszcze bardziej nie na miejscu, niż podejrzewanie o poczucie humoru pisarza Lwa Tołstoja.

Motocykl zatrzymał się przed Mincem, a Wanda, Wandeczka, czterdzieści lat temu ślicznotka, odsunęła na czoło ciężkie gogle i zmrużyła oczy:

— No to jak, Lowa, nie weźmiesz ze mnie przykładu?



— Nie, nie zamierzam — odpowiedział wewnątrznie rozedrgany Minc.

— Każdy może — powiedziała motocyklistka. — Prędkość, wiatr w twarz, śmiertelne zderzenia!

— Nigdy nie podejrzewałbym cię o... .

— Wpadnij na plac Podróżników 2, nie takich rzeczy o sobie się dowiesz.

Wandeczka dodała gazu i odjechała. Minc długo wykasliwał z płuc kurz.

Tajemnica jeszcze się pogłębiła.

Minc kolejny raz wyszedł z bramy i skierował na plac Podróżników. I pewnie dotarłby tam gdyby nie królik.

Zwyczajny królik, dobrze odżywiony.

Zwalił się na Minca z nieba, spadł na chodnik, podskoczył ciężko i usiadł wpatrując się w profesora.

— Przepraszam — powiedział Minc. — Czym mogę służyć?

Królik wyciągnął zza pleców czarny cylinder i zawadiacko nałożył sobie na głowę. Uszy zostały przyciśnięte rondem i sterczały teraz jak skrzydła jednopłetowca.

— To głupiec — powiedział Sasza Grubin, sąsiad Minca z domu numer 16. — Aż dziw, że przy tak niewielkim rozumie ma podobne zdolności artystyczne.

Sasza Grubin wysunął się przed Minca.

Przykucnął przed królikiem i położył na asfalcie brezentowy worek. Królik posłusznie wskoczył do niego, a Grubin zawiązał wór sznurkiem i przerzucił go przez ramię.

— Co się dzieje, Sasza? — zapytał profesor.

— A nic takiego! Powołanie!

Grubin poszedł dalej ulicą, jakby nic innego w życiu nie robił, tylko nosił króliki w workach.

Minc natomiast starał się sobie wmówić: „Nic szczególnego się nie stało, wczoraj ogłoszono, że wystąpią plamy na Słońcu, a z powodu burzy magnetycznej, zalecamy nie wychodzić z domów bez nakrycia głowy... .” Minc dotknął palcami runda swojego kapelusza. No dobrze, z nim wszystko w porządku, ale co z innymi?

Z góry dał się słyszeć głos:

— Lwie Christoforowiczu, nie chcesz ze mną polatać? Panie Boże, tego jeszcze brakowało! Z kosza własnej roboty podwieszonego do balonu, wyglądało ożywione oblicze Korneliusza Udałowa, jego starego przyjaciela i sąsiada.

— Co ci uderzyło do głowy, Korneliuszu? — zawołał Minc.

— Odnalazłem powołanie! — odpowiedział Korneliusz Iwanowicz. — Czego i tobie życzę.

— A dokąd się wybierasz? — zapytał Lew Christoforowicz.

— Ludzie mówią, że archeolodzy odnaleźli stolicę Aleksandra Macedońskiego w dolinie Wachszy — odpowiedział Korneliusz. — Jeśli będą sprzyjające wiatry to tam właśnie skoczę.

Poryw wiatru podchwycił balon ozdobiony dużym napisem na całym obwodzie: „Rosja — szczodra dusza” i pognął go na południowy wschód.

I zniknął na horyzoncie stary druh Udałow.

Minc nie wątpił, że przyczyna zamieszania znajduje się na placu Podróżników i przeczucie czegoś niedobrego targnęło sercem uczonego.

Może by jednak utrzymał w ryzach siebie, może byłby świadom każdego swego kroku i oddechu, gdyby nie spotkanie na rogu ulicy Puszkina i placu.

Przy Hali Targowej, pod sklepem „Wszystko dla Twojej Krasuli”, stała znana, ze swojej pryncypialności w stosunku do rozpustnego trybu życia gusłarek Klara Samojlenko, była komsomołka i druhna pionierów, a dziś szefowa sekcji rady miejskiej do spraw walki z asocjalnym zachowaniem młodzieży .

Minc spotykał się z jej pryncypialnymi wystąpieniami podczas posiedzeń rady miejskiej i nawet usiłował nakłonić damę do racjonalnego kompromisu. Przecież naprawdę trudno jest zakazać noszenia spódniczek powyżej kolan i karać za brak biustonoszy pod bluzeczkami — takie czasy, nic nie poradzisz!

I oto — wyobraźcie sobie — Lew Christoforowicz zobaczył panią Samojlenko, stojącą na rogu z białym goździkiem w łapce, odzianą tylko w skórzany fartuszek, pożyczony od Papuaski, z piersią niemal obnażoną, w złotych pantofelkach na wysokich szpilkach. A to, co malowało się na obliczu Klary, nie daje się przełożyć na język literacki.

Minc już pogodził się z tym, że obudził się dzisiaj w domu wariatów, i chociaż w środku wszystko w nim dygotało, powiedział:

— Dzień dobry, Klaro Georgijewno. Nie zimno pani?

— Witaj, mężczyzno — odpowiedziała szefowa sekcji. — Czy nie pragniesz otrzymać zadowolenia?

— W jakim sensie? — zmieszał się profesor.

— W seksualnym — odpowiedziała kobieta. — Potrafię robić takie numery, że do jutra będziesz chodził kołowaty. Ode mnie, to niektórych pogotowie musi zabierać.

— Proszę o wybaczenie — powiedział Minc. — Może później. Chciałbym najpierw zajrzeć pod dwójkę.

— A, to słusznie — zgodziła się Samojlenko lekkiego prowadzenia. — Ja już przeszłam przez ten czyściec. Zgwałciło mnie sześciu pracowników. Myślałam, że nie przeżyję tej hańby.

— Ona łże — wtrąciła się babunia w białej chustce, przechodząca obok. — Sama rzucała się na naszych chłopców. Wielu dało odpór.

— A pani tam pracuje? — zapytał Minc.

— Proszę za mną, młody człowieku — powiedziała babcia — a osiągniesz cel.

W budynku oznaczonym na placu Podróżników numerem drugim znajdowało się kilka instytucji. W tym guslarski oddział ludowego zespołu pieśni i tańca „Bieriozka”, poza tym Gosprzyjemiołgis, salon urody „Galatea-2”, fundusz „Małeństwo i ojczym”, a z boku, bezpośrednio na ścianę, przyklejony został arkusz brystolu, na którym nierówno, ale wyraźnie wypisał ktoś flamastrem:

### TERAZ MAMY JEDNO ŻYCZENIE

Bez żadnego wyjaśnienia.

Kiedy Minc przekroczył próg zobaczył czarną strzałę, wskazującą schody. A tam, na korytarzu, stały w szeregu krzesła, a na nich siedzieli grzecznie mieszkańcy miasta. Mimo kiepskiego oświetlenia, poznali Lwa Christoforowieża i ktoś w cyklistówce zdziwił się i zapytał:

— A pan, profesorze, czego pragnie?

— Profesorowie też mają problemy — odpowiedziała Gawriłowa, nieszczęsna matka nieudanego syna.

— Wchodzi się po kolei czy z listy? — zapytał Minc.

— Żywa kolejka — powiedział Cyklistówka. — Ja się zapisałem o siódmej.

Cyklistówka pokazał Mincowi dłoń z numerem „2”. Minc usiadł na wolnym krześle obok Gawriłowej.

— Pani też? — zapytał.

— Nie — odparła tamta. — Ja się chciałam poradzić co do swego synka.

Synalek miał trzydziestkę na karku i już dwa razy się rozwiódł, zamierzał zaciągnąć się do jakiejś armii, najlepiej takiej nieczynnej, żeby nie zostać rannym.

— A jak się pani o tym dowiedziała?

— Nie czytał pan ogłoszenia w „Guslarskim Sztandarze”?

— Ja czytam tylko Internet — powiedział profesor. — Nie nadążam już za resztą. I co w tej naszej gazecie napisali?

— Nic. Tylko dwa słowa: „wasza szansa” i adres. Pierwszy przyszedł Kosołapow. Myślał, że tu czymś częstują. Zna pan Kosołapowa.

— Nie miałem przyjemności.

— To menel. Chodzi po śmietnikach i zbiera butelki.

— Mamy w mieście prawdziwego menela?

— Podobno mamy całe ugrupowanie — szeptem powiedziała Gawriłowa.

Minc skinął głową, choć nie rozumiał co mają ze sobą wspólnego menele i ugrupowania. Gawriłowa tymczasem kontynuowała:

— Przyszedł on, a tu nikt go nie zatrzymuje, nikt nie przegania, ale też i nie częstuje. Olga Kazimirowna pyta, na co się uskarżasz? Śmieszne, prawda?

— A kim jest Olga Kazimirowna?

— A zobaczy pan jak wejdzie.

Człowiek w cyklistówce denerwował się — podrywał się z krzesła, usiłował zajrzeć przez szparę w białych drzwiach z kartką „Bez wezwania nie wchodzić”, biegał po korytarzu, deptał ludziom po stopach. A kiedy w końcu drzwi otworzyły się, wysunęła się brodata gęba i ryknęła:

— Następny!

Cyklistówka rzucił się do ucieczki.

— Chce ktoś czy nie? — zapytała broda. Obywatelka Gawriłowa zamasyżuje, jak wierzący spadochroniarz, przeżegnała się i runęła do drzwi.

Nastała cisza.

Cyklistówka po cichu wrócił i grzecznie usiadł na krześle.

Otworzyły się drugie drzwi, naprzeciwko, wyjrzała z nich oszałamiająco piękna kobieta w średnim wieku i powiedziała:

— Lwie Christoforowiczu, oczekuje pana szef oddziału.

— Myśmy tu byli wcześniej! — wrzasnął Cyklistówka,

- Pan do innego lekarza — powiedziała bajeczna kobieta - - Gabinet był skromny, ciasnawy, za białym parawanem znajdowała się kozetka. Czarująca pani w średnim wieku usiadła za biurkiem. Jej ciemne włosy ściągnięte były w ciężki kok. Jedno pasemko umyślnie, a może przypadkowo, opadało na czoło. - — A ja myślałam — powiedziała piękna kobieta — że pan umyślnie nas ignoruje?

— Nie czytuję gazet — odparł Minc. — Przepraszam, nie znam pani imienia i patronimiku. . .

— Olga, proszę po prostu mówić Olga — mogłabym być pana bratanicą.

— Byłbym zaszczycony — odpowiedział na to Minc. — No to czym się tu zajmujecie?

— Po pierwsze, muszę panu powiedzieć — rzekła Olga — że nie jesteśmy szarlatanami, ani czarodziejami, magami i nawet nie jesteśmy kosmicznymi przybyszami.

— To ostatnie bardzo mnie cieszy — uśmiechnął się Minc udając, że kosmiczni przybysze nawet mu do głowy nie przyszli. Co nie było prawdą.

— Powiem więcej — ciągnęła Olga. — Nie jesteśmy też agentami CIA ani nawet Mosadu.

— Co by miało do roboty w naszym mieście CIA?!

— Proszę bez obłudy — rzekła Olga. — Oni to akurat byliby radzi wyciągnąć swoje macki do każdej rosyjskiej wsi. My natomiast jesteśmy doświadczalnym laboratorium ministerstwa zdrowia, które uruchomiło w Wielkim Guslarze swój poligon.

— Czym się zajmujecie?

— Przecież już się pan domyślił!

— Proszę mi wyjaśnić. Po co mam zgadywać?

— Dobrze, to proste. Człowiek myli się najczęściej dlatego, że nie ma okazji czy możliwości wyboru właściwej drogi życiowej, tej, do której jest przeznaczony. Warunki życia, wychowanie, sytuacja materialna, przypadek — to wszystko jednoczy się w celu odcięcia człowieka od jego prawdziwego, przypisanego mu losu. Tylko jednostkom sądzone jest żyć według przygotowanego schematu. Może, na przykład, panu, Lwie Christoforowiczu?

— Mama chciała, żebym grał na skrzypcach — przyznał się Minc.

— A pan?

— Ja chciałem bronić bramki naszej miejskiej drużyny piłki nożnej. Ale byłem grubym chłopcem i mnie nie wzięli.

— Proszę sobie wyobrazić, że biologia osiągnęła to, co wydawało się dotychczas niemożliwe: połączyła człowieka i jego powołanie.

— Może trochę za późno?

— Nigdy nie jest za późno.

Zza ściany dotarł do ich uszu jakiś hałas. Ktoś krzyczał, szlochał — cierpiął.

— Nie wszystko idzie tak gładko, jak by się chciało — powiedziała Olga.

— Jeśli proponujecie człowiekowi, że spełnicie jego życzenie. . .

— Niezupełne tak, Lwie Christoforowiczu. Nie możemy spełniać życzeń. Możemy pokazać człowiekowi, ku czemu skłania się jego dusza. Przecież każdy z nas powołany jest do spełnienia tej czy innej funkcji w mrowisku, nazywanym ludzkością. I kiedy człowiek spełnia tę rolę — jest szczęśliwy. Albo niemal szczęśliwy. Ale czy człowiek to wie? I muszę panu powiedzieć, że największym odkryciem Gergena Samojłowicza było właśnie wykreślenie granicy między tym, co się człowiekowi zdaje, a tym, do czego jest naprawdę przeznaczony. Oto powiedział mi pan, profesorze, że chciał zostać bramkarzem. Ale czy pan wie tak naprawdę, po co przyszedł pan na ten świat? Nawet pan nie podejrzewa.

— To znaczy — domyślił się Minc — że jeśli przyjdę do was i powiem, że czuję w sobie odwieczne dążenie do stania na bramce, to niekoniecznie się ze mną zgodzicie?

— W przytłaczającej liczbie przypadków — nie zgodzimy się. Ale nie będziemy się sprzeczać.

— Ale tak naprawdę — wielkość idei i jej prostota oszołomiły Minca — to dacie człowiekowi okazję wykazania się nie w tym, w czym chce, a w tym, do czego się urodził?

— Jest pan geniuszem! — zawołała Olga. Zza ściany rozległ się ryk.

— A to co?

— To błąd, w życiu zawsze jest miejsce na błędy. W medycynie też.

— To człowiek!

— Niemal. — Olga odwróciła się do okna. Widać było, że nie ma ochoty odpowiadać.

— O nie, gołąbeczko! — wybuchnął Minc. — Proszę odsłonić swoje karty. Co się stało?

— Chodźmy, zobaczy pan na własne oczy — powiedziała Olga. Wstała i otworzyła niewidoczne drzwi, prowadzące do sąsiedniego gabinetu. Połowa tego pomieszczenia była oddzielona metalową kratą niczym na komisariacie w Los Angeles.

Za kratą miotał się prawie nagi rozczochrany obywatel, który hałaśliwie szczeptał i rzucał się na brata przełożonego, usiłującego nakarmić go kanapką z czerwonym kawiozem nadzianą na rożen.

— Uważał — powiedziała Olga — że przez całe życie marzył o zawodzie tresera dzikich zwierząt. A okazało się, że znajduje się w nim program życia psa podwórzowego. Nie mogliśmy tego wcześniej wiedzieć. No i wpadliśmy. Teraz musimy dość złożonym sposobem przywracać go z powrotem do stanu wychowawcy przedszkola.

Człowiek wyszczerzył zęby i zaryczał.

— Ale jest szczęśliwy? — domyślił się Minc.

— Szczęśliwy — potwierdziła Olga.

— No to może niech zostanie. . .

— Zwariował pan? Przecież on pokąsa pół miasta. Minc z Olgą wrócili do jej gabinetu.

— Och, jaka jestem zmęczona — powiedziała kobieta. — Zaczyna nam brakować kapsuł, ledwo stoimy na nogach. . .

— Jakich kapsuł?

— Każdemu pacjentowi wszywamy za ucho kapsułę sześciomilimetrowej długości. Kapsuła emituje nieszkodliwe promieniowanie i w krótkim czasie rozpływa się w organizmie.

— A co w niej jest?

— Uwolnienie od kompleksów i błędów, a także podstawowy zestaw nawyków i odruchów w wybranej dziedzinie zachowania.

— Jakim cudem jesteście w stanie je określić?

— Ach, gdyby pan wiedział, jak mało wariantów zachowań istnieje w ludzkich genach!

Pacjent za ścianą żałośnie zaszczekał.

— Zgłodniał, biedaczyna — westchnęła Olga.

— Mieliście inne nieoczekiwane przemiany?

— Tajemnica lekarska.

— Czyli mieliście. . .

Zamiast odpowiedzi Olga rzuciła Mincowi przenikliwe spojrzenie i zapytała:

— Czy nie zażyczy pan sobie, profesorze i czcigodny członek korespondencyjny Akademii Nauk, wypróbować na sobie działanie kapsuły?

— I okaże się, że tak naprawdę to marzę o hodowli złotych rybek?

— Może to sensowne — przełączyć się?

— Nigdy się z wami nie zgodzę! — gwałtownie zaprzeczył Minc. — Moja działalność przynosi pożytek milionom ludzi, moje wynalazki zostały wpisane do wszystkich możliwych wykazów. Niewykluczone, że lada dzień zaproponują moją kandydaturę na Nobla. A wy z powodu jakiegoś drobnego genetycznego defektu pozbawicie mnie ukochanej pracy, a naród — moich wynalazków!

— Nie ma pan racji — powiedziała Olga. — Bo jeśli wynalazki i odkrycia są waszym przeznaczeniem, to nic się z nimi nie stanie.

— Nie — odparł na to Minc. — Bo jeszcze zacznę miauczeć.

Olga uśmiechnęła się. Raczej smutno niż radośnie.

— Żałuję, że nie chce pan z nami współpracować — powiedziała. — Ale proszę przynajmniej mi obiecać, że będzie pan odwiedzał nas, wesprze dobrą radą i podzieli się doświadczeniem.

— Z przyjemnością — powiedział Minc i zamyślił się. Minęła minuta, a on ciągle nie wychodził.

Olga uniosła pytająco brwi.

— Niech to licho — rzucił Minc. — Proszę dezynfekować tę waszą kapsułę. Wypróbujemy.

Minęły dwie i pół godziny, Minc wyszedł na ulicę. Za uchem go swędziało. Organizm jeszcze nie rozpuścił obcego ciała.

Profesor był we wspaniałym humorze.

Wysoko w niebiosach żeglował balon. Nagle odłączył się od niego czarny punkt, potem nad nim otworzył się spadochron. Udałowowi znudziło się latanie po niebie i wracał do domu na kolację. Klara wzięła Minca pod rękę.

— No i jak, chłopcze? — zapytała. Minc zerknął na nią.

Klara przykucnęła i na czworaka pobiegła za róg.

Na spotkanie Minca szedł przewodniczący dumy miejskiej, człowiek władczy i nachalny. Potrącił Minca. Zawsze potrącał ludzi na ulicach.

Minc chwycił go za ramię, odwrócił go do siebie twarzą i powiedział cicho:

— Poproszę o klucz do gabinetu, będę go potrzebował.

— Jasne — spanikował przewodniczący. — Oczywiście, Lwie Christoforowiczu. Jak pan każe, Lwie Christoforowiczu.

Minc poszedł dalej, kręcąc na wskazującym palcu kółko z kluczami.

I nagle zobaczył prowizora Sawicza, który gdzieś zdobył różowy obrus, owi-  
nął się nim i zaczął — przynajmniej z wyglądu — przypominać Siwe.

— Sawicz — powiedział Minc. — Kopnij no się biegiem do mnie do domu, weź mój ukochany notebook i pantofle. Ruszaj się, bo ci taką dam nauczkę, że ci w pięty pójdzie!

Skuliwszy się pod nowym i strasznym spojrzeniem Lwa Christoforowicza krysznaita rzucił się wykonać polecenie.

Powiedziawszy tak, Lew Christoforowicz opamiętał się i popatrzył na siebie z boku.

To, co zobaczył, zaniepokoiło go.

Na środku ulicy Puszkina stał leciwy łysy mężczyzna z wydatnym brzuchem i penetrował okolicę gniewnym spojrzeniem. Nigdy wcześniej ta okolica go nie złościła.

Łysy mężczyzna jakoś bardzo chciał powtórki losu Napoleona Bonaparte, tyle że bez fatalnych błędów zdobywcy z Korsyki. Dobrze by było wziąć Kreml przed pierwszymi mrozami. I zaprowadzić porządek w państwie...

Mimo wszystko człowiek jest mało konsekwentną istotą.

Czasami, wieczorem, po mityngu czy naradzie komitetu rekwizycyjnego, Minc kazał szoferowi mercedesa 600, skonfiskowanego w trakcie rajdu na Wołogdę, zawozić się na wysoki brzeg rzeki Guś. Jeepy i bojowe wozy piechoty z ochroną zatrzymywały się półkolem z tyłu, żeby nie przedarł się jakiś niegodziwiec. Od chwili, kiedy pewna niebezpieczna babunia z petycją od bibliotekarzy dotarła w bezpośrednie okolice ciała Lwa Christoforowicza i musiała zostać zlikwidowana, ochrona kategorycznie nalegała, by od pleców zawsze krył Minca pancierz.

Przyszły dyktator Ziemi opuszczał szybę w wozie, wdychał świeże, nieco zleżałe powietrze znad rzeki, słuchał jak za wodą szczekają psy, głaskał posłuszne kolano Olgi, patrzył jak obsuwa się w spokojne obłoki sielskie słońeczko i marzył o poprzednim, dobrodusznym żywocie.

Potem podnosił szybę i mówił:

— Niestety, już ani sekundy...

— Tak, kochany — zgadzała się kobieta — jesteś człowiekiem obowiązku.

I pędzili na nocne szkolenia psów służbowych.



## Epilog

Rezydencja przysłego dyktatora Ziemi zajmowała szpital psychiatryczny. Zalety tego miejsca określał wysoki betonowy płot i mocne kraty na obu kondygnacjach budynku. Rezydencja była otoczona parkiem, pozostałością jeszcze z przedrewolucyjnych czasów. W parku szebiotały wróble, ponieważ jesienią inne ptaki milkną.

Minc nie mógł zasnąć. Nadszedł dzień „J”, co znaczyło: „Jedziemy!”

O świcie Lew Christoforowicz na zawsze opuści to miasteczko, w którym spędził wiele lat swego życia, wkrótce zapomni o miejscowych, mizernych ludziach, niegodnych współczucia, ale jakoś dziwnie zwyczajnych i nawet przyjemnych.

Resztę życia przyjdzie mu spędzić na punktach dowodzenia, w marszach i schronach.

Nie mając siły sprzeciwić się sentymentalnemu duchowemu porywowi, tak niebezpiecznemu dla dyktatorów, Lew Christoforowicz cichutko wstał z łoża, rozsunął pancerne żaluzje, chroniące go przed przypadkowym złoczyńcą, naciągnął spodnie, mundur bez dystynkcji, przeżegnał się patrząc na portret Kaliguli i zsunął się do parku po rynnie.

Ochrona tego nie zauważyła, ponieważ kierowała swoje spojrzenia na zewnątrz i nie oczekiwała niebezpieczeństwa od wewnątrz.

Nie ma niezdoytych twierdz.

Minc chwycił zapomnianą przez malarzy drabinkę, oparł ją o płot i przeszedł na ulicę.

Świt dopiero zbliżał się do Wielkiego Guslaru, powietrze było gęste i granatowe, jak w kałamarzu z mincowskiego dzieciństwa.

Odgłos kroków profesora rozlegał się wśród cichych sadów i zielonych dachów.

Po kilku minutach marszu profesor dotarł pod dom numer 16 na ulicy Puszkina.

Znajome podwórko. Stół do gry w domino pod krzewem bzu. Krzew rozrósł się, stół przechylił — pasja do gry w domino została gdzieś w przeszłości.

Obok drzwi do bramy połyskiwała miedziana tablica pamiątkowa.

Wyryte w niej litery składały się na napis:

W TEJ BRAMIE, W MIESZKANIU NUMER 2,  
W DRUGIEJ POŁOWIE XX WIEKU  
MIESZKAŁ ZDOBYWCA ZIEMI  
LEW PIERWSZY NIEUGIĘTY

„Lokaje, czeladź, lizusy! — ze smutkiem, właściwym wielkim zdobywcom, pomyślał Minc. — Co za ubóstwo wyobraźni!”

Wszedł do klatki schodowej i zatrzymał się przed swoimi drzwiami. Obawiał się, że już otoczenie zdążyło założyć tu muzeum, ale, na jego szczęście, jeszcze do tego nie doszło. Na drzwiach była tylko pieczęć łąkowa.

Minc zerwał ją i otworzył drzwi.

Dziwne przeczucie niebezpieczeństwa ogarnęło go nagle i tak silne, że znieruchomiał z ręką wyciągniętą do włącznika światła. I dopiero z pewnym wysiłkiem zdołał go włączyć.

W pokoju byli goście. Sześcioro.

Troje siedziało na łóżku. Jeden w fotelu, jeden na krześle pod etażerką, ostatni stał pod oknem.

Minc sięgnął po pistolet w kaburze pod pachą.

Druga ręka sięgnęła pod drugą pachę, po komórkę.

Goście przyglądali się gwałtownym i nawet niezbornym nieco ruchom dyktatora bez lęku i zdziwienia.

— Nie poznajesz? — zapytał jeden z nich. Jedyna znajoma twarz! Korneliusz Udałow!

— Co ty tu robisz? — z surowością w głosie zapytał Minc. I dodał, obrzucając lodowatym spojrzeniem pozostałych: — A wy wszyscy, co tu robicie?

— Lwie Christoforowiczu! — Udałow rozłożył ramiona. Miał na sobie pizamę, która rozjechała się na brzuchu. — Przecież znasz mnie od młodości. Po co ci to wszystko?

— Wyjdźcie, bo będę strzelać — polecił Minc.

— Jeszcze tydzień temu nic takiego nie przyszłoby ci do głowy — zauważył mężczyzna w średnim wieku, ze szlachetnym obliczem rzymskiego senatora. — Podnieść rękę na bliźnich — o nie, tak nie postępuje prawdziwy uczonek!

Wtedy Minc z zimną krwią zaatakował. Nie miał innego wyjścia. Puste serce spokojnie pompowało krew, pistolet w ręku nawet nie drgnął.

Pierwszy pocisk przeszył Udałowa, drugi trafił w pierś dostojnego senatora.

Na ich odzież nie został nawet ślad po pocisku.

Minc wystrzelał resztę magazynka w młodą, szczupłą i wysoką jak topola kobietę.

— Łaskocze — powiedziała.

— Tatiano! — zwróciła jej uwagę inna kobieta, starsza. — Nie jesteś na imprezie.

Wystrzeliwszy wszystkie pociski Minc ze złością cisnął na stół uszkodzony pistolet. I zaczął się wycofywać.

— Poczekajcie, Minc — powiedział senator. — Czego wy w życiu szukacie?

— To ja się was pytam — czego ode mnie chcecie?

— Obawiamy się o was — odparł zapytany. — Obawiamy się o wasz umysł i o naszych czytelników. W ciągu swojego życia dokonaliście w nauce i Guslarze wielu wspaniałych rzeczy. Również ludzie, czytający o waszych działaniach stali się lepsi. Czyżbyście teraz chcieli przekreślić cały włożony w was wysiłek?

— Przez kogo?

Udałow wskazał starszego, nawet starego mężczyznę z siwą brodą i rumianą twarzą nadciśnieniowca:

— Może powiesz, że nie poznajesz swojego autora i stwórcy? Przecież to Kir Bułyczow! Pisarz!

— Nie mam przyjemności — powiedział Minc. — Nie pożałowałbym kuli. A ta reszta, to kto?

— Tych ludzi też powinienesz znać osobiście — powiedział Udałow. — To jest redakcja czasopisma poświęconego fantastyce, w pełnym składzie, z redaktorem naczelnym.

Szlachetny mężczyzna pochylił szlachetną głowę.

— To jakaś bzdura! — oburzył się Minc. — My, proszę o wybaczenie, znajdujemy się w różnych wymiarach. Wy jesteście mieszkańcami Ziemi, a ja jestem istotą z wyższego szeregu, literackiego. I w ogóle — kto was tu wpuścił?

— Ja! — powiedział Kir Bułyczow. — Kiedy opowieści o zmianie w waszym charakterze dotarły do nas postanowiliśmy się z wami spotkać. Proszę się zatrzymać, profesorze! Nie takiego pana wymyśliłem, czytelnicy pana takiego nie znają. Proszę przestać przejawiać nadmierną inicjatywę, proszę nadal pomagać ludziom, a nie szkodzić im.

— Nie mogę — powiedział głosem skazańca profesor Minc. — Póki na Ziemi żyje choćby jeden przestępca, łapówkarz, zabójca, gwałciciel albo demokrata, nie ustane w walce o szczęście mojego narodu. Do ostatniego oligarchy! Do ostatniego masona! Ogniem i mieczem!

— Jest pan człowiekiem wielkiego i dobrego serca — powiedziała starsza kobieta. — Wiedzą o tym czytelnicy i krytycy. Czyżby pan chciał, żeby w literaturoznawstwie pojawiło się stwierdzenie: „Pod koniec żywota profesor Minc stał się banalnym niegodziwcem”?

— Nie zmieniłem się — odparł Minc. — Ja się taki urodziłem, tylko nie wiedziałem o tym wcześniej.

— No to się wysił — wtrącił się do rozmowy Udałow. — Dla ludzi. Dla czytelników się wysił!

— To jest ponad moje siły! Słyszysz, jak czołgi grzeją swoje motory? Słyszysz, jak ryczą silniki myśliwców? Słyszysz jak unisono biją serca śmiałych bojowników o moje ideały?

— Ach, to on ma nawet ideały! — zawołał mężczyzna z grubo ciosaną twarzą, o imieniu Eduard. — Patrzcie no, bandyta z ideałami!

— A tak! Mam ideały! — wykrzyknął Minc. — Moje ideały to wyczyścić świat od wad demokracji!

— A potem? — zapytał Eduard.

— Potem wszyscy będą szczęśliwi.

Póki obecni, ku oburzeniu Minca, oddawali się wyśmiewaniu jego idei, weszła piękna lekarka, Olga.

— Lwie Christoforowiczu — powiedziała — armie stoją w szyku. Historia czeka za progiem.

— Widzicie! — ucieszył się ze wsparcia Minc. — A wy mi tu mówicie!

I nagle, kiedy wszyscy, łącznie z autorem, byli pewni, że bitwa o Minca została przegrana, szczęśliwa myśl przyszła do głowy Udałowowi:

— Proszę mi wybaczyć, doktor Olgo — powiedział ten. — Ale wydaje mi się, że nie dotarła pani do właściwej istoty Lwa Christoforowicza. Ja widzę w nim jeszcze jakąś niepewność, nawet wewnętrzną słabość...

— Jak śmiesz! — ryknął przyszły dyktator.

— A śmiem, bo przecież przyszedłeś tu, na swoje moralne pogorzelnisko. Do swojego domu. Co oznacza, że pozostało w tobie coś ludzkiego. Jestem przekonany, że aby dojść do ostatecznego przeistoczenia należy sięgnąć jeszcze głębiej, do samego dna.

Doktor Olga była człowiekiem surowych, logicznych reguł.

— Co więc proponujecie, towarzyszu Udałow? — zapytała.

— Jeszcze jedną kapsułę — odparł Udałow. — Wtedy się przekonamy

— W żadnym wypadku! — zawołał Kir Bułyczow. — Powstanie takie monstrum, że ręka mi odmówi opisu!

— Masz rację, ale prawda jest droższa — odpowiedział Udałow.

— Prawda droższa! — podtrzymał go Minc. — Chcę być skończony, jak płyta granitowa.

— Cóż, spróbujemy — zgodziła się doktor Olga i przyłożyła do ucha profesora różową kapsułę.

— Drodzy przyjaciele — rzekł redaktor naczelny. — Proszę kobiety o opuszczenie pomieszczenia. Nie wiemy, co się wykluje z byłego profesora. Czasem nawet w ludziach dobrze nam znanych i na oko godnych, kryją się prawdziwe monstra. Ale kto się kryje w monstrum... Uciekajcie, kobiety!

I kobiety posłusznie, lecz z wewnętrznym drżeniem, opuściły pokój.

Minc zauważalnie denerwował się. Złapał leżący na stole rozładowany pistolet i zaczął się nim drapać za uchem. Kir Bułyczow chwycił tom encyklopedii i jakby

niechący zakrył się nim od potencjalnego pocisku. Nawet doktor Olga cofnęła się do drzwi.

Minc położył pistolet na miejsce.

Potem obrzucił dziwnym, niemal dzieciennym spojrzeniem pokój i pociągnął nosem.

Gdzieś daleko czołgi grzały silniki i rozlegały się dźwięki rozkazów dowódców formujących szyki oddziałów. Nadchodził świt.

— Nieładnie wyszło — powiedział Minc. — Niepotrzebnie ludziska się miotali, hałas, silniki się grzeją. Nieładnie.

— Czyżby się udało? — zawołał Udałow. — Czyżbyś wrócił do nas?

Minc usiadł na wolnym krześle.

— Twój pomysł miał sens — powiedział do Udałowa. — Rzeczywiście — dusza człowieka niepospolitego nie ma dna. Dyktatorskie zapędy były mi właściwe tylko na pewnym etapie duchowej organizacji. Teraz się dogrzebałem do sedna, dzięki tobie, doktor Olgo, do swojej istoty.

I Minc zamyslił się, jakby się wsłuchiwał w siebie. Po czym w głębokiej ciszy rozległ się jego twardy i pewny siebie głos:

— Żadnej przemocy. Żadnych czołgów na ulicach. Wysuwam swoją kandydaturę na stanowisko gubernatora, a następnie prezydenta Rosji na drodze demokratycznej, w ramach konstytucji. My, przyjaciele, zaczniemy tworzyć prawne, zdyscyplinowane, patriotyczne społeczeństwo. Wszystko dla człowieka! Obywatelu pisarzu Kirze Bułyczowie, a także pozostali mężczyźni, proszę tu pozostać. Przydadcie mi się w sztabie przedwyborczym. A ty, Udałow, leć, zwolnij czołgi, niech wracają na poligony, a ochronę zawołaj tutaj. Strzeżonego Pan Bóg strzeże...

2000

przełożył Eugeniusz Dębski